ANETA

JADOWSKA

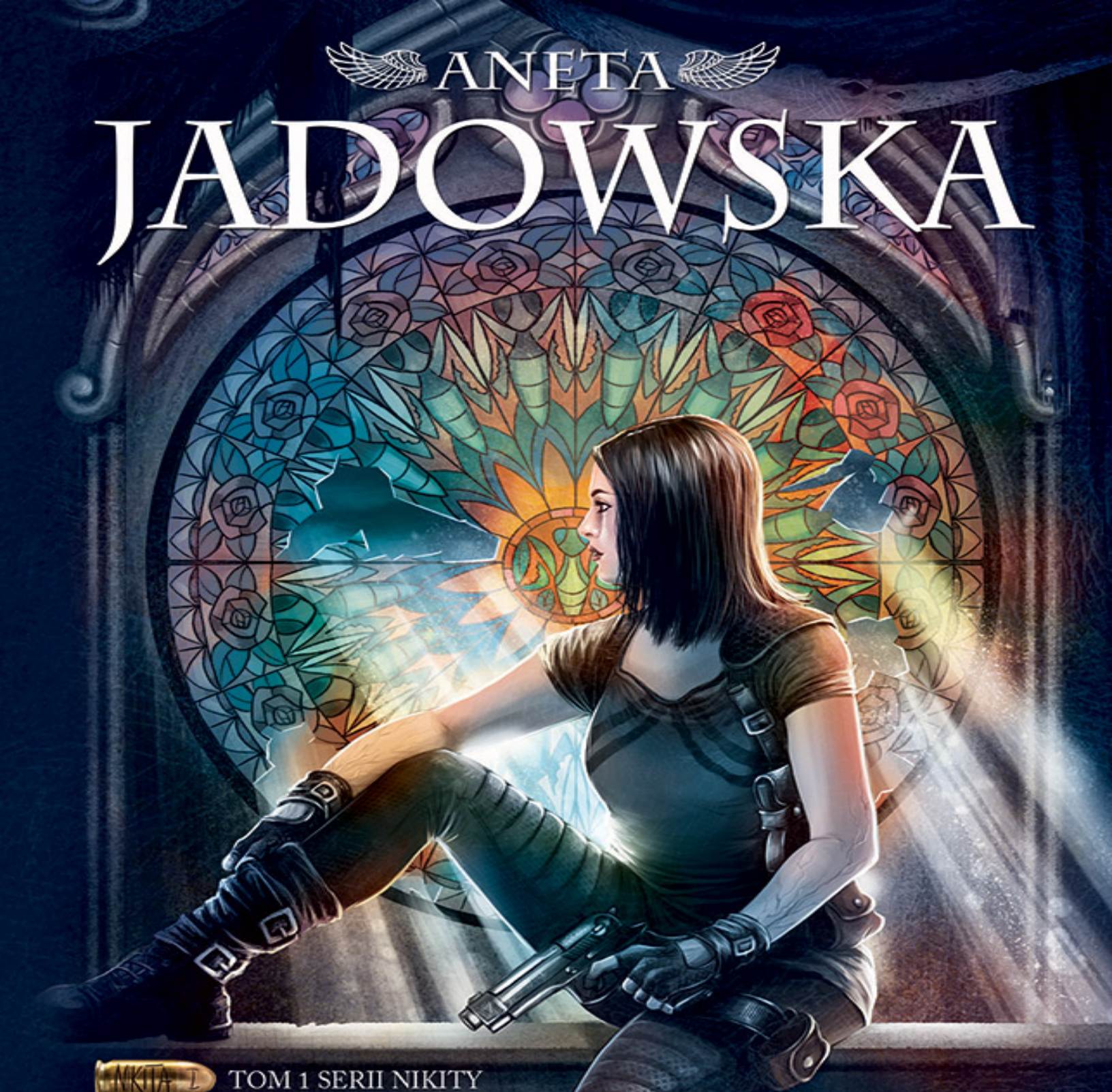

NIKITA 1 TOM 1 SERII NIKITY

DZIEWCZYNA Z DZIELNICY CUDÓW

SQN
imaginatio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANETA

JADOWSKA

TOM 1 SERII NIKITY

DZIEWCZYNA Z DZIELNICY CUDÓW

KRAKÓW 2016

Uli, Kubie i Kajetanowi Słoneckim,

którzy zapewniają mi metę na Gocławiu

i pomogli mi odnaleźć bramę do Warsa,

nawet o tym nie wiedząc.

Rozdział 1

Odprowadzali mnie spojrzeniem, gdy zakrwawiona i w poszarpanym ubraniu opuszczałam pokój odpraw i długim korytarzem wlokłam się do szatni. Może obstawiali, kiedy zemdleję. Jakbym miała im dać taką satysfakcję. Zresztą większość tej krwi nie była moja. Gdyby byli ze mną na robocie, widzieliby spektakularne omdlenie wąpierza – coś, czego nie zapominasz szybko. To jego krew zaczynała śmierdzieć i wysychając, zmieniała mi ciuchy w pancerz. Biorąc pod uwagę, że okrąglutka kwota wpłynęła na moje konto w sekundę po jego śmierci – było warto, choć muszę popracować nad techniką.

Wąpierze są w połowie żywe nawet u szczytu swoich możliwości. Po śmierci rozkładają się błyskawicznie. Nie zmieniają się w estetyczny pył, jak wampiry, ale brejowato-galaretowate krwawe błocko. Ten raczył umrzeć, kiedy przygniatał mnie do ziemi. Zanim się spod niego wygrzebałam, jego doczesne płyny ustrojowe były wszędzie. Podrapałam się po skórze głowy. Czułam go nawet tam, między posklejanymi w strąki włosami.

Zastanawiacie się, dlaczego od razu nie weszłam pod prysznic, by zmyć z siebie to gówno? Cóż, chciałam, naprawdę. Ale Matka wezwała mnie na dywanik. Natychmiast. Wspomniałam o tym, w jakim byłam stanie, ale odłożyła słuchawkę, nie racząc zaprzątać sobie głowy moim samopoczuciem. Więc przyszłam. Matce się nie odmawia. Zwłaszcza że ta była nie tylko moją matką – co raczej utrzymywałyśmy w tajemnicy – ale też Matką Przełożoną Zakonu Cieni, moją oficjalną szefową i właścicielką mojego tyłka, duszy i czasu. Przynajmniej ona tak właśnie to widziała.

Pchnęłam drzwi szatni. Zapach męskiego potu, brudnych ręczników i płynu antyseptycznego uderzył mnie w nozdrza. W Zakonie jest niewiele kobiet. Nie mamy własnej szatni czy pryszniców. „Jeśli nie jesteś w stanie obronić się przed kolegami z pracy, jak zamierzasz przetrwać w tym zawodzie?” To dokładnie usłyszałam od Matki, kiedy zapytałam, czy naprawdę musimy znosić ich towarzystwo i niechciane zaloty. Wzięłam to

dosłownie. Następnym razem zabrałam pod prysznic moją Inkwizycję, glocka 17. A kiedy kolega z drużyny nie przyjął dobrze mojego „nie jestem zainteresowana, weź te łapy” i próbował wykorzystać każdą przewagę, jaką mu dawało jego pięćdziesiąt kilogramów cięższe ciało, strzeliłam mu w głowę. Otrzymanie trzech kul kalibru 45 wprawdzie nie wpłynęło zbyt dobrze na jego maniery, ale nie spodziewałam się cudów. Moje krzyki jeszcze kilka minut wcześniej nie zwabiły nikogo. Odgłos wystrzałów i owszem. Nie pomogli mi, kiedy spychałam z siebie cielsko wieprza. Był nagi, ja byłam naga, dośpiewali sobie resztę. Od tego dnia nazywają mnie Modliszką. Rzekomo koleś stracił głowę w trakcie seksu. Mogłam wyjaśniać, że stracił ją, bo próbował mnie zgwałcić, ale uznałam, że im mniej będę się tłumaczyć, tym szybciej obrosnę legendą i dadzą mi spokój choć pod prysznicem. Na wszelki wypadek wciąż zabieram tam ze sobą Inkwizycję, gdyby nie każdy wyciągnął morał z tej historii.

Moje imię… Cóż, brzmi nieźle. I jest równie fałszywe jak wszystkie inne, które mogą znać. Nie jestem Carmen, Nikitą, Sarą. Żaden z moich dowodów tożsamości nie uwzględnia tego prawdziwego. Sama już prawie zapomniałam, jak ono brzmi. Ostatni raz moja matka zwróciła się nim do mnie, kiedy miałam trzy lata. „Nie możesz nikomu powiedzieć, że tak się nazywasz. Od dziś jesteś Sarą”. Kiedy miałam piętnaście lat, znów przyszedł moment na zmianę imienia – wybrałam Nikita. Spędzałam mnóstwo czasu przed telewizorem, kiedy moja matka wyrabiała sobie pozycję w świecie morderców na zlecenie. Serial o tajnej grupie przekształcającej młodą narkomankę w niebezpieczną agentkę wydawał się rezonować z moim życiem. Trochę zazdrościłam bohaterce, bo w porównaniu z tym, co serwowała mi matka, metody Madeline, jej szefowej, wydawały się takie subtelne, niemal wypełnione miłością. Dziś wiem, że jest między nami jedna zasadnicza różnica – serialowa Nikita miała nikłą, ale jednak jakąś, możliwość ucieczki, powrotu do czegoś, co było przed tym. Ja przed tym nie miałam nic. W każdym razie do dziś lubię to imię bardziej niż inne, które nosiłam. Może dlatego, że przez kilka lat, kiedy byłam Nikitą, spotkało mnie w życiu całkiem sporo dobrych rzeczy.

W szatni nie było nikogo. Jeszcze. Bo że się zlezą, choćby po to, by zobaczyć, jak bardzo oberwałam, byłam pewna. To taka lokalna zabawa – obstawianie, kto ile pożyje. I celowe naciskanie guziczków, które mają cię doprowadzić na krawędź ku uciesze otoczenia. Ktoś nieobeznany

z relacjami między członkami Zakonu mógłby uznać to za przejaw rubasznej, ale jednak troski. Nic z tych rzeczy. Jeśli wypadłabym z gry, moje zlecenia przypadłyby któremuś z nich. A byłam dość dobra, by dostawać te dobrze płatne. Gdyby mieli gwarancję, że góra się nie dowie, pomogliby mi się pożegnać z tym światem, na kwadrans przytrzymaliby mi głowę pod wodą – trzy minuty, by mnie zabić, dwanaście na wszelki wypadek. I to nie dlatego, że nie lubili mnie jakoś szczególnie. To samo zrobiliby niemal każdemu innemu konkurentowi do wypłaty. Mówią, że nie ma honoru wśród złodziei. Zdarzało mi się poznać złodziei honorowych i żyjących wedle kodeksu ulicy. Nie mogę tego powiedzieć o nikim z Cieni. Także o sobie.

Na ławce ułożyłam broń, torbę, na szczęście wodoodporną, i teczkę, którą dostałam na odprawie od Matki. Ściągnęłam z siebie śmierdzące szmaty, które do niedawna były czarną koszulką z długim rękawem i czarnymi dżinsami z lycrą, i wrzuciłam je do kosza. Nawet gdybym chciała je doprać, smród i tak by pozostał, zbyt głęboko wniknął we włókna. Sportowy stanik przykleił mi się do skóry za sprawą mojej własnej krwi. Płytka rana pod obojczykiem, w miejscu, gdzie wąpierz wbił pazury, wciąż lekko krwawiła. Zdecydowanie musiałam to zdezynfekować. Zaciskając zęby, oderwałam tkaninę od skóry i wrzuciłam do kosza. Wpisałam kod podstawowy i potwierdzający na cyferblacie zamka do mojej szafki. Może się wydawać, że to sporo zabezpieczeń do szafki, w której trzymam jedynie torbę na siłownię, kosmetyczkę, trochę zapasowej broni i ciuchów – wciąż jednak pamiętam krzyki Skawy, który komuś podpadł, a ten ktoś po cichu dostał się do jego szafki i zaprawił mu szampon kwasem. Skawa do dziś nie odzyskał wzroku. Pod pewnymi względami tu jest jak w gimnazjum, ale nikt się nie przejmuje pałą z zachowania.

Gorąca woda wyparzała smród z mojego ciała. Antybakteryjnym mydłem oczyściłam wszystkie skaleczenia, ranki i otarcia. Wytarłam się, nie wychodząc z kabiny, założyłam świeżą bieliznę i spodnie, choć nienawidziłam wciągać ich na wciąż wilgotną skórę. Szybko spakowałam kosmetyczkę i mokry ręcznik do worka i przypięłam kaburę z Inkwizycją. To nie była paranoja, po prostu wyczułam, że nie jestem już sama. A ponieważ nie słyszałam żadnego głupiego komentarza, mogło to oznaczać, że pozostałym chwilowo zabrakło języka w gębie (mało

prawdopodobne), że próbowali nowych sztuczek albo pojawił się tu ktoś nowy.

Miło poznawać nowych ludzi, ale nowi ludzie w Zakonie oznaczają jedno – ponieważ są poza hierarchią, starają się ustalić swoją pozycję. Muszą pokazać, jak twarde jaja zwisają im między nogami, i wykazać się umiejętnościami. Przez ostatnie trzy lata przekonałam się, że jakoś zawsze zaczynają od kobiet lub tych kolesi, którzy wydają się słabsi. Głupota. W Zakonie nie ma słabych i jeśli ktoś wygląda na słabeusza, prawie na pewno ma coś w zanadrzu. Węże też wyglądają całkiem milusio, dopóki nie wgryzą ci się w szyję.

Matka odbyła ze mną rozmowę na ten temat: „Nikito, nie możesz uszkadzać wszystkich nowo przyjętych. Ich rehabilitacja trwa wiele miesięcy, a my musimy im płacić z ubezpieczenia…”. Odparłam, że nie ma sprawy, nie uszkodzę żadnego, który będzie się trzymał na dystans parasola, jak przystało na dobrze wychowanego gentlemana. Bo jeśli podejdzie bliżej, nie będę miała wyjścia. Nie zaryzykuję, że skończę jak Lamia – ze złamanym kręgosłupem naprawdę trudno o zlecenia. Wtedy Matka zaczęła wątek, który jej się nigdy nie znudzi: „Nikito, gdybyś miała partnera, który chroniłby ci w takich sytuacjach plecy, nie musiałabyś wszystkiego brać na siebie”. A wtedy ja, jak zawsze, musiałam kończyć tę rozmowę trzaśnięciem drzwiami i posłaniem jej do diabła.

Po cichu odsunęłam zasłonę prysznicową, przytrzymując stalowe kółeczka, by nie zagrzechotały. Na bosaka przeszłam przez długą salę z kabinami, aż do drzwi do szatni. Wolałabym mieć wolne ręce, ale odłożenie rzeczy mogłoby zostać odebrane jako oznaka słabości. Wkroczyłam więc do szatni z miną wrednej suki. Nazywam ją „markową miną”. Facet, dobre metr dziewięćdziesiąt, setka wagi w mięśniach, w wytartych dżinsach i czarnym swetrze, pod którym widziałam zarys kamizelki kuloodpornej, na mój widok wstał z ławy. Nie, nie złapał za broń, nie przybrał pozycji bojowej. Z dłońmi wciśniętymi w kieszenie kiwnął mi głową na powitanie. Przyjrzałam się uważnie jego proporcjonalnej i spokojnej twarzy. Zakrywał ją brodą, ale byłam pewna, że nie widziałam go nigdy wcześniej.

– Cześć, jestem Robin – powiedział i posłał mi uśmiech.

No jak rany.

– Z jakiej bajki się urwałeś, Kapturku? Bo raczej nie z tej, w której teraz jesteś – powiedziałam, podchodząc do swojej szafki.

Ostrożnie, nie odwracając się do niego plecami, bo mógł się uśmiechać do woli, ale nie znałam go i jestem sprawiedliwa w swojej nieufności – nie ufam tym, których znam, z bardzo małymi wyjątkami, i tym, których nie znam.

– Kapturku? – zapytał zmieszany.

– Robin Hood – podsunęłam i niemal parsknęłam śmiechem, widząc jego zdziwienie, gdy załapał mój ciąg skojarzeń. Wsunęłam stopy w kozaki i poczułam się znacznie lepiej.

– A ty kim jesteś? Złym wilkiem? – zapytał zaczepnie.

– Na pewno nie babcią. – Wzruszyłam ramionami.

– Jesteś Modliszką?

Odwróciłam się ostrożnie i oparłam dłonie na biodrach, w pobliżu kabury. Nie mogłam nie zauważyć, że on nie miał broni palnej. Może to facet od noży. Trzymał też na plecach spory pakunek, więc prawdopodobnie był typem snajperskim. Uniósł ręce, jakby się poddawał, po czym rzucił słowa, które mogły kosztować go życie. I ten uroczy uśmieszek na pewno nie zmieniłby tego faktu:

– Jestem twoim partnerem. Dostałem przydział dziś rano.

– Nie mam partnera – warknęłam.

– Masz – odparł z entuzjazmem.

Ewidentnie miał życzenie umrzeć albo wyciągnęli go z jakiejś kolonii amiszów i nie wiedział że w tym miejscu patrzysz komuś w oczy i się uśmiechasz, tylko jeśli już trzymasz nóż w jego bebechach lub w każdej sekundzie jesteś gotowy go tam wsadzić.

– Nie jesteś zbyt bystry, więc powiem powoli: nie mam partnera. Trzymaj się ode mnie z daleka albo cię zabiję. Nawet jeśli to będzie oznaczało konieczność wpłaty kolejnego odszkodowania do kasy Zakonu.

Wytarłam torbę ręcznikiem, wrzuciłam go do kosza, zapakowałam swoje rzeczy i wyszłam, nie oglądając się za siebie. Usłyszałam tupanie jego ciężkich, wojskowych butów, gdy szedł za mną, ale nie zwracałam na niego uwagi. Widziałam jego oczy. Nie miał w sobie tego czegoś, co podsunęłoby mu pomysł strzelenia mi w plecy.

Cienie zalegały w korytarzu jak brzydkie panny na tańcach, podpierając ściany i plotkując z wrednymi uśmieszkami. A więc już wiedzieli. Nagle dotarło do mnie, co musiało być w teczce, którą Matka wcisnęła mi w rękę na koniec odprawy.

Wypadłam przed budynek i niemal biegiem dopadłam mojej Ślicznotki. Zanim wybiegł za mną na parking, odjechałam, zostawiając mu chmurę spalin.

Kluczyłam po ulicach Warsa, upewniając się, że nikt mnie nie śledzi. Zwłaszcza pewien drągal, za głupi, by o siebie zadbać. Dopiero godzinę później zajechałam tam, gdzie zmierzałam od samego początku. Gdybym o jakimkolwiek miejscu na ziemi myślała jak o domu, to pewnie właśnie o tym. Mój rewir. Na jednej ulicy znajdowały się domy dwóch z czterech osób, o których mogłam powiedzieć, że im ufam. Sama mieszkałam niewiele dalej.

Rozdział 2

W garażu unosił się zapach rozgrzanego metalu. Aleks wciąż pracował palnikiem nad ramą motocykla, który budował na zamówienie. Jego potężne bicepsy połyskiwały od metalicznego pyłu i smaru, kiedy podciągał złom wiszący na łańcuchu, tak by mieć swobodny dostęp do drugiej strony. Przetoczył swój wózek inwalidzki z głuchym zgrzytem roztrącanych na podłodze części i narzędzi. Jego twarz przybrała wyraz, który zdążyłam już doskonale poznać. Miał swoją wizję. W nieforemnej kupie złomu dostrzegł linie przyszłej bestii i nie przerwie pracy, póki nie wydobędzie jej na powierzchnię, żeby mógł zobaczyć ją każdy, a już z pewnością ten, kto wypłaci mu za maszynę tłuściutkie honorarium. Nad każdą maszyną pracował długo, ciężko i każda była absolutnie warta swojej ceny. Oburzyłby się, gdybym nazwała go artystą, ale był nim. Mierzył się z materią i ignorował jej opór. Tak samo jak bagatelizował opór własnego ciała. Nic nie mogło go powstrzymać, nawet roztrzaskany kręgosłup. Nie przerywałam mu pracy – mogłam poczekać, aż metal podda się jego woli, a Aleks z poczuciem dobrze wykonanej roboty zrobi sobie przerwę.

Ustawiłam Ślicznotkę pod ścianą, z dala od pryskających iskier spawarki. Mój motocykl też wyszedł spod rąk Aleksa. Kiedyś był produktem masowym pewnej azjatyckiej firmy motoryzacyjnej. Na długo przed tym, zanim Aleks usłyszał „nierówne stukanie” („jak możesz tego nie słyszeć, dziewczyno?”) i nie zdenerwowała go jakaś linia „nie dość zgrabna” i efektywność „znacznie poniżej możliwości”. Zaczął poprawiać moją maszynę – tu coś odjął, tam coś dodał, coś wymienił na lepsze… Trzy lata później ojciec inżynier nie rozpoznałby dziecka, które wypuściła jego fabryka. Usunęłam logo producenta, nieuczciwie byłoby rozbudzać nadzieję potencjalnych klientów. Nie jestem typem gadżeciary z fetyszem motoryzacyjnym – maszyny traktuję jak narzędzia, biorące dość często na siebie trudy mojej roboty – a jednak ze Ślicznotką czułam się związana i jej czarną, agresywną sylwetkę doceniałam na równi z siłą silnika

i niezawodnością. I tym, że nie groziło jej żadne nierówne stukanie, którego i tak raczej bym nie rozpoznała.

Wdrapałam się na maskę starego chevroleta – znanego też jako „niekończąca się opowieść”, jako że remont tego gruchota pochłaniał niekończące się pokłady czasu i pieniędzy. Po trzech latach wciąż nie udało się nam go uruchomić na dłużej niż kwadrans. Stawiałam na magiczną mutację, Aleks upierał się, że mutacje nie mogą dotyczyć przedmiotów nieożywionych. Zafundowałam mu wieczór z *Christine*, ale pozostał optymistą. Widział takie auto w jakimś filmie i przez lata marzył, by mieć podobne. Może nie szedł w tych fantazjach aż tak daleko, by oczekiwać od auta tego, by jeździło. A może uznał, że skoro sam nie jest doskonały, zaakceptuje niedoskonałości Chevy’ego. Aleksa łączyło z maszynami ciche porozumienie. Każdy z nas ma jakiś talent. Ja potrafiłam się zakradać, zabijać i zmieniać wygląd lepiej niż gwiazdy modelingu. On rozmawiał ze złomem i skłaniał go do działania.

Wyciągnęłam z torby teczkę, którą wcisnęła mi w ręce Matka pod koniec odprawy, kilka batonów energetycznych i butelkę koktajlu proteinowego. Energicznie przeżuwając kolejne kęsy o smaku miodu i orzechów, wczytywałam się w dokumenty. I z każdą sekundą byłam bardziej wkurwiona. Wspominałam, że wszyscy mają jakiś talent? Talentem Matki było wyciąganie ze mnie tego, co najgorsze. Całkiem świadomie, bo nic dobrego, co mogło się we mnie kryć, nigdy nie zdobyłoby jej aprobaty, chyba że umiejętność zabijania czy władania jakąś wysoce podłą i śmiercionośną magią. Każda matka nabywa wiedzę o czułych punktach własnej pociechy. Po prostu wie, co powiedzieć i zrobić, by dzieciaka zażenować, zdenerwować czy rozzłościć. Zwykle towarzyszą temu różne miłe rzeczy, jak bezwarunkowa miłość i wsparcie. Irena wznosiła się ponad takie bzdury. Byłam jej małym projektem, a wierzyła w zimny chów, twardą rękę i hartowanie potomstwa w prawdziwych płomieniach.

Z każdą sekundą stawałam się bardziej sfrustrowana, bo zdawałam sobie sprawę, że załatwiła mnie na szaro. Znowu. Owszem, od miesięcy gderała, że powinnam mieć partnera, ale temat, jak mi się zdawało, przysechł. Minęły trzy lata, odkąd wróciłam z roboty, na którą pojechałam z partnerem i pięcioma innymi najemnikami. Wróciłam sama. I do dziś nie śpieszyłam się z dokładnym raportem z akcji, a także nie mówiłam o tym, jak doszło do ich zgonu. Miałam swoje powody. Większość z moich towarzyszy zginęła.

Jedyny ocalały, wilczy szczeniak, znalazł sobie znacznie lepsze życie niż to, jakie miał mu do zaoferowania Zakon Cieni, więc nie zamierzałam puścić pary na jego temat. To moja wina, to, że wszyscy nie żyją. Nie zabiłam ich, wbrew temu, co sądzą moi koledzy z pracy, z Ireną na czele. Ale przyjęłam robotę, której nigdy nie powinnam na siebie wziąć. Zgubiłam się wystarczająco, by uczynić swoim wrogiem kogoś, kto był kiedyś moim najlepszym przyjacielem, być może miłością mojego życia. Ona i jej przyjaciele zabili moich ludzi w obronie własnej. Racja była po ich stronie, jednak Zakon widział to inaczej. Gdyby jego członkowie dowiedzieli się, co dokładnie wydarzyło się na wsi trzy lata temu, pomściliby swoich dla zasady, zabijając moją dawną przyjaciółkę tylko po to, by postawić kropkę nad i. Nie zamierzałam do tego dopuścić, dlatego dopilnowałam, by jakikolwiek elektroniczny czy papierowy ślad tamtej akcji przepadł. Nawet Irena nie znała dość szczegółów. Zlecenie zostało opłacone dużą sumką i mogła podejrzewać, że zamieszany był w nie ktoś z Niebieskich lub Piekielników ze względu na wysoki stopień zagrożenia. Tylko tyle. Pytała mnie wiele razy, co się wtedy wydarzyło. Zasłaniałam się klauzulą poufności w umowie z wymagającym klientem. Plotki na korytarzach Zakonu mnożyły się i rosły, po trzech latach osiągając już rozmiar nosorożców. A nosorożce można lekceważyć, jeśli nie zaczynają szarżować.

Od jakiegoś czasu nikt z Zakonu nie garnął się, by iść ze mną na robotę. Nie przeszkadzało mi to, skoro i ja nie garnęłam się, by mieć kogokolwiek za swoimi plecami. Przeszkadzało to Matce i tym, którym z zasady przeszkadzało wszystko, co mogło wkurzyć Irenę. W górnych piętrach piramidy zawsze kręcili się marzyciele pragnący awansiku i dostania się na sam szczyt. Przez lata, spędzone przez Irenę na fotelu szefa, wielu z ochotników na jej stołek skończyło jako aniołek na czubku choinki – nadzianych na pal i robiących za przykład dla kolejnych potencjalnych kandydatów.

Nikt w Zakonie nie wiedział, że Irena jest moją matką. I gdybym kiedyś zwróciła się do niej per mamusiu, nie byłoby to drwienie ze stanowiska. Oczywiście nie byłam tak głupia, by spróbować. Nie zaszkodziłabym Matce, ale sobie na pewno. Irena chlubiła się tym, że nie ma słabych punktów.

Poza mną.

Do dziś wypomina mi, że dałam się porwać, torturować, okaleczyć, a tym samym pozwoliłam, by mój ojciec w dyskusji z nią miał ostatnie słowo. Nie żeby ją poruszyło to, co mi zrobił, czy skłoniło do szukania zemsty – bądźmy poważni: skoro nie zdołałam się ochronić przed moim starszym niż kurz, potężniejszym niż tornado i szalonym bardziej niż Kapelusznik ojcem, to znaczy, że ją zawiodłam i mam szczęście, że sama mnie nie dobiła, kiedy doczołgałam się do jej legowiska. Irena nienawidzi słabości. W jej oczach byłam słaba jak mysz po kąpieli we wrzątku. Gdyby któryś z jej obecnych przeciwników odwalił numer na miarę Ernsta Szalonego, porwał mnie, odkrawał po kawałku i wysyłał jej w małych paczuszkach, wytrąciłoby ją z równowagi nie to, co mnie spotkało, ale to, że znał jej adres domowy. Nawet moja wiedza o tym jest dla niej niczym drzazga pod paznokciem.

Irena miała swoich przeciwników. Takich, którzy dysponowali władzą wystarczającą, by nie zdołała ich zatopić, albo takich, z którymi może i zawarła rozejm, ale ponieważ polityka w Zakonie jest kwestią zmienną jak polska pogoda w marcu, to nie miała pewności, że to rozejm trwały. Nie wiedzieli o moim pokrewieństwie z Ireną, zwaną na korytarzach Zakonu Carycą, ale wiedzieli, że wokół mojego folderu z raportami coś śmierdzi. Za dużo dymu i plotek. Ponieważ Irena nic ze mną nie robiła, sprawa wydawała się jeszcze bardziej podejrzana. I dlatego właśnie coś zrobiła. Dostałam partnera.

Partnerstwo opiera się na zaufaniu. Nawet gdybym potrafiła zaufać komuś, kogo dopiero poznałam, nie potrafiłabym zaufać wybrankowi Matki. Był jej szpiegiem, jej pieszczoszkiem albo miał mnie sprzątnąć. Nie widziałam szans na inne, bardziej pokojowe rozwiązanie. I znów, żadna z tych opcji nie stanowiłaby nowości, miałyśmy to już za sobą. Zabijałam, okaleczałam albo odstręczałam każdego potencjalnego partnera, nim minął miesiąc próby. Ale tym razem przydział nie był na próbę. Puściłam wiązankę przekleństw. Albo dogadam się z moim nowym partnerem, albo „zostanę uznana za niestabilny element niepożądany”. Pięknie.

– Co jest, mała? – usłyszałam głos Aleksa.

Przyglądał mi się z ramionami zaplecionymi na piersi. Nozdrza mu drżały, jakby właśnie wywąchiwał kłopoty. Jego twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia. Była pobrużdżona i wyrazista, i zacięta. Krótka broda i włosy sięgające ramion, związane rzemykiem w krzywy kucyk,

kiedyś prawie czarne, dziś więcej niż przyprószone siwizną – taką, która pojawia się w ciągu jednej nocy. Zawdzięczał ją temu samemu typowi, który i mnie przyprawi któregoś dnia o siwiznę. Właśnie to nas połączyło. Nienawiść. Od tego czasu zbudowaliśmy relację o zdrowszych podstawach.

– Nic, z czym sobie nie poradzę, staruszku. – Uśmiechnęłam się, widząc, że skrzywił się, słysząc to słowo.

Aleks nie był stary. Poznałam go dokładnie dziewięć lat temu, jako krzepkiego czterdziestolatka, proszącego się o guza tak wytrwale, że go znalazł. Kawał chłopa, dobrze ponad metr osiemdziesiąt, napakowany testosteronem i mięśniami, spędzał większość czasu na rozróbach w barach motocyklowych, piciu i zabawie. Brał zlecenia na boku, gdy brakowało mu kasy, ale nie przywiązywał się do miejsca, ludzi czy źródeł dochodu. Dlatego dał się wynająć Dorze Wilk, kiedy szukała sojuszników do odbicia mnie z łap ojca. Zebrała więcej niż dwudziestu zakapiorów, za którymi nikt nie płakałby, gdyby nie wrócili z akcji zapowiadającej się na przegraną. Albo dysponowała darem przekonywania, albo co najmniej paru z nich pozwoliła zajrzeć sobie pod bluzkę, bo kasy z całą pewnością nie miała. Nie miała też planu. Po prostu wpadli jak ogary piekielne do skorupy starej fabryki, w której Ernst Szalony mnie przetrzymywał.

Nie sądziłam, że przyjdzie odsiecz. Byłam poobijana, przywiązana do krzesła, zakrwawiona. Ernst nie próżnował – moje małe palce u obu rąk, gładko odcięte sekatorem, zapakowane w dekoracyjne pudełeczka, w jakich zwykle się wręcza biżuterię, dotarły już do Ireny, ale ona nie zamierzała nic z tym robić. Podobno liczyła, że przy całym swoim szaleństwie Ernst zrozumie okropieństwo swojego postępku i zryje mu to banię. Jakby cokolwiek jeszcze pozostało do zrycia.

Nagle do pomieszczenia wtargnęło stado wrzeszczących samców i rzuciło się na Ernsta i jego ludzi. Mieli przewagę liczebną, ale nie jakościową. Ernst był koszmarem pól bitwy, a jego najemnicy warci wyśrubowanych honorariów, które im płacił, i gotowi umierać dla dziarskich dziewic i wina w Valhalli. Ale nawet oni nie poradzili sobie błyskawicznie z motocyklistami z bronią palną, maczetami i łańcuchami. Zajęło im to dziesięć, może piętnaście minut. W tym czasie Dora dopadła do mnie i odwiązała od krzesła. Nie wiem, jakim cudem udało nam się stamtąd wyjść w jednym kawałku – no, mnie prawie w jednym. Faceci byli zbyt zajęci okładaniem się i wywarkiwaniem do siebie gróźb karalnych

i obietnic złamania każdego seksualnego tabu w okolicy, by zauważyć dwie wymykające się dziewczyny.

Byłam w kiepskim stanie. Potem stało się coś jeszcze gorszego i na kilkanaście godzin zupełnie straciłam kontakt z rzeczywistością. A później zawlekłam swój poobijany tyłek do fabryki. Musiałam zobaczyć, jak się to skończyło. Jakaś część mnie naprawdę miała nadzieję, że dopadli Ernsta i jego nadgryzione przez robale ciało czeka na mnie gdzieś w fabrycznych halach. Znalazłam mnóstwo trupów ścielających gęsto podłogę i schody. Niestety żaden z nich nie był Ernstem.

Już wychodziłam, kiedy usłyszałam jęk. Podążając za tym dźwiękiem, dotarłam do okna, za którym dostrzegłam trzymające się na słowo honoru stalowe schody przeciwpożarowe. Metal jęczał, kiedy rosły naprężenia, a wiatr obijał o parapet wyrwanym ze ściany prętem mocującym. Konstrukcja schodów zmieniła się w kłębowisko ostrych krawędzi i skłębionych płaszczyzn. Właśnie stamtąd dochodziły odgłosy. Gdy przyjrzałam się dokładniej, zauważyłam strużki wciąż świeżej krwi i krople spadające na żwirowy podjazd. Zdążyły już zmienić się w sporą kałużę.

Zdołałam go wyciągnąć. Strzęp człowieka, którym kiedyś był. Nawet go nie znałam. Jak przez mgłę przypominałam sobie jego twarz – jednego z wielu, którzy stanęli między Ernstem a mną. Nie mogłam go tu zostawić, z pogruchotanymi nogami, z raną brzucha, ze spojrzeniem zmętniałym z powodu bólu i utraty krwi. Wtedy powiedziałam sobie, że był świadkiem i muszę się dowiedzieć, co się działo między nimi a moim ojcem, po tym jak uciekłam. Dziś musiałam być ze sobą bardziej uczciwa: wyciągnęłam go stamtąd i dopilnowałam, by Jemioła go uleczyła – w takim stopniu, w jakim mogła – ponieważ dokładnie tyle mogłam zrobić dla jedynego ocalałego spośród tych, którzy ocalili mnie. W niewoli u ojca przeżyłam piekło, ale miałam pewność, że była to dopiero przygrywka.

Aleks, bo tak się nazywało to wielkie, połamane chłopisko, nigdy nie będzie chodził. Ernst złamał go na pół o kolano, miażdżąc mu kręgi lędźwiowe, a potem wyrzucił go przez okno. Nie zauważył, że ciało odbiło się o stalową konstrukcję schodów przeciwpożarowych z tak dużą siłą, że wyrwało je ze ściany. To ocaliło Aleksowi życie. Ernst miał zwyczaj podpisywać zwłoki, jakie za sobą zostawiał, miażdżąc im tchawice obcasem.

Od tej pory trzymamy się z Aleksem blisko. Nie powiem, że był dla mnie jak ojciec, bo jedyny ojciec, jakiego znałam, był totalnie szalonym skurwielem. Był przyjacielem. I jako jedyny wiedział prawie wszystko. Nie przesadzaliśmy z nadmiarem słów, ale każde z nas wiedziało, że to drugie stoi za nim murem. Nie roztkliwiał się przesadnie nad tym, że został przykuty do wózka. To jeden z tych facetów o twardym rdzeniu i krystalicznie jasnym światopoglądzie, który potrafił stwierdzić, że gdyby nie połamał nóg, nigdy by na nich nie stanął. I naprawdę w to wierzył.

– Umieram z głodu – oświadczyłam, starając się choć na chwilę odpędzić posępne myśli.

Spojrzał na kilkanaście papierków po batonach energetycznych zaśmiecających klapę Chevy'ego dookoła moich ud.

– Lubię fantazję, w której te wszystkie spożyte kalorie wracają do ciebie jednej nocy i budzisz się jako mały, tłuściutki pączuszek – powiedział z szerokim uśmiechem.

– To się nie zdarzy, staruszku, spalam je wszystkie za dnia. – Wzruszyłam ramionami.

Przed porwaniem potrzebowałam dziennie tyle kalorii, ile powinna spożyć normalna ludzka dziewczyna prowadząca dość aktywny tryb życia – dwa, dwa i pół tysiąca. Po porwaniu okazało się, że już nie jestem normalną ludzką dziewczyną i że potrzebuję ich cztery razy tyle. Ten chory metabolizm był moim niewdzięcznym spadkiem po ojcu.

Wjechaliśmy windą na piętro. Aleks mieszkał nad warsztatem. Cały budynek dostosował do swoich potrzeb. Aż dziw, jaki sprawny mózg kryła ta poobijana w setkach barowych burd głowa. Nie żartowałam, kiedy powiedziałam mu, że chętnie sprawdziłabym jego magiczny skan. Byłam pewna, że mimo solidnego wzrostu nosił geny krasnoluda, goblina czy innego ze stworzeń, które mają władzę nad metalami. Odmówił wykonania skanu. Znał swoją matkę i jej pochodzenie, była w większej części człowiekiem i nie znała magii ziemi czy metali. Ojciec ograniczył się do zostawienia w jej wnętrzu próbki nasienia i odszedł w ciemną noc. Aleks nie chciał wiedzieć, czy zawdzięcza mu cokolwiek. Nie określał tego, co robi z metalem i maszynami, magią, lecz talentem.

Szybko podgrzałam wielką porcję pieczeni zostawioną w lodówce przez panią Mariannę, która raz w tygodniu przychodziła posprzątać, uzupełnić zapasy i ugotować zestaw posiłków na kilka dni. Była aniołem –

metaforycznie, bo genetycznie była wiedźmą ziemi. Dopiero gdy zjedliśmy wszystko, do ostatniego okrucha kaszy i marchewki, o pieczeni nie wspominając, przesunęłam po stole teczkę, którą dostałam od Matki. Wyciągnęłam z zamrażarki lody i pochłaniałam półlitrowy kubełek, czekając, aż Aleks wszystko przeczyta. Marszczył się i krzywił, pewnie w tych samych momentach co ja, kiedy zapoznawałam się z rewelacjami Ireny. Poza przydziałem i surowym listem rekomendacyjnym od Matki teczka zawierała życiorys Robina i dość pobieżny opis jego służby w Zakonie. Stanowiło to ze strony Matki niemal znak dobrej woli – mogła przecież wysłać za mną Robina bez ostrzeżenia.

– Można by to czytać szczeniakom do poduszki – oświadczył, dochodząc do ostatniej strony.

Skinęłam głową, bo potwierdził moje podejrzenia. Teczka była sprokurowana, tak idealna, że całkiem niewiarygodna. Było tam sporo luk i półsłówka, które śmierdziały na kilometr, jeśli znało się Zakon naprawdę dobrze.

– Myślisz, że jest automatem? – Zadał pytanie, które niepokoiło mnie najbardziej.

– Nie wiem. Przeszło mi to przez myśl.

Automaty były projektem Ireny – nie całkiem klonami, ale też nie do końca ludźmi. Pozostawały lojalne wyłącznie względem Matki. Nieustraszone nie dlatego, że odważne, ale dlatego, że nie ceniły swojego życia wystarczająco, by się bać śmierci. Znałam moją matkę i jej ego na tyle, by podejrzewać, że mogą być w jakimś stopniu ze mną spokrewnione. Irena wierzyła w swoje geny. To, że ja ją zawiodłam, nie znaczyło, że nie spróbuje raz jeszcze, ale nie było mowy, by zaszła w ciążę – to by ją osłabiło. Dlatego przypuszczałam, że automaty, jak jeden mąż ciemnowłose, wysokie, ciemnookie, powstały z jej jajeczek. Za sprawą połączenia medycyny, magii i technologii przyspieszała ich rozwój. Nie była dość cierpliwa, by czekać dwadzieścia lat, aż jej żołnierze dorosną. Wedle dokumentacji, której nigdy nie powinnam widzieć, wyprodukowanie dorosłego i w pełni sprawnego automatu zajmowało jej pięć lat. Rok z tego poświęcała na morderczy trening i programowanie – wtłaczała swoim „dzieciom” do głowy wszystko to, co jej zdaniem powinny wiedzieć.

Rozpoznanie ich nie było łatwe, nie na pierwszy rzut oka. Krwawili jak ludzie, umierali jak ludzie. Nie byli szczególnie rozmowni – ale kto

w Zakonie był? Ich lojalność trwała w stanie nienaruszonym, lecz przecież większość Cieni słuchała poleceń Carycy. Niektórzy twierdzili, że istnienie automatów to kolejny miejski mit, podobnie jak domniemywana słabość Ireny. Czytałam dokumenty, które przechowywała na bardzo dobrze zabezpieczonym i zdecydowanie prywatnym serwerze, więc wiedziałam, że automaty nie są legendą. I trochę świrowałam na myśl, że Robin mógł być jednym z nich. Bałam się ich. Psycholog pewnie dopatrzyłby się w tym typowej dla rodzeństwa zazdrości i skłonności do rywalizacji. W końcu automaty idealnie spełniały oczekiwania naszej Matki.

– Był… dziwny. Uśmiechał się. Nie wiem, czy jest pomylony, czy naprawdę groźny.

– Zamierzasz go zdjąć jak pozostałych?

– Nie wiem. Matka jest dość kategoryczna. Jeśli go zdejmę, będę musiała zwiewać przed nią i przed całym Zakonem. Może sam zrezygnuje. – Uśmiechnęłam się blado.

– Zabierz go na obiad. Jeśli zobaczy, jak jesz, może uznać, że nie jesteś człowiekiem, i jeśli kiedyś wylądujecie na całodobowej izolacji z dala od jadłodajni, zjesz go, gdy skończą ci się batoniki.

Rzuciłam w Aleksa łyżeczką, ale schwycił ją w locie. Muszę zainwestować w plastikowe – metalowe za bardzo próbują mu się przypodobać.

*

Przed budynkiem, który w dokumentach Zakonu figurował jako mój stały adres, stał obcy samochód. Zaparkował akurat w takim miejscu, bym nie zdołała zobaczyć kierowcy bez podchodzenia znacznie bliżej, niż bym chciała. Bywałam tu na tyle często, by w wypadku obserwacji czy przeszukania wydawało się, że faktycznie tu mieszkam. Trzymałam tu trochę moich rzeczy, ale unikałam nocowania w tym domu. Nie tylko dlatego, że ten adres miała Matka i każdy Cień, który potrafi się zalogować na stronę internetową Zakonu. To miejsce miało swój urok, w każdym tego słowa znaczeniu.

Jakieś trzydzieści lat temu cały budynek był fabryką rowerów. Na parterze wciąż stał park maszyn, obecnie pokrytych rdzą, kurzem i pajęczynami. Przez okna wychodzące na podwórze do wielkiej hali

wpełzał bluszcz, który rósł szybciej, niż powinno to być możliwe. Któregoś dnia zejdę po schodkach z mojego piętra mieszkalnego i zamiast hali wypełnionej złomem i grubymi rurami tworzącymi dziwaczny układ krwionośny starej maszynowni zastanę dżunglę. Nie będzie to pierwszy budynek pochłonięty w ten sposób – magia lubiła takie małe pokazówki, a w tym rewirze była szczególnie silna. Tuż pod fundamentami budynku przebiegała spora linia magiczna. Zwykle bezpośrednio nad liniami, gdzie magia jest najłatwiej dostępna, budowano świątynie czy domy tych, którym stały dostęp do źródeł magii był potrzebny niczym w realnym świecie niektórym silne i stałe łącze internetowe o doskonałej przepustowości. Ale czasami ktoś po prostu chciał produkować rowery, ignorując linię, która biegła pod jego fabryką. Technika nie przetrwała zbyt długo, magia została. Na liniach także czkawkę czuło się znacznie silniej. Tak określaliśmy skoki napięcia w liniach magicznych, na skutek których organizmy żywe ulegały często nieodwracalnym zmianom, ale mogły też stać się potężniejsze niż kiedykolwiek. Niemal wszędzie dało się bronić przed nimi za pomocą kręgów ochronnych wokół domu czy łóżka, jednak nie tutaj – na linii napięcie po prostu przepali okrąg.

Podanie tego adresu w papierach Zakonu było pokazówką, deklaracją siły. Na wyrost, bo bałam się czkawki, jak każdy rozsądny obywatel Warsa – może nawet bardziej, skoro już wiedziałam, co mnie może czekać. Albo moje zabezpieczenia nie wytrzymają, albo nie zauważę sygnałów i czkawka zastanie mnie w łóżku, śpiącą, i obudzę się kimś lub czymś innym, przerażającym i niekoniecznie myślącym. Nie będzie to pierwszy raz… Choć wtedy to nie czkawka wyciągnęła na powierzchnię to, co we mnie siedzi, a Ernst Szalony.

Nie musiałam tam wchodzić. Miałam inny dom. Mogłam zostawić mojego niezapowiedzianego gościa tutaj, niechby sobie doczekał czkawki. Zakładałam, że to Robin. A to oznaczało, że Matka dała mu dostęp do moich akt. Ciekawe, czy prawdziwych, czy równie absurdalnie sprokurowanych jak te, które dała mnie.

Nie wiedziałam, w co Matka grała. Dając mu mój adres, wystawiała mnie lub jego. Nie założyłabym się o to, czyja śmierć lepiej wpasowałaby się w jej plan. Zajrzałam w papiery Robina raz jeszcze. W rubryce „adres domowy” wpisano adres siedziby Zakonu.

Jeśli wysłała go za mną, po co mi się przedstawiał i informował o partnerstwie? Chyba że to psychopata, który chciał, bym wiedziała, że zabawa się rozpoczęła, a pościg za świadomą ofiarą dawał mu więcej satysfakcji. Nie wyglądał co prawda na psychopatę, ale może naprawdę dobrze się maskował.

Albo Matka chciała, bym go zabiła, ale nieoficjalnie, więc nie dała mi na niego zlecenia, tylko wysłała z lewymi papierami i partnerstwem w zębach, wiedząc, jak działają moje odruchy. Jeśli tak… Kim, u diaska, jest ten facet? I czemu ona chce, by był martwy? Musiałam to wiedzieć, zanim zdecyduję się na konfrontację.

Wycofałam się do zaułka między budynkami i odjechałam. Potrzebowałam kilku odpowiedzi. Tylko jedna osoba mogła mi ich udzielić.

Rozdział 3

Kwatera Karmy była lepiej strzeżona niż siedziba Zakonu. Miało to sporo wspólnego z tym, jak dużą paranoję miała jej właścicielka, a także z faktem, że musiała się ona ukrywać również przed Zakonem. Na froncie budynku wciąż wisiał wielki napis z neonowych rurek – „Kino Świat”, choć musiało minąć pół wieku, odkąd zabłysnął po raz ostatni. Z jakichś powodów niektóre samogłoski odpadły szybciej niż spółgłoski, więc obecnie pozostało „Kn Świt”.

Karma nazywała swój dom Zamkiem i nie było w tym wiele przesady, przynajmniej w kwestii tego, jak trudny był do zdobycia. Dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły na parterze nie miał co prawda nawet jednego okna, ale wydawało się to sensowne, skoro znajdowały się tam sale projekcyjne. Te na wyższych piętrach strzegły natomiast solidne, metalowe okiennice. Główne wejście, dwuskrzydłowe drzwi z półkolistym witrażem nad framugą, zablokowano stalową sztabą i kłódką większą niż moja pięść. Na tego, kto uznałby, że może sforsować te zabezpieczenia, czekało kilka niespodzianek. Karma nie żartowała w kwestii swojego bezpieczeństwa, nie miała skrupułów, miała za to reputację, która sprawiała, że intruzi trzymali się na dystans.

Obeszłam budynek. Na bocznych drzwiach, obitych karbowaną stalą, wciąż widniał napis „Wyjście ewakuacyjne”. Wpisałam kod na panelu bezpieczeństwa. Poczułam, jak ożywa kamera wbudowana w judasza. Zamek odskoczył z trzaskiem i zostałam wpuszczona do wąskiego na metr i długiego na półtora metra przedsionka. Drzwi za mną zatrzasnęły się z cichym syknięciem. Te przede mną nie otworzyły się, póki Karma nie zeskanowała mnie, nie upewniła się, że nie miałam niechcianego towarzystwa, nie podrzucono mi żadnego urządzenia namierzającego czy pasożytniczego, nie zostałam w czasie czkawki zmieniona w nic, co mogłoby jej zagrażać. Trwało to jakieś dwie minuty. Komora była ciasna, klaustrofobiczna i ciemna. Podobny system obowiązywał w niektórych bankach, ale Karma zadbała o to, by jej komora kojarzyła się raczej

z horrorami i skutecznie zniechęcała do częstych wizyt. Nigdy nie powiedziała mi, czy jeśli skanowanie nie pójdzie po mojej myśli, zdołam opuścić przedsionek i pójść dalej swoją drogą.

Drzwi otworzyły się z ponownym syknięciem, a ja odetchnęłam. Raz zdarzyło się, że Matka podrzuciła mi urządzenie namierzające. Pod wieloma względami byłyśmy podobne – w końcu mnie wychowała. I to budziło dość oczywisty konflikt. Ciekawość była nieodłącznym elementem jej natury, Matka chciała wiedzieć wszystko, a jednocześnie utrzymywać własne sekrety. Nieodłącznym elementem mojej natury stało się z kolei utrzymanie jak największej części mojego życia w tajemnicy przed wszystkimi, w tym przed nią. Ona podejmowała swoje próby, by się dowiedzieć, gdzie bywam i z kim utrzymuję relacje. Ja robiłam wszystko, by trzymać ją z dala. Na kilka lat zniknęłam i nie dawałam znaku życia. Potem, po porwaniu i po tym, co się ze mną stało, wróciłam i przeszłam testy kwalifikacyjne do Zakonu. Zaczęłam dla niej pracować. Nigdy nie powiedziałam jej, dlaczego to zrobiłam. Ona nigdy nie zapytała. Przyjęło się, że nie wracamy do tego, co zrobił mi Ernst i czego ona nie zrobiła, kiedy potrzebowałam pomocy. Ale nie byłam dość głupia, by wierzyć, że po prostu odpuściła i nie umierała z ciekawości.

Karma znalazła wówczas to urządzenie i wpuściła przez jego oprogramowanie wirus do systemu Zakonu. Matka nigdy o tym nie wspomniała, choć wiedziałam, że narobił sporo szkód. Nie wspomniała też, jak skończyła się jej próba rekrutowania Karmy. A ta nie kryła się przede mną z tym, co zrobiła – kiedy Matka nie przyjęła pierwszej odmowy i próbowała stosować techniki perswazji i nacisku, włamała się na konta Zakonu i wszystkie prywatne konta Ireny, w tym te głęboko ukryte, będące jej planem awaryjnym, gdyby z jakichś powodów musiała opuścić Zakon czy znów uciekać przed Ernstem Szalonym. Karma wyczyściła je wszystkie. Na dwadzieścia cztery godziny środki zniknęły. Na każdym zostawiła dokładnie sześć i sześćdziesiąt sześć setnych jednostek w walucie, w jakiej dane konto było prowadzone. Po upływie doby środki wróciły. Powiększone o jeden grosz odsetek. Matka próbowała jeszcze mieć ostatnie słowo w tej dyskusji i wysłała mnie do Karmy – już nie z ofertą pracy. Dogadałam się z nią za plecami Zakonu. Odwiedziłam też kilka Cieni i wolnych strzelców, którzy mogliby wziąć na nią zlecenie, gdyby

Zakon chciał zemsty. Tej nocy każdy z nich dowiedział się, że Karma zyskała moją ochronę. Taki zawarłyśmy układ. Pasował nam obu.

Elegancka posadzka holu, czarno-biała szachownica z marmurowych płyt, wciąż była perfekcyjnie utrzymana i lśniąca. Kamień dobrze znosił fale magii i czkawkę, czego nie można powiedzieć o innych materiałach. Sale kinowe były zniszczone, od lat nieużywane. Aksamitne obicia foteli zetlały, czerwień wyblakła do odcienia rudo-różowego. W niektórych miejscach przebijały je pordzewiałe sprężyny. Biało-złota farba na ścianach spuchła i odłaziła płatami niczym poparzona słońcem skóra. Gdy jednak uniosłam głowę, dostrzegłam dekoracyjne freski sprzed wieku, wciąż wyraźne, kolorowe i radosne. Rajskie ogrody, tańczące nimfy i satyr grający na fujarce stawiali opór powszechnej degradacji. Może miały w sobie więcej magii, niż zakładałam.

Budynków takich jak ten stało w Warsie nieskończenie wiele – zwłaszcza w tych gorszych dzielnicach, których nie stać było na solidniejszą ochronę przed magią. Stanowiły opuszczone, popadające w ruinę pamiątki po ludziach, którzy tu kiedyś mieszkali i prowadzili zwyczajne życie. Dziś nie było już dla nich miejsca. Po katastrofie, ponad sześćdziesiąt lat temu, całe kwartały stały się częściowo wymarłe, częściowo zmutowane, a ich lokatorzy raczej nie śpieszyli się z odnawianiem kin czy restauracji. Wars już nigdy nie miał być normalnym miejscem do życia i ci, którzy w nim zostali, godzili się z tym. Przeobraził się w schronienie specyficznego typu ludzi i nieludzi.

Ci starsi, żyjący tu, kiedy magia oszalała, nosili w sobie ślady – wielu z nich utraciło zdolności magiczne, jakby przepaliły im się bezpieczniki. Okazało się, że stracili umiejętność kumulowania w sobie magii. Opuszczanie Warsa było dla nich bolesne, w realnym świecie czuli się źle, większość przestała więc to robić. Inni uzależnili się od magii do tego stopnia, że świat realny stał się dla nich zabójczy. Ci też nie opuszczali Warsa. Drugie pokolenie miało nieco łatwiej. Urodzeni tutaj, już po szaleństwie magii, w łonach matek przywykli do dziwacznej sygnatury i skoków napięcia w magicznych liniach. Jak długo nie była to czkawka, czuli się całkiem normalnie. Trzecie pokolenie okazało się najbardziej nieprzewidywalne. Geny recesywne odzywały się nagle, po stuleciach, i wypływała magia, której nikt nie widział w rodzinie od wielu pokoleń. Jego przedstawiciele byli też na swój sposób zsynchronizowani z Warsem

i jego zmienionymi liniami. Mogli opuścić miasto, ale nie chcieli, bo nigdzie nie osiągali takiego potencjału jak tu. Można powiedzieć, że miejsce to dbało, by nie zabrakło mu mieszkańców. A przebywali tu jeszcze tacy jak ja czy Karma – przybysze, którzy osiedlili się tu z własnej woli i w jakimś sensie zrobili to w ramach pokuty za dawne grzechy, bo w tym mieście poza awanturą i śmiercią nic nie przychodziło łatwo.

Skręciłam w wąski korytarz, który prowadził do kabiny operatora. Za dźwiękoszczelnymi drzwiami wciąż stała konsola i szpulowe projektory wymierzone w większości zmurszałe już ekrany. Po otwarciu niewielkich drzwi opisanych wciąż wyraźnymi białymi literami „Uwaga! Prąd!” nie znajdowało się jednak bezpieczników, a nowoczesną windę. Pozwoliłam maszynie zeskanować mój kciuk. Wkrótce kabina windy stanęła przede mną otworem i wjechałam na wyższe piętro. To tu mieszkała i pracowała Karma. Geniusz w ciele małej gotki.

– Jesteś za wcześnie – burknęła, nie odwracając się od komputera.

Odłożyłam torbę i opadłam na wielką czarną kanapę. W mieszkaniu Karmy prawie wszystko było w dwóch kolorach, czarnym i czerwonym. Włącznie z nią samą. Była drobna, wedle przyjętych kanonów kobiecej urody niemal zbyt szczupła. Długie nogi, z wystającymi jak u małej dziewczynki kolanami, oblekała w rajstopy w czarno-czerwone paski. Koszulka z długim rękawem w analogiczny wzór wystawała spod skórzanego gorsetu. Czerwona spódniczka z postrzępionego tiulu w kolorze krwistej czerwieni sięgała połowy uda i kojarzyła mi się z gotycką wersją stroju małej baletnicy. Znałam Karmę od czterech lat i nigdy nie widziałam jej w innych kolorach. Nawet włosy pasowały. Dziś czerwieniły się grzywka i końcówki sięgających do ramion czarnych kosmyków. Karma miewała włosy krótkie, długie, gładkie i potargane. Nie zmieniało się tylko to, że zawsze były w tych dwóch kolorach. Miałam pewność, że stało za tym w tym coś więcej niż tylko sympatia do kontrastujących barw, ale Karma nigdy nic na ten temat nie wspominała. Jej pomalowane na czarno paznokcie stukały o klawiaturę z zawrotną prędkością. Raz czy dwa westchnęła sfrustrowana, ale nie przestawała wpisywać komend. Ekrany migotały błyskawicznie zmieniającymi się ciągami cyfr. Nie znam się na komputerach, nie wiem o nich więcej od przeciętnego użytkownika. Jeśli ich używam, nie widuję niebieskich ekranów wypełnionych ciągami numerycznymi i liniami kodów, a jeśli zdarza mi się je zobaczyć, to znaczy, że coś się zepsuło i muszę zadzwonić do Karmy. To jej żywioł.

Nie rozumiem do końca jej magii. Uczono mnie na szkoleniu, że magia i technologia się nie lubią i niechętnie ze sobą współpracują. Często tak było w istocie. Znałam stworzenia magiczne, które jeśli chciały prowadzić samochód, musiały wybierać stare modele, takie sprzed epoki pokładowych komputerów. Im mniej elektroniki, tym lepiej. Może na ten rynek zbytu liczył facet, który założył fabrykę rowerów.

Magia Karmy wiązała się z cyframi. Potrafiła zobaczyć w nich świat, ułożyć wzór, wprowadzić zmienną i tym samym zmienić rzeczywistość. Wybrała więc tę cyfrową, bo tam funkcjonowała niczym królowa kier, niepokonana. Umiała znaleźć w sieci wszystkie informacje, jakich potrzebowała, ludzi, pieniądze, miejsca. Właśnie dlatego tak mi zależało, by zgodziła się ze mną współpracować – nawet gdyby ceną za to była

konieczność sprania tyłka każdemu Cieniowi nasłanemu przez Matkę. Początkowo chodziło mi tylko o jedno zlecenie: chciałam znaleźć mojego ojca. A wcześniej sposób, w jaki mogę go zabić. Karma nie zdołała mi w tym pomóc. Wyglądało na to, że Ernst Szalony zniknął ze świata ludzi na chwilę po tym, jak Dora i jej najemnicy mnie odbili. Kiedyś wróci. I będziemy o tym wiedziały. Do tego czasu Karma zaoferowała mi współpracę. Pomagała mi przy zleceniach, a ja odpalałam jej uczciwy procent.

Nagle klasnęła w dłonie i zaśmiała się z satysfakcją w taki sposób, że nie mogło to oznaczać nic dobrego. Wpisała jeszcze kilka komend i obróciła się w moją stronę z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Robiła wszystko, by ukryć delikatne i wciąż bardzo dziewczęce rysy twarzy pod mocnym makijażem, za sprawą którego jej cera wydawała się jeszcze bardziej blada, a oczy jeszcze większe. Pokręciła głową, aż zagrzechotały liczne srebrne kółeczka w jej uszach.

– Przyjechałaś za wcześnie – przypomniała.

– Coś mnie trzyma z dala od domu. – Skrzywiłam się. – Sprawdzisz mi kogoś?

Uniosła brwi z niemym pytaniem: „Czy kiedyś zawiodłam?”.

Podałam jej teczkę Robina i przyglądałam się, jak przebiega oczami po tekście. Kilka razy prychnęła z niesmakiem.

– To jest jedna wielka ściema – powiedziała. – Nawet daty się nie zgadzają. Dwie z tych akcji były twoje, czy oni naprawdę nie wpadli na to, że się domyślisz, że ten koleś nie walczył w twoim własnym zespole?

– Nie wiem, o czym myślała Matka, dając mi ten spis idiotyzmów. Ale uparła się, że koleś ma być moim partnerem. Chcę wiedzieć dlaczego i kim, u diabła, jest ten facet. I czy wie, gdzie naprawdę mieszkam.

– To on cię trzyma z dala od mieszkania?

Skinęłam głową. Jeśli kręcił się po okolicy, nie zamierzałam go doprowadzać do mojego prawdziwego domu. Zamknęła teczkę z hukiem.

– Odkładamy dzisiejszą akcję? – zapytała.

– Nie, to już ostatnia prosta. Zwłoka za dużo będzie nas kosztować. Masz to, o co pytałam?

Podała mi wydruki z wyciągami bankowymi i bilingami faceta, który był naszym celem. Prosty do zauważenia wzór tylko upewnił mnie, że nie ma sensu odkładać finału, bo to robota na kilka godzin.

– Gdzie Ilia? – spytałam, chowając papiery do torby.

– Nie jestem jego stróżem – burknęła.

Uniosłam brew. To raczej Ilia pilnował Karmy. Nie wiem, czy nie wychodziła na zewnątrz, bo miała prawdziwą agorafobię, czy po prostu nie chciała. Mogła tego nie robić w dużej mierze dlatego, że miała Ilię. Wielki jak niedźwiedź i równie zgryźliwy facet był jej współlokatorem i specjalistą od aprowizacji. Nie potrafiłam dokładnie nazwać tego, co ich łączyło. Zależało mu na niej, to na pewno. Nawet kiedy była wredna i mało przyjazna, kręcił się tu każdego dnia.

– Daj mu znać, by uważał bardziej niż zwykle, dobrze? Wciąż nie wiem, czego się spodziewać po tym całym partnerze.

Ilia był najsłabszym ogniwem w systemie Karmy – a wiem o tym, bo osobiście starałam się znaleźć jej słaby punkt.

– Wróci – burknęła. – Zawsze wraca, nawet jeśli każę mu iść w cholerę.

– Kazałaś mu iść w cholerę? – zapytałam, powstrzymując uśmiech.

Karma miała poczucie humoru, tyle że akurat gdzieś się ulatniało, kiedy pojawiał się temat Ilii.

– Powiedział, że powinnam odpuścić w kwestii smoka. Bo są niebezpieczne. – Przesadnie zaakcentowała każdą sylabę ostatniego słowa i prychnęła.

Smok. Wymarzone zwierzątko Karmy. Szukała go cierpliwie od lat w sieci i w realu. Miałam nadzieję, że jednak nie znajdzie, bo Ilia miał rację. To były cholernie niebezpieczne stworzenia. Nie powiedziałam tego na głos.

– Ilia to dobry facet.

– Tacy giną najszybciej, nie uważasz? – Skrzywiła się i okręciła na fotelu, znów zwracając się twarzą do monitorów. – Idź już, mam robotę.

Posiadała wiele zalet i kilka cnót. Gościnność i uprzejmość nigdy do nich nie należały.

Wychodząc z windy, usłyszałam hałas. Podążyłam za nim wzdłuż holu do najmniejszej sali kinowej – studyjnej, wedle napisu na drzwiach. Pchnęłam je ostrożnie i nasłuchiwałam. Dopiero po chwili stanęłam w progu i zobaczyłam faceta, który z furią szarpał kłęby zakurzonej i sztywnej od brudu wykładziny. Albo solidnie mu czymś podpadła, albo wolał mierzyć się z nią niż z Karmą. Musi to trwać już dłuższą chwilę, pomyślałam, spostrzegłszy że trzy rzędy drewnianych foteli odkręcił

wcześniej od podłogi i odsunął pod ścianę. Szarpnął mocniej i oderwał boczne listwy, przytrzymujące wykładzinę na podłodze. Może i wyglądał jak typowy, wysoki, chudy dzieciak, ale miał krzepę większą, niż wskazywały na to rozmiary jego ciała. Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt i ważył nie więcej niż siedemdziesiąt pięć kilo, a jednak widziałam, jak bez wysiłku przenosi sprzęt ważący znacznie więcej niż on sam. Oparłam się o framugę i czekałam, aż mnie zauważy. Aktualnie był zajęty zwijaniem wykładziny w nierówny rulon. Wyprostował się i powiedział:

– Złap drugi koniec. – Popchnął butem rulon.

– Sam sobie dasz radę. Nie bądź taki skromny, widziałam, jak ją uniosłeś chwilę temu. – Wyszczerzyłam się w uśmiechu.

To był stały element naszej zabawy. Ilia nigdy nie zdradził mi, kim jest, to znaczy jaką magią dysponuje. Czułam, że jakąś na pewno, ale nie potrafiłam jej rozpoznać. Początkowo myślałam, że to zmienny. Był silny, jadł jak szalony, miał zdecydowanie terytorialne odruchy. Gdy spytałam, zaprzeczył, a Karma tylko prychnęła z lekceważeniem („Zmienny, też coś!”). Wedle papierów miał tylko dwadzieścia trzy lata. To mogła być prawda, wyglądał na tyle. Jednak w świecie magicznych wiele rzeczy nie jest takich, na jakie wygląda.

Ilia burknął gniewnie, ale zarzucił sobie wykładzinę na ramię i bez większego wysiłku wyniósł ją z pomieszczenia, mijając mnie w drzwiach. Wrzucił ją do drugiej, znacznie większej sali kinowej. O ścianę opierały się worki na śmieci wypełnione gruzem, listwami boazerii i fragmentami wyliniałej aksamitnej kurtyny.

– Potrzebujemy sali kinowej – powiedział, widząc moje spojrzenie przemykające po śmieciach.

– Karma nie schodzi na to piętro – przypomniałam.

– Może zejdzie, jeśli będzie miała prawdziwą salę kinową – oświadczył niezrażony.

– Może się nie oprzeć powtórce *Gwiezdnych wojen*, *Firefly* czy *Z Archiwum X* na wielkim ekranie – zgodziłam się, a Ilia nagrodził mnie promiennym uśmiechem.

– Dokładnie na to liczę – oświadczył, odgarniając znad czoła przydługie brązowe włosy.

Jego twarz nie była chłopięca, ale do bycia mężczyzną jeszcze trochę mu brakowało. Cały dziecięcy tłuszczyk dawno zniknął, uwydatniając

kanciaste rysy, zbyt ostre kości policzkowe, zbyt wydatny nos i zbyt duże usta – jak gdyby twarz Ilii potrzebowała czasu, by zyskać właściwie proporcje. Tylko jego ciemne, głęboko osadzone oczy stały się zbyt poważne, by mogły należeć do zwyczajnego dwudziestotrzylatka. A może doświadczył czegoś, co go zmieniło. Może po prostu nie był dwudziestotrzyletnim chłopcem, a czymś znacznie starszym.

Tylko w jedno nie wątpiłam w przypadku Ilii: naprawdę zależało mu na Karmie i pragnął jej dobra. Nie zrażał się, jeśli zamiast podziękowania otrzymywał awanturę. Ktokolwiek chciałby przyjść po Karmę, nawet gdyby zdołał pokonać wszystkie pułapki i elektroniczny system ochrony, musiałby jeszcze pokonać Ilię. I nie postawiłabym w tej walce na jego przeciwnika.

– Bądź czujny w najbliższym czasie – powiedziałam cicho.

– Masz kłopoty?

– Może, nie wiem. Karma to sprawdza.

– Jeśli będziesz miała pewność, nie przychodź tu, póki ich nie rozwiążesz.

Skinęłam głową. Mogliśmy się nawet lubić, jeść popcorn podczas oglądania powtórek kultowych produkcji s.f., ale Ilia miał swoje priorytety. Ja do nich nigdy nie będę należała. Do szczęścia musiało mi wystarczyć, że byłam priorytetem dla samej siebie.

Rozdział 4

To, że nie chciałam wracać do domu, nie znaczyło, że nie miałam się gdzie podziać. Zorganizowałam sobie nory i mety rozsiane po całym mieście, po obu stronach Wisły, po obu stronach bramy. Nory były dyskretne. Zwykle bez sąsiadów, którzy mogliby kojarzyć mnie z twarzy. Mety stanowiły coś więcej – wiązały się z budowaną na potrzeby miejsca tożsamością, papierami, ludźmi, którzy wierzyli w to, co im mówiłam.

„Jestem miłą dziewczyną, pracuję jako stewardesa dla izraelskich linii lotniczych, dlatego nie bywam tu zbyt często". „Jestem niezbyt miłą dziewczyną, ochroniarką, trenerką sztuk walki, to dlatego, gdy jestem w mieszkaniu, słyszy pan, kochany sąsiedzie, odgłosy okładanego worka treningowego. Owszem, to cudownie, że tak często przebywam poza domem, zajmując się tężyzną fizyczną moich klientów".

Różne historie, różne twarze, które rozpoznaliby bez wahania na policyjnym okazaniu. Żadnej z nich nie widziałam, wstając rano z łóżka. Były równie wypracowane jak historyjki, równie fałszywe jak dokumenty, które sobie załatwiałam, by bez problemu przejść kontrolę i podpisać umowy najmu. Zaliczka z góry za kilka miesięcy zwykle ucinała większość pytań.

Może już nie musiałam tego robić. Może mogłabym gdzieś osiąść, zapuścić korzenie. Ernst Szalony wciąż, wedle wywiadu Karmy, przebywał gdzieś poza zasięgiem. Z Cieniami mogłam sobie poradzić, z Matką w jakimś stopniu też. Ale nie potrafiłam inaczej. Może ja w ogóle nie mam korzeni, które mogłabym zapuścić. Nie znam nic innego. Tak spędziłam całe życie u boku matki. Wciąż przenosiłyśmy się z mieszkania do mieszkania, wciąż zmieniałyśmy tożsamość, dokumenty, wygląd, bezpieczne konta bankowe i porozrzucane po kraju skrytki z kopertami, w których kryły się całkiem nowe twarze, tożsamości, szanse. Miałam trzy lata, gdy matka nauczyła mnie pierwszego planu awaryjnego. Zawsze jakiś miałyśmy. Początkowo uwzględniały tylko jedno zagrożenie – Ernsta. „Pamiętaj, córeczko, nie znasz go, więc musisz mi zaufać, gdy ci powiem,

że to skurwiel bez honoru i miłosierdzia. Jeśli nas dopadnie, zabije. Nie możesz być moim słabym punktem, zapamiętaj”. Przez długie lata byłam przekonana, że skurwiel to synonim słowa ojciec.

Nowe miejsca, nowi znajomi, mocno przerywany stosunek ze szkołą, żadnych trwalszych więzi, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat i matka nie straciła nadziei, że moje hipermoce lada moment objawią się same z siebie. Wysłała mnie na szkolenie do Trójprzymierza w nadziei, że wykrzeszą ze mnie magię, która przecież musiała gdzieś być zakodowana w moim DNA, skoro miałam takich rodziców.

Lata w Trójprzymierzu były najwspanialszymi w moim życiu. Najbardziej stabilnymi, spędzonymi wśród ludzi, z którymi naprawdę mogłam się zaprzyjaźnić. Wiele się nauczyłam. Nie dość jednak, by zadowolić Matkę.

Nigdy mi nie wybaczyła, że ją zawiodłam, bo nie jestem kluczem do potęgi i dominacji nad światem czy choć do zaśmiania się w twarz Ernstowi. Tak, dostrzegałam ironię w tym, że przez większość życia marzyłam, że jakaś magia nagle się we mnie obudzi i moja matka będzie ze mnie dumna, a gdy w końcu ta magia się obudziła, nie wspomniałam jej o tym słowem, zbyt świadoma tego, co by ze mną zrobiła. Gdzieś między marzeniami małej dziewczynki a gehenną w kryjówce ojca zrozumiałam pewne sprawy. I złamałoby mi to serce, gdyby Matka nie tresowała mnie od dziecka tak, bym nie miała serca, miękkiego podbrzusza podatnego na ciosy. Moje życie z magią na pokładzie zmieniło się bardzo, ale zupełnie nie tak, jak miałam na to kiedyś nadzieję. Potrząsnęłam głową. Naprawdę nie powinnam o tym myśleć. Byłam głodna i zmęczona. Nie potrzebowałam depresyjnych rozważań, by jeszcze mocniej zachwiać moją kontrolę.

Zjechałam z ulicy na szeroki, brukowany podjazd otaczający coś, co dawniej było świątynią. Nie miałam pojęcia, jakich bogów tu czczono, bo wszystkie wizerunki zostały zniszczone, na długo zanim znalazłam to miejsce. Tylko kolorowe witraże ze skrzydlatymi sylwetkami aniołopodobnych stworzeń ze zwierzęcymi głowami na męskich torsach stanowiły jakąś wskazówkę. Wciąż wibrowały magią ochronną, która nie pozwoliła wandalom stłuc szyb nawet wtedy, gdy roztrzaskiwali ołtarze. W latach pięćdziesiątych było wiele agresji wymierzanej w stare kulty, starych bogów. I jako że nie osłonili oni swoich wyznawców przed tym, co

uczyniło świat miejscem nieprzyjaznym i brutalnym, wierni nie kwapili się, by okazywać im pokorę. Większość świątyń w granicznych dzielnicach – tych najbardziej zniszczonych na skutek uderzenia magii – została zrujnowana. Ludzie i magia równie nieprzyjaźnie odnieśli się do miejsc kultu. W tych, w których magia i wiara były dość silne, by nasączyć kamienie swoją esencją, dochodziło do sprzężeń, potężnych burz magicznych, niczym tornada zostawiających za sobą zgliszcza. Czasami kamienne mury wytrzymywały i zachowywała się skorupa, z zewnątrz wyglądająca jak solidny budynek, ale ogołocona w środku i grożąca zawaleniem.

Istniały też takie miejsca jak moja ulubiona nora – świątynia, która przetrwała nie dlatego, że wiara ludzi była potężna, ale ponieważ pozostało jej niewiele, więc burza nie napotkała wielkiego oporu. Większość szkód w budynku powstała za sprawą człowieka, a zatem kogoś, kim nie powinnam się przesadnie przejmować.

Masywna bryła z ciemnych otoczaków połączonych grubymi warstwami zaprawy przypominała stodołę, tyle że zamiast wrót dość wysokich, by wjechał naładowany sianem wóz, ścianę czołową zajmował ogromny witraż. Robił spore wrażenie – światło dogasającego dnia przenikało kolorowe szkło, ożywiało aniołopodnobne stworzenia i nasycało życiem coś na kształt pierwotnej Amazonii. Między liśćmi egzotycznych drzew rozkwitały różowe, czerwone i żółte orchidee, lilie, róże. To właśnie ten witraż mnie przekonał. Wiedziałam, że chcę ten budynek, niezależnie od tego, kogo będę musiała wykopać, przekupić, przekonać. Okazało się, że nikt sobie nie rościł do niego prawa, bo miejsce to było nawiedzone. Duchy mi nie przeszkadzały. Ja nie próbowałam z nimi walczyć, one zaakceptowały to, że tu pomieszkiwałam, więc żyło nam się całkiem dobrze.

Ledwie zatrzasnęły się za mną drzwi, a zza balustrady chóru wychynęły Luiza i Ula.

– Hasło! – krzyknęła Urszula, srogo marszcząc brwi.

Kiedy się wprowadziłam, nie była dość wyraźna, bym widziała jej brwi. Może bardziej korzystała z mojej obecności, niż chciała mi się przyznać.

– Fontanna Wiecznej Młodości – odpowiedziałam.

Za każdym razem, gdy wychodziłam, zmuszały mnie do zapamiętania hasła. Nie lekceważyłam tego od czasu, gdy zapomniałam, jak brzmiało,

i odmówiły mi dostępu do nory. Tak po prostu. Posiadały wystarczający poziom energii telekinetycznej, by ich groźby nie pozostały bez pokrycia. Dla mnie i tak były dość miłe. Raz, prowadzona na muszce przez kolesia, który chciał się wzbogacić na nagrodzie, która wówczas została wyznaczona za moją głowę, wykorzystałam gorliwość Luizy i Uli. Nieboraczek ze spluwą nie znał hasła. Nie przetrwał dziesięciu minut z wkurzonymi duchami nad głową. Jeśli się zastanowić, to właśnie wtedy obie nabrały wyrazu – mogły tupać i wyraźniej widziałam ich rysy twarzy. Z poltergeistów awansowały na coś silniejszego. Kolejna rzecz, o której nie rozmawiałam.

Nie sprzątałam tego miejsca. Połamane i nadpalone ławki wciąż zalegały w dwóch niezdarnych stosach, pokruszone szkło z rozbitych żyrandoli zgrzytało pod stopami, kurz i błoto oblepiały wszystko warstwą równomierną niczym fluid na twarzy. Zależało mi, by utrzymać pozory porzuconego, niebezpiecznego i niewartego ryzyka budynku. To nie między tymi rupieciami spędzałam czas, jeśli zatrzymywałam się tu na chwilę czy dwie. Pod balkonem chóru, ledwie widoczne na tle ciemnej boazerii, na której wciąż widniały dekoracyjne wzory namalowane złotą farbą, znajdowały się drzwi do podziemi. Nie miały klamki, trzeba było wiedzieć, którą listwę nacisnąć i gdzie podważyć nożem. Wąskie, kręte schody były śliskie, jak to wilgotny kamień, i ciemne – nikt nie pomyślał, by zamontować tu oświetlenie. Widziałam w ciemności wystarczająco dobrze, by nie zawracać sobie głowy remontem. Minęłam obszerne pomieszczenie pełniące funkcję katakumb, gdzie w wykutych aż pod sufit małych komorach w ścianie, przywodzących mi na myśl ciasne piętrowe prycze na łodzi podwodnej, wciąż leżały szkielety dawno zapomnianych mnichów, darczyńców i pobożnych obywateli. Za kratownicą dekorowaną różami i półksiężycami mieścił się wąski korytarzyk wiodący wprost do mojego apartamentu.

Cóż, przynajmniej rozmiar pozwalał nazwać go apartamentem, bo raczej nie standard. Ponad sto metrów kwadratowych komnaty o niskim stropie i murach ociekających wilgocią. Urządziłam się tu całkiem dobrze: miałam łóżko, kuchenkę gazową, skrzynie z ubraniami i bronią, zapasy pożywienia na kilka tygodni, sprzęt do ćwiczeń i spokój, bo ktokolwiek by po mnie przyszedł, musiałby wpierw ominąć Urszulę i Luizę.

Przygotowałam sobie termos zielonej herbaty i podgrzałam konserwę. Byłam wytrącona z równowagi i rozproszona wystarczająco, by nie poczuć nawet smaku wieprzowiny w pomidorach, co właściwie uznałam za dobrą rzecz. Wyciągnęłam wydruki od Karmy, by spokojnie zaplanować sobie dzisiejszą akcję, ale moje myśli wciąż uciekały do spotkania z Matką, do Robina i rozważań, do czego to wszystko prowadziło. Czułam to nieznośne napięcie, które zwykłam kojarzyć z intuicją. Coś wisiało w powietrzu.

Miałam dwie godziny do rozpoczęcia zadania. W sam raz, by się trochę spocić. Przebrałam się i sięgnęłam po ciężarki, próbując choć przez chwilę nie zastanawiać się, co tym razem knuje Matka. Gdzieś między pięćdziesiątym powtórzeniem ćwiczenia na tricepsy a pierwszą dziesiątką pompek doszłam do wniosku, że przez ostatnie dwa tygodnie była dla mnie podejrzanie miła. Nie przesadnie, bo to nie leżało w jej charakterze, ale dostałam dwa zlecenia, na których mi zależało, i nikt do mnie nie strzelał. Przy brzuszkach rozważałam, czy czegoś ode mnie chce, czy zamierza uśpić moją czujność. Wkurzona tym, że nie zdołałam wyłączyć głowy choć na czas ćwiczeń, położyłam się na macie, by pomedytować. Nie z potrzeby religijnej czy na skutek wakacji ze śliczną buddystką, niestety. Jakiś czas temu odkryłam, że medytacja pomaga mi utrzymać wszystko w ryzach. Adrenalina mogła uaktywnić moją magię, więc robiłam, co się dało, by obniżyć jej poziom. Nawet jeśli to oznaczało leżenie plackiem i wyobrażanie sobie rozkwitających kwiatów lotosu. Właściwie nie wiedziałam, jak wyglądają kwiaty lotosu, więc wyobrażałam sobie fale, latarnię morską w pobliżu Sopotu, zapach rozgrzanego piasku. W medytacji chodzi o zbudowanie w głowie szczęśliwego miejsca i spędzenie tam choć kilku chwil. Nie musiałam budować takiego miejsca. Istniało tylko jedno, w którym byłam szczęśliwa.

Właściwy dla mnie typ magii zwykle dziedziczą męscy potomkowie. Ma to wiele sensu, skoro przemiana napędzana jest testosteronem i adrenaliną. Znalazłam w kronikach zaledwie kilka przypadków kobiecych berserków. Wedle badaczy mogło być ich więcej, ale nigdy nie doszło u nich do przełomu, który zwykle jest skutkiem dużego skoku adrenaliny. To dość pocieszająca hipoteza, bo sugeruje, że większość tych kobiet miała życie wystarczająco spokojne i nieobfitujące w przemoc i agresję, by mogła nigdy nie odkryć swojej drugiej strony – brutalnej, bezmyślnej i wściekłej. Mój ojciec dopilnował, bym nie załapała się w ten schemat.

W kronikach wyczytałam też, że samice berserków są słabsze i ich przemiana nie jest spektakularna, więc na niewiele się zdają na polu bitwy. Berserki są wojownikami, ale silniejsza od ich pięści zawsze była reputacja. Pojawienie się ogarniętego szałem bojowym berserka zwiastowało morze krwi, wyrywanie kończyn i całkowity brak kontroli. Przeciwnicy często uciekali, nie podejmując ryzyka wejścia w drogę temu stworzeniu. Nie wiem, jak wygląda męska bestia. Jedynym berserkiem w szale, jakiego widziałam, byłam ja sama. Cholernie przerażający widok, mam nadzieję nie powtarzać tego doświadczenia.

Zmiana to kolejna rzecz, jaką mogę zapisać na konto ojca. Kiedyś go rozliczę z wszystkich tych cudowności, jakich dzięki niemu doświadczyłam. Nie tylko po nim dostałam te geny, ale porwanie uaktywniło przełom. Nie, nie od razu. To byłoby zbyt proste, gdybym zmieniła się tam, przykuta do krzesła, poniżana, bita czy okaleczana. Los nie był dość łaskawy, by dać mi wówczas szansę obrony – niewielką, skoro Ernst to stary wyga pól bitwy, ale jednak szansę.

Przełom nastąpił, kiedy byłam już wolna, jakby mój mózg postanowił mi udowodnić, że bezpieczna nie będę już nigdy. Wyczerpana, osłabiona utratą krwi, napojona leczniczym ekstraktem zasnęłam w sanktuarium, w białej pościeli, pod opieką Jemioły, która troszczyła się o mnie tak, jak nikt nigdy się o mnie nie troszczył. I wszystko do mnie wróciło w koszmarach. Stało się tak realne, tak prawdziwe, tak bolesne…

Ocknęłam się, kiedy moje ciało z rozrywającym bólem zmieniało się w bestię. W mojej głowie pojawiło się coś obcego, jednocześnie szalonego, rozwścieczonego i przerażonego. Dla mnie nie było już tam miejsca. Usłyszałam kroki na korytarzu, wyczułam, że bestia, jaką się stałam, napina mięśnie, gotowa do ataku. Resztką świadomości, jaka mi została, rzuciłam się do okna, do ucieczki. Bestia była wściekła. Nie uciekać, zabić, wykrwawić, rozszarpać – to jej przykazania. A ja trzęsłam się w środku z przerażenia, że jeśli nie zdołam jej, siebie, stąd zabrać, do pokoju może wejść Jemioła, Dora, ktoś, na kim mi zależało. Biegłam przez noc, wyjąc z wściekłości, aż zabrakło mi sił. Ocknęłam się nad ranem, naga, skulona, słaba jak kurczak. Skóra opinała mi kości. Tak odkryłam, że jako berserk zużywam szalone ilości kalorii i jeśli ich nie dostarczę wcześniej, organizm zacznie spalać wszystko, aż niewiele zostanie. Gdybym dalej biegła, mogłabym przekroczyć tę granicę powrotu. Z co najmniej kilku powodów.

Nikomu o tym nie powiedziałam. Nie chciałam litości od moich bliskich. Nie chciałam się stać maczugą Matki. Nie chciałam takiego życia. Nie miałam wyboru w wielu kwestiach, ale w tej wciąż mogłam postawić na swoim. Studiowałam temat wnikliwie. Na miesiące zaszyłam się w bibliotece i przekopywałam archiwa – przeczytałam wszystko, co wydrukowano na temat mojego gatunku, i drugie tyle tego, co napisano, ale nigdy nie ukazało się drukiem.

Któregoś dnia do mojego pulpitu podszedł Kosma. Położył na blacie sześć batonów wysokoenergetycznych dla sportowców i parujący kubek pachnący melisą.

– Nie powinnaś robić tak długich przerw między posiłkami. I nie denerwuj się tak bardzo tym, że nie ma w nich odpowiedzi na twoje pytanie. – Wskazał stos ksiąg zajmujących sąsiedni stolik, bo na moim nie wystarczyło już miejsca. – Wierz mi, gdyby była, wiedziałbym o tym i powiedziałbym ci jako pierwszej.

Przez chwilę po prostu na niego patrzyłam. Był bibliotekarzem od kilku stuleci. Przeczytał każdą cholerną książkę, jaka powstała. A jednak nie chciałam mu uwierzyć. Dopiero po chwili dotarło do mnie coś, co wyparłam w pierwszej sekundzie. On wiedział.

– To zostanie między nami. Na zawsze – powiedział, jakby mi czytał w myślach.

I uwierzyłam mu. Nie tak mnie wychowała Irena, ale uwierzyłam mu, bo czasem po prostu trzeba komuś uwierzyć, a Kosma to w pewnym sensie rodzina, choć – by oddać mu sprawiedliwość – nie pasował do reszty znanych mi jej członków. Porządny facet. Totalny dziwak, ale dla mnie miły. Aż tak odbiegał od średniej spokrewnionych ze mną osób.

To mój przyrodni brat, co jest dość osobliwe, skoro on miał wówczas prawie pięćset lat, a ja ledwie dobiłam trzydziestki. Cóż, Ernst jest naprawdę długowiecznym skurwielem. Kosma właściwie go nie znał. Jego matka znudziła się naszemu ojcu po kilku latach związku i po prostu ją oddalił. Zamiast alimentów podarował jej kaleką wersję nieśmiertelności, by mogła się opiekować dzieciakiem, jak długo będzie trzeba. Kosma go nie interesował, bo nie spełnił wyśrubowanych kryteriów, jakie Ernst miał dla swojego potomstwa.

Nie znaliśmy się do czasu, aż trafiłam na szkolenie w Trójprzymierzu. Pierwszym przystankiem w szkole jest skan – rodzaj rytuału, który pozwala

odkryć pochodzenie jednostki, rodzaj jej magii, drzewo genealogiczne, nawet najdalsze jego odnogi. To ważne, skoro magię dziedziczy się za sprawą genów recesywnych i może się odezwać po piętnastu pokoleniach. Wszystkie wyniki trafiają do archiwum Trójprzymierza, którym zawiadował Kosma. Rozpoznał sygnatury magii, nawet jeśli pozostawała nieaktywna. Był pewien, że jesteśmy rodzeństwem. Przysłał mi liścik, prosząc o spotkanie. Miał szczęście, że ciekawość wygrała z treningiem Ireny. Nie zaprzyjaźniliśmy się od razu. Ale zbudowaliśmy coś razem na fundamentach z batonów energetycznych i przysiędze, że nigdy mnie nie zdradzi. W jego oczach widziałam szczere współczucie i o dziwo mnie to nie wkurzało. Może dlatego, że też miał te geny. Nie przeszedł przełomu. Bał się tego bardziej niż czegokolwiek. Żył z tym strachem od stuleci. Ja nie wiedziałam, że mam się czego bać, zanim mnie to nie kopnęło. Z czasem nauczyłam się mu ufać, poddawać się jego trosce, szukać oparcia w jego doświadczeniu. Nie tak mnie wychowano, ale dla Kosmy robiłam wyjątek.

Opowiedział mi wszystko, co wiedział, o berserkach, Ernście, popieprzonej magii, która płynęła także w jego żyłach i która w każdej chwili mogła się aktywować. Dlatego żył, jak żył: spokojnie, cicho, żadnych wzruszeń, romansów, agresji. Doskonała izolacja w podziemiach biblioteki. Niczym mnich z zakonu kontemplacyjnego oddalał od siebie wszystko, co mogłoby go popchnąć w stronę przełomu. To właśnie jemu zawdzięczam to, że w takim stopniu, w jakim to możliwe, nauczyłam się nad sobą panować, tak bym nie stała się tym, czym zdecydowanie nie chcę się stać. Jego zdaniem powinnam znaleźć sobie miłą i spokojną pracę, na przykład w bibliotece, ale rozumiał, że nie mogłam tego zrobić – jako bibliotekarka nie zdołałabym dopaść Ernsta. Wymyślił więc wszczep, który niweluje przesadne wyrzuty adrenaliny i przez to daje sporo lepsze wyniki niż medytacja i trzymanie kciuków, by w chwili zagrożenia nie doszło do przemiany. On też podpowiedział mi, że moja płeć może być moją przewagą – bo skoro przemiana kobiet berserków jest wolniejsza, mogę ją spowalniać jeszcze bardziej, aż uzyskam nad nią kontrolę. Od tego czasu nie zmieniłam się w berserka, choć wykorzystywałam tę magię po swojemu. Mogę się przeobrażać w bezrozumną bestię, okej, ale kto powiedział, że tylko w nią? Skoro moje rysy twarzy i rozmiar mojego ciała są w stanie przechodzić w ekstremum w chwilach przemiany, może mogę

mieć na nie wpływ wtedy, kiedy potrzebuję kamuflażu? Nie opanowałam nigdy magii iluzji, która jest niekompatybilna z moimi genami, ale nauczyłam się tych drobnych sztuczek, które przydawały mi się w pracy. Tak jak tego dnia.

Jestem brunetką, mam lekko śniadą karnację i migdałowe oczy, które przy odpowiednim makijażu wyglądają na skośne. Odziedziczyłam je po Irenie, jej wschodnie korzenie uwzględniały nie tylko matkę Litwinkę, ale też ojca, którego krewni hodowali konie na mongolskich stepach. Irena z pogardą mówiła o nim Kałmuk i go nie szanowała, tak jak nie szanuje nikogo, kto jest słabszy od niej i nie dysponuje magią. Jej zdaniem matka, wybierając takiego partnera, ograbiła ją z szansy na magię, skoro jej własną dziedziczyło co drugie pokolenie w linii żeńskiej. Osobiście uważam, że babcia, której nigdy nie poznałam, była mądrą kobietą, musiała zobaczyć w przepowiedniach, jak źle potoczyłyby się sprawy, gdyby Irena, z jej osobowością, stała się potężnym magicznym stworzeniem. Nie daje się zapałek piromanowi, a moja matka o niczym nie marzyła tak bardzo jak o tym, by podpalić świat i patrzyć, jak płonie.

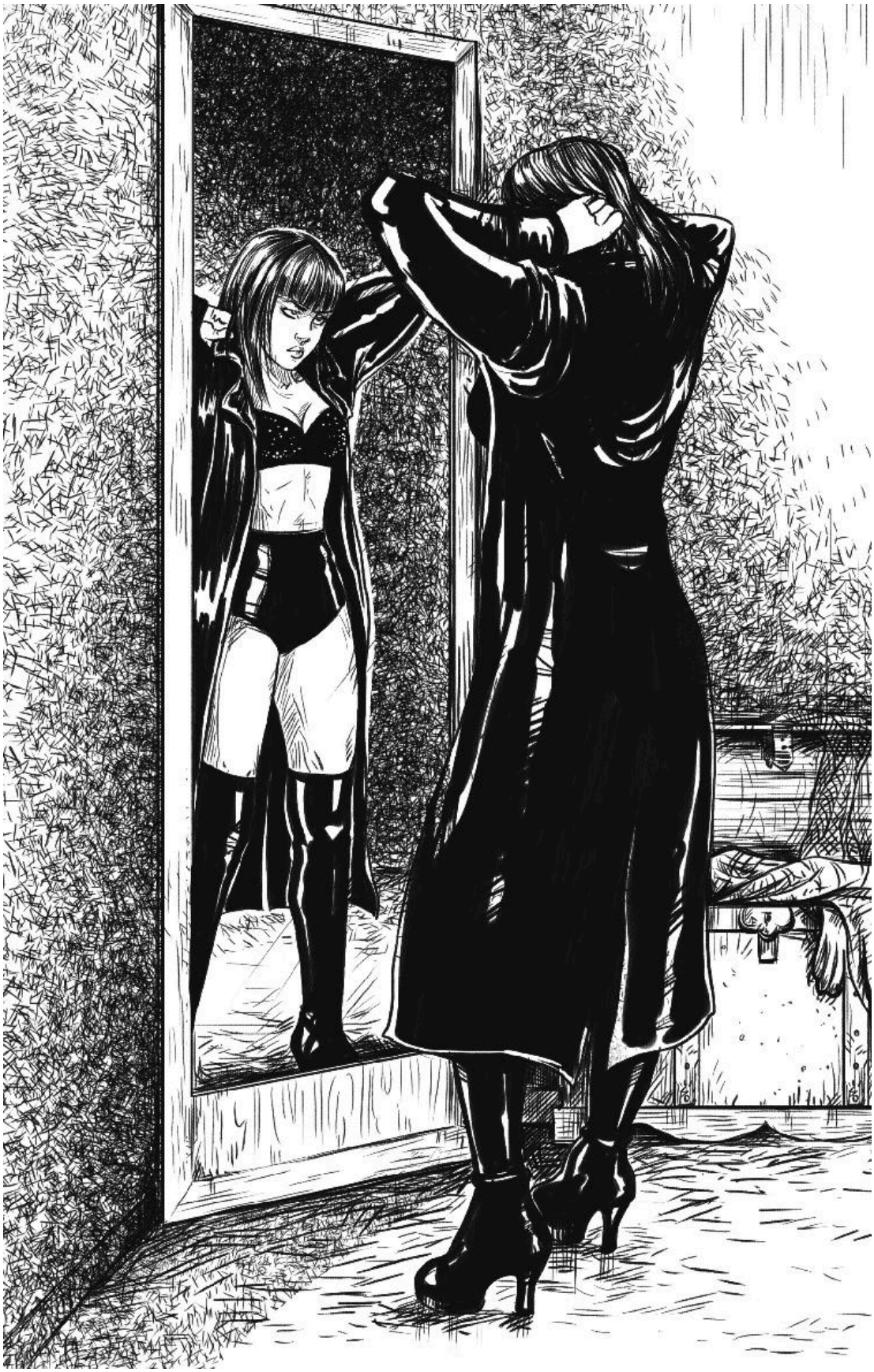

Stojąc przed wysokim na dwa metry lustrem, szykowałam się do dzisiejszej akcji. W kufrze, obok zwyczajnych ciuchów na zmianę, miałam kilka na różne okazje, takie jak ta. W opiętym i połyskującym czarnymi cekinami staniku i lateksowych szortach wyglądałam nieźle, ale to wciąż nie był wizerunek, którego potrzebowałam. Przywołałam magię berserka i skoncentrowałam się na komórkach mojego ciała. Normalnie mam niecałe metr siedemdziesiąt i dość atletyczną sylwetkę, na którą ciężko pracuję na siłowni. Wyrobiłam sobie uda kurierów rowerowych i ramiona siatkarki – niezbyt atrakcyjne, zważywszy na moje dzisiejsze zadanie. Drżenie pod skórą było nieprzyjemne i trochę bolało, ale już przywykłam. Obserwowałam, jak wypełniający stanik biust staje się większy o dobre dwa rozmiary, nogi sporo dłuższe, a ciało smuklejsze. Dzięki takiej prezencji miałam większe szanse na obfite napiwki w barze bikini. Złagodziłam nieco rysy twarzy i makijażem podkreśliłam oczy – w końcu mój cel lubił Azjatki. Założyłam idiotyczne dziwkarskie kozaki, w których bieganie było wyczynem, ale które pasowały do reszty i do zadania. Narzuciłam na ramiona długi czarny płaszcz, żeby oszczędzić sobie trochę wstydu, nawet jeśli nikt mnie nie rozpozna. Wepchnęłam do torby porcję batonów proteinowych, bo utrzymanie nowej formy kosztowało mnie sporo energii. Byłam gotowa.

To jedna z rzeczy, których musisz się nauczyć w tym fachu: wchodzenie w rolę, stawanie się spełnieniem fantazji różnych ludzi. Udawanie miłej dziewczyny, twardej sztuki, gorącej dziwki, przyszłej matki ich dzieci, kogoś, kim trzeba się zaopiekować, lub kogoś, kto oderwie ci głowę, jeśli spróbujesz to zrobić. Cała sztuka to nie pomylić fantazji z rzeczywistością i nie zgubić siebie… czy własnego wyobrażenia o sobie. Czasami trudno to rozróżnić.

*

Wejście dla pracowników obstawiał jeden facet, wyraźnie nastawiony na ochronę wychodzących z lokalu dziewcząt przed namolnymi klientami niż na cokolwiek innego. Płaszcz zostawiłam w sakwie przy motocyklu, więc w szortach i błyszczącym staniku wyglądałam dla niego jak jedna z tancerek. Skinął mi nawet głową na powitanie.

Same tancerki były już nieco bardziej podejrzliwe, gdy przemknęłam wąskim korytarzem do ich garderoby. W niewielkim, dusznym pomieszczeniu przesyconym aromatem wietrzejących perfum i potu siedziały cztery dziewczyny dość konsekwentnie reprezentujące typ urody, z którego słynęła Czerwona Latarnia – młode Azjatki, urodziwe i zgrabne. To lokal dla bogatszej klienteli o wysmakowanych gustach, nie dla byle lumpa zamawiającego piwo za dyszkę – nawet jeśli pewne rzeczy wyglądały dokładnie tak samo jak w knajpie, w której ów lump byłby mile widziany. Miejscowe źle patrzyły na konkurencję, bo nowinki kosztowały je część wpływów z napiwków i specjalnych numerów. A faceci tak już mają, że zawsze chętniej gonią nowego króliczka.

Mogłam złożyć podanie o pracę, zatańczyć przed starą wiedźmą, która rządziła tą budą, dostać robotę, bo na nowe dziewczyny zawsze jest popyt – w tym zawodzie uroda przemija nieco szybciej, zwłaszcza że sporo kobiet znieczula się różnymi używkami. Wymagałoby to więcej cierpliwości, bo przesłuchania odbywały się w pierwszy piątek miesiąca. Tak, ja też dostrzegałam ironię. Musiałabym oczywiście sprokurować sobie solidne referencje, a Karma odbierać telefony, gdyby dzwonili, żeby mnie sprawdzić. A pewnie by sprawdzali, bo to nie pierwsza lepsza rudera.

Wchodzący tu klienci mieli szereg możliwości, za które płacili znacznie więcej niż w zwykłych barach ze striptizem. Z przodu ulokowano bar bikini – taniec w bieliźnie, raczej zmysłowy niż ostry. Wystarczająco dużo klasy, by przy stolikach mogli zasiadać ważni panowie i przy przepłaconym koniaku prowadzić korporacyjne obwąchiwanie tyłków, zerkając raz po raz na ładne, wijące się przy rurze ciało. Dziewczyny się tu nie rozbierały. Za to, by to zrobiły i zatańczyły już bez krępującej odzieży, można było zapłacić w VIP-roomie, w drugiej części lokalu. A jeśli w grę wchodziły większe apetyty, Madame miała jeszcze jeden przybytek. W teorii osobny, ale w praktyce wszyscy wiedzieli, że między Czerwoną Latarnią a Feniksem jest podziemne przejście i wystarczy zapłacić, by przenieść się z imprezą do łóżka. Gdybym dostała tę robotę, nie bardzo miałabym wpływ na swój grafik i przydział. Szanse na to, że znalazłabym się w odpowiednim miejscu i czasie nie były duże. Gdybym rozpracowywała kogoś dogłębnie, mogłabym to rozważyć. Ale to, jak miałam nadzieję, była szybka akcja. Nawet nie całonocna.

W moim zawodzie trzeba działać szybko – czasami okazywało się, że miałam zaledwie trzydzieści sekund, by kogoś do siebie przekonać, a bywało, że musiało wystarczyć dziesięć. Żyję dobrze z dziwkami, alfonsami, kelnerkami, pokojówkami, by mieć świeże informacje, z wykidajłami, ochroniarzami czy odźwiernymi, by mieć dostęp do rozmaitych miejsc. Pieniądze otwierają wiele drzwi, ale, o czym wielu zapomina, tylko wówczas, jeśli wiesz, jak je wręczyć, by obdarowany czuł się z tym dobrze. Jeśli poczuje się upokorzony czy wykorzystany – weźmie kasę, bo tej w wielu zawodach się nie odrzuca, ale zapomnij o tym, że za tydzień zadzwoni, bo ma cynk, bo ktoś o ciebie pytał zbyt natarczywie, bo pięciu kolesi z bronią maszynową czeka na ciebie w zaułku, gdzie zaparkowałaś. Masz trzydzieści sekund na zbudowanie relacji, od której może zależeć twoje życie. Jeśli zrobisz to dobrze, masz swój kontakt. Jeśli spierdolisz, nie masz nic. Tak właśnie to działa.

Wyciągnęłam zza stanika kilka pięćdziesiątek. W porównaniu ze spodziewaną prowizją były to grosze.

– Mój pan ma taką małą fantazję, którą bardzo chciałabym dla niego spełnić – zagaiłam, przeliczając banknoty i nie szukając kontaktu wzrokowego z żadną z dziewczyn.

Zgodnie z przewidywaniami ta o najsilniejszej pozycji ujawniła się sama, wstając od swojego lustra i z wyraźnym zblazowaniem robiąc krok w moim kierunku.

– A jakaż to fantazja? – zapytała.

– Chciałby, żebym tu dla niego zatańczyła… Jakbyśmy się nigdy wcześniej nie widzieli. Jakbym się napaliła na niego, gdy tylko zobaczyłam go na widowni. Coś w ten deseń – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Wozi drewno do lasu, i to nie najlepszej jakości – mruknęła tancerka, a gdy splotła ramiona pod biustem, jej piersi niczym dwa swawolne kocięta wychyliły się mocniej zza krawędzi koronkowego gorsetu.

– Też mu to powiedziałam, ale cóż… potrzebuje dodatkowej motywacji, by sprostać wyzwaniu, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Wiedziały. Kilka zaśmiało się rubasznie, jedna zacisnęła usta z wyraźną frustracją.

– Ile?

– Po stówce na głowę i wszystkie napiwki dla was? – Mogłam im dać więcej, ale to byłoby podejrzane.

– Styknie. Wchodzisz za Sai, lepiej, żebyś znała Beyoncé, DJ już ma ustawioną kolejkę na konsoli. Połamania nóg – dodała. Zabrzmiało, jakby dokładnie to miała na myśli.

Korytarz z garderoby na scenę był całkiem ciemny i zawalony rupieciami, więc to mogła być przepowiednia. Prawie zaplątałam się w ciężką, zakurzoną kotarę i ostrożnie wymacałam stopą dwa nierówne schodki na scenę. Ozdobiony dwoma rzędami czerwonych żaróweczek podest sięgający w głąb sali przypominał pas startowy. Po obu jego stronach widziałam klientów. Nie siedzieli, jak w tanich klubach, bezpośrednio przy krawędzi sceny, używając jej jak stolika pod swoje butelkowane piwo, ale w dość luksusowo wyglądających boksach, zapewniających im prywatność, jeśli nie chcieli być obserwowani lub jeśli chcieli na miejscu skonsumować coś więcej niż przesadnie drogi koniak. W Czerwonej Latarni tancerki nie oferowały klientom nic poza tańcem i wzrokową podnietą. Ale to zastrzeżenie nie dotyczyło hostess. Kelnerki w eleganckich sukienkach omijały wzrokiem boksy, w których klienci nie byli gotowi złożyć zamówienia, bo akurat dochodzili w usta skąpo ubranych dziewcząt.

Zabrzmiała muzyka. Kawałek o samotnej dziewczynie, która sugeruje facetowi, by włożył jej na palec pierścionek. W tym miejscu brzmiał jeszcze bardziej absurdalnie niż w innych. Jeśli któryś zakładał tu pierścionek, to na fiuta, by za szybko nie opadł.

Na scenie były trzy rury – pierwsza najdalej od publiki, trzecia na samym końcu pomostu, druga dokładnie między nimi. Zaczęłam tańczyć. Nie byłam zawodowcem, ale miałam wyczucie rytmu i kilka razy zdarzyło mi się, jak wtedy, działać w przebraniu tancerki. To zwykle najprostszy sposób dotarcia do bogatych i wpływowych hedonistów. Można też próbować dostać się na ich prywatny teren pod przykrywką eskorty, ale zawsze bezpieczniej jest na ziemi niczyjej.

Potrząsając podrasowanymi magią cyckami i tyłkiem, przesuwałam się wzdłuż sceny, szukając wzrokiem faceta, który bywał tu w każdą środę. O dwudziestej pierwszej rozpoczynał wieczór burbonem, a potem w równych odstępach dwudziestu minut domawiał jeszcze trzy lub cztery kolejki. Następnie doliczał nieprzyzwoicie wysoki napiwek i zamykał rachunek. Przynajmniej tak wyglądały jego wyciągi z konta. Czy po

upływie godziny wychodził z lokalu, zabawiał się w swoim boksie, czy po prostu przestawał pić, nie wiedziałam.

Siłą ukrytych pod kamuflażem mięśni wspięłam się po rurze, oplotłam ją nogami i zawisłam głową w dół. Niech się schowają aerobiki i zumby – wierzcie mi, nikt nie ma takiego treningu jak tancerki na rurze. Nie musiałam zrzucać ciuchów – to nie był ten typ występu. Miałam tylko być sugestywna. I byłam, zwłaszcza kiedy niemal idealnie naprzeciwko trzeciej rury zauważyłam swój cel. Siedział przy zwykłym stole, bez sięgającego podłogi obrusu, więc może nie gustował w seksualnym fast foodzie.

Facet ze zdjęć miał pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat. Szpakowate skronie, wyraźnie azjatyckie korzenie. Tyle że na żywo nie wyglądał jak nadęty prezes międzynarodowej firmy importującej z Tajlandii, Tajwanu czy Chin luksusowe dobra, w tym takie, które powinny zostać w świątyniach, ale jak wymięty tatusiek. Nosił koszulkę polo i jasne spodnie cargo. Roztańczyłam się na dobre, by zwrócił na mnie uwagę. Jeśli właściwie oceniłam historię operacji na jego koncie, lubił przyglądać się dziewczynom z bliska w bardziej prywatnych okolicznościach przyrody. Nikt nie daje kelnerce pięciu stówek napiwku do czterech stów rachunku. Gdyby chodziło o usługi hostess, nie płaciłby kartą, bo dziewczyny preferowały operacje gotówkowe. Włożyłam w taniec każdą uncję elastyczności, jaką zawdzięczałam regularnym treningom jogi, potrząsałam wszystkim, czego natura mi poskąpiła, a co magia nadrobiła, ale gdy piosenka dobiegała końca, wciąż nie miałam pewności, czy mi się udało. Jego twarz nie wyrażała niczego – równie dobrze mógł obserwować prezentację garnków Zeptera. Gdyby siedział przy jednym ze stolików z obrusem, nie byłabym pewna, czy nie obrabia go jakaś panna. Muzyka ucichła i musiałam zejść ze sceny. Zmieniły się światła i rozbrzmiały pierwsze takty musicalowego kawałka, w którym dziewczyna zadaje po francusku jedyne pytanie, na które „qui, qui” odpowiadają nawet nieznający tego języka. Tancerka, w intensywnie różowym kostiumie z pierzastą baskinką przy biodrach, podeszła do pierwszej rury, podskoczyła, okręciła się wokół niej, trzymając ją jedną dłonią. Wygięła się tak mocno, że jej włosy zamiotły podłogę. Gdy ją mijałam, mrugnęła do mnie. Widocznie uznała, że nie jestem tak całkiem do bani.

Byłam już za kurtyną, na chybotliwych schodkach, kiedy z cienia wyłonił się wykidajło i oświadczył, że zamówiono prywatny taniec. Nie

wiedziałam, czy zrobił to Han, czy którykolwiek z gości, ale nie mogłam się dopytywać, bo wzbudziłabym podejrzenia.

Przeszliśmy przez drzwi ukryte za kotarą do bardziej prywatnej części Czerwonej Latarni. Tej, z której słynęła i od której wzięła nazwę. Wzdłuż korytarza biegł rząd ośmiu drzwi. Przy każdych wisiała latarenka z abażurem z bibuły w kolorze porto, ze złotymi frędzlami przy dolnej krawędzi. Zapalona żarówka oznaczała, że pokój jest zajęty. Osiem czerwonych latarni rozjarzało dyskretnie ciemnawy korytarzyk. Wykidajło podprowadził mnie do drzwi oznaczonych trójką, uchylił je i poczekał przed progiem, by je za mną zamknąć. W środku było ciemnawo, za całe światło robiła kolejna czerwona latarnia wisząca tuż przy drzwiach. Wciąż nie wiedziałam, czy za moją obecność tu płacił Han, czy ktoś zupełnie inny.

– Jesteś nieśmiały? Nie chcesz, bym widziała, czy ci się podobam? – zapytałam moim najbardziej zmysłowym szeptem.

Mam wśród znajomych kilka profesjonalistek i uznały za zabawne nauczyć mnie kilku sztuczek. Ten ton i palce błądzące po krawędzi stanika zwykle powodowały odpływ krwi z mózgu. Usłyszałam kliknięcie pilota i po chwili kinkiety na ścianach rozbłysły światłem. Bingo.

– Masz jakieś specjalne życzenia? – spytałam. – Czy chcesz, bym się o ciebie troszkę poocierała? – Westchnęłam głęboko.

Potrzebowałam zbliżyć się do niego wystarczająco, by mu podać kołysankę i wszczepić nadajnik.

– Chodź tu – powiedział i znów sięgnął po pilota. Z głośników popłynęła dziwaczna, ludowa pieśń chińska czy japońska z piskliwym wokalem. – Tańcz – dodał.

Cóż, melodyjne to było jak odgłos dojenia krów, ale nie mogłam pozwolić, by kwestie estetyczne stanęły mi na drodze do wykonania zadania. Spełniłam więc jego życzenie.

– Bliżej – rozkazał, gdy byłam już na wyciągnięcie rąk.

– Tu możemy tylko tańczyć, ale nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy się przenieśli w jeszcze milsze miejsce – powiedziałam cicho.

– Tyle mi od ciebie wystarczy – oświadczył z lekką pogardą. Miły człowiek, naprawdę.

Przesunęłam się o pół kroku, a on nagle schwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął, by posadzić mnie sobie na kolanach. W ułamku sekundy wykorzystałam to przeciwko niemu. W jakimś filmie zobaczyłam gadżet, który natychmiast zapragnęłam zdobyć: pierścień z wysuwanym ostrzem. Był idealny na takie sytuacje jak ta – gdy musiałam mieć na sobie za mało ciuchów, by dało się gdzieś ukryć strzykawkę. Oplotłam mu szyję ramieniem i cicho jęknęłam, tak by nie usłyszał dźwięku wysuwanej igły. Nie zdążył na dobre poczuć ukłucia – neurotoksyna działała błyskawicznie i bez większych skutków ubocznych. Ocknie się za pół godziny z lekkim bólem głowy i bez wspomnień dotyczących tych kilku sekund mojego tańca do dźwięków molestowanych kóz. Jego głowa osunęła się ciężko do tyłu. Wstałam mu z kolan i zza stanika wydobyłam pudełeczko z nadajnikiem. Rozpięłam guzik koszulki polo, by odwinąć nieco kołnierzyk i odsłonić kark. Przyczepiłam pluskwę mniejszą niż dwugroszówka dwa centymetry za linią włosów i zamaskowałam jej obecność zaklęciem dołączonym do zestawu. Zapięłam guzik, poprawiłam mu ubranie i ułożyłam go wygodnie na oparciu fotela. Pilotem wyłączyłam boczne światła i nasłuchując, odczekałam jeszcze pięć minut. Słyszałam kroki i oddech wykidajły na korytarzu, więc wyszłam, dokładnie zamykając za sobą drzwi, ze zwieszoną głową i markotną miną.

– Co tam, mała? – zapytał życzliwie.

– On chce jeszcze jedną dziewczynę. Ale z tych regularnych. Za dziesięć minut.

– Nieco przecenia swoją regenerację, nie? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Gdy Sai zejdzie ze sceny, to mu ją przyprowadzę.

Kiwnęłam głową i wyszłam. Mijając garderobę dziewczyn, zajrzałam do środka i powiedziałam:

– Powiedzcie Madame, że te pięć stów za prywatny pokaz też jest do podziału na was.

– Możesz wpadać częściej – oświadczyła królowa ula z leniwym uśmiechem – nie zaniżasz przesadnie poziomu.

Zasalutowałam, zbliżając dłoń do mojej czarnej, równiutkiej jak od linijki grzywki. Za kwadrans nie będzie po niej śladu. Wysłałam esemes do Karmy: „Nadajnik na miejscu”. Nie planowałyśmy go włączać od razu, na wypadek gdyby pan Han pamiętał zbyt wiele i kazał się sprawdzić

czytnikiem biomagicznym. Pluskwa była mieszaniną magii i technologii, jak wszystko, co wychodziło spod rąk Karmy, więc zwykłe czujniki nie powinny jej wykryć, ale wolałyśmy nie ryzykować. Za dobę, może dwie, Karma włączy ją zdalnie i dane zaczną spływać na jej serwer. Za pozyskanie ich zapłacił nam konkurent pana Hana na rynku handlu przedmiotami sakralnymi z odległych azjatyckich krain.

Ze stukotem obcasów przemierzyłam parking nieniepokojona przez nikogo. Wyjęłam z sakwy płaszcz i wciągnęłam na spocone ciało. Zaczynało mi brakować energii. Gdy oddaliłam się o kilkaset metrów, pozwoliłam, by kamuflaż rozpłynął się we mgle, i znów byłam sobą. Wściekle głodną sobą, ale jak by powiedział Aleks – gdzie tu nowina? Do nory w świątyni miałam jakieś dwadzieścia minut szybkiej jazdy. Za pół godziny się najem.

Nagle na jezdnię wyskoczył czarny kształt, szarpnęłam kierownicą, próbując uniknąć zderzenia. Tyle że kształt wcale nie chciał go uniknąć. Poczułam uderzenie w bok i gwałtowne szarpnięcie, gdy w moje żebra wbiło się coś ostrego. Pazury. I więcej siły, niż miałby jakikolwiek człowiek, jakby samo śmierdzące wilgocią futro nie było wystarczającą wskazówką.

Puściłam kierownicę i silnik prawie natychmiast zgasł. Bezpieczeństwo ponad wszystko. Mimo to z zawrotną prędkością zbliżaliśmy się do betonowego ogrodzenia jednej z posesji. Z uchwytu pod bakiem wyciągnęłam Inkwizycję i oddałam sześć strzałów w korpus napastnika, ale nie wydawał się tym wzruszony. W pobliżu nie było żadnej latarni, ale widziałam dość dobrze, by zrozumieć, z czym mam do czynienia, i mimo obecności wszczepu poczuć uderzenie adrenaliny. To jedna z tych sytuacji, kiedy mogłam dopuścić do przełomu i walczyć z atakującym jak równa z równym. Wolałam tego uniknąć – przemiana w tak ciasnych skórzanych szortach bolałaby jak jasna cholera, nie mówiąc już o innych jej urokach. Poczułam, że mój bark zderza się z murem, a tył głowy uderza o twardą powierzchnię. Podciągnęłam nogę i wbiłam cienki obcas kozaka w brzuch wilkołaka, który w całym swoim włochatym koszmarze szczerzył na mnie zęby, ale wciąż mnie nie ugryzł. Poharatał mi żebra, poobijał, ale zębiska trzymał z dala od mojego ciała. I miałam całkiem niezłe wyobrażenie o tym, co właśnie się działo. Prędzej dam się zabić, niż pozwolę mu się gdzieś zawlec czy dopuszczę, by oddał mnie temu, kto zlecił porwanie.

Dociskał mnie do ściany, trzymając wielką łapą za gardło, ale wciąż spory dystans zapewniała uwięziona między nami Ślicznotka. Jedną ręką zaatakowałam jego twarz, wbijając mu kciuk w oko, a drugą wymacałam zapasową kaburę Zębuszki ukrytą pod sakwą. Strzeliłam mu w skroń z przyłożenia. Mózg rozprysł się w promieniu metra. Spora część trafiła we mnie. Odepchnęłam ciało i uwolniłam Ślicznotkę. Z każdą chwilą trzęsłam się coraz bardziej. Opadałam z sił. Wyprostowałam kierownicę, modląc się, by uszkodzenia motoru nie okazały się poważne. Odpalił już za drugim razem. W nagrodę kupię mu nowe świece czy gaźnik, takie suchutkie i niezalane krwią wilkołaka. Nie skręciłam w ulicę, przy której stała świątynia. Atak zdarzył się na tyle blisko, że nie mogłam mieć gwarancji, że ktoś mnie nie obserwował i nie czekał teraz w ukryciu, aż się pojawię słaba i zakrwawiona. Pojechałam prosto w stronę parku Trzech Sióstr, gdzie w samym środku ćpuńskiej mety znajdowało się pęknięcie, nielegalne i nierejestrowane przejście między Warsem a realnym miastem. Pęknięcia nie są bezpiecznymi miejscami – po naszej stronie często okupują je drapieżniki, przyciągane skokami napięcia i nadzieją ofiary, natomiast po drugiej stronie można natrafić na kogoś, komu trudno będzie wytłumaczyć swoje nagłe pojawienie się. Pęknięcia nie zostały bowiem zabezpieczone zaklęciami ochronnymi, tak jak oficjalne i zatwierdzone bramy i portale. Do bramy miałam jednak kilka kilometrów, a czasu było coraz mniej. Ręce na manetkach mocno mi drżały. Istniało prawdopodobieństwo, że zdemaskowano moje dwie miejscówki jednego dnia. Atak wilkołaka mógł być przypadkiem – może po prostu wyglądałam na łatwą ofiarę. Nie mogłam jednak ryzykować. Teraz za wszelką cenę potrzebowałam wylizać rany w bezpiecznym miejscu. Realna Warszawa pozwalała na to znacznie lepiej niż któraś z moich nor.

W parku panowała zaskakująca cisza. Zamiast zwyczajowych awantur i śmiechów słyszałam tylko wycie psów. Przyspieszyłam. Ćpuny wbrew pozorom mają dobry instynkt samozachowawczy i jeśli uznały, że to nie miejsce dla nich, to coś się święciło. Może mój wilkołak nie był sam w tej okolicy. Wyczułam napięcie mocy otaczającej szczelinę i zgasiłam silnik. Ostatni kawałek wolałam przejść pieszo, pchając motocykl. Szczelina nie jest nieruchoma, nie zawsze objawia się w tym samym dokładnie miejscu. Tym razem znajdowała się tuż przy gazonie, który kiedyś obrastały dzikie róże, a dziś zdobiły głównie butelki po piwie. Wypowiedziałam zaklęcie

przenikania granicy i przepchnęłam motocykl przez cienki przesmyk światła. Niemal w tym samym momencie usłyszałam huk wystrzału, a sekundę później odgłos rykoszetu o tylny błotnik Ślicznotki. Drugi rykoszet, odbity o jeden ze słupów gazonu, trafił mnie w ramię. Klnąc, skoczyłam do przodu i pęknięcie za sobą uszczelniłam zaklęciem. Wystarczy na kilka godzin.

Wylądowałam w niewielkim parku na Gocławiu, niedaleko jednej z moich ulubionych met. Gdy wdrapywałam się na Ślicznotkę, z ust wyrwał mi się bolesny jęk. Było kiepsko. Nie tragicznie, ale kiepsko. Lewe ramię zaczynało mi drętwieć, a płaszcz przylepiał się do mokrych od krwi ud. Gdybym była tylko człowiekiem, pewnie bym umierała, ale berserka nieco trudniej zabić – potrzeba do tego odrobinę więcej determinacji.

Bez zwłoki podjechałam na osiedle przy Jugosłowiańskiej i pilotem otworzyłam drzwi do garażu. Postawiłam motocykl na zarezerwowanym dla niego miejscu i dowlekłam się do wind. Po cichu, by nie obudzić sąsiadów, otworzyłam drzwi do mieszkania. Marzyłam o tym, by paść na łóżko i przespać kilka godzin, ale jedyną istotą, która by się z tego ucieszyła, była bestia w sytuacjach ratowania życia uruchamiająca się niezawodnie. Wymieszałam w blenderze potrójną porcję proszku proteinowego ze śmietaną, bananami i połową opakowania czekolady w proszku, po czym z dwulitrowym dzbankiem specjału poczłapałam do łazienki. Odkręciłam kurek z gorącą wodą, ściągnęłam z siebie płaszcz i resztę ciuchów. Bok miałam dotkliwie poszarpany, ale kąpiel powinna pomóc. Za pomocą pęsety i lusterka udało mi się wyciągnąć odłamek z ramienia. Rana nie była głęboka, ale krwiak dookoła niej rozlewał się niczym ślad po uderzeniu piłeczką golfową. Z szafki pod zlewem wyjęłam dwulitrowy słój z zielonkawym proszkiem leczniczym. Nie wiedziałam, co dokładnie wchodziło w skład tego specyfiku, bo sprzedawca powoływał się na tajemnicę handlową i prawo do prywatności w praktykowaniu swojej magii, ale działało. To Aleks znalazł ten niepozorny sklepik z eliksirami na granicy Dzielnicy Cudów i Straconej Dzielnicy. Sprzedawca, na oko przynajmniej półkrwi goblin, wyglądał na starszego niż kurz i twardszego niż owsiane ciasteczka Aleksa. Polecony przezeń preparat gojący był tym, co pomogło Aleksowi dojść do siebie po spotkaniu z Ernstem. Do dziś, gdy łamie go w kościach na zmianę pogody, robi sobie błotnistą kąpiel. Miałam już wiele razy okazję sprawdzić, że działa też na mnie. Przyspiesza

leczenie, regenerację mięśni czy skóry, a nawet obrażeń wewnętrznych. Tyle że śmierdzi jak wyziewy piekła. Aleks twierdził, że ten smród to część kuracji – coś jak interwencja na poziomie psychologicznym: miał mnie tak bardzo odrzucać, bym na przyszłość unikała sytuacji, w których obrywam, lub bardziej się postarała nie oberwać. Gdybym jak Kosma pracowała w bibliotece, byłoby to znacznie prostsze. Druga wada preparatu to to, że należało go trzymać na skórze kilka, kilkanaście godzin, w zależności od tego, jak poważnie się poraniło. Tym razem nie było źle – dwie, może trzy godziny, jeśli wilkołak miał brudne pazury, i powinnam być jak nowa. Mogłam się za to pożegnać z łóżkiem i spaniem w pościeli. Zanurzyłam się po szyję w gorącej pianie i rzuciłam proste zaklęcie utrzymujące temperaturę wody na tym samym poziomie. Siorbiąc koktajl proteinowy prosto z dzbanka, mogłam się zastanowić nad tym, co właściwie się wydarzyło. Bo nic nie miało sensu.

Wilkołaki nie są zmiennokształtnymi wilkami, które możecie znać. Wilki mają dwie formy – ludzką i zwierzęcą, nic pomiędzy. Posiadają też dwie świadomości, ludzką, nazwijmy ją duszą, i wilczego munina, które się zwykle ze sobą dogadują. Wilkołak jest anomalią. Trudno go uznać za przedstawiciela osobnej rasy, skoro nie prokreuje. Czasami człowiek zostaje schwytany przez czkawkę, która ma w zwyczaju mutować to, co znajdzie się w jej zasięgu, w coś innego. Zwykle gorszego. I złapany przez nią człowiek może się obudzić na przykład jako wilkołak. Albo wąpierz, czyli bezmyślny, krwiożerczy twór wampiropodobny, ale bez całej tej ogłady i elegancji. Kiedyś myślano, że musisz być wilkiem, by czkawka zmutowała cię do wilkołaka, albo wampirem, by stać się wąpierzem. Takie przypadki zdarzyły się zaraz po wojnie, kiedy magia zaczynała szaleć. Później jednak okazało się, że nikt nie jest bezpieczny.

Kilka razy w miesiącu miałam zlecenia od rodzin, których bliscy zmutowali. Stawali się bezrozumnymi i oszalałymi bestiami, ale instynkt kazał im wrócić do domu i rozszarpać lub przemienić najbliższych. Jeśli twój ukochany wraca do domu dziwnie sapiący, zaśliniony i warczący – zabij go albo uciekaj i skontaktuj się z kimś, kto zrobi to za ciebie. Szanse na to, że twój luby będzie chciał cię pożreć albo wybierze pogryzienie cię w nadziei, że zarazi cię klątwą, rozkładały się pół na pół. Dla rodziny ten wybór był nieco zbyt drastyczny, więc decydowała się na bramkę numer trzy – zatrudnienie mnie, i to ja załatwiałam sprawę. Mogli iść bezpośrednio do Zakonu, ale wówczas musieliby płacić prowizję. Sporą.

Na mutację nie ma lekarstwa, ale istnieją ludzie, którzy potrafią za pomocą magii okiełznać potwory i używać ich jako coś w rodzaju straszaka. I tu pojawiało się pytanie: czy wilkołak, który na mnie napadł, był dzikim, którego pochwyciła czkawka i działał czysto instynktownie, szukając pożywienia i seksu, czy był sługą kogoś, kto wysłał go za mną celowo. Przeprowadziłam zwyczajowy rachunek grzechów moich wrogów i nieprzyjaciół, zastanawiając się, kto by się posunął do tak brudnej i ryzykownej metody. Bo wilkołak mógł mnie nie zabić, ale sprawić, że sama wróciłabym jako ta bestia. Biorąc pod uwagę mój typ magii, wydawało się to mało prawdopodobne, ale o tym mało kto wiedział. Jak długo bym nie rachowała grzechów, moje myśli wciąż wracały do Ireny i Robina. O co może im chodzić?

Odstawiłam pusty dzbanek na podłogę i zanurzyłam się głębiej w zielonkawej, błotnistej kąpieli. Mogłam się zdrzemnąć choć chwilę. Jedną z niewielu zalet przełomu było to, że podkręcone na maksa instynkty nie pozwoliłyby mi się utopić w wannie.

Rozdział 5

Znacie prawo Murphy’ego, które mówi, że jeśli coś może pójść źle, tak właśnie się stanie? Mam własną wersję tego prawa – nieco bardziej hermetyczną, za to idealnie pasującą do mojego życia: jeśli coś poszło tak źle, że potrzebujesz rekonwalescencyjnej kąpieli, dalej może być tylko gorzej.

Odpływałam właśnie w coś na granicy snu i medytacji, kiedy usłyszałam przeciągły dzwonek u drzwi. Zignorowałam go. Kolejny też. I łomotanie. Przez chwilę myślałam, że mi się udało, ale usłyszałam zaniepokojony głos cioci Stasi i jej delikatniejsze pukanie.

– Pani Kasiu, jakiś pan zostawił paczkę na progu. Nie był kurierem! I nie miał pokwitowania! – zawołała przez drzwi, wyraźnie podenerwowana.

Wyprostowałam się gwałtownie. Sięgnęłam po ręcznik i z jękiem wytarabaniłam się z wanny. Ciocia Stasia nie była głupia. Sama ją uczyłam, na co powinna zwracać uwagę. Niezidentyfikowana paczka od nielicencjonowanego kuriera zostawiona na moim progu klasyfikowała się jako zagrożenie.

Ciocia Stasia rzecz jasna nie była ze mną spokrewniona – łatwo to poznać jej miłym usposobieniu i po tym, że miała odruchy dobrego Samarytanina. Zajmowała mieszkanie naprzeciwko mojego. Gdy się wprowadziłam, jako Katarzyna Kowalska (pracownica firmy PR-owej, samotna, lat dwadzieścia osiem), przyniosła mi na powitanie ciasteczka. Kto, na miłość boską, tak robi, jeśli nie jest bohaterem amerykańskiego serialu, którego akcja toczy się na przedmieściach? Poczęstowałam ją herbatą, świadoma tego, że lokum na Gocławiu miało być moją główną metą w realnym mieście. Nie zamierzałam zacieśniać więzi sąsiedzkich, ale warto dbać o podstawy. W końcu przez większość czasu moje mieszkanie będzie stało puste i czujne oko życzliwej sąsiadki mogło mi oszczędzić nie tylko włamania, ale też konieczności rozmawiania z policją, jeśli już do włamania by doszło. Moje papiery były dobre, ale jeśli zaczęliby kopać, mogliby się dokopać do tego, że Katarzyna Kowalska, lat dwadzieścia

osiem, jeszcze trzy lata temu nie istniała. Za często zmieniałam tożsamości, by produkować historię dalej niż te trzy lata wstecz.

Poprosiła, bym mówiła do niej „ciociu Stasiu”. Nigdy nie wyszła za mąż, nie odważyła się też zajść w ciążę bez ślubu, czego bardzo żałowała. Miała siostrę i siostrzeńca, ale mieszkali w Rzeszowie. Na swój sposób było mi jej szkoda. Z drugiej strony podziwiałam jej siłę charakteru i to, że mając prawie siedemdziesiąt lat, wciąż widziała w ludziach dobro. Podejrzewam, że nawet wśród mieszkańców Straconej Dzielnicy znalazłaby „dobrych chłopców i miłe dziewczynki”, choć przysięgam, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby tak o lokatorach tego rewiru. Mnie też uważa za miłą dziewczynę, ale to dlatego, że zrobiłam wszystko, by mnie za taką miała. Pomogłam jej kilka razy z zakupami, kiedy widziałam, że ciągnie ten swój kratkowany wózeczek po chodniku i tacha do windy zapasy na kilka dni. Dziękowała tak, jakbym oddała jej własną nerkę. Myślę, że ten blok, dość anonimowy, co mi akurat odpowiadało, dla niej był zbyt anonimowy i brakowało jej kontaktu z ludźmi. Miała pecha, że do mieszkania naprzeciwko wprowadziłam się właśnie ja, a nie jakaś miła rodzina z dzieciakami, które mogłyby ją nazywać babcią Stasią.

Nie mówiłam jej wiele o sobie. Ona opowiadała o sobie całkiem sporo. Piekła też najlepsze maślane ciasteczka z domowym cytrynowym lukrem, jakie zdarzyło mi się jeść. Wypytywała mnie o moje życie, a ja spławiałam ją gładkimi kłamstwami o częstych wyjazdach w związku z pracą. Pewnego dnia, wracając z nocnej roboty, usłyszałam zza jej drzwi stłumione jęki. Znalazłam ją na podłodze w łazience. Upadła, wychodząc z wanny, i złamała biodro. Nie mogła dosięgnąć telefonu, by wezwać pomoc. Nikt jej nie odwiedzał. Była taka szczęśliwa, gdy się pojawiłam, że nawet nie zapytała, jak zdołałam otworzyć zamki i zwolnić blokadę antywłamaniową. Wezwałam karetkę. Przeszła operację, a gdy wyszła ze szpitala, uznała, że jej obowiązkiem jest odwdzięczyć mi się najlepiej, jak potrafi, czyli adoptując mnie duchowo i dbając o mnie. To zwykle oznaczało pieczenie ciasteczek i narzekanie, że z nikim się nie spotykam i wiecznie jestem w rozjazdach. Nie wadziła mi. Była słodka, a w moim życiu nie miałam wiele kontaktu z ludźmi, którzy są słodcy.

Któregoś dnia ktoś mnie szukał. Kolega z pracy – nie tej fikcyjnej agencji PR, ale z Zakonu. Wtedy jeszcze wisiała nagroda za moją głowę. Trwało to kilka tygodni, nim znalazłam zleceniodawcę i upewniłam

środowisko, że nie ma już nikogo, kto wypłaciłby im choć złotówkę za moją śmierć, ale to było później, po wizycie Cienia w bloku przy Jugosłowiańskiej. Włamał się do mieszkania pod moją nieobecność. Czekał, aż wrócę, by przywitać mnie strzałem w pierś. Kto wie, czy by mu się nie udało, gdyby ciocia Stasia nie czekała na mnie z ostrzeżeniem na ławce przed blokiem. Widziała go przez judasza, a nie wyglądał na miłego chłopca. Trafne rozpoznanie. Poprosiłam ją, by wyszła na spacer, bo to naprawdę nie jest miły chłopiec. Posłuchała. Załatwiłam sprawę, bez elementu zaskoczenia nie miał szans załatwić swojej. A potem wyjaśniłam cioci Stasi, że jako młoda i głupia dziewczyna wdałam się w romans z szefem lokalnej mafii, który nie przyjął zerwania najlepiej i może chcieć mi zrobić krzywdę. Więc gdyby zauważyła cokolwiek dziwnego, dziwnych ludzi, dziwną aktywność, ma mi dać znać.

– Kochanie, powinnaś wezwać policję! – powiedziała.

– On nie pójdzie do więzienia. Ma bardzo dużo pieniędzy i bardzo dużo kolegów – wyjaśniłam tonem znękanej kobiety, którą czasami dogania przeszłość.

Przytaknęła ze smutkiem. I podwoiła wysiłki. Nikt nie mógł się przemknąć korytarzem, nie wzbudzając jej zainteresowania. A teraz najprawdopodobniej przepłoszyła kogoś, kto nie miał miłych zamiarów, skoro dobijał się tak agresywnie i zostawił nieoznakowaną paczkę. Może kolejny kolega z pracy uznał, że czas, bym złożyła wymówienie? Naciągnęłam na wilgotne ciało szlafrok, sycząc z bólu, kiedy unosiłam ramię. Cholerny wilkołak nie mył łap chyba z miesiąc.

Otworzyłam drzwi i przywitałam się szybko z ciocią Stasią. Przesyłka z trudem mieściła się na wycieraczce. Długie, białe pudełko miało logo luksusowej kwiaciarni. Nie dostrzegłam bilecika, za to opasujący pakunek czerwony, nylonowy sznur grubości palca wydawał się mocno nie na miejscu. W połączeniu z dziwnym dostawcą i brakiem pokwitowania paczka nie wyglądała na taką, którą chciałabym otwierać. A już na pewno nie przy staruszce. Jeśli wybuchnie, pewnie przeżyję, choć spędzę kilka dni w wannie. Ona nie miałaby szans w konfrontacji z korkiem od szampana.

– Rzucił ją, gdy tylko wyszłam na klatkę… To był ON? – zapytała, głośno akcentując zaimek odnoszący się do mojego niesławnego mafijnego eks.

– Raczej któryś z jego ludzi – powiedziałam. – Dziękuję za czujność.

– Niech wie, że się ktoś o ciebie troszczy, może da sobie spokój.

Twardo uniosła podbródek i wierzcie mi, była gotowa stawić czoła mafii. Już ją widziałam, jak składa aplikację do Zakonu Cieni. Cień Zabójcy.

Podziękowałam jej serdecznie i poprosiłam, by wróciła do mieszkania.

– Gdyby coś wybuchło, proszę zadzwonić pod ten numer, który ci dałam, ciociu, do Aleksa.

– A nie po policję? – Uniosła brew. Może zaczynała coś podejrzewać? Miłe dziewczynki zostawiają pewne sprawy policji…

– Mój przyjaciel poradzi sobie z tym lepiej. Ma lepsze zaplecze finansowe – wyjaśniłam.

Pokiwała głową, bo o niedofinansowaniu policji czytała w swojej gazecie więcej niż raz. Cofnęła się do mieszkania i przymknęła drzwi, ale czułam jej obecność. Byłam pewna, że spogląda na mnie przez judasza.

Przyklęknęłam i dokładnie obejrzałam krawędź paczki. Nieznajomy niósł ją w rękach, potem rzucił. Nie ryzykowałby z detonatorem naciskowym, prawda? Delikatnie podniosłam pudełko. Lekkie. Zabrałam je do mieszkania i zamknęłam drzwi. Wzmocniłam zaklęcie ochronne, gwarantujące mi maksimum dyskrecji, a sąsiadom bezpieczeństwo. Nawet gdyby w paczce była bomba, siła uderzeniowa nie dosięgłaby nic poza moim lokum. Niezbyt dobrze dla mnie, ale w porządku dla reszty budynku.

Czujniki nie wykryły materiałów wybuchowych czy przewodów. Współczesne bomby rzadko tykają, ale na wszelki wypadek uważnie osłuchałam przesyłkę. Mogłam ją po prostu otworzyć, skoro wydawała się czysta, ale instynkt podpowiadał mi, że w środku nie znajdę nic dobrego. Wyciągnęłam z torby ze sprzętem do włamań kamerkę laparoskopową i scyzorykiem wydłubałam otwór w pudełku. Podłączyłam kamerkę do laptopa i ostrożnie wsunęłam do środka. Przez chwilę widziałam tylko coś, co wyglądało na liście. Poruszyłam przewodem, przesuwając go głębiej. I nagle ją zobaczyłam. Oko, wydłużona głowa, długie odnóża… Przeklęłam cicho.

Zsunęłam sznur, uważając, by nie zniszczyć potencjalnych śladów. Jeśli miałam rację i była to groźba, wiedziałam, że Karma znajdzie mi laboratorium, w którym sprawdzą pudło w poszukiwaniu wszelkich wskazówek. Uniosłam wieko.

Było ich znacznie więcej. Spoczywały ułożone między bezgłowymi łodygami róż niczym makabryczny bukiet. Liczyłam sztywne, przebite szpilkami ciałka. Trzydzieści. Szpile miały jakieś dwanaście centymetrów i przyczepione na końcach szklane serduszka – czerwone, różowe, fioletowe. Wyjęłam z torby aparat cyfrowy i dokładnie wszystkie sfotografowałam. Dopiero wtedy delikatnie wyjęłam jedną ze szpil z przytwierdzonym do niej owadem.

Modliszka. To zdecydowanie była groźba. Od tamtego dnia, kiedy odstrzeliłam głowę facetowi, który miał ochotę mnie zgwałcić, to imię przylgnęło do mnie na dobre. Większość Cieni nie zawracała sobie głowy zapamiętywaniem któregoś z imion, o których wiedzieli, że są lewe. Modliszka była bardziej charakterystyczna. Pseudonim, który nadano mi jako złośliwą obelgę, nosiłam z dumą. Brzmiał dobrze, wzmacniał reputację i trzymał na dystans romantyków szukających jednostronnej przyjemności pod prysznicem.

Poziom bezpieczeństwa w łazienkach Zakonu drastycznie wzrósł, odkąd *grande finale* napastnika przeszedł do legendy szeptanej w cuchnących potem i testosteronem szatniach. Nie byliśmy organizacją skautów, ale moim zdaniem jest różnica między mordercą na zlecenie a gwałcicielem. Po prostu trzeba mieć zasady.

Więc, owszem, kiedy znalazłam na swojej wycieraczce trzydzieści martwych, przebitych szpilkami modliszek, potraktowałam to dość osobiście. A jeśli dodać do tego, że zostawiono je na progu mojej mety w realnym świecie, całość zaczynała wyglądać umiarkowanie różowo. Czy ktoś kolejny raz rozpoczął sezon polowań na mnie i zapomniał mi o tym wspomnieć?

Wciąż myślałam o tym, jak w to wszystko wpasowuje się Robin. Musieliśmy porozmawiać, ja i mój rzekomy partner. Zbyt często nawiedzał moje spiskowe fantazje, bym czuła się swobodnie z tym, że nie wiedziałam o nim nic, poza tym, że jego biogram dostarczony przez Irenę był totalnym gównem. Ale najpierw musiałam coś jeszcze sprawdzić. I zastanowić się, co mówiło o mnie to, że gdzieś w głębi duszy rozważałam wyprawienie

tym owadom pogrzebu. Skoro jednak nie miałam czasu, by grzebać je w parku w pudełku po butach, spakowałam je do torebki strunowej i dokładnie obejrzałam resztę bukietu w poszukiwaniu tropu. Trzydzieści osiemdziesięciocentymetrowych róż z przybraniem… to nie była tania groźba.

*

Kobieta pracująca w kwiaciarni pamiętała zamówienie na trzydzieści róż. Wyjaśniłam, że mam cichego wielbiciela, ale ponieważ zamiast czekoladowego serduszka szarpnął się na taki prezent, czuję się nieco zobligowana, by go poznać i wynagrodzić. Przyznała mi rację, bo hej, tak się starał! Nie potrafiła mi niestety pomóc w kwestii tożsamości ofiarodawcy, gdyż zapłacił gotówką, nie skorzystał też z kuriera, więc nie musiał wypełnić druczku… Mogła mi go tylko opisać, bo wbił jej się w pamięć. Wysoki, przystojny, i choć nie gustowała nigdy w rudzielcach, ten wyglądał jak model najnowszej kolekcji Bytomia – długie włosy i lekki zarost, popielaty gajer z kamizelką… no ciasteczko po prostu. I jeśli go nie chcę, mogę go jej oddać. Zapewniłam, że będę pamiętać, że jest następna w kolejce.

Wyszłam z kwiaciarni i odetchnęłam świeżym powietrzem. Gęsty aromat róż i lilii wypełniający sklep przyprawił mnie o ból głowy. Pocierając skronie, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek na swojej drodze spotkałam rudego przystojniaczka z upodobaniem do garniturów. Robin miał włosy gdzieś na granicy brązu i kasztanu, ale kwiaciarka wyraziła się jasno, ten, kto kupił u niej kwiaty, był jaskrawym rudzielcem z długimi do połowy pleców gładkimi włosami w kolorze ognia. Opisywała je z takim zachwytem, że musiałam jej uwierzyć. W otchłani pamięci nie znalazłam jednak żadnego rudzielca. Byłam w punkcie wyjścia. Czyli zostawało mi pudło i jego zawartość – miałam nadzieję, że zdradzi nam więcej niż zauroczona kobieta.

*

Nie miałam ochoty na zakradanie się do Warsa szczeliną. W realnym mieście mogli podróżnika czekać w najgorszym wypadku ciekawscy

przechodnie, w alternatywnym – kreatury wszelkiej maści, bo energia szczelin wabiła je mocą. Pokonywałam na Ślicznotce most Poniatowskiego, bez zwłoki zmierzając do bramy. Motocykl zdecydowanie ucierpiał podczas starcia z wilkołakiem. Silnik odpalił dopiero po dłuższej chwili i co jakiś czas pokasływał jak astmatyczna miłośniczka kotów. Nie brzmiało to dobrze i Aleks z całą pewnością najpierw mnie opieprzy, że skalałam doskonałość jego dzieła, a dopiero potem upewni się, że wilkołak przy okazji nie uszkodził mnie.

Chciałam się jak najszybciej dowiedzieć, czy Karma wygrzebała coś na Robina. A także kto, u diabła, wysłał mi truchła modliszek. I czy wczorajszy atak wilkołaka był tylko przypadkiem. Uznałam, że bezpieczniej będzie zostawić motocykl u Aleksa – jeśli znów miałabym zwiewać przed zamachowcami, musiałam liczyć na mój sprzęt, bez konieczności trzymania kciuków, by i tym razem się udało. Nie mam dwóch palców u rąk, nie mogłam sobie pozwolić na blokowanie dwóch kolejnych.

Nie zwolniłam, nawet wypowiadając zaklęcie otwierające bramę. To akurat było coś, co warto trenować – znałam takich, którzy do aktywacji zaklęcia potrzebowali minuty. Mnóstwo czasu, jeśli ktoś cię ściga i, dajmy na to, strzela. Dlatego wolałam ryzykować, ćwicząc szybkie aktywowanie magii bramy, niż wciąż być na etapie zsiadania z motocyklu, wypowiadania zaklęcia i czekania, aż magia zadziała.

Pojechałam prosto do Aleksa. Było dla niego za wcześnie, ale znałam kod alarmu do garażu. Zaparkowałam Ślicznotkę przy stacji diagnostycznej i przyczepiłam do baku karteczkę z wiadomością: „COŚ stuka i kaszle. To czerwone i lepkie to krew. Nie moja. Skopałam mu dupę za skalanie twego dzieła. Wpadnę później. Twa uniżona sługa – N”. Niewykluczone, że kiedy to przeczyta, zadzwoni z awanturą, bo kiedy szło o stan zdrowia jego maszyn i mój (po równo), poczucie humoru czasem Aleksa zawodziło. Jakby nie spotkała mnie wystarczająca kara – musiałam poruszać się po Warsie pieszo. W garażu stał jeszcze Brzydal, ale skoro planowałam zajrzeć do Dzielnicy Cudów, nie było sensu go zabierać.

Zgarnęłam opakowane w papierową torbę pudło z kwiatami i modliszkami i skierowałam się do Zamku Karmy. Nieco okrężną drogą, by rzucić okiem na mój dom. Chciałam się upewnić, czy wciąż stoi, czy

kręgi działają, czy idiota odpuścił, czy wciąż czeka na ślad życia – ot, podstawowe kwestie bezpieczeństwa.

Poranny ruch na ulicach Warsa jest całkiem inny niż w realnym mieście. Może dlatego, że mało który z mieszkańców miasta alternatywnego śpieszył się do pracy na ósmą czy dziewiątą. Miasto zasypiało nad ranem i teraz przewracało się raczej na drugi boczek, niż wylegało na ulice.

Witryny sklepów i barów, gdy spoglądało się na nie przez opuszczane metalowe żaluzje, sprawiały wrażenie smętnych i niezbyt gościnnych. Pojedyncze samochody zastawiające krawężniki wyglądały jak eksponaty z planu zdjęciowego *Mad Maxa*. Było za wcześnie nawet na gazeciarzy. A jednak naprzeciwko Kna Świt, czyli miejscówki Karmy, zobaczyłam niezupełnie przypadkowego przechodnia. Na miłość bogów, przyjechał na rowerze! Czy ten ciołek naprawdę miał życzenie śmierci, czy był takim chojrakiem, że miał głęboko w czterech literach to, jak kształtuje się jego wizerunek w oczach konkurencji? I jak, do kurwy nędzy, tu trafił? Miałam go serdecznie dosyć, zresztą tak jak wszystkich tych pytań, na które chciałam wreszcie mieć odpowiedź. Zaszłam mu drogę i oparłam podkuty but o jego przednie koło, przytrzymując rower w miejscu.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – zapytałam.

– Szukałem cię! – powiedział.

Uśmiechnął się tak szczerze i radośnie, że po prostu mu przywaliłam. Odruch bezwarunkowy, nic na to nie poradzę. Zanim się otrząsnął, poprawiłam, tak że osunął się po ścianie. Odepchnęłam jego dwukołowiec i złapałam go, nim grzmotnął o chodnik. Nie z troski, ale dlatego, że dźwignięcie go z ziemi byłoby bardziej niewygodne. Przykucnęłam, by przerzucić go sobie przez ramię. Był w cholerę cięższy, niż mogłam się spodziewać, i za długi, by dało się go nieść komfortowo. Poprawiłam chwyt, gdy zaczął mi się zsuwać z barku, i przeszłam przez ulicę, prosto do bocznego wejścia do budynku Kna Świt. Opierając ciało Robina o ścianę i asekurując kolanem pudło, które próbowałam utrzymać pod pachą, sięgnęłam do guziczka domofonu. Słuchając przeciągłego dźwięku komunikatora, pomyślałam, że jestem jak dostosowana do Warsa wersja Matki Polki – matka Polka zabójczyni. Zamiast siaty z zakupami – zabezpieczone dowody, zamiast wrzeszczącego trzylatka – nieprzytomny facet przerzucony przez ramię. Oto ja, ikona Warsa, patronka Zakonu Cieni, kto użali się nad moim losem i kręgosłupem? Domofon zaskrzeczał.

– Czego? – powitało mnie przyjazne burknięcie Karmy.

O to, że nie spała, byłam spokojna – nie miała tego w zwyczaju. Jej mało uprzejma osobowość stanowiła moim zdaniem wynik syndromu żołnierzy Napoleona. Gdy przeprowadzano na nich doświadczenia, już po kilku bezsennych nocach popadali w depresję, a potem płynnie poddawali się agresji. Karma ten etap przedłużyła o kilka lat. I któregoś dnia po prostu zacznie zabijać. Nie widzę innej możliwości.

– Potrzebuję wejścia do schronu i dokładnego sprawdzenia obiektu – powiedziałam.

– Masz go tam?

– Nie inaczej.

– Podjedź do rampy – mruknęła i słowo daję, słyszałam cień uśmiechu w jej tonie.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, pomyślałam, ale dzielnie poszłam na tyły budynku, gdzie mieściła się rampa rozładunkowa z czasów, kiedy filmy były wielkimi rolkami celuloidu w metalowych puszkach i przewiezienie kilku wymagało wózka. Rampa łagodnym kątem zbiegała w dół, do piwnicy, której wzmocnione stalą ściany przemieniły ją w solidny schron. Ilia już na mnie czekał i przytrzymał skrzydło stalowych drzwi. Robin zaczął się poruszać, zapewne odzyskując przytomność, więc uderzyłam go jeszcze raz, tym razem w potylicę. Prawie zsunął mi się z ramienia, równie poręczny jak skrzyżowanie worka kartofli i zrolowanego dywanu z trupem w środku.

– Pomożesz mi z nim czy będziesz się przyglądał? – zapytałam Ilię, który po prostu stał z boku.

– Tak jak ty mi pomogłaś z wykładziną? – odgryzł się niewinnie, ale zwinnie przejął nieprzytomny ładunek z mojego uścisku. – Gdzie go chcesz?

– Schron.

– Zalazł ci za skórę? – prychnął.

– Znalazłam go obserwującego waszą siedzibę. Nigdy go tu nie przyprowadziłam.

– Możemy go po prostu zabić – zaproponował szczerze.

– Możemy, ale później, najpierw musi nam wyśpiewać kilka rzeczy.

– Przynieść instrumenty dentystyczne? – Słowo daję, brzmiał tak, jakby je miał.

– Potraktujmy je jako ostateczność – odparłam.

Wiertło do borowania i dźwięki, jakie wydawało, to coś barbarzyńskiego nawet dla mnie. Jeśli ten szczery uśmieszek idioty z krainy wypełnionej kucykami i tęczą nie był ściemą, to namówienie Robina do współpracy mogło nie być takie trudne. A jeśli był, cóż, dobrze wiedzieć, że mieliśmy wiertła pod ręką.

*

Czułam, że odzyskał przytomność, ale nie drgnął – nie próbował się szarpać na krześle, do którego został przywiązany, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Po prostu patrzył się na moje plecy i czułam to spojrzenie niemal fizycznie.

Opróżniłam jego torbę i przeglądałam ułożone na stole przedmioty. Żadnej komórki, pistoletów czy elektroniki. Kilka noży, kusza, apteczka, czekolada, krzesiwo, pęk kluczy, ciasno zwinięty pakiecik z zapasową bielizną i drugi z przeciwdeszczową peleryną z cienkiej folii, bidon ze stali nierdzewnej… Gdyby nie kusza, pomyślałabym, że torba należy do harcerza. Choć w sumie spora część wyposażenia pokrywała się z tym, co sama nosiłam w torbie.

Odchrząknął za moimi plecami, jakby uprzejmie zwracał mi uwagę na to, że już nie śpi, a ja naruszam jego prywatność, grzebiąc w jego rzeczach, co jest dla niego nieco krępujące – w końcu właśnie miałam w rękach jego bieliznę. Odwróciłam się, spodziewając się wściekłej miny i gróźb, których w obecnej sytuacji nie zdołałby wprowadzić w życie – ze związanymi rękami i nogami, w schronie o ścianach dość mocnych, by przetrwały bombardowanie.

– To nie było konieczne – powiedział spokojnie.

– Co dokładnie? – Chciałam się upewnić.

– Wszystko od mojego powitania do teraz. Mogłaś po prostu powiedzieć, że chcesz porozmawiać, i poszedłbym tu za tobą, nie musiałabyś mnie nosić.

Patrzyłam na niego, szukając jakichś oznak sarkazmu. Nic.

– Myślę, że masz kłopoty z zaufaniem – dodał.

– No nie mów – skwitowałam.

Ilia zabrał na górę pudło z kwiaciarni i zapewnił, że w ciągu dwóch godzin trafi ono do laboratorium. Nie robił mi wielkich nadziei na to, że coś znajdziemy. „To nie CSI. Nawet jeśli będzie tam mnóstwo śladów DNA i odcisków palców, przypomnij mi, czy mam je porównać z bazą danych tajnych zamachowców, czy poszperać w bazie danych tych, którzy chętnie widzieliby Modliszkę martwą?” Miał Rację. Na początek musiało mi wystarczyć porównanie potencjalnych śladów z odciskami palców Robina

i jego DNA, które Ilia od razu pobrał, wyrywając mu kilka włosów z cebulkami. Wyniki przyjdą nie wcześniej niż za kilka dni. Choć zapłaciłam za opcję ekspresową, sekwencjonowanie DNA trwa – tylko w serialach wyrabiają się między jedną a drugą przerwą reklamową.

Zostałam z Robinem sama, miałam wezwać Ilię, gdybym potrzebowała wsparcia czy narzędzi dentystycznych. Wybrałam pomieszczenie, w którym nie było za wiele sprzętów – ot, stół, krzesło i wąska metalowa wojskowa prycza pod ścianą. Przesunęłam ją po betonowej podłodze, tak że mogłam teraz usiąść naprzeciwko Robina.

– Sugerujesz, że odpowiesz mi na każde pytanie, jakie ci zadam? I powiesz mi prawdę? – zapytałam.

– Jasne. Mamy być partnerami. Musimy zbudować platformę porozumienia i zaufania – odparł tym tonem, który budził natychmiastowe skojarzenia.

– Jak długo trwała twoja terapia psychiatryczna?

– Trzy miesiące.

– Szybko nasiąkasz żargonem.

– Adaptuję się.

To było dziwaczne, ale brzmiał wiarygodnie i wydawał się naprawdę mieć na myśli to, co mówił.

– Rozwiążesz mnie? – zapytał.

– Jeszcze nie. Zobaczymy, jak potoczy się dzień.

Przytaknął, jakby godził się z tym, na co nie miał wpływu.

– Od jak dawna jesteś w Zakonie? – zapytałam.

– Od zawsze – odpowiedział, a widząc moje zwątpienie, dodał: – Naprawdę, wychowałem się tam. Podrzucono mnie na próg siedziby Zakonu, kiedy byłem niemowlakiem.

– I tak po prostu cię wzięli na wychowanie?

– Matka Przełożona uznała, że to dobry pomysł.

Dałabym mu gdzieś między dwadzieścia osiem a trzydzieści pięć lat. To nie mogła być moja matka, bo należała do Zakonu od dwudziestu lat, a Matką Przełożoną była od sześciu. Z tego, co wiem, pierwszą w Polsce kobietą na tym stanowisku. Co nie wykluczało wersji Robina.

– Gdzie to było?

– W Watykanie.

Odchrząknęłam zaskoczona. To mogło wiele wyjaśniać. Kiedyś w Watykanie mieściła się siedziba główna, w czasach, kiedy Zakon podlegał wciąż Kościołowi katolickiemu. Dominikanie byli psami Chrystusa w realnym świecie. Zakon – cieniem Watykanu w świecie nadprzyrodzonych. Jakieś sto lat temu postanowił się odłączyć od struktur kościelnych z powodu różnic nie do pogodzenia. Miał dość mocną pozycję, by móc to zrobić, nie tracąc dóbr materialnych. Nie wiem, komu i czym zagroził, ale oficjalnie stał się instytucją prywatną. „Oficjalnie" to tylko figura retoryczna, bo istnienie Zakonu stanowiło jedną z najgłębiej skrywanych tajemnic Kościoła katolickiego. Wierni nie byli gotowi na wiedzę o alternatywnych światach, rasach nadprzyrodzonych czy magii. Jeszcze mniej byli, zdaniem Kościoła, gotowi na wiedzę o tym, że wszyscy czczeni przez ludzkość bogowie istnieją i w większości mają się świetnie, a Jezus Chrystus jest jednym z wielu potencjalnych wybawicieli. Po rozdzieleniu obu instytucji siedziba w Watykanie straciła pozycję bazy głównej, choć nadal należała do Zakonu i mieściły się tam archiwa oraz coś w rodzaju Sanktuarium. Jeśli to tam podrzucono niemowlę, istniały spore szanse, że znajdzie je bibliotekarka czy uzdrowicielka, a nie morderca.

– Czemu za mną łazisz? – zapytałam.

– Mamy być partnerami.

– Czyj to był pomysł?

– Matki Przełożonej. To dla mnie naprawdę ważne. – Skrzywił się. – Rozumiem, że dla ciebie nie jest to dobre rozwiązanie… Czy chodzi o mnie? Czy twój problem z brakiem zaufania?

– Pracuję sama.

– Też tego chcę. Właśnie dlatego muszę pracować z tobą, bym mógł pracować sam.

– Wyjaśnij mi to, bo się zgubiłam.

– Jeśli popracuję z tobą pół roku, po tym czasie będę mógł działać solo. Matka mi to obiecała.

– Powiedz mi, chłopcze, czy ostatnio bardzo ją wkurzyłeś?

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc.

– Oczywiście, że nie. Dopiero tu przyjechałem.

– Miałeś jakiś wybór czy dała ci od razu przydział do mnie?

– Od razu. Czemu pytasz?

– Bo cię nie lubi albo chce się ciebie pozbyć. – Wyglądał na zszokowanego, więc wyjaśniłam: – Od dwóch lat podtykają mi partnerów, a ja od dwóch lat pozbywam się ich bardziej lub mniej po dobroci. Kilku nie żyje, bo, choć oficjalnie mieli ze mną współpracować, po cichu chcieli się mnie pozbyć. Matka o tym wiedziała. A jednak, informując mnie o przydziale, zrobiła wszystko, co mogła, by mnie wkurzyć, a tym samym doprowadzić do tego, że cię zabiję. Czy ostrzegła cię przede mną w jakikolwiek sposób? Raczej nie. Miałeś kamizelkę kuloodporną, ale to za mało, by uznać, że zabezpieczyła twoje życie. Zna mnie i wie, że bywam kreatywna. Nie zrobiła nic, by cię ochronić. Za to zrobiła mi awanturę i wcisnęła w ręce twoją teczkę z całkowicie fałszywym biogramem, szytym tak grubymi nićmi, że za obraźliwe uznaję to, jak nisko ceni moją inteligencję. Chciała, bym cię zabiła. I pozbyłaby się nas obojga, bo przy okazji mi zagroziła, że jeśli cię zabiję, jestem następna do odstrzału. Piękny plan. Pewnie się teraz zastanawia, dlaczego jeszcze żyjesz.

Bogowie, miał minę chłopca, który dowiedział się, że Święty Mikołaj nie istnieje. Nauczyłam się rozpoznawać kłamców. Nie był jednym z nich. Irena cisnęła mi na pożarcie szczeniaka wychowanego przez bibliotekarkę.

– Co robiłeś wcześniej?

Zmarszczył brwi, jak gdyby próbował sobie przypomnieć. Nagle jego czoło wygładziło się, jakby jego myśli odpłynęły w zupełnie inne rejony i wszystko było już w porządku.

– Pamiętasz cokolwiek sprzed przyjazdu tutaj? Jakieś akcje? Ludzi? – drążyłam.

– Oczywiście… – Znów się zmarszczył i przez chwilę wyglądał na nieco spanikowanego, ale spokój ponownie wypłynął na jego twarz.

Zaklęłam. Widziałam już coś takiego. To nie automat. Został wyczyszczony. Dlatego sfabrykowała jego teczkę. Cokolwiek robił wcześniej, było zbyt ważne, by pozwoliła mu o tym pamiętać.

– Zabijesz mnie? – zapytał cicho.

Milczałam. Cholera. Miałam mętlik w głowie. Intuicja podpowiadała mi, że nie powinnam tego robić. Aleks zawsze mówił, że nie mogę przejść przez życie, nie ufając nikomu, i że muszę dokonywać wyborów. Gdybym musiała wybrać, czy uwierzyć Robinowi, czy Irenie, nie miałabym wątpliwości, które z nich jest kłamliwą żmiją. I zastanawiałam się, czy wysłała mi go na pożarcie tylko dlatego, że chciała się mnie pozbyć, czy

równie mocno zależało jej na pozbyciu się Robina. Jeśli był niewygodny dla niej, zaczynał być interesujący dla mnie.

– Nie zabiję cię. Przynajmniej dopóki ty nie będziesz próbował zabić mnie – dodałam, bo szczerość była ważna, jeśli mieliśmy dojść do porozumienia. – Jak znalazłeś to miejsce?

– Kino? – zapytał. Gdy przytaknęłam, odpowiedział: – Szukałem cię, złapałem twój trop…

– Nie zostawiłam żadnych śladów. – Byłam tego pewna.

– Fizycznie nie, ale potrafię znaleźć ślady ducha. Nie zawsze i nie każdego, ale ty masz wyraźną sygnaturę.

Słyszałam o ludziach, którzy mieli taki dar. Nazywano ich tropicielami. Byli cholernie rzadcy. Niektórzy, dotykając przedmiotu, poznawali całą jego historię, inni, jak on, widzieli strzępy aury, które za sobą zostawiamy, energetyczne odciski palców w przestrzeni. Ciekawe. Mimo tak rzadkiej umiejętności Irena spisała go na straty?

– Matka o tym wie?

Wzruszył ramionami.

– To nie jest coś, czym się przechwalam. Moja opiekunka radziła, by trzymać tę informację z daleka od papierów. Dar nie zawsze działa, nie chcę przyzwyczajać zwierzchników do oczekiwania rezultatów.

To brzmiało logicznie. Skończyłby jako pies gończy.

– Czy to ty nasłałeś na mnie wilkołaka? Czy przysłałeś mi kwiaty?

– Nie i nie. A powinienem? No wiesz, kwiaty? W sumie zaczynamy razem pracować…

– Nie, żadnych kwiatów.

Uwierzyłam mu. I byłam o krok bliżej, by zgodzić się na to, by został moim partnerem. W porównaniu z Cieniami nie był taki najgorszy. Miałam przekrój, to mój piętnasty partner zaproponowanym mi przez ostatnie dwa lata.

– Czy ja też mogę o coś zapytać?

– Wygląda na to, że właśnie to zrobiłeś. Pytaj – zachęciłam, bo jego pytanie mogło mi powiedzieć więcej o nim niż jemu moja odpowiedź o mnie.

– Czy to prawda, że zabiłaś cały swój zespół? – zapytał.

– Nie zabiłam ich. Ale nie żyją. Nie chcę o tym mówić. Nigdy.

Przytaknął, godząc się na warunek, i chyba zyskał u mnie kolejny punkcik.

– Czemu nie masz broni palnej? – zapytałam, bo to faktycznie zwróciło moją uwagę, kiedy obszukałam go i sprawdziłam jego torbę.

– Nie działa.

Uniosłam brew.

– W moich rękach nie działa. Pociski nie trafiają celu, za to chętnie wybuchają w komorze czy rozsadzają lufę. Ale z łuku albo kuszy trafiam jak snajper, choć niestety na mniejszą odległość.

– Z elektroniką masz podobnie?

Przytaknął.

Ciekawe.

– Rozwiążesz mnie teraz? – zapytał spokojnie.

– Jeszcze chwila…

Zawołałam Ilię. Nie po to, by przeprowadził Robinowi przegląd dentystyczny, ale by sprawdził go dokładnie skanerem. Może Irena do biletu śmierci dorzuciła pluskwę. Ściany schronu nie przepuszczą sygnału, o to byłam spokojna, ale jeśli miał się pałętać w okolicy, nie chciałam, by Matka mogła go namierzać. Ilia miał bezwzględną niechęć wypisaną na twarzy. Może wciąż uważał, że zabicie Robina było najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Wkroczył do pomieszczenia, starając się sprawiać wrażenie groźnego, jednak Robin nie wydawał się przestraszony. Z zaciekawieniem spoglądał na niesione przez mężczyznę urządzenie, wyglądające jak skrzyżowanie licznika Geigera z wykrywaczem metalu używanym na lotniskach.

Ilia postawił pomarańczową skrzyneczkę z licznikami i zaczął skanować Robina, rozpoczynając od jego nóg. Maszyna niemal natychmiast zaczęła wydawać z siebie szereg pisków, gwizdów i szumów. Wskazówki na licznikach magicznych wychylały się daleko poza skalę. Robin odchrząknął.

– To się czasem zdarza. Jestem nieco zdenerwowany – powiedział.

Przyznaję, byłam o włos od wybuchnięcia śmiechem. Facet siedzi związany w nieznanym mu miejscu, pilnowany przez kobietę o takiej a nie innej reputacji, kamienowany morderczymi spojrzeniami Ilii, i stwierdza, że jest nieco zdenerwowany. Przymknął powieki i odetchnął głęboko. I jeszcze raz. Chwilę wcześniej spostrzegłam cień napięcia w jego ciele, choć

wydawał się absurdalnie wyluzowany. Ale teraz w ułamku chwili zmienił się w oazę spokoju. Widziałam, jak relaksują się nawet mięśnie jego twarzy, jak rozluźniają się mimiczne zmarszczki koło oczu i ust. Wciąż skrępowany, ręce miał za plecami, a kostki przywiązane do nóg krzesła, sprawiał wrażenie, jakby było mu tu całkiem wygodnie. To było imponujące i cholernie chciałabym się czegoś takiego nauczyć!

Urządzenie Ilii przestało wyć i gwizdać, szumiało sobie cicho, a strzałki wychylały się dość mocno, ale nie odbijały się już od końca skali, jak w tańcu świętego Wita. Ciekawe. Gdy Ilia przejechał czujnikiem po plecach Robina, znów rozległ się alarm, ale tym razem nie był związany z magią.

– Pluskwa – powiedział, spoglądając z niechęcią na więźnia, który, to oczywiste, własnoręcznie wszczepił sobie nadajnik pod łopatkę.

Ilia kontynuował skanowanie, aż dotarł do głowy i przy twarzy znów zabrzęczał alarm.

– Jeśli chcesz go gdziekolwiek zabierać, ten zestaw dentystyczny się przyda – oświadczył, zwijając kable urządzenia. Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Robin, pierwszy raz, odkąd trafił w niewolę, wzdrygnął się. Nie wiedziałam, czy zaskoczyły go pluskwy, czy wzmianka o interwencji dentystycznej.

Ilia wrócił z bardziej precyzyjnym urządzeniem, przypominającym te, którymi szuka się elektrycznych kabli w murach – skórzanym pokrowcem z narzędziami.

– To naprawdę konieczne? – zapytał spokojnie Robin.

– Jeśli chcesz biegać z chipem jak posłuszny szczeniak czy krowa, nie mam z tym problemów, o ile będziesz się trzymał tak daleko ode mnie, jak to możliwe. Nie chcę, by ktokolwiek mógł mnie śledzić – oświadczyłam.

– Masz coś do ukrycia przed Matką? – zapytał, przechylając głowę.

– Całe mnóstwo rzeczy. Twój wybór.

Skinął z pewnym ociąganiem. Nie dziwiłam mu się. Wolałabym walkę na ringu z trollem górskim niż wyrywanie zęba. Ilia nie wyglądał na przejętego czy troskliwego dentystę. Zacisnął dłoń na żuchwie Robina i zmusił go do otwarcia ust. Przyświecając sobie latarką, oglądał dokładnie szczękę.

– Lewa siódemka. Implant – oświadczył. – Wyrywając, rozwalę kość, muszę to wykręcić.

Rozwinął skórzany pokrowiec. Obok skalpeli, cęgów i dłutek leżały piła do amputacji kończyn, wziernik laryngologiczny z lusterkiem, rzemienna opaska uciskowa i szklana strzykawka z igłami wielorazowego użytku. Całość sprawiała wrażenie starych, może nawet dziewiętnastowiecznych, i dość cennych. Nigdy wcześniej nie widziałam tego zestawu – możliwe, że nasze relacje nie były od początku tak napięte, jak sądziłam. Nie bawił się w dezynfekcję narzędzi, po prostu wsadził cęgi o zaokrąglonych brzegach w usta Robina i zaczął nimi manipulować, przeklinając po cichu. Robin jęknął kilka razy, a po skroni spływały mu kropelki potu, ale nie krzyknął, a gdy Ilia wreszcie wyciągnął implant z jego szczęki, nie nazwał go rzeźnikiem, choć nie byłoby to określenie na wyrost.

– Popatrz. – Ilia podsunął mi pod nos obcęgi z zębem.

Implant nie był z tytanu czy stali chirurgicznej, czego można byłoby się spodziewać. Korona zęba wyglądała na kość słoniową, niezwykle gładka powierzchnia nie nosiła śladów zużycia. Zamiast korzeni ząb posiadał złotą śrubę z bardzo precyzyjnym gwintem, niełatwym do wyżłobienia w miękkim metalu. Ilia schwycił delikatnie ząb i odkręcił go od śruby. W wydrążonej koronie spoczywał nadajnik, ale zupełnie nie taki, jak się spodziewałam. Okruch czarnej skały, może meteorytu, skoro dawał tak silny odczyt na czujniku, nie miał w sobie nic elektronicznego. Wyglądał na stworzony na długo przed epoką elektroniki. I bez wątpienia był stary i magiczny.

Na pewno Matka nie marnowałaby funduszy tylko po to, by zapewnić Robinowi estetykę dentystyczną. Mając do dyspozycji zdobycze techniki, takie jak nadajniki GPS, nie bawiłaby się w zaklęcia.

– Ktoś nie chciał cię spuścić z oka – powiedziałam cicho.

Robin wyglądał na wstrząśniętego. Spoglądał na implant i niemal widziałam, jak trybiki w jego mózgu obracają się niczym karuzela naspeedowanego chomiczka. Ilia odłożył obcęgi na stół, owinął ząb chusteczką higieniczną i oświadczył:

– Zajmij się tym na plecach, a ja sprawdzę ten.

Wyszedł i po chwili usłyszałam łomot windy w szybie.

Rozwiązałam Robinowi ręce i poprosiłam, by zdjął koszulkę i sweter. Ociągał się z tym nieco, zaczerwieniony na twarzy, spodziewałam się więc zobaczyć jakieś straszne blizny albo pijacki tatuaż z postaciami

z kreskówek, ale nic z tego. Normalna, nieźle umięśniona i owłosiona klatka piersiowa.

– Pochyl się – poprosiłam.

Dokładnie namierzyłam nadajnik pod łopatką, by nie robić za dużego nacięcia. Skalpelem z kompletu Ilii nacięłam skórę i pęsetą wyciągnęłam urządzenie wielkości ziarenka soczewicy. Całkowicie nowoczesne, elektroniczne i przewidywalne. Z apteczki Robina wyjęłam mały plaster i zakleiłam rankę. Już właściwie nie krwawiła. Robin nie powiedział w czasie zabiegu ani słowa, nawet nie syknął ani nie jęknął.

– Po co mi je wszczepiła? – zapytał, nie rozumiejąc.

– Bo jest wścibską babą – odparłam. – W twoim przypadku i tak była miła, bo wybrała plecy. Ja musiałam sobie wydłubywać nadajnik z pachwiny. Do dziś mam bliznę.

– A ząb? – dopytywał.

– Dowiemy się.

Schylił się i rozplątał więzy wokół kostek. Wstał i się przeciągnął, jakby zdrętwiał mu każdy mięsień, i szybko założył z powrotem wyblakły od prania T-shirt i cienki czarny sweter wypchany na łokciach.

Nie wyglądał jak jeden z Cieni. Wyglądał jak nauczyciel sztuk pięknych w dobrym liceum. Z tą brodą, długimi włosami i spojrzeniem labradora – szczerym i przyjaznym – wodziłby serca uczennic na pokuszenie, rozmawiając z nimi o boskich proporcjach na przykładzie *Dawida* Michała Anioła, a one fantazjowałyby o nim, oglądając marmurowe mięśnie na posągu.

– Możemy uznać ten etap za skończony? – zapytał z lekkim rozdrażnieniem. – Jestem cholernie głodny. Czy tu w ogóle można zjeść coś dobrego? W Warsie, znaczy. W ciągu ostatnich dwóch tygodni jadłem najgorsze kebaby i hot dogi w życiu. O pizzy nie chcę pamiętać. A serwowane w zakonnej kantynie szare breje nawet nie zasłużyły na własną nazwę. Wychodzenie do realnego miasta na każdy posiłek jest takie uciążliwe!

– Próbowałeś w Dzielnicy Cudów?

Pokręcił głową.

– Nie znam, to jakiś lokal?

– Nie. To dzielnica, dosłownie. Najpiękniejsze i najbrzydsze, co Wars ma do zaoferowania. Osobiście uwielbiam. I można tam dobrze zjeść.

– Prowadź. Ja stawiam – rzucił odważnie. Nie widział, biedak, ile potrafię zjeść.

Uśmiechnął się szeroko, jakbym przed chwilą nie trzymała go przywiązanego do krzesła, nie ogłuszyła go, nie przepytywała, nie rozcinała mu skóry, a Ilia nie groził śmiercią. Albo ten facet miał pamięć złotej rybki i już mu to wszystko wyleciało z głowy, albo naprawdę wziął sobie do serca przypowieści o wybaczaniu bliźnim. Mógł też próbować mnie zmylić i przy pierwszej okazji wbić mi nóż w plecy…

Nie rozumiałam tego, ale jakaś część mnie cholernie chciała mu zaufać. Jakbym mogła sobie pozwolić na taki luksus. Ta sama część mnie pragnęła, by był on dokładnie taki, jak się wydaje – uczciwy, niedzisiejszy, w jakimś stopniu – sama nie wiem – honorowy? Cała reszta mnie wyzywała ten kawałek od naiwniaczek i idiotek, ale bardzo, bardzo cichutko, jakby miała nadzieję, że się myli.

Patrząc, jak Robin sprawnie pakuje wszystkie swoje rzeczy do sakwy z zamszu tak zużytego, że aż jedwabistego w dotyku, pomyślałam, że Aleks zawsze uprzedzał mnie, że do tego dojdzie. Kiedyś zwariuję i moje wewnętrzne głosy zaczną się kłócić. I może właśnie nadszedł ten moment. A może po prostu powinnam przestać to analizować i dać facetowi szansę, by się przekonać, która część mnie miała rację.

Nawet na chwilę nie zamierzałam się rozstawać z Inkwizycją, więc jeśli okazałby się gadem, po prostu go zastrzelę.

Rozdział 6

Ktokolwiek odpowiadał za transfer Robina do Warsa, zasłużył na manto. Facet nie wiedział zupełnie nic o tutejszym alternatywnym mieście i dziwiłam się, że jeszcze żył. Nikt go nie uprzedził, na co ma uważać, gdzie się nie zapuszczać, gdzie nie jeść, gdzie nie spać… Albo miał więcej szczęścia niż rozumu, albo cała ta fasada miłego chłopca była ściemą jak stąd do Trójprzymierza. Nie miał mieszkania. Nocował w części mieszkalnej siedziby Zakonu. Wedle statystyk więcej osób zginęło we śnie w tym miejscu niż w szpitalu, gdzie trafiali poharatani po nieudanych akcjach. Nie spędziłam tam nawet jednej nocy – wolałam się przespać w pierwszych lepszych ruinach, w których mógł mnie znaleźć wilkołak, wąpierz czy złodzieje.

Szliśmy pieszo ulicami Przylepki, niewielkiej dzielnicy wciśniętej między Dzielnicę Cudów a Twierdzę, luksusowy i superstrzeżony dystrykt ludzi dość majętnych, by kupić sobie względnie spokojny sen. Straże, ogrodzenie i ochronna kopuła w nocy sprawiały, że roczny czynsz był wyższy niż moje pięcioletnie zarobki, ale chętnych nie brakowało. Jedna z pancernych willi należała do Ireny. Na granicy Twierdzy stała siedziba Zakonu. Przylepka na tym korzystała. Statystycznie była bezpieczniejsza od Straconej Dzielnicy, Ugorów czy zdziczałej Sawy po drugiej stronie Wisły. Częściowo ze względu na bliskość Dzielnicy Cudów, której magia odpychała wszystko, co mogłoby zakłócić jej delikatną równowagę, częściowo ze względu na patrole strażników Twierdzy.

A jednak opłacenie czynszu nie przekraczało możliwości zwykłego obywatela i można tu było żyć całkiem wygodnie. Karma i Aleks wybrali tę okolicę właśnie dlatego. Ja wynajęłam dom, by mieć blisko do nich.

– Czemu nie weźmiemy samochodu? – zapytał raz jeszcze Robin. Poprzednia odpowiedź („bo nie”) widać mu nie wystarczyła.

– Bo tylko idiota zostawiłby go przy granicy. Kiedy byś po niego wrócił, nie miałbyś kół i radia. A nie wjedziesz samochodem do Dzielnicy Cudów,

bo jest zbyt nowy. Jeśli nie jeździsz fordem z 1936, nie dasz rady. Zardzewieje, stanie na środku drogi albo wybuchnie, ale nie pojedzie.

– Mogłem pojechać rowerem.

Nie docenił mojej krytycznej uwagi o jego środkach lokomocji.

– Jasne. Jeśli nie masz przerzutek czy światełek na baterie, a rower nie jest ze stopu aluminiowego czy włókna węglowego.

– Magia tego miejsca jest aż tak wybredna?

– Wystarczająco, by to było pewnym wyzwaniem. Na szczęście dla nas koncentruje się bardziej na technologii czy pojazdach i nie znikną mi z tyłka portki z domieszką lycry czy z pleców kurtka z podszewką z poliestru. Ale gdybyś miał rozrusznik serca, odradzałabym wycieczkę.

– Ciekawe – powiedział. – A broń palna?

– Rewolwery. Samopowtarzalna jest bardzo zawodna. Tyle że nie radziłabym ci wyciągać spluwy w Dzielnicy Cudów. Macki nie lubią zbyt widowiskowej przemocy na swoich ulicach. Tamtejsi stróże porządku – dodałam, kiedy zauważyłam, że nie rozumie.

Nie wspomniałam, że sama pełnię tam dorywczo taką funkcję, bo moje związki z Dzielnicą Cudów były skomplikowane i chciałam je utrzymać jak najdalej od Zakonu.

– Jak to właściwie jest tu z tą magią? – zaczął po chwili ciszy. – Bo czuję ją… dziwnie. Jakby stała w miejscu… Nie umiem tego lepiej nazwać.

– Ile wiesz o tym, co się tu zdarzyło w czasie wojny? – zapytałam cierpliwie.

Kolejny raz okazywało się, że Zakon szybciej wręcza broń, niż wprowadza w podstawowe fakty.

– Doszło do skażenia… i coś się stało? – Miał minę chłopca wywołanego do tablicy.

Westchnęłam. Ale zaczęłam opowiadać. Może miałam więcej z mojego brata, Kosmy, niż zwykłam przyznawać, ale lubiłam historię. I wierzyłam w to, że niewiedza zawsze jest słabością, a skoro Robin miał się przez kilka miesięcy plątać u mojego boku…

– Wersja względnie krótka. Przed wojną Wars i Sawa były bliźniaczymi miastami wedle jednych lub jednym miastem, choć rozdzielonym nie tylko Wisłą, wedle innych. Nie żyły ze sobą najlepiej. Sawa była dość sielskim, spokojnym miastem-wsią: osiedla domków jednorodzinnych, mnóstwo ogrodów, parków, zieleni, jak to zwykle w miejscu zamieszkiwanym przez

liczne wiedźmy ziemi. Wars w tym czasie miał ambicje metropolii, kultywował ruch i postęp. Był największym miastem alternatywnym w Polsce i bardzo szybko się rozwijał. Nie miał, jak Thorn, problemów z Niebem i Piekłem, nie był ograniczony porozumieniami trójstronnymi jak Trójprzymierze. Każdy mógł się tu osiedlić i szukać szczęścia. To stanowiło jeden z problemów. Miasto się rozrastało za szybko, by bariera między płaszczyznami nie ucierpiała. Może by przetrwała, gdyby nie tragiczny w skutkach wypadek. Granica między realnym i alternatywnym miastem zawsze jest najcieńsza w okolicy bram, portali, przesmyków, jak zwał, tak zwał. Kiedy wybuchła II wojna światowa, Warszawa dostała solidnego łupnia. Główna brama do Warsa mieściła się w najgorszej z możliwych lokalizacji. Niemcy właśnie tam postanowili urządzić getto. Moim zdaniem to nie miało aż takiego znaczenia. Całe miasto cierpiało. Krew spływała ulicami, ludzie głodowali, płakali, umierali, tracili bliskich. Za dużo zła i nieszczęścia, by równowaga mogła zostać zachowana. Wszystko to odbijało się na alternatywnym mieście, choć po jego ulicach nie maszerowali hitlerowcy, a przy krawężnikach nie leżały ciała zmarłych. Linie magiczne są wspólne dla realnego i alternatywnego miasta. Nasiąkały tym koszmarem i nie było ratunku. Mieszkańcy Sawy próbowali uszczelniać granicę między światami, bo pierwsi zorientowali się, że czeka ich zagłada. Nie udało im się. Trudno sobie wyobrazić, co się właściwie stało. Dziś powiedzielibyśmy, że była to klęska ekologiczna. Poziom skażenia magicznych linii stał się tak wysoki, że zaczęły niszczyć wszystko. Najpierw Sawę, bo była najsilniej związana z białą magią i skażenie ciemnością odbiło się na niej najszybciej i najmocniej. Wiedźmy umierały albo zmieniały się w stworzenia z koszmarów. Ziemia została wypalona. W Warsie było tylko odrobinę lepiej. Wszyscy czekali na koniec wojny, na moment, w którym linie się oczyszczą lub zła energia się rozrzedzi, rozpływając się po innych liniach. Ale wtedy magia zadziałała w sposób, jakiego nikt nie przewidział. Zamknęła obwód. Oddzieliła się od reszty sieci, jakby chroniła je przed tym skażeniem. To samo, jak się później okazało, zrobiły linie w miejscach szczególnie przeciążonych złą energią. Na przykład w okolicach obozów koncentracyjnych. Sieć amputowała zakażone gangreną kończyny. Należały do nich także Wars i Sawa. I nigdy już nie miały być normalnymi miastami. Kto zdołał, opuścił je od razu. Ściągali tu za to ci, którzy od białej magii woleli tę ciemną.

– Czyli to nie złudzenie z tym, że nie płynie…

– I tak, i nie. Nurt jest bardziej powolny, ale jest. Trochę jakbyś zamienił setkę rzek i strumieni w jezioro. Mocy jest bardzo dużo, ale więcej wysiłku kosztuje jej pobranie, bo nie wystarczy poczekać, aż sama przepłynie.

– Nie próbowano po jakimś czasie odblokować linii? – Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Próbowano. Bezskutecznie. Uważaj, teraz lekko zaboli – powiedziałam, bo dotarliśmy do granicy Dzielnicy Cudów.

Jęknął zaskoczony, gdy ochronna magia zgięła go wpół. Spojrzałam zaciekawiona, bo intensywność reakcji zależała od poziomu magii, którą władał. No, chłopcze, pomyślałam, mamy swoje tajemnice. Zdziwiłabym się bardziej, gdyby zaczął mi je zdradzać od razu. Poprowadziłam go ulicą Żelazną, która zamykała dzielnicę od południa, bo niczym rasowy przewodnik chciałam, by nacieszył oczy Ogrodami Izaaka, zanim trafi na brudne i biedne Powiśle. Na swój sposób kochałam tę dzielnicę. Nie na tyle, by tu zostać na stałe, skoro to „stałe” byłoby nieodwracalne i wieczne, ale dość, by z sentymentem często tu wracać.

Słysząc nadciągający tętent kopyt, pociągnęłam Robina za ramię. Dorożka minęła nas o kilka centymetrów – ulica była dość wąska, a buda szeroka. Woźnica rozbujał ją tak, że jeszcze dłuższą chwilę słyszałam chrzęst rzemiennych pasków, spełniających funkcję amortyzatorów, i furkot żakardowych zasłonek z herbem Syndykatu.

Robin przystanął zaskoczony.

– Nie żartowałaś z tym trybem retro! – krzyknął.

– Jeśli retro trzyma ludzi przy życiu, staje się ich religią – powiedziałam z uśmiechem. – W czterdziestym czwartym, kiedy stało się jasne, że Wars nie ma szans ocaleć, ksiądz, pop i rabin, prawie jak w dowcipie, postanowili spróbować czegoś szalonego. Znali się dobrze, opiekowali się bowiem cmentarzami protestanckim, żydowskim i katolickim, które z sobą sąsiadowały. Może dlatego potrafili się dogadać, gdy przyszedł trudny czas. Każdy z nich miał dość otwartą głowę, by rozumieć, że magia i religia stykają się na płaszczyźnie mistycyzmu. Nikt nie wie, czy wykorzystali jakieś zaklęcie z kabały, czy stworzyli je sami i uruchomili intencję wystarczająco silną, by zadziałało, czy faktycznie, jak wierzą niektórzy, są świętymi zesłanymi przez Boga, natchnionymi przez anioły dla ocalenia choć części miasta. Każdy wybiera swoją wersję wiary…

– Jaka jest twoja?

Było to pytanie z gatunku tych intymnych, ale odpowiedziałam:

– Moim zdaniem do tego, co osiągnęli, potrzeba było starej magii i mnóstwa wiary. Nie brakowało im żadnej z nich, czyli prawda leży gdzieś pośrodku. Mówią, że samo rzucenie zaklęcia trwało dobę i towarzyszyła temu burza, jakiej nikt nie pamiętał. Mówią też, że tamtej nocy wszyscy mieszkańcy zasnęli i nie wszyscy się obudzili.

– Wiadomo, jaki był cel zaklęcia? – zapytał.

– Podanie mówi, że kapłani życzyli sobie, by ich miasto stało się bezpieczne i spokojne, jak przed wojną. Magia nie jest nauką ścisłą, więc zadziałała po swojemu. Cerkiew, synagoga i kościół wyznaczyły wierzchołki trójkąta, linie poprowadzone na mapie między nimi zarysowały granice nowej dzielnicy. Dzielnicy Cudów, bo cofnęli ją w czasie. Na zawsze zatrzymali ją w 1936 roku, kiedy miasto było bezpieczne.

– To jest szalone!

– A jednak prawdziwe. Ci, którzy tu wówczas byli i przeżyli, żyją do dziś, nie zmieniają się, nie starzeją. Zaklęcie uczyniło z nich część integralną dzielnicy. Nowi przybywali i magia dzielnicy uznawała ich za własnych lub zabijała. Dlatego mówiłam ci, byś tu nigdy nie nocował, chyba że chcesz się pożegnać z życiem, jakie znałeś. Bo prawdopodobnie zostaniesz obywatelem Dzielnicy Cudów i już nigdy nie zdołasz jej opuścić, bo zabije cię, jak to tu nazywają, tęsknica. By nie pozostawić cię z romantyczną wizją choroby, wyjaśniam, że wygląda to raczej jak magiczna wersja dekompresji: nic przyjemnego.

– Ale równie prawdopodobne, że nie obudziłbym się rano? – upewniał się.

– Dzielnica sama decyduje, czy cię chce, czy jej pasujesz, czy nie zakłócisz jej równowagi. Statystycznie częściej przyjmuje młode dziewczęta niż facetów po trzydziestce parujących dziwną magią, więc czuj się ostrzeżony.

Przez chwilę szliśmy niespiesznie główną aleją Ogrodów Izaaka. Jeszcze przed wojną były wspaniałe i otaczała je legenda, bo cadyk Izaak nie tylko sprowadził mnóstwo egzotycznych roślin, ale i skomponował z nich oszałamiające krajobrazy. Altanki, gazony, świątynie dumania, malownicze ruinki wzorowane na zabytkach jerozolimskich wyrastały spomiędzy ekspansywnej roślinności, gęsto przetykanej papuzimi kolorami orchidei

i najróżniejszych kwitnących krzewów i drzew roztaczających nad alejkami baldachimy różowawego kwiecia. Najdziwniejsze było to, że cykl wegetacyjny tych roślin zupełnie nie przejmował się srogimi zimami ani tym, że powinny przekwitać i straszyć suchymi badylkami. Przekwitały tylko po to, by zaraz wypuścić nowe pąki. Pomnik niezniszczalnej żywotności w samym środku okaleczonego miasta. I nie był to wynik zaklęcia Trójcy, jak nazywano trzech kapłanów. Cud Izaaka to pierwszy, który dotknął Dzielnicę Cudów. Uwielbiałam to miejsce. Stanowiło przeciwwagę dla całej tej szarości i ruin po drugiej stronie. Zupełnie nie przeszkadzało mi, że w gęstwinie mieszkały nie tylko ptaszęta, ale i węże czy mityczne stwory. Należały do tej okolicy. I cieszyłam się, że ulica Żelazna, która wytyczała południowo-wschodnią granicę Dzielnicy, obiegała Ogrody i tym samym chroniła je przed czkawką. Może nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, ale widok tych wciąż żywych roślin podnosił mnie na duchu. Nie było jeszcze tak źle. Żyliśmy.

Robin nic nie mówił, ale patrząc na jego twarz, widziałam, że i na nim dzieło Izaaka robiło wielkie wrażenie. Gdy wyrosła przed nami kuta brama obrośnięta girlandami pachnącego groszku, schwycił mnie za ramię tuż nad łokciem i uścisnął. Nie wypowiedział słowa, ale odczytałam sygnał: przyjął prezent, jaki otrzymał, i to już będzie między nami.

Wyszliśmy z Ogrodów na brukowaną ulicę Zieloną, biegnącą prosto do placu Księżycowego – oficjalnego centrum dzielnicy. Pośrodku prostokątnego wyłożonego kostką placu wyrastał pomnik z brązu. Twórca w dość niefrasobliwy sposób oddał szczegóły anatomiczne uwiecznionych postaci, ale z pewnością włożył w dzieło całe swoje serce. Monument przedstawiał Boginię Matkę obejmującą nieco nienaturalnie długimi ramionami całą Trójcę, przedstawioną jako trzech mężczyzn w kwiecie wieku, urodą prześcigających gwiazdy przedwojennego kina, a fizyczną tężyzną równie imponujących, jak imponujący był wyprężony biust Bogini. Pomnik wzniesiono wkrótce po wojnie. Przez jakiś czas nawet planowano zmienić nazwę tego miejsca na plac Trójcy, ale najskromniejszy z całej trójki pop zaprotestował, że nie wypada, skoro wszyscy trzej nie tylko żyją, ale i nie umrą, bo zaklęcie wyłaniające Dzielnicę uznało ich, obok kilku innych osób, za Filary, niezbędne do trwania zaklęcia, więc nieśmiertelne. Tuż przy pomniku stała w pełni funkcjonalna studnia z kamienną cembrowiną i pseudogóralskim daszkiem. Mieszkańcy, umawiając się na

spotkania czy randki, z jakichś powodów nie umawiali się „pod pomnikiem”, ale właśnie „przy studni”. Wokół placu, ustawione niczym kolorowe domki z klocków lego, mieściły się najważniejsze instytucje Dzielnicy Cudów: burdel, kabaret, jadłodajnia, dom towarowy, ratusz i sąd oraz komisariat policji. Wymieniłam je w kolejności odpowiadającej władzy, jaką miały nad duszami mieszkańców, oraz randze faktycznych wpływów politycznych w Dzielnicy. Najlepszym dowodem było to, że posiadaczka Tierra del Fuego, ekskluzywnego domu schadzek, i jej siostra, właścicielka kabaretu Pozytywka, zostały Filarami, gdy tylko wyłoniła się Dzielnica. Żaden z członków Syndykatu zasiadających w ratuszu nie był niezbędny do jej istnienia. One – tak.

Poprowadziłam Robina do lokalu, którego witryny zdobiły zasłony w krateczkę i wymalowane na szybach owoce i rogaliki.

– To najlepsza jadłodajnia w mieście. Zawsze bądź uprzejmy dla pracownic, inaczej dostaniesz wilczy bilet. Nigdy nie pytaj, co jest w gulaszu czy zupie. To kwestia zaufania.

– A co może w nim być?

– U panny Waci nic strasznego. W innych miejscach? Jeśli masz szczęście – szczurzyna, jeśli nie masz, twój obiad mógł do niedawna posiadać dowód osobisty.

Robin zbladł i przystanął. Dobrze wiedzieć, że podchodził poważnie do kwestii posiłków. Nie ufam ludziom, którzy nie przywiązują wagi do jedzenia.

– Jeśli ci to przeszkadza, nigdy nie jedz w miejscach, w których zawsze mają mięso w menu. Poobserwuj chwilę. Większość lokali musi sprowadzać mięso spoza dzielnicy, spoza miasta. Rozboje zdarzają się na tyle regularnie, że nie ma tygodnia, by choć jedna dostawa nie przepadła. Uczciwa jadłodajnia poda wtedy jajka, kartofle z omastą czy zupę. Ci, którzy wolą zarobić na mięsie, znajdą sposób, by je zdobyć. Nie chcesz dokładnie wiedzieć jak.

Przytaknął, a trybiki w jego głowie aż szumiały – tak starał się zapamiętać każde słowo. Nie spytałam, co bardziej go przeraża: zjedzenie szczurzyny czy ludziny. Pierwsza smakowała łykowato. Drugiej, mam nadzieję, nie próbowałam, choć nie zawsze mogłam się stołować u panny Waci – trzeba było utrzymywać kontakty w całej dzielnicy i trzymać rękę na gastronomicznym pulsie miasta.

Pchnęłam przeszklone drzwi udekorowane zazdrostką z różowym haftem richelieu na tle śnieżnobiałego wykrochmalonego lnu. W jadłodajni u panny Waci czystość była w cenie, tak samo jak klienci dający dobre napiwki. Stoliki dwu- i czteroosobowe oraz ośmioosobowe ławy przykrywano tu czystymi obrusami. Ściany w odcieniu waniliowego budyniu regularnie odświeżano. Podłużna sala kończyła się barem, przy którym po siedemnastej sprzedawano alkohol – wcześniej dało się napić tylko przy stoliku i pod zakąskę.

Janina, pulchna kelnerka w granatowej letniej sukience w koła przepasanej białym fartuszkiem, uśmiechnęła się na powitanie i pokazała mi uniesiony kciuk. A więc moje ulubione miejsce było wolne. Skierowałam się tam bez zwłoki.

Dwuosobowy stolik w rogu stanowił strategiczny majstersztyk. Za plecami ściana, drzwi wejściowe i drzwi na zaplecze w polu widzenia, podobnie jak szeroka perspektywa na całą salę, z barem włącznie. Zostawiałam tu dość pieniędzy, by nie musieć się martwić, czy będzie wolny.

Kurtkę i torbę powiesiłam na oparciu krzesła i poczekałam, aż Janina wróci z kuchni i rozniesie gościom zamówienia.

– Hej, żarłoku – powitała mnie serdecznie. – Mamy dziś twoje ulubione leniwe z cukrem waniliowym i węgierską gulaszową z pulpecikami!

– Mówisz mi zawsze takie miłe rzeczy, kochana! Kiedyś wreszcie dasz się namówić na ślub i zamieszkamy razem w pokoiku nad kuchnią?

Klepnęła mnie przyjaźnie w ucho bloczkiem na zamówienia i spojrzała na Robina.

– A kogo mi dziś przyprowadziłaś? – Zmrużyła oczy, wyraźnie podobało jej się to, co widziała. No tak, zdecydowanie nie grałyśmy w jednej drużynie.

– Kolegę – powiedziałam powściągliwie.

– Z tych kolegów? – spytała, jakby inne słowo było zbyt wulgarne na jej delikatne usteczka.

– Czas pokaże – przyznałam. – Ma jakiś tam potencjał.

– Potencjału mu faktycznie nie brakuje – odparła, wydymając uszminkowane krwistą czerwienią wargi. – Jeśli już zdecydujesz się go nie zabijać, mogłabym go zabrać na jazdę próbną. Co się ma przy tobie marnować?

– Jeśli nie jest idiotą, skorzysta – przystałam, choć widząc rumieniec na twarzy Robina, zaczynałam się zastanawiać, czy to przystojne ciałko było aby w pełni wykorzystywane.

– Więc co dla was? – Janina przeistoczyła się nagle w profesjonalną kelnerkę, co musiało znaczyć, że panna Wacia była w pobliżu.

I faktycznie, po chwili usłyszałam dobiegający z kuchni stukot jej obcasów. Pchnęła biodrem drzwi na salę i wyłoniła się niczym bogini urodzaju, otoczona zapachem pieczystego i marchewki duszonej na maśle unoszącym się znad trzech talerzy. Rozkołysanym krokiem przeszła przez salę, płynnie wymijając stoliki i zbyt mocno wysuniętych na krzesłach klientów.

– Węgierska i leniwe brzmi dobrze. I po kawałku pieczeni z marchewką, bo pachnie świetnie. I litr kompotu rabarbarowego. Nad deserem pomyślimy – dodałam.

Ołówek Janiny skrobał o kartkę, a kilka sekund później wrócił na swoje miejsce – zawadiacko zatknięty za ucho. Kelnerka potrząsnęła czarnymi lokami.

– Kiedyś zdradzisz nam wszystkim to zaklęcie, będę czekać cierpliwie, aż przyjdzie ten dzień – oświadczyła z uśmiechem i poszła do kuchni przekazać zamówienie.

Robin podpierał czoło dłońmi i przyswajał.

– Po pierwsze, czy ona mnie właśnie…? No wiesz…

– Podrywała? Za duże słowo. Zakwalifikowała cię jako wartego tego, by to zrobić, jeśli przeżyjesz okres próbny.

Przyznaję, nie powinnam mieć aż tyle ubawu z jego zmieszania, ale dawno nie widziałam tak wstydliwego faceta.

– A o co chodzi z tym zaklęciem? – dopytał.

Parsknęłam śmiechem.

– Jem i nie tyję. Janinka prawie nie je i nie chudnie. Rozumiesz.

– Nie powinna chudnąć – powiedział i spalił raka.

– Nie takiś głupi, na jakiego wyglądasz – przyznałam, nie odrywając wzroku od panny Waci.

Wacława Kuzdak miała talent. Jak nikt potrafiła nawiązywać z ludźmi szybkie, choć często powierzchowne relacje, i sprawiać, że innym z miejsca poprawiał się nastrój. Była wspaniałą kobietą, nie tyle śliczną, co atrakcyjną, zadbaną i pełną powabu. Miała miękkie, delikatne rysy i pełne,

naturalnie zarumienione policzki, wyraźnie wykrojone usta i niebieskie oczy ładnie kontrastujące z przyczernionymi rzęsami i podmalowanymi brwiami. Jej twarzy nie nazwałabym ładną, a jednocześnie nie sposób było określić ją jako brzydką. Obserwowałam, jak zagaduje do klientów, dopytuje się, czy smakowało, zgrabnie zbiera ze stolików koszyczki z należnościami i napiwkami.

Była dość wysoka, mogła mierzyć sto siedemdziesiąt centymetrów, ale cztery centymetry więcej zawdzięczała skórzanym trzewiczkom. Bordowa sukienka skrojona tak, by podkreślać jej ładnie zaokrągloną pupę i biodra, a marszczona subtelnie na niezbyt okazałym biuście, wirowała wokół kolan, gdy Wacława płynęła wąskimi przesmykami oddzielającymi stoliki. Była fascynująca. A ja nieustannie zachodziłam w głowę, czy używała uroku, czy też nie. Miałyśmy zbyt dobre relacje, a jedzenie tu było zbyt smaczne, bym spróbowała ją o to zapytać.

– Carmen, miło cię znów widzieć w naszych skromnych progach. – Uśmiechnęła się serdecznie, zatrzymując się przy naszym stoliku. – Dobry wybór z węgierską, dostaliśmy cudownie dojrzałą czerwoną paprykę. A to kto? – Była bardziej bezpośrednia od Janiny, ale też dzięki temu należała do najlepiej poinformowanych osób w mieście.

– Robin, mój partner, tak jakby. Robinie, przedstawiam ci pannę Wacławę, właścicielkę najlepszej jadłodajni po obu stronach bramy.

Robin zerwał się z krzesła i ukłonił pannie Waci, aż zmrużyła oczy z zadowolenia.

– Jakież maniery! Marnuje się pan przy Carmen. Kobieta, która je jak furman, nigdy tego nie doceni.

Wzruszyłam ramionami. Nie zawsze miałam czas, by jeść kulturalnie, a liczba kalorii musiała się zgadzać.

Janina wyłoniła się z kuchni z wielką tacą, na której piętrzyło się sześć talerzy i spory dzban kompotu. Szkło pobrzękiwało, kiedy zmierzała w kierunku naszego stolika. W brzuchu burczało mi na samą bliskość jedzenia.

– Smacznego – powiedziała panna Wacia i oddaliła się, na pożegnanie dotykając lekko mojego barku.

– Dlaczego nazywają cię Carmen? – zapytał szeptem Robin, kiedy Janina się oddaliła.

– Oficjalnie tak właśnie się nazywam – przyznałam. – Chyba nie myślałeś, że mam w papierach Modliszka?

– Tamten mężczyzna, ten od zęba, mówił do ciebie Nikita…

– Jeszcze inne miano. Mam ich więcej niż staników z fiszbinami.

– Co to są… Nieważne. Jak się rzeczywiście nazywasz?

– Gdybym ci powiedziała, naprawdę musiałabym cię zabić, a tego na razie nie chcemy?

– Więc jak mam do ciebie mówić?

– Nikita, Carmen, Modliszka, jak chcesz. I nie mów mi, że Robin to prawdziwe imię, bo cię śmiechem zabiję.

– Jest jedynym, jakie mam. – Wzruszył ramionami. – Matka mnie tak nazwała.

– I czekała z nadaniem imienia, aż okazało się, że strzelasz z łuku, czy ty się umiejętnościami dostosowałeś do imienia?

– Tak wyszło – oświadczył i zabrał się do zupy.

Racja, szkoda się rozpraszać, gdy ma się przed nosem węgierską z klopsikami.

Do końca posiłku rozmawialiśmy niewiele. W którymś momencie, gdzieś w połowie pieczystego, Robin uniósł brew i stwierdził:

– Facet, który zaprasza cię do restauracji, musi być przygotowany na niezły rachunek, co?

– Zawsze płacę za siebie – odparłam.

– Feministka?

Z ulgą przyjęłam to, że nie zabarwił tego słowa jak wulgaryzmu. Wydawał się szczerze ciekawy.

– Jasne, jak każda myśląca kobieta, która nie widzi powodu, by część ludzkości była traktowana gorzej tylko dlatego, że ma pochwę, a nie penisa. Ale to nawet nie przez to. Sporo jem. Ktoś, kto płaciłby za mnie rachunek, mógłby niesłusznie założyć, że płaci za coś więcej niż posiłek.

Kiwnął głową i wrócił do jedzenia.

Chwilę później, wciąż bliżej połowy niż końca pieczeni, zauważyłam Janinę, która najdyskretniej, jak mogła, próbowała dać mi jakiś sekretny znak. Westchnęłam. Była cudowną dziewczyną, ale szpiegiem koszmarnym. Pół jadłodajni musiało już widzieć jej wyraziste ruchy brwiami i kiwanie głową w stronę kuchni.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziałam, wstając od stolika. Rzuciłam tęskne spojrzenie na pieczeń, która smakowała absolutnie doskonale, i pewnym krokiem pokonałam odległość, jaka dzieliła mnie od drzwi na zaplecze.

– Masz wiadomość – wyszeptała konspiracyjnie Janina i popchnęła mnie w stronę kuchni, a sama wróciła na salę.

Tu uwijały się dwie kucharki w sięgających podłogi białych fartuchach i w siatkach ochronnych podtrzymujących ich włosy. Długimi jak ramię chochlami mieszały w garach z zupą. Zapach był oszałamiający.

W kącie, przy drewnianym stole zastawionym składnikami na ciasto, stała panna Wacia i rozmawiała z chłopcem, który przestępował z nogi na nogę, wyraźnie rozproszony stojącymi nieopodal brytfankami z pieczenią. Rozumiem cię, chłopcze, pomyślałam. Tomek, bo tak miał na imię dziewięcioletni gazeciarz, był ważnym ogniwem funkcjonowania Dzielnicy Cudów. Telefony, te archaiczne bakelitowe aparaty łączące się z centralką i dwucyfrowym numerem, działały, ale dostęp do nich mieli tylko wybrani. Pozostali korzystali z telegramów nadawanych na poczcie, listów czy właśnie gazeciarzy, licznych jak potomstwo w kochającej się i bogobojnej irlandzkiej rodzinie.

Chłopiec pełniący tę funkcję za kilka groszy przebiegał pół miasta, by dostarczyć liścik czy informację wskazanej osobie. Wielu z nich było w stanie przekroczyć granicę Dzielnicy Cudów łatwiej i mniej boleśnie niż dorośli. Nowe pokolenie lepiej oswoiło się z kapryśną magią Dzielnicy.

– Coś dla mnie masz, jak słyszałam? – zagaiłam.

Pokiwał rudawoblond czupryną i podał mi karteczkę. Przeczytałam ją i zrozumiałam, że już nie skończę pieczeni.

– Panno Waciu, muszę uciekać. Proszę dać Tomkowi to, czego nie zdążyłam zjeść, i wybrany przez niego deser.

Podałam jej zwitek banknotów – dość, by pokryć nasz rachunek, napiwek dla Janiny i napiwek dla niej. Skinęła głową i wsunęła je do kieszeni ukrytej między fałdami sukienki. Jako szefowa nie nosiła fartuszka.

– A ty, mały, szamaj w mojej intencji, może wytrzymam do kolacji.

Pokiwał gorliwie głową, a piegowate policzki podeszły rumieńcem zadowolenia. Z tego, co słyszałam, miał sześcioro rodzeństwa, więc pewnie

nie za często dostawał pełen talerz. Musiała mi wystarczyć zupa i połowa pieczystego. Nie dla mnie leniwe.

Wymknęłam się kuchennymi drzwiami, zostawiając Robina przy stoliku. Jeszcze jeden powód, by zawsze zostawiać dobre napiwki kelnerkom i bufetowym. Nigdy nie wiadomo, kiedy może ci się przydać tylne wyjście. Przez ułamek sekundy miałam wyrzuty sumienia, porzucając partnera – przecież był w tej okolicy pierwszy raz – ale potem mi przeszło. Poradzi sobie, a jeśli będzie sprytny, wykorzysta wiedzę Tomaszka, który właśnie maszerował w kierunku moich talerzy. Uznajmy to za mały test. Musiałam wpaść w jedno miejsce i wciąż nie byłam pewna, czy chcę, by Robin wiedział aż tyle o moim życiu.

Rozdział 7

Jadłodajnia panny Wacławy była jednym z najlepszych lokali gastronomicznych w Dzielnicy Cudów, ulokowanym w prestiżowej okolicy placu Księżycowego, ale wyjściem dla personelu trafiłam na obskurne, ciasne podwórko z wysoką oficyną rzucającą posępny cień na stojące rzędem pojemniki na śmieci, pełne ruchliwych gryzoni, które jakby wyczuwając, że tu nie trafią do menu, nawet nie kryły się ze swoją obecnością. W kącie, między obłażącą z farby ścianą a stalowym kontenerem na śmieci, kucała dziewczynka, trzy-, może czteroletnia, i patykiem rysowała w ubitym, brudnym piasku kółka i kwadraty. Na klapie kontenera siedział wyleniały kot i spoglądał na nią z góry niczym strażnik, który wprawdzie jest zbyt leniwy, by polować na szczury, ale jeśli któryś zbliży się do małej, on się nim zajmie. Słysząc moje kroki, kot uniósł głowę i wbił we mnie na wpół ślepe, pokryte bielmem oczy.

Przecięłam podwórko, korytarzem przemknęłam przez oficynę i już wkrótce trafiłam na równoległą do placu ulicę Zbożową. Klucząc między przechodniami, prawie biegłam. Jakiś dzieciak wyskoczył z bramy i potrącił mnie w pędzie, ale nie zawracałam sobie nim głowy i nie słuchałam jego przeprosin. Stefania – dla klientów jej przybytku: panna Funia – nie nadużywała moich usług i nie była histeryczką, a jednak użyła naszego kodu alarmowego. Coś się wydarzyło i potrzebowała mojej pomocy.

Oficjalnie nie byłam Macką – strażniczką porządku w Dzielnicy Cudów. By nią zostać, musiałabym tu mieszkać, a wtedy o moich powiązaniach z Dzielnicą dowiedziałaby się Matka. Tego nie chciałam. To miejsce było mi potrzebne, by zachować resztki zdrowia psychicznego. Może całe to retro pozwolało mi się łudzić, że skoro to rok 1936, to Ernst i moja matka jeszcze się nie spotkali, ja się nie urodziłam, nie uciekłyśmy od mojego ojca, nie znalazł mnie dwadzieścia lat później, nie pobił, nie torturował, nie okaleczył… Czasami kusiło mnie, by tu zostać. Już na zawsze. Zapracować na rolę Filara, bronić Dzielnicy, mieć swoje miejsce na ziemi. Może kiedyś

się na to zdecyduję, ale jeszcze nie teraz. Najpierw skończę moją sprawę z Ernstem. Uwolnię się od Matki. Ale niech mnie diabli, jeśli do tego czasu nie zrobię wszystkiego, by Dzielnica trwała w swojej chwiejnej równowadze. A na tę misję składała się między innymi dyskretna służba u panny Funi. Czasami zadania, jakie mi wyznaczała, były proste: znajdowałam na jej polecenie części do przedwojennego gramofonu, dyskretnie straszyłam agresywnych klientów, którzy nie rozumieli, że dziewczęta są damami, nawet jeśli pracują w najstarszym zawodzie świata. Ale w takich sytuacjach panna Funia nigdy nie używała kodu alarmowego. Znaczył tyle, że czyjeś życie jest zagrożone i nie ma chwili do stracenia.

Gdy zamieszkałam w okolicy, dobre osiem lat wcześniej, trzymałam się od wszystkich z daleka. Z przyzwyczajenia, z powodu wciąż świeżej traumy, ze strachu. Myślałam, że dam radę żyć sama, w idealnej izolacji. Wytrwałam prawie rok. Nawet Aleksa trzymałam na dystans, choć być może wtedy najbardziej mnie potrzebował – skończył pierwszą fazę leczenia i zaczynał trudną i bolesną rehabilitację. Pod względem racjonalnym to rozumiałam. Pod względem emocjonalnym nie potrafiłam tego udźwignąć. Już raz go uratowałam. Wówczas próbowałam uratować siebie. Byłam zimna i to zimno stało się dla mnie synonimem bezpieczeństwa. Głupio, teraz to wiem.

Nie należałam nigdzie, na niczym mi nie zależało. Nie spałam dobrze, budził mnie mój własny koszmarny wrzask. Jeszcze przez kilka minut po przebudzeniu czułam rozrywające wspomnienie bólu. Uczyłam się panować nad przemianą i nie szło mi to zbyt dobrze.

Nie sądzę, bym mogła długo trwać w nienawiści do siebie, w strachu, w popieprzonej mieszance stresu pourazowego, który zaserwował mi ojciec, i depresji, która przyszła wkrótce po PTSD. Niewykluczone, że dryfowałam w stronę samobójstwa, bo nie umiałam z siebie wykrzesać nawet iskry, która walczyłaby z rosnącą we mnie ciemnością.

Któregoś dnia pojawił się na moim progu posłaniec z pachnącym jaśminem bilecikiem od Anielskiej Apolonii z Dzielnicy Cudów. Oferowała mi zlecenie. Nic trudnego, dobrze płatne. Tylko dlatego się zgodziłam. Nie miałam siły brać robót z Zakonu. Głód powoli zaglądał mi w oczy, a gdy potrzebujesz ośmiu tysięcy kalorii dziennie, nie jest łatwo. Tylko dlatego się zgodziłam. Znalazłam jej tego, którego szukała, w kilka godzin. Był ojcem jednej z dziewczyn, jak się później dowiedziałam, który sprzedał ją

handlarzom niewolników. Apolonia czuła się zobowiązana, by wyrównać rachunki za jedną ze swoich podopiecznych. Poszłam odebrać zapłatę, a ona poprosiła, bym przy stoliku poczekała na koniec przedstawienia, wtedy będzie mogła wymknąć się do biura po pieniądze. Nie chciała opuszczać sali wypełnionej gośćmi, bo i dla niej tu przybyli. Wzruszyłam ramionami. To nie tak, że czekała na mnie kolejna robota czy musiałam być gdziekolwiek indziej. Tęskniła za mną tylko pościel w moim łóżku, sztywna od wypoconej soli.

Ku mojemu zaskoczeniu dobrze się bawiłam. Nawet, pierwszy raz od miesięcy, zaśmiałam się. To był przykry dla ucha i całkiem zardzewiały odgłos, który rozpoznałam z trudem, ale bez wątpienia był śmiechem. Pod koniec finałowego numeru Apolonia usiadła przy moim stoliku. Po blacie przesunęła w moją stronę schludnie odliczony stosik srebrnych monet i talon do jadłodajni panny Wacławy. Zgarnęłam je do torby i spojrzałam na niepokojąco piękną kobietę, która wyraźnie jeszcze ze mną nie skończyła. Pochyliwszy się w moją stronę, powiedziała:

– Samotność i jałowa cisza zabijają duszę po kawałeczku. Czemu kończysz za niego to, w czym zawiódł?

Posłałam ją do diabła i wyszłam. Ale nie mogłam zapomnieć jej słów. I coś ciągnęło mnie do Dzielnicy Cudów. Możliwe, że był to talon do jadłodajni. A może to nie żołądek, a dusza popychała mnie do przekraczania granicy Dzielnicy Cudów.

Odwiedzałam regularnie przybytki panien Borman. Słuchałam piosenek i skeczy kabaretowych w Pozytywce prawie co wieczór. Później zaczęłam odwiedzać pokoje Tierra del Fuego, a zimno ustępowało, kiedy gorąca skóra dziewcząt ocierała się o moją. Seks z kobietą jest trudniejszy niż seks z mężczyzną. Próbowałam obu. Z kobietą nie sposób się wyłączyć, przynajmniej ja nie potrafiłam. Nawet wtedy, kiedy przychodziłam właśnie na seks, nie na pogaduchy do poduszki, dopuszczałam dziewczęta bliżej niż kogokolwiek ze znajomych, że o rodzinie łaskawie nie wspomnę. Być może jestem jedyną osobą na świecie, której dziwki pomogły wypełznąć z depresji i zespołu stresu pourazowego. Ta opłacona srebrnikami bliskość była lepsza niż żadna. I otwierała mnie na ludzi bardziej, niż sądziłam, że mogę się otworzyć. Odkryłam, że na swój sposób dziewczęta z Pozytywki i Tierra del Fuego były najbardziej czułymi i bezinteresownymi

stworzeniami, jakie kiedykolwiek poznałam. A potem jedna z nich uratowała mi życie, jakbym nie zawdzięczała im dość.

Szpiedzy, agenci, zabójcy na zlecenie, najemnicy, ludzie tacy jak ja zawsze dobrze żyli z burdelmamami i dziewczynkami, bo zawsze były dobrze poinformowane i miały dostęp do tych, którzy poza drzwiami burdelu otaczali się ochroną. Były przydatne. A dla mnie jeszcze troszkę ważniejsze.

To dość smutne, ale w ich czułych ramionach znalazłam więcej akceptacji, niż otrzymałam od matki przez trzydzieści lat mojego życia. I nie wymagały więcej niż kilka srebrnych monet. Jeśli dorzuciłam im orgazm gratis, były szczęśliwe i wyciągały z nocnej szafki butelkę koniaku.

Dziś raczej nie korzystam z ich usług. Zaangażowałam się wystarczająco na poziomie emocjonalnym, by choć granicę ciała ustawić od nowa. Zależało mi na nich. A skoro panna Funia używała kodu alarmowego, prawie na pewno chodziło o jedną z dziewczyn – siostry Borman były niemal nieśmiertelne.

Przecięłam plac Księżycowy z idiotycznym pomnikiem Trójcy i zastukałam kołatką w ciężkie drewniane drzwi w kolorze wiśniowym, ozdobione okuciami w kształcie kwiatów. Lokaj otworzył bez zwłoki i powiedział:

– Pani czeka w gabinecie.

Skinęłam mu głową na powitanie i wbiegłam na piętro po schodach wyłożonych ciemnozielonym chodnikiem. Minęłam salonik dla gentlemanów, jak zawsze tonący w dymie cygar, i zamknięte drzwi dyskretnych pokoi do „prywatnych pogawędek” z dziewczętami. Gabinet właścicielki przybytku mieścił się na końcu korytarza, za dekoracyjnymi witrażowymi drzwiami w stylu art deco.

Zastukałam w szybę i nacisnęłam klamkę, nie czekając na zaproszenie. Wiedziała, że przekroczyłam próg Tierra del Fuego sekundę po tym, jak minęłam lokaja.

Stała przy oknie, odchylając koronkowe firanki spływające aż do podłogi. Wysoka, smukła i spięta. Jak zawsze doskonale ubrana – w bluzce z wysoką stójką i koronkowymi rękawami i wąskiej spódnicy z przedłużoną kontrfałdą udrapowaną z tyłu tak, by dodać prostej kreacji dramatyzmu – wyglądała elegancko i kobieco. Spinka zdobiona perłami i granatami mocno kontrastowała z jej włosami, lśniącymi i starannie ułożonymi w fale.

Odwróciła się po kilku sekundach. Jej chłodna, wyrazista twarz nie zdradzała emocji. Makijaż był równie idealny jak zawsze – jasny puder, odrobina różu, przyczernione rzęsy i mocna czerwień szminki… A jednak wystarczyło, że uniosła powieki i spojrzała mi w oczy, bym wiedziała, że była więcej niż niespokojna. Dopiero teraz dostrzegłam, jak pobielałe kłykcie jej palców zaciskały się na mięsistej koronce rękawów.

– Apolonia? – szepnęłam, czując zimny dreszcz przebiegający mi przez plecy.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Nie, dzięki Bogu z Polą wszystko dobrze. To Zelda…

Zakręciło mi się w głowie. Miałyśmy za sobą kawałek wspólnej historii, ja i Zelda. Zawdzięczałam jej życie i może coś więcej. Nagle usłużna pamięć podsunęła mi przed oczy paczkę z okaleczonymi różami i martwe ciałka modliszek przyszpilone do pudełka. Ze wszystkich moich więzi w Dzielnicy ta z Zeldą była może najbardziej znana. Czy ktoś jej zrobił krzywdę, by dobrać się do mnie?

– Żyje? – zapytałam. Sama się zdziwiłam, że mój głos brzmiał tak spokojnie.

– Nie wiemy. Zniknęła. Nie pojawiła się na próbie ani na występie. Nikt jej nie widział od dwudziestu godzin…

– Co z Alicją? – zapytałam o sześcioletnią córkę Zeldy.

– Emilia się nią opiekuje – zapewniła.

Emilia była najstarszą mieszkanką kamienicy. Kiedyś tańczyła na scenie Pozytywki, ale upadek z konia i skomplikowane złamanie nogi ostatecznie zakończyły jej karierę tancerki, jednak siostry Borman nie kazały jej odejść. Gdy wróciła do zdrowia, pozwoliły jej znaleźć dla siebie nowe miejsce w rodzinie. Przez lata opiekowała się dziewczętami, matkowała tym bardziej zagubionym, a dla Alicji była niczym babcia. Jak mało kto znajdowała drogę do dziewczynki, której związek z Dzielnicą zaczął się za wcześnie – jeszcze w łonie matki. Magia zmieniła w niej zbyt wiele, by mogła być normalnym dzieckiem.

Panna Funia była zbyt mocno wytrącona z równowagi, by mogło chodzić o zwykłe wyciągnięcie Zeldy z domu zleceniodawcy – czasami klienci wynajmowali Zeldę czy inne dziewczęta z Pozytywki, by umiliły ich gościom przyjęcie śpiewem, i zdarzało się, że owi panowie byli do tego stopnia zauroczeni talentem panien, że zapominali o swoich zobowiązaniach wobec sióstr Borman i nie chcieli wypuścić dziewcząt z domu. Gdyby jednak to była taka sytuacja, panna Funia nie użyłaby kodu alarmowego. Poruszyłam głową, by rozluźnić zesztywniałe mięśnie karku. Poradzę sobie. Zapomnij, że to Zelda, powtarzałam sobie w duchu.

– Czy pozostałe dziewczęta wiedzą, gdzie mogła się wybrać? – zapytałam. Mój głos brzmiał spokojnie i profesjonalnie.

Stefania zmarszczyła brwi z irytacją.

– Nie wiem. Wiesz, że nie o wszystkim ich zdaniem powinnam wiedzieć. Martwię się. Nie odeszłaby bez Alicji.

Przytaknęłam, bo Zelda kochała córkę nad życie i zdawała sobie sprawę z tego, że mała nie poradzi sobie bez niej.

– Chciałabym z nimi porozmawiać…

– Już po dziewiętnastej – powiedziała i zrozumiałam, co miała na myśli.

Lokale obu sióstr po brzegi wypełniły się już gośćmi. Dziewczęta były w pracy. Część na scenie, część obsługiwała klientów. Zakłócenia tego

rytmu, nawet z powodu zniknięcia jednej z tancerek, nie były mile widziane. Plotki o tym, że Stefania nie potrafi upilnować swoich dziewcząt, też bardziej by zaszkodziły, niż pomogły sprawie. Słabość wabiła rekiny jak świeża krew.

– Zajrzę do jej pokoju, a do dziewcząt wrócę po zamknięciu. Uprzedzisz je o tym?

– Oczywiście. Znajdź ją – oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Od teraz to już moja odpowiedzialność, pomyślałam, widząc, jak spływa z niej część napięcia. Nie była najgorszym człowiekiem, jakiego poznałam, nie mieściła się nawet w pierwszej pięćdziesiątce, ale była twarda, praktyczna i nie pozwalała sobie na nadmiar sentymentów. Zelda była cenna. Jej niesamowity talent wokalny każdej nocy ściągał do Pozytywki wielu klientów, choć ostatecznie, jak każdą dziewczynę, dałoby się ją zastąpić. Jeśli jednak jej zaginięcie było ciosem wymierzonym w Stefanię, pierwszym etapem w większej akcji, musiała to wiedzieć jak najszybciej. A odzyskanie dziewczyny stałoby się jasnym przekazem dla przyczajonych wrogów.

Wróciłam korytarzem do schodów i wdrapałam się dwa piętra wyżej. Ta część budynku nie była dostępna dla klientów. Ciężka stora z brokatowej tkaniny oddzielała ją od luksusowo wyposażonych pokoi i saloników. Tu już nie było chodników na stopniach, witrażowych drzwi czy kunsztownych kinkietów z białymi świecami. Nie było obskurnie, ale na pewno biedniej. W niedużych, dwu-, trzyosobowych pokoikach mieszkała dobrze ponad setka dziewcząt pracujących w obu przybytkach. Same kobiety – ludzkie, magiczne, parę wampirzyc – a także kilkoro dzieci, jeśli matki zdecydowały się je zostawić przy sobie, a maluchy przeżyły okres niemowlęcy bez szczepień i leków.

Jednego nigdy nie dość w Dzielnicy Cudów – młodych, ślicznych i utalentowanych dziewcząt, które mogły występować na scenach kabaretów, teatrzyków i operetki, a jeśli talentu miały mniej niż urody – tańczyły na scenie, zrzucając z siebie fatałaszki, czy zabawiały gentlemanów rozmowami o ptaszkach i pszczółkach. Problemem było to, że borykały się z wszystkim tym, co doskwierało w latach trzydziestych dwudziestego wieku panienkom z podobnych środowisk: gruźlicą, syfilisem, trudnymi porodami, szukaniem ciszy w szarym szumie morfiny czy opium, miłosnymi dramatami kończącymi się spożyciem zapałczanej

siarki czy innej, droższej trucizny. Przywiezione z realnego miasta antybiotyki okazały się nieskuteczne, więc kobiety umierały. Na cmentarzach – katolickim, żydowskim i prawosławnym – miały swoje „aleje girlasek” ze skromnymi pomnikami. Nagrobki często ozdabiał wizerunek anioła. Jeśli któraś stała się popularna lub miała mecenasa, figury anielskie widoczne były z daleka. Jeśli to madame czy dziewczyny fundowały kamień, często musiał wystarczyć obrazek w medalionie.

Mało komu żyło się lekko w Dzielnicy Cudów. Ale to właśnie dziewczęta były dla mnie symbolem tego, jak piękne i okrutne potrafi być to miejsce. Niczym rajskie ptaki cieszyły oczy i umierały w kwiecie wieku, miały pogrzeby z otwartą trumną, by każdy mógł zobaczyć, jaka dotknęła wszystkich strata, jaka niesprawiedliwość.

Popyt rodzi podaż, więc wkrótce po wojnie pojawili się Łowcy Skarbów. Skarbami były właśnie młode, piękne i utalentowane dziewczęta, które znajdowali w innych dzielnicach, często innych miastach i na prowincji. Uwodzili je słodkimi obietnicami sławy i pieniędzy, niczym w realnym świecie handlarze żywym towarem, obiecujący posadę kelnerki w niemieckim barze czy pracę przy zbiorach truskawek i pensję w euro. Te, które się nie dawały uwieść – porywali. A potem wystarczyło przewieźć je do Dzielnicy Cudów i zamknąć w piwnicy na dwa, czasem trzy dni. Jeśli magia je przyjęła i przeżyły, nigdy już nie mogły opuścić Dzielnicy na dłużej niż na kilka godzin. Można je było sprzedać właścicielom klubów, kabaretów, burdeli. Jeśli magia ich nie przyjmowała, trudno. Nie mogły liczyć nawet na pogrzeb – ot, gdzieś w Straconej Dzielnicy pojawiało się kolejne ciało.

Zelda była jedną z takich dziewcząt – porwanych, uwięzionych, sprzedanych. Stefania twierdziła, że kupuje co jakiś czas dziewczęta, by oszczędzić im losu gorszego niż praca w Pozytywce czy Tierra del Fuego. Miała trochę racji, bo tu było im lepiej niż w większości znanych mi miejsc w Dzielnicy – dziewczyn nie traktowano tu jak niewolnice, dostawały pensję i miały przyzwoite pokoje, a jeśli naprawdę chciały, mogły odejść. Jedynym sposobem ukrócenia działalności Łowców Skarbów byłoby zlikwidowanie handlu niewolników, ale aukcje wciąż się odbywały, a właściciele lokali i bogacze licytowali sumy dość wysokie, by kusić nieudaczników łatwym zarobkiem. A dziewczęta trafiały często w paskudne miejsca. W tym kontekście przybytki panien Borman faktycznie stanowiły

synonim lepszego losu. Nie pracowałabym dla Stefanii i Apolonii, gdyby było inaczej. Może zresztą byłoby inaczej, gdyby nie Apolonia, która miała serce we właściwym miejscu i potrafiła zmiękczyć nawet znacznie twardszą siostrę bliźniaczkę.

Znalazłam pokój Zeldy. Nieduże okno zasłoniła ręcznikiem, pewnie by zapobiegać przeciągom. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wszystko wydawało się leżeć na swoim miejscu: łóżko o żelaznej ramie Zeldy i mniejszy tapczanik Ali były zasłane schludnie patchworkowymi kapami; nieliczne i skromne ubrania równo poskładane w szufladach komody; dwie sukienki wiszące w szafie obok zimowego płaszcza; po dwie pary butów każdej z lokatorek ustawione na dnie szafy; miska i dzban, wytarte do sucha, na umywalni z niewielkim, zmatowiałym lustrem. Żadnych wskazówek, by wybierała się gdzieś czy planowała wyjazd. Potrząsnęłam groszowym romansem leżącym na szafce nocnej, ale nie wypadło z niego nic użytecznego – żaden list, notatka czy choćby nieprzydatna do niczego lista zakupów.

Zajrzałam do bawialni. Poddaszowy pokój, ze stropem niewiele wyższym niż dwa metry i jedną ścianą skośną, przez większość czasu był pokojem zabaw dla mieszkających tu dzieci. Niektóre z nich tu spały – trzy metalowe łóżka stały rzędem pod jedną ze ścian. Emilia z pięcioma dziewczynkami w wieku od trzech do dziewięciu lat urządzały sobie podwieczorek dla lalek. Starsza kobieta z trudem umieściła swoje pulchne ciało na miniaturowym krzesełku. Odwróciła się w moją stronę szybko, jakby się kogoś spodziewała, ale zawód na jej twarzy wskazywał jasno, że nie czekała na mnie. Dziewczynki posyłały mi pełne ciekawości, lecz spokojne spojrzenia. Alicja siedziała całkiem osobno, przy zbudowanym z kartonu domku dla lalek. Układała wycinane z papieru laleczki w scenki rodzajowe o szczęśliwej rodzinie. Żadna z lalek nie wyglądała na mężczyznę. Mała nie znała ojca. Po porwaniu, kiedy już trafiła pod skrzydła sióstr Borman, Zelda zdołała wysłać informację do swojego narzeczonego o tym, gdzie jest i że z nią i dzieckiem wszystko w porządku, a on może je odwiedzać, kiedy chce, ale one nie mogą już opuścić Dzielnicy. Odpisał, że nie jest tym zainteresowany. Nawet kilka lat później, kiedy mi o tym opowiadała, miała łzy w oczach. Nie wiem, co powiedziała Alicji, kiedy ta zapytała o ojca. Nie wiem nawet, czy mała kiedykolwiek zapytała. W końcu nie widziała w życiu zbyt wielu pełnych rodzin.

Wszystkie dzieci mieszkające w tym domu były wychowywane przez samotne matki. A mężczyzn, którzy przychodzili tu w celach rozrywkowych, trzymano z daleka od piętra mieszkalnego i bawialni.

Kucnęłam przy kartonowym domku i czekałam, aż Alicja zwróci na mnie uwagę. Mówienie do niej czy dotknięcie jej, kiedy nie była na to gotowa, nie kończyło się dobrze. W świecie zewnętrznym może zdiagnozowano by u niej jakąś formę autyzmu. Tu nikt nie widział w tym jednostki chorobowej. Mała zdawała się inna, bo dotknęła ją magia. Zelda była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy ją porwano. Te trzy dni w piwnicy zmieniły nie tylko ją, ale i jej córeczkę. Dziewczęta mówiły, że Alicja widzi więcej, że czasem słyszy głosy, których nie słyszał nikt inny. Już jako niemowlę przerażała je spojrzeniem zbyt dorosłym, zbyt świadomym. Śpiewała jak anioł piosenki, których poza nią nie znał nikt, w języku, którego nikt nie rozumiał. Rzadko mówiła, często tylko pojedyncze słowa, które nie zawsze chciały się ułożyć w sensowne zdanie. Czasami, gdy magia zwyżkowała, miała swoje chwile jasności i można było zapomnieć, że różni się od innych dzieci. A wtedy mówiła coś, co jeżyło włosy na głowie, bo dziecko nie powinno tego wiedzieć. Nikt nie powinien. Jej oczami spoglądało czasem coś obcego, czujnego i cierpliwego, co uczyło się nas równie skrupulatnie, jak my uczyłyśmy się rozumieć Alicję.

Poprawiła żółte zasłony w domku dla lalek i spojrzała na mnie tymi ogromnymi, brązowymi oczami.

– Mama się boi – powiedziała cicho.

– Wiesz, gdzie jest mamusia? – zapytałam.

Zastanowiła się i pokręciła głową.

– Kapie woda. Czerwone szkło – powiedziała i powtórzyła to jeszcze raz, jakby chciała mieć pewność, że zrozumiem. – Dwadzieścia schodów – dodała.

– W górę czy w dół? – zapytałam.

Przekrzywiła główkę jak ptaszek.

– W górę. Kapie woda. Bum bum. Rozumiesz?

Nie rozumiałam, ale miałam nadzieję, że kiedyś to nabierze dla mnie sensu.

– Znajdę mamę – obiecałam.

– Znajdziesz – powiedziała spokojnie.

Jej oczy były całkiem suche. Moje – niezupełnie.

Jeśliby Zeldzie coś się stało… Wiem, że dziewczęta zaopiekowałyby się Alicją. Kiedy mówiły, że są rodziną, naprawdę tak myślały: były dla siebie jedyną rodziną, jaką miały. Ale związek Zeldy i Alicji był szczególny, sięgał znacznie dalej niż zwyczajna więź między matką i córką. Nie postawiłabym złotówki na to, że mogłyby żyć bez siebie i jedna przeżyłaby drugą choćby o tydzień. Zelda powiedziała mi kiedyś, że śni sny Alicji i widzi w nich dziwne miejsca wypełnione światłem i głosami, ale przede wszystkim spokojem.

Intuicja podpowiadała mi, że coś jest nie tak. Nie mogłam przestać łączyć w głowie zniknięcia Zeldy i bezgłowych róż. Mrowiła mnie skóra na karku, jak zawsze, gdy nadchodziły kłopoty. Westchnęłam z frustracją. Musiałam ją znaleźć. Miałam wobec Zeldy dług. A, o czym wciąż zapominał Ernst Szalony, w mojej rodzinie zawsze spłaca się długi. Z odsetkami.

*

Może Zelda trafiła na nadgorliwego miłośnika jej talentu, który nie przyjął odmowy występu na bardzo prywatnym przyjęciu w którejś z rezydencji w Dzielnicy Cudów? Takie sytuacje przydarzały się już dziewczętom sióstr Borman. Zwykle wracały nad ranem, zmęczone i pijane, czasami trzeba było odwiedzić „mecenasa” i wyjaśnić mu, że jeśli chce się dalej cieszyć prawem wstępu do Tierra del Fuego czy Pozytywki, natychmiast ma puścić dziewczynę i lepiej, by nie zapomniał wynagrodzić strat moralnych jej i pannom Borman, które po prostu umierały z niepokoju.

Ale nie liczyłabym na to tym razem. Może Aleks ma rację i jestem pesymistką, spodziewającą się od życia wyłącznie kopniaków. A może dostałam ich dość, by rozpoznawać, kiedy zbliża się kolejny. Nie mogłam cierpliwie czekać i zapalić świeczki w intencji szczęśliwego powrotu Zeldy. Potrzebowałam oczu i uszu wszędzie tam, gdzie mogła być, a to oznaczało, że potrzebowałam Bestiara.

*

Nie przepadam za szczurami. Nie boję się ich, po prostu wzdrygam się na myśl o tym, gdzie bywają i co jedzą, nie zachwyca mnie też pomysł, że

mogłyby po mnie łazić. Bestiar nie miał tego problemu: uwielbiał każdego osobnika w swojej wielkiej szczurzej armii – z absolutną wzajemnością. Ilekroć korzystałam z jego usług, ten moment był najtrudniejszy – patrzenie, jak zbiegają się zewsząd, białe, szare, brązowe i czarne, wdrapują się na niego, pokrywając go ruchliwym, futrzanym płaszczem, i wydają te straszliwe wysokie dźwięki, od których cierpnie skóra. Dla mnie te popiskiwania nie znaczyły nic. On potrafił je zrozumieć i właśnie dlatego był wart każdych pieniędzy. A one były warte wszystkich M&M-sów i orzeszków w cukrowej polewie, które zgodnie z tradycją przynosiłam, przychodząc ze zleceniem.

Odprawa musiała dobiegać końca, ponieważ ruchliwe futro zaczęło spływać z ciała Bestiara, odsłaniając jego obszerny, poplamiony, brązowy płaszcz, który zawsze miał na sobie – zwykle z kilkoma lokatorami poukrywanymi w kieszeniach i rękawach czy wystawiającymi łyse ogonki na kołnierz. Popiskująca fala podreptała do kanałów, rozpierzchła się po ulicach całego Warsa – ich nie dotyczyły ograniczenia Dzielnicy Cudów, nie obawiały się też Straconej Dzielnicy, bo nawet jeśli straciłyby kilku żołnierzy, armia pozostałaby tak samo silna jak przedtem. Zapuszczały się nawet przeklętym mostem do Sawy, a jego magia nie miała wpływu na ich szczurze mózgi. To dzięki nim Biestiar był najlepiej poinformowanym człowiekiem w okolicy, choć prawie nie opuszczał swojego domu – zamkniętej lata temu wieży ciśnień. Szczury stały się jego oczami, uszami, złodziejami, posłańcami. Nie tyle miał nad nimi władzę, co zaskarbił sobie ich bezgraniczną miłość i posłuszeństwo. Kto podniósłby na niego rękę, szybko by się przekonał, że podanie o Myszkinie jest łagodniejszą wersją jego losu, jak łagodniejsze są myszy od szczurów.

– Witaj, Cieniu bez cienia – powitał mnie, jakby dopiero teraz zauważył, że od piętnastu minut stoję trzy metry od niego: tak daleko, jak to było możliwe w niewielkiej przestrzeni wieży.

– Szukam kobiety. Ma na imię Zelda, jest piosenkarką w Pozytywce – powiedziałam.

– Syrena Apolonii – stwierdził, bo miał w zwyczaju każdemu nadawać przydomek.

– Rozpuść swoje zwierzaki po mieście – całym. Muszę wiedzieć, gdzie jest, zwłaszcza jeśli trafiła poza Dzielnicę Cudów.

– Będzie zrobione, Cieniu kryjący się w cieniu – przytaknął. – Czy to wszystko?

– Na tę chwilę tak. Podwoję stawkę, jeśli zdołasz ją odnaleźć w ciągu dwudziestu czterech godzin. I przyniosę worek przysmaków dla twoich szczurów.

Gryzoń na jego ramieniu zapiszczał, jakby doskonale rozumiał, co właśnie powiedziałam. Może rozumiał, a bariera komunikacyjna była po mojej stronie.

– Hojność twoja znajduje uznanie w naszych oczach – powiedział Bestiar i wyszczerzył pociemniałe siekacze, równie żółtawe jak u jego podopiecznych.

Nie był stary, miał może pod pięćdziesiątkę, ale z sięgającą piersi siwą brodą, w wyblakłym od słońca i deszczu kapeluszu i w brudnych, za dużych ubraniach zdecydowanie wyglądał na starego. Wsunął prawą rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął małego, czarnego szczurka. Poczochrał go po gładkim grzbiecie i popatrzył na mnie z nieprzeniknionym wyrazem na pomarszczonej twarzy.

– Tylko Zelda cię interesuje? – zapytał.

Cwaniaczek, pomyślałam, ale Robin to moja zagadka i poradzę sobie bez szczurzej kompanii.

– Tylko za Zeldę zapłacę – odparłam.

– Niech tak będzie.

*

Popołudnie szybko przerodziło się w wieczór, a ten szybko miał ustąpić miejsca nocy. Zapięłam kurtkę, by się ochronić przed wilgotnym, chłodnym wiatrem. Ciągnęło od Wisły, a to zwykle zapowiadało zmianę w liniach magicznych, przez co rosło ryzyko czkawki. W takie noce wolałam spędzać czas w domu, w którym miałam lepsze zabezpieczenia i okręgi ochronne niż w norach. Nie wiedziałam, w jakim stopniu geny Ernsta chroniły mnie przed mutacją – może nie zmieniłabym się w wąpierza czy wilkołaka, wciąż jednak wolałam uniknąć wymuszonego przełomu i biegania po okolicy pod postacią monstrum opętanego bojowym szałem. Na razie nie myślałam o śnie – nie zmrużę oka, dopóki nie znajdę Zeldy – ale i tak chciałam zajrzeć do domu. Nie mogłam wyrzucić z pamięci tej natrętnej

myśli, że ktoś na próg mety na Gocławiu podrzucił mi niespodziankę. Zastanawiałam się, czy to był szczęśliwy traf, czy zostawił mi coś więcej, także tu. Wciąż czułam mrowienie z tyłu głowy. Modliszki i róże przyszły kilka godzin po tym, jak zaginęła Zelda. I jeśli Robin nie miał z tym nic wspólnego – a przyznaję, że zaczynałam mu wierzyć – to kto?

Wciąż miałam co najmniej cztery godziny, nim dziewczyny skończą pracę. Zdążę obrócić bez problemu. Moja dzielnica, Przylepka, brak zieleni nadrabiała nazwami ulic. Dębowa krzyżowała się z Topolową, Świerkowa z Sosnową. Mój dom stał przy Kasztanowej. Całkowicie pozbawiony wdzięku pod względem architektonicznym – zwykłe betonowe pudełko z kratami w oknach – był wystarczająco mocny, by przetrzymać oblężenie, ale i moją przemianę w środku. Otoczyłam go potrójnym ochronnym okręgiem i założyłam blokady na drzwi i okna. Miałam tam dość rzeczy, by nie pozwolić złodziejom w nich myszkować. Być może byłam też dość przeczulona na punkcie mojego bezpieczeństwa. Może niewystarczająco, pomyślałam ze złością, czując z daleka, że moje zabezpieczenia zostały naruszone. W pokoju od frontu było jasno, a miałam absolutną pewność, że nie zostawiłam włączonego światła, gdy wychodziłam stąd prawie dwa dni temu. Nie paliło się też rano, kiedy sprawdzałam, czy wszystko jest w porządku. Ktoś był w moim domu.

Rozdział 8

Wyciągnęłam Inkwizycję i zacisnęłam zęby. Ktokolwiek przedarł się przed moje osłony, nie powinien przeżyć dość długo, by zapalić światła w mieszkaniu. A jeśli przeżył… Wyciągnęłam Wróżkę Zębuszkę. Co dwie spluwy to nie jedna.

Nie mogłam uwierzyć, że to się działo. Wybrałam ten budynek także ze względu na dość dużą parcelę, więc mogłam założyć doskonałą ochronę wokół niego – trzy kręgi: jeden z kamienia, jeden z żelaza i jeden w postaci miedzianych rur wypełnionych wodą, biegnących płytko pod ziemią. To była silna magia, silniejsza, niż powinno to być potrzebne. Nie znałam w Warsie czy Sawie stworzeń wystarczająco silnych, by nie tyle złamać potrójny krąg, co dosłownie go wchłonąć. A musiało się to stać, bo kiedy go przekroczyłam, nie wyczuwałam nawet śladu magii. Powinien zawibrować w moich kościach znajomym szumem, powitaniem, z którego czerpałam otuchę, bo wracając tu, byłam bezpieczna. Tylko tu.

Przychodził mi do głowy jeden… nie człowiek, stwór, który poradziłby sobie z moją magią, bo jest mojej krwi, ale znacznie silniejszy… Czy mógł wrócić do świata ludzi niezauważony przez Karmę? Czy mógł mnie odnaleźć mimo wszystkich wysiłków, jakie podjęłam, opuszczając Trójprzymierze? Dłonie spociły mi się na kolbach Inkwizycji i Zębuszki… Nie jestem głupia. Nie miałam wielkich szans w starciu z Ernstem Szalonym, ale nie mogłam uciec. Nie teraz, jeśli naprawdę był na wyciągnięcie ręki.

Doskonale wiedziałam, że mądrzej byłoby odejść, poczekać, aż dowiem się, jakie miał słabe punkty. Musiał je mieć, do jasnej cholery, każdy miał! Ale sama myśl, że mnie odnalazł, cofała mnie w przeszłość. Znów stałam się skutą dwudziestolatką, krwawiącą i całkiem bezradną. Zaczęłam się trząść i gardło zaciskało mi się w spazmie. Krok po kroku pokonałam trzy stopnie, jakie dzieliły mnie od drzwi wejściowych. Przykucnęłam, utrudniając trafienie mnie, gdyby ktoś zaczął strzelać.

Nacisnęłam klamkę, a ta ustąpiła – jakbym potrzebowała więcej dowodów, że to nie poltergeist pozapalał wszystkie światła. Naoliwione niedawno zawiasy nawet nie skrzypnęły, kiedy uchyliłam skrzydło drzwi i wciąż nisko skulona przekroczyłam próg. Starałam się nie oddychać. Nasłuchiwałam, czekając na najmniejszy szelest, który naprowadzi mnie na obecność intruza.

Nagle na podłodze poruszył się cień. Był w kuchni. Przywarłam do ściany i przesuwałam się cicho, aż tylko centymetrów brakowało mi do framugi. Wychyliłam się na ugiętych kolanach i strzeliłam do sylwetki, zanim ją rozpoznałam.

– Nie strzelaj! – krzyknął, ale było za późno.

Kule rykoszetowały o ścianę, drzwi lodówki i podłogę. Uchyliłam się, nim dostałam własnym pociskiem. Co u diabła?! Ja nie chybiam! A już na pewno nie z dwóch metrów. Zaczynało mi świtać, jak to się stało, że z tą przyjazną gębą przeżył w Zakonie tak długo.

– Nie trafisz mnie teraz, a możesz sobie zrobić krzywdę – powiedział.

Wydawał się tak szczerze zasmucony tą możliwością, że miałam ochotę uderzać czołem o ścianę. Nie pytałam, za jakie grzechy mnie to spotyka, bo miałam całkiem dobre wyobrażenie, czym mogłam podpaść losowi.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – zapytałam, wracając do kuchni.

Stał sobie, jakby nigdy nic, z kciukami zaczepionymi o szlufki czarnych spodni i śmiał posyłać mi pełne wyrzutów spojrzenie.

– Zawsze strzelasz do ludzi na powitanie? – zapytał.

– Do tych, którzy włamują mi się do domu? Tak.

– No tak. – Miał dość przyzwoitości, by wyglądać na minimalnie skruszonego. Minimalnie.

Zębuszka powędrowała do kabury, ale Inkwizycję wciąż ściskałam w ręce. Szanse na to, że go tego wieczoru zabiję, gwałtownie wzrosły. Ale najpierw musiałam się dowiedzieć, jak, do cholery, zdjął moje osłony. Jeśli te kręgi miały słaby punkt, musiałam wiedzieć jaki.

– Zostawiłaś mnie w jadłodajni – powiedział z wyrzutem.

Zaczynałam zmieniać zdanie. Może jednak nie jego zastrzelę, a siebie. Choć nie, musiałam znaleźć Zeldę, więc wracam do pierwotnego planu.

– Miałam coś do załatwienia.

– Mogłaś powiedzieć.

Bogowie pieprzonego Olimpu, kiedy zostaliśmy małżeństwem? Nie odpowiedziałam.

– Moje kręgi. Co z nimi zrobiłeś? – zapytałam.

– A to…

Porąbany idiota. Zdecydowanie go zabiję, pomyślałam, widząc jego minę pięciolatka przyłapanego na podbieraniu ciastek.

– Tak, to. Potrójny krąg mocy zbudowany na trzech elementach. Niezniszczalny wedle każdego podręcznika magicznego, jaki w życiu czytałam. Nie można go złamać, więc jak tu u diabła wszedłeś? – naciskałam.

– To cię naprawdę wytrąciło z równowagi – zauważył odkrywczo.

– Te kręgi ocaliły mi życie więcej razy, niż mogę zliczyć. Muszę wiedzieć, co zrobiłeś! Jak je złamałeś!? – Podniosłam głos o kilka decybeli.

– Nie złamałem. Wchłonąłem tym. – Wyciągnął spod swetra rzemyk z wisiorem: stylizowaną głową jelenia z szeroko rozłożonym porożem. Wisior był jasnokremowy, wyglądał na zrobiony z kości lub rogu.

– Co to jest? – Kusiło mnie, by podejść i obejrzeć to sobie z bliska, ale wciąż nie kupowałam całej tej przyjaznej pozy kolesia, który wpadł z towarzyską wizytą.

– Nie wiem dokładnie. Ktokolwiek podrzucił mnie do Zakonu, powiesił mi to na szyi. Ma silną magię ochronną zsynchronizowaną ze mną. Moja opiekunka próbowała tego użyć w ten sam sposób, ale bez rezultatu. To jakoś współgra z moją aurą i magią.

– Matka o tym wie?

– Nie pytała.

Coś w jego spojrzeniu, cień sprytu, podpowiadało mi, że wielu „nie pytało”, a jeśli pytali, nie odpowiadał. Dlaczego teraz nagle postanowił się podzielić sekretami z gorliwością panienki prowadzącej pamiętniczek?

– Możesz je odbudować? Te kręgi? Bez nich jest tu niebezpiecznie. W każdej chwili może przyjść czkawka. Albo coś bardziej namacalnego – dodałam, przypomniawszy sobie wilkołaka. I poranną wizytę dziwacznego kuriera.

– Oczywiście. Daj mi kilka minut – powiedział i opuścił kuchnię. Po prostu wyminął mnie i wyszedł przed dom.

Wciąż nie rozumiałam, czemu tu przyszedł, czemu mówił mi te wszystkie rzeczy. W tym momencie cieszyłam się tylko z tego, że moje osłony wrócą na swoje miejsce. Nie chciałam myśleć o tym, że on mógł je rozbroić w kilka minut. Zabiję go i przestanie być zagrożeniem. Po prostu poczekam do końca okresu próbnego, by Matka nie pociągnęła mnie za nim. Powtarzałam to sobie, próbując w tej myśli znaleźć otuchę. Bez skutku.

Ze zdziwieniem poczułam, że kolana mi drżą. Oparłam się o ścianę i nagle osunęłam się na podłogę, a gardło zaciskało mi się na tłumionym szlochu. Dopiero teraz moje ciało przyjęło do wiadomości, że to nie Ernst. Odłożyłam Inkwizycję na posadzkę, tak by wciąż mieć ją pod ręką, i zasłoniłam oczy mokre od łez. Płakałam ze strachu? Ulgi? Nie wiem. Nikt poza Ernstem Szalonym nie mógł mnie doprowadzić do tego stanu. Potrafił to zrobić nawet wtedy, gdy nie było go w okolicy. Uderzyłam potylicą o ścianę raz i drugi, licząc, że to minie, ta słabość, która wyciskała mi z oczu łzy i sprawiała, że ręce mi się trzęsły, nogi nie potrafiły utrzymać ciężaru mojego ciała, ale ona, podsycana adrenaliną, zdawała się zapuszczać we mnie korzenie. Musiałam coś zjeść, jeśli miałam powstrzymać przełom, jednak nie mogłam wstać i podejść do lodówki. Pogratulowałam sobie tego, że nie zwinęłam się w kłębek i nie zaczęłam kołysać na boki. Jeszcze kilka lat temu tak właśnie by było. Słysząc kroki na schodach, szybko wytarłam oczy i policzki. Specjalnie stąpał ciężko, jakby chciał mnie ostrzec. Wychodził cicho jak kot.

Zdołałam wstać z podłogi i podejść do krzesła. Opadłam na nie z ulgą, jakbym przebiegła maraton. Sięgnęłam do szuflady z batonami energetycznymi i zanim Robin wszedł do kuchni, kończyłam drugi.

– Przyniosłem ci pieczeń i ciasto od panny Wacławy – powiedział, unikając gapienia się w moją zapewne zaczerwienioną twarz.

– Tomaszek miał je dostać.

– Dostał. Wziąłem drugi zestaw. Dobrze, że zapłaciłem pannie Wacławie, zanim mnie okradli. Wyobrażasz sobie? Wystarczyła chwila i stadko małych kieszonkowców a byłem lżejszy o portfel. Na szczęście nie miałem tam dokumentów. Paczki z pieczenią też na szczęście nie ukradli…

Mówił bez przerwy, zabijał ciszę między nami, jakby rozumiał, że jeszcze nie dam rady rozmawiać, a cisza byłaby krępująca. Opowiadał o tym, jak wrócił tu z Dzielnicy Cudów, jak czekał na mnie, bo właściwie nie wiedział, co ze sobą zrobić – nie miał przydziału, a nie chciał wracać do Zakonu, bo tam panowała „niezdrowa atmosfera”. Byłam mu wdzięczna. Miał mnie na tacy. Rozsypana, trzęsąca się jak galareta nie stanowiłam dla niego żadnego zagrożenia. A ten głupol opowiadał o tym, że dał się obrobić lepkim rączkom, dzieciakom zatrudnianym i szkolonym przez Ośmiorniczkę, obecnie starszą panią, niegdyś najsłynniejszego kieszonkowca w Warsie. Napięcie spłynęło ze mnie tak gwałtownie, że zaczęłam się śmiać. Tego też nie skomentował.

– O co chodziło z tymi kulami? – zapytałam po chwili. – Ja nie chybiam z takiej odległości.

– Medalion był pełen energii, wytwarza swoistą tarczę ochronną – powiedział.

I znów mnie zaskoczył. Ja musiałam zapytać. On nie musiał odpowiadać. Zastanawiało mnie to, jak chętnie dzielił się informacjami. A jeśli to były te mniejsze tajemnice, które mógł lekko zdradzać, jakie były te większe?

Nie zapytałam, ile razy mu się to przydało, odkąd przyjechał do Warsa. To było raczej pewne, że w Zakonie zgotowali mu powitanie – nigdy nie przyjmowali dobrze konkurencji. W głębi duszy musiałam przyznać, że nie odpychała mnie myśl, że miałby być moim partnerem. Wydało mi się to dziwne. Powinnam go zabić, gdy tylko opróżnił medalion. Albo wcześniej, gdybym sięgnęła po noże, a nie po Inkwizycję. Nawet jeśli on nie chciał mnie zabić, a wierzyłam, że nie chciał, i był – być może podejrzanie –

przyzwoitym facetem, mógł być koniem trojańskim podrzuconym przez Matkę.

A on, jakby całkiem nieświadomy myśli kłębiących mi się w czaszce, podsunął mi woskowany papier śniadaniowy, na którego pogniecionej bieli leżała kanapka z dwóch pajd domowego chleba i pieczeni panny Waci. I przysięgam, prawie się rozryczałam. Może miękłam na starość, choć dopiero dobijałam wieku Chrystusowego, ale po prostu się rozkleiłam. Cały wysiłek włożony w utrzymanie wizerunku poszedł się jebać.

To nie tak, że nie miałam nikogo, kto dałby mi kanapkę. Był Aleks. Był Kosma, za którym strasznie tęskniłam, ale im dalej się od niego trzymałam, tym on stawał się bezpieczniejszy. Ojciec nie interesował się nim przez stulecia, ale ja zaciekawiłam go całkiem niedawno i byłam pewna, że będzie szukał zemsty, bo uciekłam i popsułam mu plan. Jeśli dowiedziałby się, że się z Kosmą znamy i traktujemy jak rodzinę, mój brat byłby w niebezpieczeństwie. Karma raczej nie podzieliłaby się jedzeniem, taka już była. Ale wciąż metaforycznie uznawałam ją za człowieka, po którym w jakimś napadzie idealizmu mogłam się spodziewać miłego gestu. Kiedyś miałam przyjaciółkę, która oddałaby mi ostatnią koszulę i ostatnią kanapkę, ale to już spieprzyłam… Nie, lista ludzi, od których w razie potrzeby dostałabym dosłowną czy metaforyczną kanapkę, nie była długa.

Nawet nie pomyślałam, że mógł ją zatruć, uświadomiłam to sobie, kiedy już połknęłam pierwszy kęs, doprawiony stłumionymi łzami. Patrzyłam na tę nieznośnie przyjacielską twarz i ze zdziwieniem przyznałam w duchu, że nie, to nie jego styl. To raczej typ od pojedynków z sekundantami. Nie wiem skąd, ale miałam pewność, że to stara dusza.

– Robinie – powiedziałam cicho – zgadzam się. Będziemy partnerami, dopóki obojgu nam nie będzie wolno pracować solo. Ale nie od dziś. Dziś mam coś do załatwienia. To nie jest zlecenie. To prywatne sprawy, bez wynagrodzenia. Skończę to i pójdziemy po przydział, zgoda?

– Nie mam nic lepszego do roboty, więc dlaczego nie miałbym ci pomóc? – Pytanie było ewidentnie retoryczne, bo miał minę człowieka, który już zdecydował i który ma świadomość, że choć trochę to potrwa, postawi na swoim.

Kolejna nowość tego wieczoru: chciałam, by ze mną poszedł. I to nie była tylko kwestia lęku o Zeldę. To było w jakiś chory sposób właściwe. Tak powinno być.

Spojrzałam podejrzliwie na kanapkę. Może jednak coś do niej dodał?

Rozdział 9

Kiedy wchodziliśmy do Pozytywki, minęła północ. Nazwa „kabaret” nie oddawała w pełni tego, czym było to miejsce. Pod pewnymi względami Pozytywka stanowiła jeden z najważniejszych przybytków kulturalnych w tym mieście – miejsce, w którym wypadało bywać. W dobrym tonie było rozprawiać na przyjęciach o nowym programie artystycznym, nowej tancerce czy śpiewaczce. Łatwo wpaść tu na osobistości nie tylko z Dzielnicy Cudów, ale i z Twierdzy czy Przylepki. Także przyjezdnym zalecano wizytę w Pozytywce, jeśli chcieli zobaczyć najbardziej widowiskową i obłędną stronę miasta.

Raczej nie chodziło o te ślady golizny, dość skromne przecież, w porównaniu z tym, do czego dostęp mieliśmy w realnym mieście. To nie błysk biustu spomiędzy wachlarzy ze strusich piór czy frędzli budował reputację tego miejsca. Istniało wiele lokali, gdzie dziewczyny dostawało się łatwiej, taniej i pokazywały znacznie więcej niż nogi w pończochach, kawałek brzucha i głęboki dekolt. Robiły o wiele więcej niż nalewanie klientom koniaku, przycinanie cygar i łaskotanie po policzku wachlarzem z piór w przerwach między występami na scenie. Po rozkosze cielesne można zresztą było wybrać się do sąsiadującej z Pozytywką Ziemi Ognistej.

Pozytywka to były klasa, emocje i pasja. To była sztuka, a dziewczęta były artystkami. Podziwiane i uwielbiane, tworzyły elitę przemysłu rozrywkowego. A jednak w jakimś stopniu były równe panienkom, które tańczyły w podrzędnych spelunkach. Mieszkały w niewiele lepszych warunkach, jak one nie mogły opuścić Dzielnicy Cudów, jak one chorowały na gruźlicę, nieco rzadziej na syfilis, ale i im przytrafiały się nieślubne dzieci i zawody miłosne.

W Dzielnicy Cudów hierarchia była skomplikowana. Jej stopnie wyznaczyły pieniądze i magia. Apolonia Borman obu miała pod dostatkiem, większość dziewczyn – żadnej z tych rzeczy. Cudownie ulotne, nietrwałe jak cięte kwiaty, delikatne jak pisklęta, były jednocześnie silnymi osóbkami, które poradziłyby sobie na ulicy lepiej od wielu twardzieli.

Miały ten swojski, naturalny spryt zbudowany na wdzięku i urodzie, o której wiedziały doskonale, że stanowiła ich przewagę nad tymi, które jej nie miały, i jeszcze większą nad tymi, którzy jej pragnęli.

Na scenie można było podziwiać dziewczyny kolorowe jak rajskie ptaki, w obszywanych cekinami i kamykami skąpych kostiumach oraz absurdalnie bogatych i ozdobionych strusimi piórami nakryciach głowy. Tak łatwo przychodziło tu zapomnienie o wszystkim, co zostawało za drzwiami Pozytywki, za granicą Dzielnicy Cudów. Muzyką, ruchem, uśmiechami, choreografią i tą szaloną feerią barw dziewczyny budowały inny świat i zabierały cię tam za cenę biletu. Zdarzały się noce, kiedy zostawałam do końca przedstawienia, popijając drogi burbon, i dawałam im się porwać tak daleko, jak tylko chciały mnie zabrać. I cieszyłam się, że nikt nie widział mojej twarzy, skrytej w cieniu zalegającym na publiczności, i swoje łzy miałam wyłącznie dla siebie. Może to właśnie złudzenie całkowitej wolności wabiło mnie w ich progi. To idealne zawieszenie w idealnej chwili.

Na tej scenie nie chodziło tylko o fikanie nóżkami, jak by nie były one zgrabne i śliczne. Apolonia, znana w Dzielnicy jako panna Pola albo Anielska Apolonia, kochała sztukę rozrywkową i sobie oraz dziewczętom, które zatrudniała, stawiała poprzeczkę naprawdę wysoko. W latach dwudziestych tańczyła w sławnym paryskim Moulin Rouge. Tylko przez rok, ale to doświadczenie ukształtowało jej życie i ambicję. Babka w testamencie zostawiła Apolonii i Stefanii duże pieniądze. Zapewne seniorka rodu myślała o gotówce i nieruchomości – prestiżowo ulokowanej przy placu Księżycowym ogromnej kamienicy – jako o posagu, który na rynku matrymonialnym miał podbić atrakcyjność dwóch ślicznych panien, jednak małżeństwo nie leżało w planach żadnej z nich. Apolonia nie zastanawiała się nawet chwili. Doskonale wiedziała, co chce zrobić ze swoją połową kamienicy i połową pieniędzy. Szybko przekonała Stefanię, że rozrywka jest właśnie tym, do czego obie są powołane. Jej praktyczna i nieuzdolniona artystycznie siostra uznała, że nierząd stanowi doskonały gwarant stałych dochodów i wpływów w mieście. Nie posiadały rodziny, która mogłaby oprotestować ich pomysł. A nawet gdyby ją miały, nie sądzę, by któraś się tym przejęła. To kobiety, których nikt nie mógł odwieść od raz podjętej decyzji. Kamienica, w której wychowały się pokolenia rodu Bormanów, zamieniła się w najbardziej rozrywkowe miejsce w Warsie.

Apolonia do dziś występowała na scenie. Już nie jako tancerka – na to była zbyt poważną bizneswoman – ale jako konferansjerka zapowiadająca numery i śpiewaczka, której głos miejscowe gazety nazywały rozkosznie syrenim i uzależniającym. Kochała to miejsce. I naprawdę kochała swoje dziewczyny, bo bez nich nie zaistniałaby na scenie magia.

Dziewczyna, która chciała pracować w Pozytywce, musiała być nie tylko zgrabna i giętka, ale musiała też mieć talent: do tańca, do gry scenicznej, talent wokalny i aktorski – a najlepiej wszystkie te talenty, w ślicznym pakiecie przewiązanym kokardką. Oczywiście zgromadzenie trzydziestu zdolnych i pięknych kobiet, które każdego dnia rywalizowały ze sobą na scenie, musiało się kończyć awanturami i zachowaniem godnym diw, ale nie to definiowało tę barwną gromadę. Były bowiem przede wszystkim rodziną. Czasami, przebywając w ich towarzystwie, pozwalałam sobie ulegać złudzeniu, że to poczucie przynależności promieniuje w powietrze i wystarczy być blisko, by się ugrzać.

To nie pierwszy raz, kiedy przychodziłam do dziewczyn w sprawach służbowych, Zelda nie była też pierwszą zaginioną dziewczyną w historii Pozytywki. A jednak wydawało się inaczej. Robin wyczuwał moje napięcie, więc milczał, a może po prostu z natury był małomówny i dyskretny. Zadowalała mnie każda z tych opcji.

Usadowiliśmy się w garderobie na kilkanaście minut przed końcem spektaklu. Robin pewnie wolałby, byśmy weszli od frontu i popatrzyli na przedstawienie. Słyszałam pogłos muzyki i rozpoznałam melodię – dziś był wieczór w duchu lat dwudziestych. Znałam ten program w stylu *Wielkiego Gatsby’ego*, cały ten jazz, sukienki z perłowych koralików podkreślających każdy ruch bioder, opaski z koronki i szkiełek, przepych i radość życia. Nie byłam jednak w nastroju, który pozwoliłby mi to docenić. Odkąd przekroczyliśmy granicę Dzielnicy Cudów, mój niepokój wzrastał z każdym krokiem. Od zniknięcia Zeldy minęła doba. Jeśli dziewczyna znajdowała się poza Dzielnicą, mogła już stracić przytomność, wejść w stan podobny do szoku anafilaktycznego czy śpiączki cukrzycowej. W jej organizmie mógł kończyć się składnik, którego potrzebowała do życia – magia Dzielnicy Cudów.

Jak zwykle pod koniec wieczoru garderoba wyglądała jak pobojowisko – lej po bombie zarzucony kolorowymi szmatkami. Drobiny pudru unosiły się w powietrzu, pachnącym potem i maścią aloesowo-mentolową, którą

w przerwach między numerami dziewczęta smarowały obolałe łydki. Pod stopami walały się pantofle na obcasach, zapasowe wstążki do gorsetów, maleńkie piórka, które wypadły z kostiumów, wachlarzy i nakryć głowy z numeru nawiązującego do przedstawień Folies Bergère – przerysowanego i burleskowego. Kostiumy zajmowały trzy metrowe wieszaki na kółkach. Były tak kolorowe, że aż mrużyłam oczy. Niektóre wyglądały jak coś, co kiedyś było tortem i M&M-sami, a co potem w nadmiernej ilości zjadła mała dziewczynka i zwymiotowała. Ze swoimi czarnymi, sportowymi spandeksami, motocyklową kurtką i ciężkimi butami nie mogłam bardziej tu nie pasować. A jednak kiedy garderoba była pełna dziewczyn, kiedy była tu Zelda, nie czułam się obca.

Szafka Zeldy była zamknięta – wyraźnie kontrastowała z pozostałymi, z których niedbale zarzucone na wieszaki wypływały koronki peniuarów i skromniejsze sukienki dzienne. Otworzyłam zamek wytrychem – żadna sztuka, skoro poziomem zaawansowania przypominał te montowane w szafach, do których klucz miał prosty, prostokątny ząbek. Szafka była niemal pusta. Szlafroczek z kremowego jedwabiu, wykończony nieco już wystrzępioną złotą koronką, wisiał na haczyku w głębi. Ani śladu odzieży dziennej, więc Zelda musiała się przebrać po przedstawieniu. Na drzwiczkach przykleiła lusterko i kilka rysunków Alicji. Na górnej półeczce stał szklany słoik maści mentolowej, drewniana szkatułka ze sztucznymi świecidełkami i kosmetyczka z drobiazgami do makijażu. Zalotka wychylająca się spomiędzy falbanek zdobiących kosmetyczkę połyskiwała chłodno jak narzędzie tortur. Ani śladu liścików, notatki z miejscem czy godziną, czymś, co uczyniłoby moje zadanie łatwiejszym.

Hałas na korytarzu oznaczał, że przedstawienie dobiegło końca. Jeśli publika zażąda bisu – a pewnie tak będzie – wystąpią tylko dziewczyny z numeru specjalnego, reszta za chwilę wparuje do garderoby. Tłoczyły się w wąskim przejściu między sceną a przebieralnią, przyjemnie pobrzękując szklanymi perełkami nanizanymi na frędzelki. Robin spojrzał na mnie z miną sugerującą, że jesteśmy w pułapce i mamy odciętą możliwość odwrotu. Uśmiechnęłam się tylko do wchodzących do pomieszczenia dziewcząt. Emilia, Zosia i Malwina były gwiazdami tego wieczoru. Ich sukienki, czarna, srebrna i złota, mocno wybijały się na tle jasnych pasteli pozostałych kreacji.

– Znalazłaś ją? – zapytała Zosia, nieformalna przewodniczka stada, o ile w pomieszczeniu nie było żadnej z panien Borman.

– Dopiero zaczynam i nie mam się czego chwycić. Miałam nadzieję, że macie jakiś pomysł, podrzucicie mi jakiś trop, cokolwiek. – Skrzywiłam się.

Nie byłam detektywem. Moje zlecenia dotyczyły zwykle zniknięcia kogoś, ochrony, szpiegostwa gospodarczego, raz czy dwa zaliczyłam odbijanie zakładników, kiedy negocjacje posuwały się za wolno. Szukanie zaginionego to zupełnie inna para kaloszy. Nie dostaję teczki z zestawem informacji o przebiegu dnia celu, którą rozpatruję pod kątem tego, kiedy najwygodniej będzie ów cel zdjąć. Może zadzwoniłabym do przyjaciółki, która była w tym naprawdę dobra, gdybyśmy nie mieli napiętego grafiku i gdyby nie nienawidziła każdej kości w moim ciele. Ale Zelda miała tylko mnie. Nawet jeśli byłam kiepska w tego typu robocie, to wciąż miałam większe szanse na sukces niż tancerki czy Apolonia. Mogłam też opuszczać Dzielnicę Cudów.

Usiadłam na wolnym krześle przed lustrem, tuż obok Zofii, która właśnie zaczynała zdejmować czarne piórka przyklejone do górnych i dolnych rzęs. Odkładała je do maleńkiego metalowego pudełeczka przypominającego tabakierkę.

– Spotykała się z kimś? – zapytałam.

Zofia spojrzała na mnie wymownie. Z jednym okiem wciąż upierzonym, a drugim normalnym, wyglądała cokolwiek dziwnie.

– Poza tobą? – uniosła mocno zaznaczoną ołówkiem brew.

– My nie… – zająknęłam się. – Nie była mną zainteresowana w taki sposób – przyznałam.

– Ciekawe, myślałyśmy, że to dlatego nie interesowała się facetami…

– To przez tego palanta, ojca Ali – dorzuciła swoje trzy grosze Emilia, wmasowując w twarz grubą warstwę kremu. – Zepsuł ją dla mężczyzn na amen. Z nikim się nie spotykała, złotko, żyła jak zakonnica. Po przedstawieniu wracała prosto do domu, do Alicji.

– Ktoś o nią pytał? Interesował się nią bardziej niż innymi? – Nie ustępowałam.

– Właściwie tak. – Zosia wyplątywała z kasztanowych włosów ozdobne spinki, nadające kosmykom kształt ciasno skręconych pukli. – Pamiętacie Świętego Mikołaja w zeszłym tygodniu? – zawołała do chórzystek, które

rozpinały sobie nawzajem rzędy perełkowych guziczków w błękitno-srebrnych i różowo-złotych sukienkach.

– A masz rację! – krzyknęła Marta, dwudziestoletnia chórzystka o niezdrowych rumieńcach, które mogły zapowiadać początki gruźlicy. – Kręcił się koło niej, wypytywał, chciał ją zaklepać na prywatny występ, ale go spławiła. Próbował nawet naciskać na pannę Polę i potrząsał garścią forsy…

– Strasznie śliski gość. – Emilia się wzdrygnęła. – Żadna z nas nie chciała od niego prywatnych zleceń. Nie po tym, jak się zachowywał w miejscach publicznych.

– A jak się zachowywał? – dopytałam.

– Lepkie łapy, kompleks pana zdobywcy, te sprawy. – Wzruszyła ramionami Emilia, choć po minie widziałam, że stała za tym jakaś grubsza historia.

– Czemu Apolonia nie zleciła mi rozmowy z tym typkiem?

– Ma kasę, a żadna z nas nie pozwoliła mu przekroczyć granicy. Odesłałyśmy go do Tierra del Fuego. Nie wiem, czy skorzystał – dodała Emilia.

– Dlaczego Święty Mikołaj?

Usłyszałam głos Robina, który dotąd tak skutecznie udawał, że go tu nie ma, że zapomniałam o jego obecności. Stał grzecznie odwrócony plecami do częściowo rozebranych już kobiet, wyraźnie nieswój.

– Gnida kazał każdej dziewczynie siadać mu na kolanie i szeptał do ucha, co jej może zaoferować, jeśli będzie grzeczna.

Zofia posłała Robinowi przeciągłe spojrzenie dziewczyny z branży, której wystarczy jeden rzut oka, by zaklasyfikować klienta w którejś z uniwersalnych kategorii. Nie wiem, do jakiej wrzuciła Robina, ale musiał to być całkiem lubiany typ, bo uśmiechnęła się do niego, jej oczy rozjaśniły się wewnętrznym blaskiem, zwykle niedostępnym dla klientów.

– A kim jest twój towarzysz? Zmieniłaś zdanie co do przydatności męskiego rodu? – zapytała zaczepnie.

– Partnerem. W ściśle profesjonalnym rozumieniu. Wiesz, że to nie jest coś, odnośnie do czego mogę zmienić zdanie.

– Partnera też nie chciałaś, czyli wciąż jest nadzieja.

– Więc i ja nie przestanę jej mieć w stosunku do ciebie. – Mrugnęłam do niej wdzięczna za tę chwilę normalności.

Żarty dotyczące modlitw za moją orientację nie przestawały jej bawić, a mnie dawno przestały przeszkadzać. Nigdy nie kryłam, kim jestem. Czułabym się równie niezręcznie jak Robin teraz, gdyby rozbierały się przy mnie, nie zdając sobie sprawy z efektu, jaki mogą wywołać.

– Co wiecie o Świętym Mikołaju? Jakieś prawdziwe nazwisko?

Wyciągnęłam z kieszeni złożoną w mały prostokąt kartkę, gotowa zanotować wszystko, co może się przydać. Na odwrocie ciągnął się spis części samochodowych, które miałam kupić dla Aleksa w realnym mieście. Zofia zerknęła na Emilię i zyskałam pewność, że to ona miała z tym klientem najwięcej problemów. Nieduża, ciemnowłosa i niebieskooka dziewczyna wyglądała jak młodsza siostra Zeldy… To mógł być jakiś trop.

– Nie znam nazwiska. Ale słyszałam jego rozmowę z facetem, którego wszystkie znamy, Stefanem „Hojnym Już Po Trzecim Drinku”.

Dziewczęta pokiwały głowami, kojarząc doskonale, kogo miała na myśli. Każdy wybijający się lub regularny klient dorabiał się ksywki. Do dziś nie wiedziałam, jaką nadały mnie.

– Rozmawiali o jakimś interesie i Stefan powiedział, że następnego dnia otworzy rachunek w jego banku i liczy na szybką transzę. Powiedział to w taki sposób, jakby to Święty Mikołaj był właścicielem albo dyrektorem banku.

– Mieszka w Dzielnicy?

– Nigdy nie zostawał na noc w okolicy, a na koniec wieczoru zwykle przed klubem czekała na niego dorożka.

To była niezła wiadomość. Dorożkarzy, zrzeszonych w dwóch spółdzielniach, nie było więcej niż pięćdziesięciu. Nawet uwzględniając to, że dorożki i powozy stanowiły popularny środek transportu (bo nie kłóciły się z magią Dzielnicy Cudów, konie bez trudu mogły przekroczyć granicę i kurs nie musiał się kończyć zaraz za rogatkami), regularne kursy z tego samego adresu były dobrym tropem. Może ktoś zapamiętał nie tylko klienta, ale i adres docelowy. Zapisałam sobie słowo „dorożkarz” i podkreśliłam. Obok zanotowałam „Święty Mikołaj” i narysowałam małą szubienicę.

– Kto widział ją ostatni? – przeszłam do kolejnego punktu.

Ramy czasowe. Widziałam dość seriali i filmów kryminalnych, by wiedzieć, jak kluczowe było ich ustalenie.

– Chyba ja!

Dziewczyna wychyliła się zza pleców Marty. Też była chórzystką, a jej drobna sylwetka i niewielki wzrost sprawiły, że zyskała przydomek Calineczka. Teraz, bardzo poważna i przejęta, podeszła bliżej, nie przejmując się zupełnie tym, że jest w samych majteczkach i rozchylonym króciutkim peniuarze. Rwany wdech Robina upewnił mnie, że nie umknął mu ten szczegół.

– Musiałam zostać dłużej, by zszyć sukienkę, zanim panna Pola zauważy, że ją rozdarłam. Byłam pewna, że wszystkie dziewczęta już wyszły, a nagle w progu pojawiła się Zelda. Wydawała się… sama nie wiem, wzburzona? Zmartwiona? Zapytałam, czy coś się stało. Stwierdziła, że już to załatwiła i mam się nie przejmować. Zabrała sweter z szafki i powiedziała, żebym się nie grzebała, bo już późno. Szła do domu, mówiła, że poprosi Franciszka, by poczekał na mnie na zewnątrz, i chyba nie chcę, by staruszek spędził całą noc na schodach… – Wyrzucała z siebie słowa szybko, jakby się bała, że coś zapomni, coś pominie. – Ale Franciszka nie było na schodach. Znalazłam go w kuchni w suterenie i zapytałam, czy naprawdę tak się naczekał, że zszedł z posterunku i nawet nie zostawił włączonego światła na schodach… I okazało się, że on o niczym nie wiedział, nie rozmawiał z Zeldą… Co gorsza, Zeldy nie było w domu. Nie wróciła. A to jest tylko kilka kroków. Jak mogła zginąć w tym czasie? – Pociągnęła nosem, zdenerwowana.

Na to właśnie pytanie musiałam znaleźć odpowiedź. Przyszło mi do głowy coś jeszcze… coś, co mogło sprawić, że Zelda była tu długo po wyjściu większości dziewczyn.

Przypomniałam im, by z każdą informacją, jaka wyda im się ważna czy choćby ciekawa, uderzały do mnie, i pożegnałam się, chcąc złapać jeszcze jedną osobę, która mogła rzucić nowe światło na ostatnie godziny Zeldy w Pozytywce.

*

Apolonia Borman była bezsprzecznie piękna, w końcu to jednojajowa bliźniaczka Stefanii, więc wydawało się to dość oczywiste, ale wcale takie nie było. Owszem, siostry miały identyczne twarze, oczy, kolor włosów, wzrost czy kształty. Ale to była zaledwie część tego, co składało się na urodę Apolonii.

Anielska Apolonia faktycznie emanowała czymś, co wyróżniało ją spomiędzy innych kobiet, z jej siostrą włącznie. Jakaś nieuchwytna słodycz zmiękczała jej rysy, jakieś dziwne światło rozświetlało oczy. Była uderzająco podobna do Stefanii, a jednak nikt nigdy nie pomyliłby ich czy nie wahałby się ze wskazaniem, z którą ma do czynienia. W miejscach, w których Stefania była wyniosła i profesjonalnie chłodna, Apolonia była czuła i bezpośrednia.

Nie czyniło to z niej chodzącej na dwóch nogach dobroci i chrześcijańskich cnót upakowanych w śliczne ciało. Anioły są pozytywnymi i dobrymi kolesiami głównie w opowieściach na dobranoc – wiem, dla kilku pracowałam. Żadne zlecenie nie odbiegało od mojej średniej. A zabijam na zlecenie. Pod całą tą słodyczą Apolonii krył się żelazny trzon. Pod pewnymi względami Stefania była bardziej uczciwa – u niej było to widać na pierwszy rzut oka.

Magia, która stworzyła Dzielnicę Cudów, zmieniła wiele rzeczy. Zmieniła też Apolonię. Panna Pola była jednym z Filarów, a to oznaczało, że odpowiadała za istnienie Dzielnicy w formie nieskalanej zmianą. I dobro dzielnicy ostatecznie wygrywało z wszystkim innym. Nie była jasnowidzem. Z tego, co wiedziałam, potrafiła czasem zobaczyć przyszłość, jeśli sytuacja, decyzja czy osoba miały wpłynąć na losy Dzielnicy. Mogła zlecić zabójstwo, jeśli w jej wizji ktoś naruszyłby świętą równowagę.

Przed garderobą Apolonii poprosiłam Robina, by został na zewnątrz. Odmówił. Wyglądało na to, że bardzo poważnie traktował całą tę sytuację z partnerstwem. A może bał się zostać sam w miejscu, gdzie kręciło się kilkanaście dziewcząt w skąpych strojach.

Apolonia siedziała na jednym z tych dziwnych, trójkątnych krzeseł, przeznaczonych dla kobiet noszących krynoliny. Wykorzystywała jego walory po swojemu, układając swoje ciało w powabnej pozie subtelnej uwodzicielki. Stojąc w progu, mieliśmy doskonały widok na nierzeczywiście długie, piekielnie zgrabne nogi wychylające się z perłowych fałd jedwabnego peniuaru i kształtny biust uniesiony sznurowanym gorsetem, którego delikatnie różowe wstążeczki i koronki pięknie podkreślały jasną, jakby podświetloną od środka skórę. Była seksowna, piękna, wspaniała, ale w żadnym razie wulgarna. Wydawała się na to zbyt czysta. Jej twarz nie nosiła już śladu makijażu scenicznego, a grube loki upięte były z tyłu głowy w dziewczęcy kucyk. Spojrzenie jej

wielkich ciemnych oczu nie zdradzało oznak zdziwienia na mój widok. Nie zapytała też o Robina. Może już o nim wiedziała, a może nie chciała się przyznać, że była niedoinformowana.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o Zeldzie – zaczęłam.

– To oczywista strata. – Skrzywiła się. – Mam nadzieję, że nie straciliśmy jej na zawsze.

– Wszyscy dzielimy tę nadzieję. Podobno byłaś jedną z ostatnich osób, które widziały ją w noc zniknięcia. Nie zauważyłaś, by była wzburzona?

Zachowywałam się tak dyplomatycznie, że tylko patrzeć, a zacząłby mi kiełkować monokl na nosie i miśnieńska filiżanka z przednim earl grey w dłoni. Apolonia była zbyt anielska, bym ryzykowała zdenerwowanie jej choćby sugestią, że miała z tą sytuacją cokolwiek wspólnego.

– Niewykluczone. – Wzruszyła ramionami i już wiedziałam, że nie będzie łatwo.

Raz czy dwa widziałam już u niej to lekko nieobecne spojrzenie i powściągliwość. Za każdym razem związane były ze sprawami Dzielnicy, o których mówiła wyłącznie nabożnym szeptem.

– Czy miała problem z kimś konkretnym? Czy przyszła ci się na kogoś poskarżyć? – Im bardziej wprost, tym większa szansa, że proste „tak” lub „nie” dokądś mnie doprowadzą.

Apolonia przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie, jakby czekała, aż wypowiem magiczne słowo. I nie, nie było to coś tak banalnego jak „proszę”. Miałam już pewność, że w grę wchodziła jakaś przepowiednia.

– Apolonio, obu nam zależy na dobru Dzielnicy Cudów. Obu nam również zależy na bezpieczeństwie Zeldy i Alicji. Domyślam się, że ten, kto zagraża Zeldzie, zagraża też Dzielnicy. Gdyby przyszła do ciebie ze skargą na klienta, zareagowałabyś natychmiast. Nie raz widziałam, że tak właśnie postępowałaś. Nie zrobiłaś tego i Zelda najprawdopodobniej została porwana. A to oznacza dla mnie jedną z dwóch rzeczy: albo sprawca jest zbyt potężny i się wystraszyłaś, ale nie chcę wierzyć w taką wersję, albo musiało do tego dojść dla dobra Dzielnicy. Jeśli tak, nie jest powiedziane, że Zelda musi umrzeć. Bardziej prawdopodobne, że mamy wyeliminować tego, kto jej zagraża. Wolałabym więc przejść do rzeczy i po prostu zrobić to, co do mnie należy, czyli sprowadzić matkę małej dziewczynki do domu.

Apolonia, wciąż z nieobecnym spojrzeniem, zagłębiła opuszki palców w szklanym słoiczku z kremem. Powolnymi, okrężnymi ruchami

wmasowywała pachnącą różami substancję w skórę na dłoniach i przedramionach wychodzących z szerokich rękawów peniuaru.

– Już wiesz wystarczająco wiele, by odnieść sukces – powiedziała w końcu. – Jesteś na dobrej drodze, Cieniu, który nie ma cienia.

Przestała mnie zauważać. Równie dobrze mogłaby mieć bielmo na oczach. Pieprzone wyrocznie. Opuściłam jej garderobę z narastającą frustracją, bo doskonale wiedziałam, że Apolonia wiedziała. Znała szczegóły, mogłaby mi je podać, ale to w jakimś stopniu zmieniłoby przepowiednię, więc uznała, że niczego nie powie mi wprost. Ryzykowałaby tym, że coś spierdolę i nie będę tak sprytna jak w jej wizji… Najbardziej przygnębiająca wersja zdarzeń zakładała, że dzięki jej informacjom mogłabym uratować Zeldę, za to wedle przepowiedni znajdę ją martwą i pomszczę w sposób miły Apolonii. A więc wedle jej optyki wszystko będzie w porządku.

Ludzkie życie stawało się tanie w obliczu rzeczy większych. W szerszej perspektywie czasowej istniejemy przez chwilę. Czy ocalenie Dzielnicy, z którą związane są tysiące istnień, warte jest skrócenia życia jednej kobiety, choćby i matki małej dziewczynki? W oczach Apolonii na pewno. W moich do niedawna też. Z tym że próbowałam myśleć inaczej, odkąd zauważyłam, dokąd mnie to myślenie prowadzi. Nie chciałam się upodobnić do Ireny. Gdy brakowało mi argumentów przeciwko bezwzględności i historycznej konieczności, zastanawiałam się, co pomyślałaby o mnie moja przyjaciółka z przeszłości. Dora Wilk bywała naiwna, nieznośnie idealistyczna, ale miała serce po tej stronie, po której i ja chciałam trzymać własne. Bo tylko tak mogłam nie stać się godną następczynią moich rodziców.

Trzy lata temu zorientowałam się, że zaczynam ich przypominać. Jak moja matka byłam bezwzględna, zdeprawowana i dotkliwie samotna. Kiedy zaczęłabym wariować, jak mój ojciec? Chciałam dla siebie czegoś więcej. To nie było łatwe, komplikowało mi życie i wpływało na decyzje zawodowe, ale myślę, że jestem dziś lepszym człowiekiem niż wtedy. A może po prostu w mniejszym stopniu jestem potworem.

– Nie była zbyt pomocna – zauważył Robin tym spokojnym tonem pełnym zadumy. Gdybym znała go lepiej, mogłabym powiedzieć: „cały Robin”. Był tak cichy, kiedy wyszliśmy z garderoby Apolonii, że dało się zapomnieć, że za mną szedł. Może jednak się dogadamy.

– W swoim odczuciu była wystarczająco pomocna – stwierdziłam niechętnie.

– Ale wiesz tyle samo, co wiedziałaś, zanim do niej weszliśmy.

– To trochę bardziej skomplikowane – odparłam. – Wiem, że podskoczyła nam stawka. – Widząc, że nie zrozumiał, wyjaśniłam: – Nie chodzi już tylko o Zeldę. W grę wchodzi równowaga Dzielnicy Cudów. Porażka może mieć dla wszystkich daleko idące konsekwencje.

– Wygląda na to, że nie możemy zawieść, prawda?

W tej chwili ten spokojny ton wydawał się dodawać nieprzyzwoicie wiele otuchy.

*

Przed Pozytywką, na placu Księżycowym, nie widziałam żadnej dorożki. Możliwe, że wszystkie właśnie rozwoziły ludzi do bezpiecznych schronień – w powietrzu czuć było wyraźnie nadchodzącą burzę, taką z piorunami, grzmotami i czkawką. Wątpiłam, by po odwiezieniu klientów Pozytywki dorożkarze wrócili na plac Księżycowy. Na ich miejscu czym prędzej udałabym się do wozowni, gdzie szanse na przetrwanie burzy były znacznie większe. Zajezdnie obu dorożkarskich korporacji mieściły się w górnej ćwiartce, w okolicach cerkwi Świętej Trójcy, która na mapie jest wierzchołkiem trójkąta zamykającego się wokół Dzielnicy Cudów. Powrót stamtąd do mojego domu w Przylepce zająłby nam dobre czterdzieści minut, jednak nie chciałam odwlekać poszukiwań do rana.

Jeśli mój instynkt działał poprawnie, mieliśmy niewiele ponad dwie godziny, zanim jedynym względnie bezpiecznym miejscem w okolicy będzie mój dom z potrójnymi barierami ochronnymi. Pierwsze, wciąż niewielkie skoki napięcia w magicznych liniach stawiały mi włoski na przedramionach i na karku.

Zerknęłam na Robina, ciekawa jego poziomu wrażliwości. Rozglądał się, nieco wytrącony z równowagi, jakby nie rozumiał, co właściwie czuje. Jego palce odruchowo powędrowały na wysokość piersi, gdzie pod ciemną tkaniną dyndał magiczny wisior. Gdyby okazało się, że to cudeńko potrafi zabezpieczyć go przed czkawką, jego wartość, jako Cienia i mieszkańca Warsa, skoczyłaby niebotycznie. Matka na pewno o tym nie wiedziała, inaczej nigdy nie wcisnęłaby mi go jako partnera.

– Miałeś już pierwsze doświadczenie z czkawką? – zapytałam.

Pokręcił głową. Jeśli przez trzy miesiące naprawdę nie opuszczał siedziby Zakonu, mógł nie wiedzieć, co go czeka. Ochrona magiczna była tam wysokiej klasy, puszczała rzadko i zwykle spektakularnie, ale jeśli czkawka nie ocierała się o apokaliptyczne potrząsanie światem, można było jej prawie nie poczuć.

– Albo nauczysz się ją wyczuwać i w miarę możliwości chronić swój tyłek, albo ryzykujesz przemianę w coś, czym nigdy nie chciałbyś zostać. To, co teraz czujesz, to już ostatnie znaki ostrzegawcze.

– To gęstniejące powietrze i ciarki? To przez burzę?

– Owszem. Też. Ale nawet jakby niebo było bezchmurne, czułbyś to samo, gdyby nadciągała czkawka. Linie magiczne w innych miastach działają harmonijnie, magia płynie nimi z cichym szumem ożywiającym ci krew. Tu linie są odizolowane, stworzyły sobie tamy oddzielające je od reszty świata. Ruch w obrębie linii jest znacznie delikatniejszy, jak w leniwym jeziorze z regularnymi pływami. Ale czasem łagodne wody jeziora nawiedza sztorm. Fale robią się większe i wzburzają muł z dna zbiornika, ten największy syf, co do którego wszyscy mieli nadzieję, że nigdy nie wróci. Na co dzień można prawie zapomnieć, jaką to miasto ma przeszłość. W czasie czkawki te najciemniejsze elementy wypływają i zmieniają ludzi na swoje podobieństwo. Jeśli nie chcesz sprawdzić, z czym skojarzysz się tutejszej magii, nie zostawaj na zewnątrz. Idź do mieszkania, uszczelnij ochrony… – Widząc jego minę, wyrażającą lekką konsternację, zapytałam: – O co chodzi?

– Zakon chyba ma ochronę, nie?

Miałam ochotę pacnąć się w czoło. No tak. Ta bosa sierotka mieszkała w Zakonie.

– Ma kręgi, oczywiście. Ale nie są twoje, więc to nie twoje bezpieczeństwo jest ich priorytetem. Dam ci namiary na kogoś, kto pomoże ci znaleźć odpowiednie i względnie bezpieczne lokum.

Stwierdziłam, że skoro już zdecydowałam się go wziąć na partnera, równie dobrze mogę utrzymać go przy życiu.

Maszerowałam szybko, nie zważając na ciemność, która gęstniała, w miarę jak dopalały się naftowe latarnie. Na niektórych ulicach w Dzielnicy Cudów były lampy gazowe – zwykle na tych lepszych, przy bardziej okazałych budynkach, przy trotuarach spacerowych, wokół placu

Księżycowego. Te już zostawiliśmy za sobą. W górnej ćwiartce było biedniej. Każdego dnia zatrudnione przez ratusz iskry, zwykle starsze kobiety, ciągnęły ulicami terkoczące wózki z bańkami nafty, oleju, łoju, spirytusu, czasem dziwnych mieszanek wszystkich tych składników, i dolewały paliwa do kolb w latarniach. Wieczorem szły raz jeszcze, by zapalić knoty. Lampy gasły, kiedy kończyło się paliwo. W zależności od jego jakości mogły palić się dwie godziny albo prawie do rana. W dni świąteczne czy jarmarczne, kiedy ludzie spędzali więcej czasu na zewnątrz, koło północy iskry przechodziły jeszcze raz, dolewając do kolb drugą porcję. Dziś się na to nie zanosiło. Nie w obliczu czkawki.

Robinowi brak światła wydawał się nie przeszkadzać. Mój nowy partner wciąż poruszał się z tą niepokojącą gibkością drapieżnika. Może nawet pewniej, jakby ciemność odebrała mu część tego skrępowania czy wahania, które widziałam u niego za dnia. Szybkie, narzucone przeze mnie tempo też nie robiło na nim wrażenia. Nie miał nawet śladu zadyszki. Rozglądał się i zapamiętywał drogę i charakterystyczne punkty.

Kiedy zamajaczyła mi ceglasta sylwetka wozowni, ze wschodu dobiegał pierwszy pomruk stłumionego grzmotu. Burza była jakieś dwadzieścia kilometrów od nas. Silny wiatr z tego kierunku wskazywał, że ta odległość szybko się zmieni. Burza szła od Sawy, a to zapowiadało szczególnie złośliwą czkawkę. To po takich czkawkach na ulicach wyrajały się liczniej bestie, jakby Sawa zostawiała w Warsie swoje dzikie odciski palców.

Miałam nadzieję, że tajemniczy klient Pozytywki wybierał większą i bardziej pewną korporację – a za taką uchodziła firma Rudego Eryka. Jego niegdysiejszy wspólnik, a obecnie główny konkurent i zaciekły wróg, Jowialny Robert, prowadził drugą korporację, której siedziba mieściła się ulicę dalej w dawnym składzie drzewnym. Jego dorożkarze słynęli z dość luźnego podejścia do bycia na czas. Gdybym miała umówić dorożkarza, który każdego wieczoru o konkretnej godzinie będzie na mnie czekał i nie skusi się na kurs z innym klientem, poszłabym do Rudego Eryka.

W wysokim jak remiza strażacka pomieszczeniu stało rzędem kilkanaście dorożek. Głównie czarne i bordowe budy dwukonne, choć na specjalne życzenie można było też wynająć elegancką, odkrytą spacerową kolaskę. Za wozownią ciągnęły się budynki stajni. Nerwowe rżenie koni słyszałam mimo zamkniętych wrót. Pewnym krokiem przemierzyłam budynek. Jeśli mową ciała sugerujesz, że nie powinno cię tu być, nikt nie będzie z tobą

rozmawiał i najpewniej karzą ci zmykać w podskokach. Ani mnie, ani nikomu w dzielnicy nie uśmiechało się trafić na czarną listę dorożkarzy, bo mieli oni opinię mściwych i pamiętliwych.

Większość pracowników już dawno rozeszła się do domów. Kilku miało dyżur przy koniach, zaczynali robotę za niespełna cztery godziny, więc zostali w salce wspólnej, z piętrowymi pryczami i niskim stolikiem, przy którym siedząc po turecku, rżnęli w karty. Nie było wśród nich Rudego Eryka.

Przywitałam się w progu. Odpowiedziało mi kilka przelotnych spojrzeń.

– Szef jest na górze – stwierdził krępy byczek o zaczerwienionej twarzy, ucinając moje próby zagadywania.

Nawet jeśli któryś coś wiedział, nie podzieliłby się informacjami bez zgody szefa. Dorożkarstwo to dobry, dziedziczny fach. Nikt nie zamierzał ryzykować wyrzucenia na pysk dla ładnych oczu panienki.

Chcąc nie chcąc, wdrapywałam się na antresolę po drabinie o zdradliwie wyślizganych stopniach. Robin bez proszenia został na dole, pilnując odwrotu. Gdyby jakiś dowcipniś odsunął drabinę, musiałabym skakać z wysokości dobrych pięciu metrów. Nie zabiłabym się, ale z pewnością poobijała. „Gabinet” Rudego Eryka mieścił się na otwartej antresoli, z której doskonale widział wozownię, a przez okratowane okienko – stajnie i wybieg dla koni. Plotki mówiły, że lubił mieć na wszystko oko, spał mniej niż dwie godziny na dobę i mógłby mieszkać w willi, bo już dawno dorobił się na dorożkach, ale wyznawał zasadę, że pańskie oko konia tuczy. I dlatego jego żona i dzieciaki mieszkały w rezydencji, a on większość czasu spędzał tutaj, pochylony nad wielką księgą rachunkową.

Siedział za szerokim biurkiem z blatem wyłożonym zielonym suknem, które pasowało raczej do bankiera z wyższych klas, a nie do łysiejącego rudzielca z lekkim brzuszkiem, w niedopasowanych do siebie elementach garderoby – żółta koszula, kraciasta kamizelka i bufiaste, czerwone portki nie wyglądałyby ze sobą dobrze w żadnej epoce i rzeczywistości.

– Któż to zawitał w moje skromne progi? – powiedział i skinął głową z wyuczoną uprzejmością.

Jego uniżona poza była równie fałszywa jak uśmiech i śnieżna biel koronek zębowych.

– Nikita, członek Zakonu Cieni, na usługach Stefanii Borman – wyrecytowałam, wyraźnie akcentując, kto się ucieszy, jeśli będzie

współpracował.

– No, no, kto by pomyślał! Czym możemy służyć pannie Funi? Powóz ma własny, więc zapewne nie o konie chodzi?

– Poszukuję kogoś, kto regularnie korzystał z waszych usług… Każdej nocy w godzinie zamknięcia Pozytywki potrzebował transportu, najpewniej poza granice Dzielnicy Cudów.

Widziałam w oczach mojego rozmówcy błysk wyrachowania.

– No widzi panienka, tu mamy problem. Bo jak sama panienka wspomniała, to klient regularny, dobrze płacący… Marnowanie takiego układu biznesowego to jak strzelanie sobie w stopę… Panna Funia musi rozumieć, że biznes to biznes i ja sobie w stopę strzelać nie mogę…

Sięgnęłam do torby. W portfelu miałam normalną walutę, ale nosiłam przy sobie też sakiewkę z bilonem. W dzielnicy banknoty nie zdawały się na wiele, jeśli nie były dużymi i kolorowymi przedwojennymi biletami, ale tych nie dało się łatwo zdobyć. Zostawały monety, złoto, kosztowności czy towary, o które w Dzielnicy było szczególnie trudno.

– Mogę ci zaproponować rekompensatę finansową, dajmy na to pięćdziesiąt złotych. Mogę też dostarczyć ci w ciągu kilku dni skrzynkę pomarańczy, które na pewno przydadzą się twoim dzieciom. Szkorbut to straszna choroba, szkoda, żeby przed osiemnastką potrzebowały sztucznej szczęki czy koronki – zablefowałam.

Rudy Eryk był ledwie po czterdziestce, a już nosił sztuczne zęby. Wiedziałam też, że ma trójkę drobiazgu. Znałam najstarsze z jego dzieci – dwunastoletniego chłopaka, który przeżywał właśnie fazę buntu przeciwko własnemu uprzywilejowaniu i kumplował się ze znajomymi gazeciarzami. Z przyzwyczajenia podpytałam go o jego rodzinę, bo nigdy nie wiadomo, kiedy coś się przyda. Zakładałam, że skoro rodzice nie mają problemu z tym, że gania całe dnie z gazeciarzami, nie bardzo się nim przejmują. Wygląda na to, że było odwrotnie: okazał się bardziej rozpuszczony niż zaniedbany. To strzał w ciemno, ale nawet jeśli Eryk nie stracił zębów przez szkorbut, a, dajmy na to, w bójce, to bez wątpienia kochał swoje dzieci i mógł się skusić na pomarańcze, będące w Dzielnicy Cudów towarem deficytowym. Mieszkańcy, którzy sami nie mogli przekroczyć granicy i wyjść do realnego miasta, gdzie pomarańcze były tanie i łatwo dostępne, byli skazani na handlarzy, przemytników i „spełniaczy”, którzy mogli dostarczyć różne cenne rzeczy, ale liczyli sobie słono. Wyskoczenie do

Warszawy i kupno skrzynki pomarańczy dla mnie było banalnie proste. Mogłam wpakować je do sakwy Ślicznotki i w godzinę dostarczyć je do Dzielnicy Cudów. Nie robiłam tego za często, by nie podpaść gangom przemytników, w każdym razie cała impreza kosztowałaby mnie kilkanaście złotych. Rudy Eryk „spełniaczom” zapłaciłby równowartość tygodniowych zarobków. Znacznie więcej niż pięćdziesiąt złotych, choć tyle wynosił pełen miesięczny abonament obiadowy u panny Waci. W Dzielnicy Cudów pieniądze miały względną moc nabywczą.

– Dwie skrzynki i przejdziemy do rzeczy. – Uśmiechnął się, odsłaniając metalowe haczyki koronek.

– Zgoda! – Podeszłam i uścisnęłam mu dłoń. Tu nie trzeba nic więcej.

Rudy Eryk wychylił się zza biurka i zawołał do wozowni:

– Jaśko! Wejdź na górę!

Pokerek musiał być mniej wciągający, odkąd przyszłam, albo nadstawiali ucha, ciekawi rozwoju sytuacji, bo już dwadzieścia sekund później potężne chłopisko o włosach tak jasnych, że wydawały się świecić niczym aureola, wdrapywało się po drabinie, ciężko posapując. Olbrzym zwany Jaśkiem uchwycił się dłonią grubego sznura wiszącego od powały tuż przy drabinie i podciągnął ciało, tak że już po chwili stanął pewnie na podłodze antresoli. Widać było, że źle się tu czuł i wolałby rozmawiać z nami na dole, jak Pan Bóg przykazał.

– Opowiedz panience o kliencie z drugiej nad ranem, spod Pozytywki.

– Tym mlaskaczu? – upewnił się.

– A tym, tym.

– A to już drugi miesiąc co wieczór, jak w zegareczku, jak tylko się kabaret zamknie, wychodzi i wsiada do dorożki, co to ją zamawia wcześniej. I jak w zegareczku dwie ulice dalej stoi panna, z tych co zwykle na rogach wystają i liczą na okazję dorobienia, choć niby jeszcze nie myślą o tym jak o karierze. I mlaskacz każe ją zabierać. I mlaskają se tam w dorożce, aż mi się buda kołysze, a jak dojeżdżam do granicy Dzielnicy, jest już po wszystkim i panna wysiada. A ja go dali wiezę, pod dom.

– A gdzie ten dom? – dopytałam.

– A w Twierdzy, na Tralkach. – Okolica ta zawdzięczała swą nazwę wysokim ogrodzeniom, którymi właściciele otaczali swoje posesje. – Taka wielka chałupa, cała na biało, z rzędem iglaków za płotem, że mało co

widać zza nich, ale okien dużo, bo się światło latarni odbija – doprecyzował.

– Czy wczoraj też go wiozłeś?

– A jakże. Ino tym razem nie kazał się po pannę zatrzymywać, bo już se wcześniej jakąś przygruchał…

– Czy wiesz, jak się nazywa?

– Nazwiska to nie znam, ale jak pierwszy raz jechał i musiał potwierdzić, że to on zamawiał, a nie próbuje komuś taryfy podebrać, musiał podać imię. I było mu Korfanty, dziwnie tak, nie? – Wzruszył ramionami. Może dla kogoś, kto ma na imię Jaśko, każde imię jest nieco dziwne?

Nie potrzebowałam niczego więcej. Wiedziałam, że nie poda mi szczegółowego adresu, bo dorożkarze jeździli na pamięć, a poza granicą Dzielnicy wszystko wyglądało dla nich tak samo obco. Ale opis był dość charakterystyczny, bym znalazła chałupę bez problemu.

Schodziłam po drabinie nieznośnie świadoma gramolącego mi się nad głową Jaśka. Gdyby nie trafił na stopień, jego ciężka stopa wylądowałaby mi na głowie. Zeskoczyłam, jak tylko znalazłam się dość blisko do ziemi. Po co kusić los?

Wyszliśmy z Robinem na ulicę przed wozownią i nabrałam pewności, że mieliśmy niewiele czasu. Mniej niż godzinę. Raczej czterdzieści minut. Zaczęło padać, a grzmoty były zdecydowanie głośniejsze i bliższe. Raz po raz ciemne niebo przeszywała błyskawica.

– Musimy biec, szybko – rzuciłam. Skinął głową i patrzył w niebo z dziwną fascynacją.

Ruszyłam sprintem. Jeśli chciał podziwiać gwiazdy, nie widziałam przeszkód, ale nie zamierzałam nadstawiać dla niego tyłka. Dogonił mnie po kilku metrach. Biegliśmy równo, pokonując kałuże i mijając ciemne zaułki, jakby to był nasz codzienny jogging, ustanowiony wieloletnią tradycją. Robin bez trudu dopasował swoje tempo do mojego. Nie łapał zadyszki, nie wydawał się męczyć. Mógł biec pewnie tak długo jak ja, choć w przeciwieństwie do mnie na końcu trasy raczej nie będzie musiał przyjąć dwóch tysięcy kalorii, by nie zmienić się w potwora. Farciarz.

Gdy dotarliśmy do granicy Dzielnicy Cudów, lało już jak z cebra. Ubrania oklejały nam ciała i utrudniały swobodne poruszanie się. Strumienie deszczu zalewały twarz i oczy. Błyskało się coraz częściej, a grzmoty goniły nas z każdą minutą. Jednocześnie było w tym biegu coś

głupio dziecinnego, odświeżającego. Aż zachciało mi się zatrzymać przy większej kałuży i poskakać w niej, wyobrażając sobie, że na stopach mam nie ciężkie motocyklowe buty, ale gumiaki, wyglądające jak zmutowana żabka z jednym oczkiem bardziej niż drugim. Miałam takie jako pięcioletni szkrab. Nie chodziłam do przedszkola. Irena nie miała dość regularnego dnia pracy, by odbierać mnie co dzień o szesnastej, więc zatrudniała nianię, panią Marzannę, przekochaną kobietę. Nie tylko kupiła mi te niewydarzone kaloszki w czasach, kiedy na sklepowych półkach nie było w Polsce prawie niczego, ale też zabierała mnie do parku, bym mogła deptać po kałużach z innymi dziećmi. Wkrótce potem Irena dowiedziała się o tym i ją zwolniła, ale tamte deszczowe dni, kałuże i dzieciaki pamiętam do dziś.

Moje bariery ochronne szumiały znajomym i uspokajającym brzęczeniem mocy. Przeprowadziłam Robina, by nie wpadł na błyskotliwy pomysł ich neutralizowania. Gdy wsuwałam klucz do zamka, błyskawica rozdarła niebo tuż nad nami. Pod stopami czułam narastający pomruk wzbierającej magii.

Rozdział 10

Mój dom – z dziwacznie dostawionym wiatrołapem, zakratowanymi oknami i przysadzistą sylwetką, wyglądającą, jakby zapadała się w ruchomych piaskach, ponieważ parter w dużej mierze znika poniżej poziomu gruntu – jest brzydki jak pudełko po butach. Do garażu zjeżdżam pochyłą rampą, a zza zbrojonego szkła wąskich okienek widzę więcej trawnika niż nieba, bo znajdują się niemal dokładnie na poziomie gruntu. Wszystko, co byłoby wadą dla zwyczajnej rodziny szukającej wygody i światła, dla mnie stanowi zaletę. Mój dom jest brzydki, ale jest też niczym forteca.

Uniosłam solidne, harmonijkowe drzwi do garażu i wpuściłam Robina przodem. Starannie zamknęłam je na zamek i obeszłam pomieszczenie, wymijając terenówkę, znaną też jako Brzydal, i sprawdzając, czy zaklęcia ochronne na fundamentach, oknach i progu były kompletne. W ciasnej i ciemnej kotłowni upewniłam się, że piec działał, a w dozowniku wciąż znajdował się spory zapas ekogroszku – wieczory bywają już zimne. Kiedy zatrzymywałam się w jednej z nor, obyłam się bez luksusów w rodzaju ogrzewania, ale nie musiałam z nich rezygnować we własnym domu.

Uspokojona, bo wszystko było na swoim miejscu i dom miał dużą szansę przetrwać kataklizm, a więc tym bardziej czkawkę, rozejrzałam się za Robinem, przypominając sobie, że przecież wpuściłam go do swojego domu na noc. Miał tę dziwaczną cechę wtapiania się w tło, tak że łatwo zapominało się o jego istnieniu. Rzecz godna pozazdroszczenia – w końcu to spory facet i raczej powinien się rzucać w oczy.

Musiał się rozglądać po moich włościach, bo drzwi do sali treningowej były uchylone, a zawsze je zamykam. Nie wiem, co sobie pomyślał na widok solidnych atlasów i worków treningowych. Wszystko zależało od tego, czy był dobrym obserwatorem. W ubraniu wyglądałam na dość drobną. Nie przewidywałam, by kiedyś zobaczył mnie *sautée*.

Stał w progu mojej zapasowej sypialni. Kiedy wprowadziłam się do tego budynku, przygotowałam ją na wszelki wypadek. Poniżej poziomu gruntu

w czasie czkawki było bezpieczniej. W tamtym czasie jeszcze nie miałam z czkawką zbyt wielkich doświadczeń, mieszkałam w Warsie dopiero od kilku miesięcy, nie wiedziałam, czy zdołam zasnąć na górze w czasie potężniejszych wyładowań. Szybko okazało się, że bezsenność zagościła w moim życiu na dobre i czkawka nie miała z tym wiele wspólnego. Z sypialni na dole nie korzystałam zbyt często, zostawiając ją na naprawdę potężne sztormy, które zdarzały się regularnie zimą, a i wtedy więcej czasu spędzałam w położonej po drugiej stronie korytarza siłowni niż w łóżku. Sypialnia służyła więc jako pokój gościnny, a ponieważ mój stosunek do gości był jasno określony, jedynym, który z niej korzystał, był Aleks. Zamontowałam kilka dodatkowych poręczy, obniżyłam progi, a schody na piętro zabudowałam rampą z wciągnikiem hydraulicznym, by bez problemu mógł się poruszać po domu.

– Tu będziesz spał – powiedziałam. – W komodzie powinieneś znaleźć suche ubrania, w które się zmieścisz. Tam – pokazałam palcem szare drzwi – jest prysznic.

– Twój chłopak nie będzie zły, że ktoś prześpi się w jego łóżeczku? – zapytał, spoglądając na męskie ubrania.

– Jakoś mu to wytłumaczę i może cię nie zje – odparłam.

Za krótko go znałam, by opowiadać mu o Aleksie. Najpierw musiałam go dużo dokładniej sprawdzić.

– Masz coś do jedzenia? – zapytał, trzymając się za brzuch jak zagłodzone dziecię z Etiopii.

– Coś się znajdzie. Wysusz się i wejdź na piętro, tylko tędy. – Wskazałam na wewnętrzną klatkę schodową. – Nie wychodź na zewnątrz, nie otwieraj drzwi ani okien.

Przytaknął i zsunął z pleców skórzaną torbę, po czym z jęknięciem ulgi zaczął ściągać mokry sweter. Zostawiłam go, zanim przesadnie wzbogaciłby mój wieczorny program rozrywek. Striptiz nie był na dziś przewidziany. Wspięłam się po łagodnie nachylonej rampie. Ubranie lepiło się do mnie, a buty wydawały irytujący mlaszczący odgłos. Ściągnięcie ich było priorytetem. A zaraz potem – jedzenie. Kiszki grały mi marsza. Wciąż jeszcze nie miałam się tak źle, bym czuła pod skórą drżenie zapowiadające przełom, ale nie planowałam doprowadzić się do takiego stanu.

Już w suchych spodniach do jogi, kudłatych skarpetach i miękkiej bluzie z długim rękawem i kapturem wyciągnęłam z zamrażarki dwa pojemniki.

Nie miałam czasu gotować i nie byłam w tym zbyt dobra. To, co zwykle przyrządzałam, nadawało się do przełknięcia, ale nie sposób było się tym zachwycić. Kulinarne szaleństwa zostawiałam profesjonalistom. Praktycznie każdego dnia stołowałam się na mieście albo zamawiałam coś na wynos. Jeśli z jakichś powodów musiałam jeść w domu lub, jak dziś, potrzebowałam dodatkowej porcji kalorii, zdawałam się na zamrożone zapasy. Raz w tygodniu pani Marianna, ta sama, która dbała o dom Aleksa, przynosiła mi wałówkę, jak twierdziła, na miesiąc. Zwykle jedzenie znikało bez śladu po kilku dniach. Zapiekanki, pieczenie i inne mięsa w zawiesistych sosach czy gulasze w schludnych plastikowych pojemniczkach (z datą przyrządzenia i zawartością opisaną na kolorowych etykietkach, jakimi dawniej dzieci oklejały zeszyty) były często najlepszą rzeczą, jaka spotykała mnie w ciągu chujowego dnia. Gdyby nie pani Marianna, niech bogowie strzegą jej troskliwej duszy, kupowałabym mrożonki w realnym mieście. Smakowałyby bez porównania gorzej, bo pani Marianna miała smykałkę do gotowania. I dbała o swoich klientów. Zanim poznała mnie i Aleksa, zajmowała się sprzątaniem, jednak dzięki naszym apetytom mogła sobie dać z tym spokój. To, co zarabiała u nas, wystarczało jej na utrzymanie siebie i nastoletniego syna. Gdybym potrzebowała dodatkowego usprawiedliwienia dla tego, że nie realizuję się jako gospodyni domowa – wystarczyła mi myśl, że mój apetyt daje zatrudnienie i zarobek małej armii. Nie gotuję, więc jestem podporą lokalnej gospodarki.

Wstawiłam pojemniki z gulaszem do mikrofali, by danie się rozmroziło, i zapaliłam gaz pod garnkiem z wodą na ryż. W kwadrans wszystko będzie gotowe. Bywały dni, kiedy właśnie takie proste rzeczy – to, że nie jestem przemoczona, że jest mi ciepło, jestem bezpieczna i za chwilę będę najedzona – wystarczały mi, bym czuła coś na kształt szczęścia. Cała reszta – matka, ojciec, robota – zostawała za progiem. Właśnie dlatego zrobiłam odstępstwo od wpajanych mi przez Irenę zasad – nigdzie nie osiadaj, do niczego się nie przywiązuj. Potrzebowałam tego, by nie zwariować.

Zanim skończyłam osiemnaście lat, zaliczyłam więcej adresów, niż byłam w stanie zliczyć, tak w miastach realnych, jak i w tych nadprzyrodzonych. Taki Irena miała plan na życie. Mnie doprowadzało do szału to, że ledwie oswajałam się z nowym miejscem, musiałam się

pakować. Potrzebowałam czegoś stałego. Nie zapuszczałam korzeni, to za duże słowo. Ale chciałam zobaczyć rosnące za oknem w sypialni drzewo w czasie każdej z pór roku.

Kiedy Robin pojawił się w progu, w kuchni unosił się już zapach duszonego mięsa wieprzowego i papryki. Aleks to spory facet, dość szeroki w barach, ale Robin był wyraźnie wyższy i teraz obciągał bluzę, tak by nie podjeżdżała za wysoko. Ściągacze nogawek opinały mu się nieco powyżej kostek. Wyglądał zabawnie, ale co dziwniejsze – szara, mięsista tkanina wydobyła z niego jakąś miękkość, niepewność, która umykała mi, kiedy nosił te swoje czarne, niedbałe ciuchy.

Nad dachem przetoczył się grzmot tak potężny, że zadrżały szyby. Linie magiczne odpowiedziały głuchym pomrukiem, który przeszył wibracją fundamenty domu. Przywykłam do takich przepychanek między niebem a ziemią, frontami atmosferycznymi i liniami magicznymi, bo coraz częściej czkawce towarzyszyły burze. Źrenice Robina się rozszerzyły, minę miał wyraźnie niepewną. Ostrożnie przysunął się do okna, jak kot, który podchodzi do nieznanego sobie fenomenu i wciąż nie wie, czy to coś, co da się zjeść, czy też coś, co zasługuje na pełne wściekłości syknięcie. Na niebie zajaśniała błyskawica, otaczając jego sylwetkę iście gotycką poświatą. Kolejny grzmot przetoczył się w powietrzu minutę później. Wyglądało na to, że byliśmy w centrum atmosferycznego zamieszania. Oby nie oznaczało to bycia w środku czkawki, bo z tym nawet moje osłony mogłyby sobie nie poradzić. Kiedyś wezwano nas, Cienie, do eliminacji zmasowanej mutacji po czkawce. Epicentrum znajdowało się pod szpitalem. Prawie wszyscy pacjenci i spora część personelu przeobrazili się w potwory. To opinia niekoniecznie poprawna politycznie, ale wychodzę z założenia, że jeśli coś rzuca ci się do gardła, chce ucztować na twoich bebechach albo rozerwać cię na strzępy, to przestają temu przysługiwać obywatelskie przywileje. Akcja była ciężka, czasochłonna i kosztowała życie dwóch z nas. Ktoś spokojnie mógłby napisać na jej podstawie grę komputerową. Dzielni gracze wędrowaliby korytarzami szpitala wybudowanego w osiemnastym wieku i mordowali wszystko, co nie weszło do szpitala wraz z nimi. Wąpierze, wilkołaki, poczwary, utopce, wijce, gargulce… wskaż palcem hasło w encyklopedii dziwów, a prawie na pewno ja czy inny z Cieni zabiliśmy to tamtej nocy. Gdy przychodzi czkawka, naprawdę nie opłaca się być w centrum wydarzeń.

– Nie widziałem tego z bliska – powiedział cicho.

– Wciąż nie widzisz i lepiej, by tak zostało – odparłam, spokojnie mieszając gulasz. Zajęło mi kilka miesięcy uwarunkowanie w sobie tego spokoju, wynikającego z otuchy, jaką czerpałam z wszystkich zabezpieczeń wokół domu.

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi u siebie zostać.

Odwrócił się od okna i patrzył z tą nieznośnie intymną szczerością, wypełniającą prawie czarne ślepia. Kolejna rzecz, od której odzwyczaiłam się w Zakonie: wdzięczność. Zaczynałam się zastanawiać, czy Robina nie wychowała ukryta w Zakonie opcja amiszów, czy innych krysznowców, bo raczej nie miał manier inkwizytorów.

Światło zamigotało i zgasło, kiedy zdejmowałam garnek z gulaszem z palnika.

– W szafce po twojej lewej są lampki – powiedziałam.

Gdybym ja po nie poszła, pewnie zderzylibyśmy się w ciemności i biedaczek mógłby wyciągnąć z tego zbyt daleko idące wnioski. Może się myliłam, ale obserwując go dziś z dziewczynami w Pozytywce, wątpiłam, by czuł się swobodnie, jeśli dystans między nami gwałtownie by się zmniejszył. Gdyby to dotyczyło tylko mnie, pomyślałabym, że przegoniła mnie moja reputacja, ale jeśli usztywniał się nawet przy króliczkach, miał swoje twarde granice.

Zjedliśmy w ciszy, siedząc w białawej poświacie kempingowych lampek. Cieszyło mnie, że Robin nie był jednym z tych, którzy przy wspólnym posiłku potrzebowali gadania. Jadłam szybko, pochłaniając jak najwięcej kalorii, nim mój mózg wyśle sygnał, że jest najedzony – zwykle następowało to, gdy byłam w połowie porcji niezbędnej mi do normalnego funkcjonowania.

Na zewnątrz burza się powoli wyciszała, za to siła czkawki wyraźnie rosła. Niewielkie, ale regularne wstrząsy przenikały przez fundamenty i podłogę. Wyczuwałam je stopami, kości śpiewały od nadmiaru magii. Błyskawice za oknem konkurowały z rozbłyskami energii, rozjaśniając niebo jak fajerwerki w Nowy Rok. Szklanki podzwaniały cichutko w kredensie. Jeśli będziemy mieli szczęście, rano drogi wciąż będą przejezdne, choć przy silniejszych wstrząsach zdarzało się, że asfalt pękał albo pośrodku drogi wyrastała nagle jama dość wielka, by pomieścić czerwie pustyni. Choć tych akurat tutejsza magia nam oszczędziła.

Dyskretnie obserwowałam Robina, zastanawiając się, jaką nosił magię. Jakąś musiał, skoro miał dość wyrazistą aurę, by mógł się z nią zsynchronizować tak potężny amulet. Nie było to coś, o co wypada pytać, zwłaszcza że sama nie miałam ochoty na odpowiadanie na takie pytania. Ale nie wszyscy potrafili utrzymać swoją naturę w ryzach w czasie czkawki.

Mój dawny partner, Johann, był wilkiem. W czasie pierwszej czkawki przemienił się w sali ćwiczeniowej w Zakonie. Nikomu nic się nie stało, ale jego niewypowiedziany sekret wyszedł na jaw i od tamtego czasu nie każdy chciał z Johannem pracować.

W Zakonie wciąż trzymano sporo uprzedzeń z czasów, kiedy był odpowiednikiem Inkwizycji, tyle że wymierzonej nie w ludzkie kobiety oskarżone o stosowanie czarów, ale w istoty magiczne niewygodne dla Kościoła katolickiego. W teorii mieliśmy to dawno za sobą, Zakon się odłączył od Kościoła i porzucił klasztorną regułę na rzecz kultury korporacyjnej, ale wciąż trafiali się tacy, którzy wartościowali ludzi na podstawie tego, jaką noszą magię. Paradoks polegał na tym, że prawie każdy z Cieni władał jakąś magią. Na palcach jednej ręki mogłam policzyć pełnokrwistych ludzi w naszym oddziale. Zwykle musieli być parowani z magicznymi partnerami, bo brak wrażliwości na magię mógł łatwo doprowadzić Cienia do śmierci podczas wykonywania zadania. Nie zmieniało to jednak siły uprzedzeń i nieoficjalnych rankingów, przypominających klasyfikację osób ciemnoskórych na tych czarniejszych i mniej czarnych. Nie wiedzieli, jaką magię noszę, ale dostałam swoją porcję ostracyzmu, kiedy po tej pierwszej, niezaplanowanej przemianie Johanna zaproponowałam mu, byśmy razem pracowali. Nie miałam problemów ze zmiennokształtnymi, a jego umiejętności i możliwości były bardzo przydatne w robocie. Niektórym to wadziło i przykleili mi etykietkę wilczej dziwki. Mówiono o mnie gorzej. A gdyby wiedzieli, kim naprawdę jestem, mogłabym liczyć na epitety znacznie grubszego kalibru.

Jeśli Robin wychował się w Zakonie, mógł wiedzieć, że z niezbyt popularną magią, lepiej się nie wychylać. Może kiedyś sam mi powie. A może nie będziemy ze sobą pracować aż tak długo. Wyczuwałam jego bariery ochronne – mocne i wibrujące silną magią, ale nie dość specyficzne, bym zdołała je rozpoznać. Może istniał inny sposób, pomyślałam, wstrzymując uśmiech.

Robin zjadł już chwilę temu, teraz popijał herbatę, zaciskając obie dłonie na prawie litrowym kubku, z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy. Wydawał się jednocześnie skupiony na jednej rzeczy i całkiem rozproszony wszystkim innym. Tym lepiej – odpadała kwestia niezręcznych rozmów czy silenia się na bycie miłą, skoro wibrująca w kościach magia popychała mnie bliżej dziedzictwa po ojcu i warkot narastał mi w gardle. Spojrzałam na swoje dłonie – drżały jak na głodzie. Pod skórą czułam mrowienie czegoś, co nie mogło się pomieścić w moim dość kompaktowym ciele. Przeklęłam w duchu.

– Śpij dobrze. Nie rozbijaj się przesadnie po domu, bo mam tu kilka ekstra alarmów. Nie wychodź przed końcem czkawki, a i wtedy daj mi znać, zamiast rozbrajać mi całkiem kręgi ochronne – powiedziałam, wstając od stołu.

Przytaknął, ale było w jego ruchach coś mechanicznego, jakby był na autopilocie.

Szybko opłukałam talerz i garnki i zniknęłam w swojej sypialni. Nie spodziewałam się, by udało mi się zasnąć. Nie z kimś obcym pod moim dachem, nie podczas czkawki, nie wobec zaginięcia Zeldy. To jednak nie czas, w którym mogłabym sobie pozwolić na socjalizację. Potrzebowałam swojej porcji ciszy i środków uspokajających. Czkawka była silniejsza, niż sądziłam.

Nie zawracając sobie głowy prysznicem czy próbą zaśnięcia, dokładnie zamknęłam drzwi do sypialni i odsunęłam panel na tylnej ściance szafy. Za nią znajdował się pokój, o którym nikt nie mógł wiedzieć. Stanowiłby zbyt wyraźną wskazówkę dla tych, którzy czytają coś więcej niż tabloidy.

Pomieszczenie było ciasne, wysokie na niespełna dwa metry, ledwie półtora na półtora metra szerokie, nie dało się tu nawet położyć na podłodze. Zresztą i tak sporo przestrzeni zajmował fotel z podłokietnikami i stojak na kroplówki. Ściany wyłożyłam panelami z jesionu. Runicznym pismem wyryłam na nich zaklęcia, które wedle szamana z szóstego wieku naszej ery miały uspokajać bestię, przywracając jej ludzką formę. To był jedyny zapis sugerujący, że szał berserka może być przerwany w inny sposób niż cierpliwe czekanie, aż się wyszumi, pozabija i schłodzi strumieniem cudzej krwi. Według Kosmy nie był to najbardziej wiarygodny tekst w historii, bo zwój został dość mocno zniszczony, brakowało mu początku i końca, a co ważniejsze – nie zawarto w nim choćby wzmianki o autorze w innych miejscach, jakby nigdy nie istniał. Osobiście przychylałam się do teorii, że znał proces przemiany zbyt dokładnie, by nie wiedział, o czym pisze. Inną kwestią było to, czy znał go z autopsji. Może któregoś dnia zaklęcie nie zadziałało i to był koniec szamana dość odważnego czy głupiego, by próbować powściągać bestię. Ufałam magii do pewnego stopnia. Wolałam wesprzeć ją całą technologią i medycyną, jaka była mi dostępna. Coś musiało zadziałać.

Pomieszczenie było nieco klaustrofobiczne i na tym polegała część planu. Małe przestrzenie uspokajają nawet bestie. Zamknęłam panel i włączyłam alarm. Jeśli Robin zacznie rozrabiać lub ktoś będzie próbował wejść lub wyjść z domu, będę wiedziała. Ale teraz potrzebowałam chwili izolacji.

Pokój ciszy, jak go nazywałam, przypominał komorę deprywacyjną, tyle że bez wody. Jedyne, co tu słyszałam, to mój przyspieszony i zbyt chrapliwy oddech. Ściągnęłam bluzę i spodnie, bo temperatura mojego ciała rosła i zaczynałam się pocić. Moje zmysły zaczynały szaleć. Słyszałam swoje dudniące tętno, zapach mojego potu podrażniał nozdrza, ale nie tak bardzo, jak kwiatowa woń płynu do płukania tkanin, którym pachniały ubrania. Najwyraźniej w tym stanie to, co nie kojarzyło się z polem bitwy, było na cenzurowanym.

Usiadłam w fotelu, czerpiąc odrobinę otuchy z jego znajomych, mocnych objęć. Przypięłam się pasem w talii – miałam nadzieję, że całkiem niepotrzebnie, ale wolałam być ubezpieczona. Przyczepiłam sobie elektrody na skroni i na piersi. Zawiązałam opaskę uciskową tuż powyżej zgięcia w łokciu i wbiłam igłę w wypukłą żyłę poniżej. Zamontowałam wenflon i przykręciłam do niego rurkę kroplówki. Nie otworzyłam zaworka – fotel zrobi to sam, jeśli wskazania podskoczą powyżej ustalonej normy. Chciałam za kilka godzin, gdy czkawka minie, wrócić do poszukiwań Zeldy. Jeśli wzięłabym głupiego Jasia, wszystko by się opóźniło. Wciąż miałam nadzieję, że uda się tego uniknąć, nawet jeśli ręce mi się trzęsły przy wkłuwaniu igły jak staremu narkomanowi. Wyłączyłam światło na panelu kontrolnym zamontowanym w podłokietniku. Zapadła ciemność – tylko runy na jesionowym drewnie rozjarzyły się łagodną, błękitnawą poświatą.

Nabrałam pełne płuca powietrza i przytrzymałam na chwilę, a potem wypuściłam powoli, wyobrażając sobie, że wraz z powietrzem moje ciało opuszcza całe to napięcie, przez które zgrzytałam zębami, a mięśnie barków zmieniły się w grube, bolesne węzły. Jeszcze raz i jeszcze raz. Wdech, wydech. Powoli. Wbrew naturalnemu odruchowi organizmu, który popychał mnie w kierunku hiperwentylacji. Rozluźnij się, do kurwy nędzy, warknęłam na siebie w duchu, choć to nie mogło pomóc.

Od trzech miesięcy nie byłam tak blisko przełomu. I to akurat dziś, z obcym, Cieniem, nasłanym na mnie przez Irenę… Kolejne przekleństwa wypełniły ciszę wyobrażonej oazy z jeziorem o najgładszej i najbłękitniejszej tafli, jaką potrafiłam sobie zwizualizować. Gdyby zamieszkiwał tam stary chiński mistrz kung-fu, zmarszczyłby brwi i kazał mi walić pięścią w deskę albo biegać z wiadrami wody po schodach, które wcześniej musiałabym zbudować, bo skąd schody w oazie. Mrugnęło mi

czerwone światełko na panelu fotela. Jeśli nie uspokoję tętna, jeśli nie wyciszę tych kłębiących się pod skórą robali, maksymalnie za trzy minuty w moje żyły popłynie środek uspokajający i najpewniej zasnę na kilka godzin. Skóra robiła się za ciasna, temperatura ciała skoczyła powyżej czterdziestu stopni, a mój pot wsiąkał w tapicerkę. Zacisnęłam zęby, czując, że moje nogi zaczynają podrygiwać jak w tańcu. Gdyby nie pas w talii, pewnie spadłabym z fotela.

Zmrużyłam oczy i skoncentrowałam się na świecących napisach na ścianie. Znałam je na pamięć, ale patrzenie na nie pomagało mi się skupić. Powtarzałam po cichu słowa zaklęcia, czekając, aż błękitne pasma zaklęcia oderwą się od jesionowych paneli i naznaczą moją skórę jasną poświatą. Już dobrze, myślałam, już dobrze, nie musisz tam iść, możesz zawrócić. Ty kontrolujesz sytuację, ty ustalasz zasady. Jesteś, kim chcesz być, a nie tym, kim był twój ojciec. Nie myśl o ojcu. Pomyśl o czymś miłym, spokojnym… Przez sekundę widziałam plażę, ścieżkę między wydmami prowadzącą do latarni morskiej, w której lata temu uwielbiałam przebywać… Ale to nie Latarnika zobaczyłam na progu, kiedy wreszcie tam dotarłam, grzęznąc po kostki w sypkim piachu. Kosma w swoim śmiesznym, brązowym sweterku, wiszącym luźno na jego zbyt szczupłym ciele, przesunął okulary z nosa na czubek głowy i cmoknął z niezadowoleniem.

– No już, siostrzyczko, możesz to zrobić – powiedział.

Wiatr od morza rozwiewał nam włosy, mające ten sam odcień ciemnego brązu. Pachniało burzą, jodem i algami. Fale rozbijały się z hukiem o skałę pod latarnią. Krople wody rozbryzgiwały się w mgiełkę, a ta słoną warstwą osiadała na mojej skórze. Ten hałas, to pulsowanie wody odwiecznym rytmem… Coś we mnie odpowiadało rykiem na ryk. Zadrżałam i opadłam na kolana, czując, że moje kości zaczynają się rozpychać pod skórą. Krzyknęłam skręcona gwałtownym bólem.

Kosma, jakby dopiero teraz się zorientował, gdzie przebywa, klasnął głośno. Plaża i latarnia zniknęły. Znajdowaliśmy się w jego królestwie, między niekończącymi się rzędami regałów wypełnionych książkami starszymi niż niejedna cywilizacja. Cisza spłynęła na mnie jak balsam. Od kurzu i zapachu starego papieru zakręciło mi się w nosie i kichnęłam, raz, drugi, aż oczy zaszły łzami. Ból ustąpił natychmiast. Wyprostowałam się ostrożnie i wstałam. Widać trudno się zmienić w bestię, kiedy kichasz. Moje dłonie wyglądały całkiem normalnie, dotknęłam twarzy, ona też

wydawała się taka, jak powinna, bez śladu deformacji. Odetchnęłam z ulgą i przytuliłam Kosmę, doskonale zdając sobie sprawę, że nawet jego widmowe, wyobrażone ja zaraz się lekko usztywni i wycofa. Żadnych gwałtownych gestów, żadnych silnych emocji, nawet tych pozytywnych.

– Było blisko. Może czas na odpoczynek? Spokojne życie? – spytał cicho Kosma.

Nie zamierzałam analizować tego, że nie jest prawdziwym Kosmą, a moim wyobrażeniem o nim, i tak naprawdę to ja mówię do samej siebie, że może już czas na spokojne życie. Zlekceważyłam tę sugestię, niezależnie od tego, czyje były to słowa.

Otworzyłam oczy. Moja skóra świeciła poświatą zaklęcia. Runy na ścianie przygasły. Wciąż słyszałam swoje tętno, ale to był efekt absolutnej ciszy panującej w komorze. Stygłam – dobry znak. Skóra świerzbiła od zastygającego na niej potu. Kontrolka na fotelu przeszła z czerwieni w pomarańcz. Gdy zamigała żółcią, wiedziałam, że sytuacja została opanowana. Bez zastrzyku, wspaniale. Odpięłam pas bezpieczeństwa i przez chwilę po prostu siedziałam, wykończona. Mięśnie znów mi drżały, ale tym razem ze zmęczenia. Zegarek na nadgarstku pokazywał prawie piątą. Jeśli dobrze liczyłam, spędziłam w komorze dobrze ponad godzinę. Czas tutaj zawsze mija inaczej. Gdybym miała zgadywać, pomyślałabym, że minęło dziesięć, może piętnaście minut. Zsunęłam się z fotela na podłogę i poczekałam, aż mięśnie przestaną mi drżeć.

Udało się. Kolejny raz. Ale było blisko, za blisko. Musiałam się zastanowić, czy winę ponosiła tylko czkawka, czy może wszczep przestawał działać i musiałam wymienić go na nowy. Funkcjonował na podobnej zasadzie jak wszczepy antykoncepcyjne – niewielki pręcik pod skórą systematycznie uwalniał dawki substancji, która zmniejszała reakcję receptorów na wyrzuty adrenaliny. Chwała tym, którzy wynaleźli alfa-blokery, i Kosmie, który kombinował tak długo, aż ustalił skład mieszanki i dawkowanie. Dozy nie były stałe, ale uzależnione od zapotrzebowania mojego organizmu. Niewykluczone, że przez ostatnie dni wszczep zużywał się nieco szybciej.

Jeśli czkawka minęła, miałam chwilę przed świtem, by załatwić jeszcze jedną rzecz, zanim napuszczę Karmę na Korfantego, nadzianego mieszkańca Tralki. Sprawdziłam na panelu kontrolnym stan systemu zabezpieczającego budynek. Żadnych zmian, uszkodzeń czy alarmów.

Robin przebywał w pokoju w piwnicy. Poza nim i mną system nie wykrywał innych form życia. Zwolniłam blokadę drzwi i przez szafę przedostałam się do sypialni. Musiałam wziąć szybki prysznic, bo cuchnęłam potem i adrenaliną. Przyciągałabym wilkołaki i wąpierze z daleka, jako idealna ofiara – wystraszona, zanim jeszcze pogrozili mi kłami.

Dziesięć minut później, odświeżona, w nowych ciuchach – skórzanych spodniach z wzmocnieniami na kolanach i biodrach (bardzo przydatnych, jeśli wypadłaby mi przejażdżka Ślicznotką czy bójka), czarnej koszulce z mikrofibry, motocyklowej kurtce z teflonowymi panelami i ciężkich butach, które wciąż trzymałam w ręce, by jak najciszej zejść po schodach – zakradałam się do sypialni dla gości. Spod przymkniętych drzwi przesączała się smuga światła, ale nie słyszałam nic poza wyrównanym oddechem.

Po cichu odstawiłam buty na podłogę i ostrożnie uchyliłam drzwi. Aleks co jakiś czas ogarniał mi w domu drobne naprawy i to właśnie on zadbał o to, by wszystkie zawiasy były naoliwione i pracowały bezszelestnie.

Spał. Położył się w ubraniach na kołdrze, ale zasnął. Na swój sposób jednocześnie mi pochlebił i mnie upokorzył – wszystko zależało od tego, czy aż tak mi zaufał, czy aż do tego stopnia nie upatrywał we mnie zagrożenia.

Jego ciemna karnacja kontrastowała z białą poszewką. Ciemne włosy i broda zmiękczały jego twarde rysy. Splecione na piersi dłonie i całkiem nieruchome, wyciągnięte prosto ciało upodobniały go trochę do pomników nagrobnych śpiących rycerzy, które można spotkać w kościołach w całej Europie.

Zdjęłam osłonkę obiektywu i zrobiłam zdjęcie, przewinęłam kliszę z cichutkim szelestem i raz jeszcze nacisnęłam spust migawki. Nie włączałam lampy błyskowej, bo choć światła było tu niewiele, ta fotografia nie musiała być ostra czy wykadrowana. Magia, która bierze udział w wywołaniu zdjęcia, zupełnie nie przejmuje się tym, co jest na kliszy. Niewykluczone, że gdy zobaczę fotografie już wywołane, Robin nie będzie na nich w łóżku, nie będzie spał…

Musiał usłyszeć przez sen szelest przewijanej kliszy. Zmarszczył brwi i przez chwilę myślałam, że się obudzi. Jego palce odnalazły talizman na

piersi i jego czoło się wygładziło. Niemal natychmiast zaczął cicho pochrapywać.

Na piętrze przygotowałam się do wyjścia. Jak zawsze po czkawce, byłam w pełni uzbrojona – oba pistolety i dwa karambity znalazły swoje miejsce w szytych na zamówienie kaburach. Nawinęłam kliszę i schowałam ją w ołowianym pojemniczku, by trafiła do Fotografa w odpowiednim stanie. Do pojemnej torby dorzuciłam jeszcze kilka puszek z konserwami i butelkę syropu malinowego – opłata za magię, o którą zamierzałam poprosić, by dowiedzieć się o Robinie więcej, niż mogła mi w sieci wygrzebać Karma.

Nie musiałam zdejmować ochrony z drzwi – moja magia rozpoznała mnie i wypuściła. Czkawka minęła, ale jeśli miałby się pojawić jakiś wstrząs wsteczny, lepiej, by Robin miał ochronę. Burza także się skończyła. Powietrze było chłodne i wilgotne, a zachmurzenie wystarczające, by wciąż było całkiem ciemno, choć minęła piąta rano. Ruszyłam w kierunku granicy Przylepki i Straconej Dzielnicy, gdzie mieszkał Fotograf. Idąc wymarłymi ulicami miasta, myślałam, jak to dziwnie czasami wszystko się plecie.

*

Jakub był fotografem. Tak to wyglądało dla postronnego widza, który widział go każdego dnia, gdy przemierzał ulice z aparatem niemal przyrośniętym do oka. Częściej słyszało się migawkę, przewijanie kliszy na skrzypiącym bębnie czy cichy trzask lampy błyskowej niż słowa, które padałyby z jego ust. Ot, jeden z wielu nieszkodliwych wariatów, których pełne były ulice Warsa. Etykietka człowieka niegroźnego trzymała go poniżej radaru. Nie wiem, dlaczego kiedyś postanowiłam go śledzić. Przez kilka godzin włóczyłam się za nim, jak cień, którym przecież byłam, ale bez typowych dla Cieni zamiarów. Kierowała mną ciekawość. Nie potrafiłam nawet wskazać, co konkretnie mnie zafascynowało w zgarbionym mężczyźnie w czarnym płaszczu i szpakowatych włosach zaczesanych do tyłu, połyskujących lekko od brylantyny.

Może przyciągał mnie szum magii, którą u niego wyczuwałam. Była surowa, a ja z każdą chwilą stawałam się coraz bardziej ciekawa, za co odpowiada. Ten typ ciekawości może być zgubny, ale wierzyłam, że poradzę sobie niemal ze wszystkim. To była moja faza pychy. Minęła kilka lat później w pewnym domu na wsi, kiedy moja niegdyś najlepsza

przyjaciółka wycelowała mi w głowę z pistoletu i powiedziała, że nie wie, kim jestem, kim się stałam, ale nie zawaha się pociągnąć za spust, jeśli spróbuję skrzywić kogoś, kogo kocha. Najbardziej zabolało mnie wtedy, że nie byłam wliczona w ten zbiór zamknięty – ludzi, których kocha.

Jakub nie zwracał na mnie uwagi. Owszem, zarejestrował moją obecność, po prostu nie interesowało go, czy za nim idę i jak długo będę to robić. Przez kilka godzin wędrowaliśmy ulicami Warsa. Zrobił mnóstwo zdjęć. Wielokrotnie zmieniał klisze, a rolki z zużytymi chował do sakiewki, którą nosił przy pasku, ukrytą pod połą płaszcza. Chwilę zajęło mi zrozumienie, że obchodzimy granicę między dzielnicami, które jeszcze nadawały się do życia – Przylepką, Twierdzą, Dzielnicą Cudów – a Straconymi Dzielnicami, w których dzikość przejęła kontrolę.

Na setkach zdjęć Jakub uwieczniał budynki, ulice, pomniki, parki, mosty, ażurowe balkony wiszące nad mokrym od przelotnego deszczu trotuarem. Nie zatrzymywał się, nie robił przerw, nie jadł i nie pił nic przez większość dnia. Ja sięgałam do torby po batoniki proteinowe, czekoladę, kabanosy. Za każdym razem grzecznie proponowałam mu, że się z nim podzielę. Kręcił głową bez słowa, choć za trzecim czy czwartym razem nawet się uśmiechnął.

Ściemniało się, kiedy nagle się zatrzymał i obrócił w moją stronę. Uniósł aparat do oka i nakierował na mnie obiektyw. Magia przepłynęła mi po skórze milionem małych mrówek.

– Co mi robisz? – zapytałam spokojnie, choć kusiło mnie, by przenieść rozmowę na bardziej komfortowy dla mnie poziom, czyli z moimi dłońmi zaciśniętymi wokół jego gardła.

– Utrwalam – powiedział. I to było pierwsze słowo, jakie usłyszałam z jego ust.

Zabrzmiało tak bardzo serio, że zadrżałam.

– Idziemy dalej? – zapytałam, jakbyśmy spacerowali tak codziennie.

Pokręcił głową.

– Złe światło – powiedział. I wyraźnie słyszałam żal w jego głosie, gdy patrzył na ulicę, której nie zdążył sfotografować tego dnia. – Wrócimy jutro. Ale będzie trochę za późno.

Przytaknęłam, choć nie miałam pojęcia, o czym mówił.

Rozejrzał się i przywołał pierwszą dorożkę, która pojawiła się w polu widzenia. Wdrapał się do wysokiej budy i przytrzymał za sobą drzwi, bez

słowa zapraszając mnie do środka.

– Ja robię zdjęcia. Ty zbierasz tajemnice. Oboje jesteśmy potrzebni. Choć ja bardziej.

Tak skomentował moje podziękowanie, że pozwolił mi z sobą pojechać.

Podał adres stangretowi, chudemu chłopcu w kraciastej, za dużej o kilka numerów marynarce. Nie wiem, czemu się spodziewałam, że mieszkał w Dzielnicy Cudów. Może przez ten nagły powrót do domu, gdy zapadał zmrok. Ale nie, mieszkał w lepszej części Powiśla. O ile Powiśle miało kiedykolwiek lepszą część. Bliskość Wisły i mostu, który łączył Wars z niebezpieczną Sawą, czyniły z Powiśla dzielnicę wybieraną w ostateczności. Była lepsza niż Stracone Dzielnice, ale trzy oczka niżej od Przylepki, o Twierdzy nie wspominając. Nawet Dzielnica Cudów, mimo ograniczeń, jakie narzucała mieszkańcom, wydawała się miejscem bardziej skorym dać mieszkańcom przeżyć niż rzeka, pełna najdziwniejszych stworzeń wyrosłych z ciemnej magii. Z jakichś powodów nigdy nie były to karpie czy wydry, tylko coś zębatego, łuskowatego i wiecznie głodnego.

Niewykluczone, że Jakub nie musiał się ich obawiać. Wciąż nie rozumiałam jego magii, ale czułam jej sygnaturę – starą, szlachetną, niepowtarzalną.

Wysoka na cztery piętra kamienica czynszowa wyglądała na jedną z tych pachnących świeżymi mydlinami i starym bigosem na bliżej niezidentyfikowanym mięsie.

Wdrapywałam się za Jakubem po schodach, wysokich, stromych, z drewnianymi stopniami wyślizganymi przez tysiące stóp i z chwiejną balustradą z odrapanego żelaza. Mój nowy znajomy miał lepszą kondycję, niż mogłam zakładać. Po całym dniu maszerowania ulicami miasta wspinał się aż na poddasze bez słowa skargi czy choćby westchnienia.

Pchnął drzwi bez używania kluczy. Nie musiał ich zamykać, pomyślałam, czując magię ochronną dość silną, by zjeżyła mi włosy na karku i przedramionach. Poślinił palec i dotknął framugi. Dopiero wtedy odważyłam się wejść. Ten typ autoryzacji wyglądał mało efektownie, ale dowodził, że starszy pan władał starą magią. Gdyby chciał się mnie pozbyć, wystarczyłoby, że nie zrobiłby nic, by przekonać zaklęcie ochronne, że nie jestem mile widziana. Wszczep mógłby nie przetrwać takiego obciążenia.

On jednak tylko kiwnął ręką i zniknął w głębi mieszkania, wysokiego i całkiem sporego jak na poddasze. Belki niczym żebra prehistorycznego

stwora tworzyły nad nami regularną kopułę.

Na długim drewnianym stole mój gospodarz ułożył obok siebie trzydzieści dwie rolki wypstrykanego filmu. Policzyłam, gdy wykładał jedną po drugiej z ostrożnością, z jaką inni obchodzili się z niemowlętami czy jajkami.

– Zrób coś do jedzenia – polecił. – Ja muszę się nimi zająć. Potem porozmawiamy.

– Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Jak to co? Wywołać. – Posłał mi ten rodzaj uśmiechu, który zwykle zarezerwowany jest dla niezbyt bystrych, ale sympatycznych dzieci.

Wiedziałam, że nie mogę iść za nim do ciemni. Nie musiał tego mówić. Pomieszczenie promieniowało magią, a ja czułam, że nie chcę zakłócać jej równowagi moją dziwną, mimo wszczepu agresywną energią. Ale nie chciałam też wyjść. Miał rację – zbierałam tajemnice. To była część mnie. Nie wynik szkolenia czy pracy w Zakonie, lecz coś daleko bardziej pierwotnego. Może miałam to po matce, tyle że ją ciągnęło w stronę rządu dusz, a mnie cechowała po prostu ciekawość granicząca z wścibstwem.

Nie miał lodówki. Przynajmniej nie miał tego, co dziś nazwalibyśmy lodówką. W kącie wąskiego pomieszczenia pełniącego funkcję kuchni, jadalni i spiżarni stała szafka z grubych, drewnianych, ledwie oheblowanych desek. Metalowe okucia wyglądały na brąz. W środku, na ażurowych półeczkach, stały podstawowe produkty lubiące chłód – masło, śmietana, mleko w szklanej butelce, jakaś kiełbasa zawinięta w otłuszczony papier, kawałek słoniny i dwa tuziny jaj. Na dolnej półce owinięty słomą i ręcznikiem leżał blok lodu. Rynienka umieszczona pod nim odprowadzała powoli topniejącą wodę do stojącego obok wiaderka. Retro to za mało powiedziane – nawet w Dzielnicy Cudów przyjmowały się sprzęty nowsze niż z lat dwudziestych, choć zwykle musiały mieć już swój odpowiednik w tamtym czasie. W kuchni panny Funi z całą pewnością widziałam dość wyeksploatowaną, ale sprawną lodówkę. Jakub z jakichś powodów nie chciał zmieniać swojej staroświeckiej i niezbyt wygodnej maszyny chłodzącej. Rozejrzałam się uważniej. Nigdzie nie było śladu radia, telewizora czy komputera. Na parapecie stał dziewięcioramienny świecznik wyglądający jak chanukija, ale świece miały różną wysokość i raczej nie zapalał ich w szabat czy Chanukę, skoro gasił je, nim wypaliły się do końca. Wyglądało na to, że Jakub nie był entuzjastą światła elektrycznego.

Odpaliłam zapałką palnik gazowy i nastawiłam garnek z wodą. Nie wiedziałam, w czym gustuje mój gospodarz, ale przyszła mi do głowy potrawa, która kojarzyła mi się z babką. Ona też nie lubiła światła elektrycznego, a produkty spożywcze trzymała w ziemiance. Oczywiście nigdy jej nie poznałam, ale Kosma zapewniał mnie, że wiele nie straciłam. Jedyne dobre wspomnienie, jakie o niej miał, dotyczyło tego, że jadł u niej pyszne rzeczy. Mój ojciec musiał mieć po kimś charakter.

Gdy Jakub wszedł do kuchni po godzinie, może półtorej, siedziałam przy stole, czytając książkę na czytniku. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli i słoninowych skwarków. Podniosłam oczy znad ekranu i zapytałam:

– Zjesz teraz?

– Tylko szybko, póki pierwsza partia schnie.

Wymieszałam skwarki i cebulę z uprażoną kaszą gryczaną, której Jakub miał w kącie spory wór. Posypałam całość wiórkami żółtego sera i mieszałam, aż zaczął się ciągnąć pod wpływem ciepła. Proste, ale smaczne.

Wziął ostrożnie pierwszy kęs. Przeżuł go w milczeniu, jakby sprawdzał, czy to cokolwiek warte.

– Dobre – powiedział tylko, dokładając sobie z garnka większą łychę kaszy.

Jadłam swoją porcję, zastanawiając się, co ja tu właściwie robię. Powinnam być gdzieś indziej, powinnam napisać i zanieść Irenie raport z ostatniej sprawy. Tymczasem siedziałam z obcym facetem, jadłam kaszę i dumałam nad sensem wszechświata. Byłam ciekawa, jasne, ale nic nie wskazywało na to, by Jakub zamierzał podzielić się ze mną sekretem. Może uznał, że wiem wystarczająco wiele.

Zjadł trzy duże porcje – widać całodniowa głodówka dała mu w kość. Łyżką wygarnął resztę ziaren z dna garnka. Podsunęłam mu kubek z cienką herbatą ziołową, chyba rumiankiem. Nie miał w szafce nic innego – żadnej kawy, żadnej czarnej herbaty, tylko saszetki pachnące ziołami w wysokim, szklanym słoiku. Posłodził sobie lurę od serca, trzema łyżkami cukru, i wypił duszkiem. Otarł usta z zadowoleniem.

– Chcesz zobaczyć pierwszą partię zdjęć? – zapytał.

Przytaknęłam gwałtownie. Pewnie, że chciałam. Przecież nie gotowałam mu kaszy tylko dlatego, że jako singielka tęskniłam za niańczeniem faceta

i słuchaniem jego beknięć po posiłku.

Wstał i znów kiwnął ręką, dając znak, że mam iść za nim. Nie wszedł do ciemni, gdzie nad wciąż zamkniętymi drzwiami świeciła się czerwona lampka. W pokoju obok zbliżył się do ściany i odsunął coś, co wyglądało jak klapka windy kuchennej, tyle że za nią nie było szybu, a ciemność jarząca się tylko stłumioną, czerwonawą poświatą ciemni. Pociągnął za bloczek i cofnął się, ciągnąc za sobą sznur, na którym niczym pranie suszyły się przypięte klamerkami fotografie formatu piętnaście na dwadzieścia centymetrów.

Podszedł do przeciwległej ściany i przyczepił pętelkę na końcu sznura do wystającego haczyka. Pusty i długi pokój zmienił się w galerię z wystawą najlepszych fotografii, jakie zdarzyło mi się oglądać. Wszystko było tak wyraziste, tak dokładnie utrwalone w magicznym ułamku chwili, że teraz szeptało mi swoje historie. Widziałam, jak robił te zdjęcia, widziałam, na co kierował obiektyw, a jednak nie widziałam wcześniej tego, co teraz objawiło mi się na utrwalonych obrazach.

– Mój Boże – szepnęłam. Łzy wzruszenia pojawiły się, zanim zdążyłam zareagować. To było moje miasto: z całym jego pięknem, brzydotą, strachem i miłością. Obłędnie prawdziwe i magiczne jednocześnie. – Jesteś genialny – dodałam szczerze.

– Wiem – odpowiedział i nie było w tym cienia nieskromności. Ot, zwykła akceptacja oczywistych faktów.

Przesuwałam się krok po kroku, przystając przy kolejnych zdjęciach. Nie byłam w stanie znaleźć słów, by wyrazić moje uczucia. Nagle stanęłam przed własnym portretem. Patrzyłam na dziewczynę, która miała oczy za duże i za poważne w porównaniu z jej słodką twarzą. Była jednocześnie młodsza i starsza, niż się czułam. Wydawała się nieco zaskoczona, zatrzymana w pół ruchu, z uniesioną do ust dłonią. Dotknęłam opuszkami dłoni na fotografii. Z początku wzięłam to za złudzenie, ale nie.

– Jakim cudem? – zapytałam, pokazując mu dłoń dziewczyny na zdjęciu. Niedużą, ale silną, lekko opaloną dłoń o pięciu idealnych palcach.

Moja dłoń nie wyglądała tak od dawna. Dokładnie od nocy, kiedy mój ojciec przeniósł konflikt z moją matką na nowy poziom, porywając mnie, przywiązując mnie do krzesła i odcinając mi po kolei najpierw prawy, później lewy mały palec z zamiarem wysłania ich Irenie.

Nawet moja magia nie była w stanie sprawić, by palce odrosły. Może gdybym zmieniła się całkiem na dłuższy czas, by wyrwać ciało spod resztek ludzkiej biologii… Ale nie wiem, czy byłby dla mnie powrót. Wolę być względnie poczytalną kobietą o ośmiu palcach u rąk niż dziesięciopalczastą wariatką. Nie rozumiałam jednak, jak moje dłonie na zdjęciu mogły wyglądać tak… normalnie. Pomijając liczbę palców – ja przecież nie zdejmowałam rękawiczek. Cienkie jak druga skóra cielęce rękawiczki były częścią mnie od tak dawna, że nawet nie zauważałam, że wciąż mam je na dłoniach. Zdejmowałam je tylko w mieszkaniu, kiedy byłam sama. Niezbyt chętnie, jeśli mam być szczera, bo pozwalały mi zapomnieć o bliznach, i o bezradności, jaką czułam, gdy porwał mnie ojciec.

– Moje zdjęcia pokazują rzeczywistość taką, jaką ona jest, a nie jaką się wydaje. Taka jest twoja istota – powiedział spokojnie Jakub.

Nie patrzył na mnie, spoglądał na dziewczynę na zdjęciu, z jej szeroko otwartymi oczami i dłuższymi, niż obecnie nosiłam, włosami, co zauważyłam po chwili, gdy przestałam przyglądać się dłoni.

– To dawna ja czy ja z przyszłości? – zapytałam niepewnie.

Nosiłam taką fryzurę lata temu, w czasie szkolenia w Trójprzymierzu – potargane i wystrzępione przy twarzy włosy krzyczały, że jestem dzieckiem lat dziewięćdziesiątych. Moda wraca, więc może wróci też umiłowanie do cieniowanych kosmyków?

– To, kim jesteś, nie jest wczoraj ani jutro. To te wszystkie drobiazgi pomiędzy – odparł.

Wiedziałam, że nie próbuje mówić zagadkami. Przeciwnie – dla niego to było proste i oczywiste. Dla mnie niekoniecznie, ale czułam, że to wszystko, co może mi powiedzieć. Oderwałam wzrok od portretu i wróciłam do oglądania zdjęć.

Nagle przyszło mi coś do głowy. Odwróciłam się i spojrzałam w jasne, niemal przejrzyste oczy Jakuba.

– Co się stanie z tymi ulicami, których nie zdążyłeś sfotografować?

– Może dziś jeszcze nic. Może zdążę.

Wzruszył ramionami, a ja widziałam smutek na jego twarzy. I zrozumiałam.

– Czy mógłbyś to robić aparatem cyfrowym? Mam taki, mogłabym ci go dać.

Pokręcił głową.

– Tylko wywołując je, utrwalam.

Skinęłam głową.

– Chciałabym, byś kiedyś wpadł do Dzielnicy Cudów i zrobił milion zdjęć – powiedziałam cicho.

– Muszę pilnować granic. W dniu, w którym trafię do Dzielnicy Cudów, niewiele będzie już do pilnowania.

Skrzywiłam się, rozumiejąc, o czym mówi.

– Ale mogę ci dać aparat… a potem wywołam twój film – dodał z uśmiechem. – Chciałbym zobaczyć to miejsce twoimi oczami.

Spojrzałam jeszcze raz na portret i te wielkie zbyt smutne oczy dziewczyny z potarganymi włosami.

– Pokażę ci wszystko, co warto zobaczyć.

– Zmarnuj też kilka klatek na to, czego zobaczyć nie warto. Tylko tak wypełnisz pustkę między obrazami. – Uśmiechnął się.

Podszedł do kredensu w rogu pokoju i z szuflady wyciągnął zenita w skórzanym etui i trzy rolki filmu w plastikowych pojemniczkach. Zza jego ramienia widziałam, że ma ich zapas na przynajmniej rok, i to nawet przy założeniu, że zużywa ich ponad trzydzieści na dobę.

– Przynieś mi je po zmroku, wcześniej mnie nie zastaniesz.

Dwa dni później wróciłam. Miałam ze sobą wypstrykane rolki zdjęć i pudło pierogów z grzybami z jadłodajni panny Wacławy. Zostawił mnie z daniem w kuchni, pozwalając je odgrzać, a sam zniknął w ciemni.

Pracował szybko, wywołanie zdjęć zajęło mu mniej niż godzinę. Tym razem pozwolił mi wejść do ciemni. Przemknęłam się pod czarną zasłoną sięgającą aż do podłogi, starając się nie wpuścić zbyt wiele światła. Pomieszczenie pachniało odczynnikami i magią. Zdjęcia, wciąż mokre, wisiały na sznurze oplatającym pomieszczenie kilka razy.

Pokazywał mi kolejne fotografie, a ja opowiadałam mu co dokładnie się na nich znajduje. Z każdym moim słowem nabierały ostrości, z zamglonego tła wyłaniały się kolejne szczegóły. Gdy doszliśmy do zdjęć z Tierra del Fuego i z Pozytywki, uśmiechnął się na widok ostrych plam koloru.

– Dawno takich nie robiłem – powiedział.

– Kolor jest ich częścią, nie mogłam zrobić ich na czarno-białych kliszach – szepnęłam.

– Dziewczyno, to były czarno-białe klisze, a ja użyłem chemii odpowiedniej do czarno-białych zdjęć. Ale masz rację, ich istota to feeria barw, a magia jest temu posłuszna. Piękne.

– Jak długo wytrzyma utrwalacz? – zapytałam cicho.

Wiem, że w naszym świecie niewiele rzeczy jest trwałych i nie ma sensu się przywiązywać do miejsc i ich wyglądu, bo w nocy może przyjść czkawka i nic nie będzie takie, jak się zapamiętało… Można zasnąć w bezpiecznej okolicy i obudzić się na Straconych Ziemiach. Szczęście, jeśli po przebudzeniu tylko otoczenie wyglądałoby inaczej.

– Tyle, ile zechce magia – odpowiedział.

Dotknął jednego ze zdjęć przedstawiających roześmianą pannę Apolonię i dziewczyny. Jej biała sylwetka odbijała się od papuzich kolorów kostiumów tancerek. Wyglądały tak żywo, tak radośnie, że niemal słyszałam ich śmiech wibrujący w powietrzu przesyconym magią.

– Mam nadzieję, że jak najdłużej – szepnął jeszcze i otarł kącik oka.

Tamtego wieczoru zjedliśmy wspólnie kolację, ale prawie nie rozmawialiśmy. Pożegnałam się przed dwudziestą drugą, wiedząc, że wstanie o czwartej, by nie zmarnować sekundy światła.

Kilka dni później, gdy wychodziłam od panny Funi, zaczepił mnie chłopiec na posyłki. Podał mi szarą kopertę i wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu, gdy dostał uczciwy napiwek.

Zajrzałam do koperty dopiero w domu, jakbym się bała, że obce spojrzenia zaszkodzą jej zawartości. W środku był jeszcze jeden mój portret. Nie wiedziałam, kiedy go zrobił, w której godzinie tamtego dnia. Nie było zbyt dobrze widać mojej twarzy, ukrytej za włosami. Nie byłam sama. Wokół mnie znajdowały się Cienie. Rozpoznawałam ich kształty. Obecność niektórych mnie przerażała, innych dziwiła, bo myślałam, że dawno odeszły, jeszcze inne budziły uśmiech, nawet jeśli w jednym czy dwóch przypadkach był nieco słony od żalu.

Schowałam fotografię w miejscu, w którym nikt jej nie znajdzie. Zdradzała zbyt wiele. A Jakub wiedział. Spotykałam go czasem na mieście, gdy cykał fotkę za fotką, nie zaczepiałam go. Witałam się z nim skinieniem głowy, jeśli mnie zauważył. Ale nie podchodziłam. Wystarczająco wiele kosztowało mnie powściągnięcie odruchu, który od dziecka wpajała mi Irena: zabij każdego, kto wie zbyt wiele. Tym razem koszt mojego komfortu byłby zbyt wysoki dla nas wszystkich. Pomyślałam o zdjęciach z Dzielnicy Cudów, ich papuzich kolorach i wibrujących emocjach. Tak, koszt byłby wyższy, niż gotowa byłabym zapłacić. Z Cieniami mogłam sobie poradzić. Na miłość boską, w końcu wychowała mnie Irena.

*

Praktycznie się z nim zderzyłam. Popchnął ciężkie, dębowe drzwi, wychodząc na swój obchód, kiedy złapałam za klamkę z drugiej strony. Tylko niezły refleks ocalił mój nos przed rozkwaszeniem. Nie zatrzymał się, nie spytał, czy wszystko ze mną w porządku. Zwyczajnie kiwnął głową na powitanie i szybkim krokiem ruszył w górę ulicy. Poszłam za nim, bo to, o co zamierzałam go poprosić, było sprawą zbyt delikatną, by od razu ją z siebie wyrzucić. Przystanął na bulwarze. Odsunął osłonkę obiektywu i uniósł aparat do oka. Zanim nacisnął migawkę, po prostu patrzył,

przesuwał obiektywem to w prawo, to w lewo, jakby kadrował. Odruchowo zaczęłam się rozglądać, ciekawa tego, co obserwował, co uznał za warte utrwalenia.

Stan wody był dość niski, widać więc było nie tylko szeroki na dwa metry chodnik z ośmiokątnych płyt, ale też schodki biegnące do rzeki, które w bezpieczniejszych czasach mogły zastąpić ławkę spacerowiczom. Dziś prędzej zobaczy się na nich wylegujące się na słońcu bestie niż piknikowicza. Szeroko rozlana w tym miejscu Wisła – mętna i spieniona – miała kolor brudnej wody po praniu. A jednak pierwsze promienie słoneczne przebijające się przez ołowianą warstwę chmur wyciągały z burego nurtu jakieś piękno – złote iskry światła tańczyły po leniwie płynącej wodzie, podkreślając jakiś ulotny spokój. Po drugiej stronie Wisły Sawa kipiała szaloną zielenią, zbyt bujną, zbyt żywiołową jak na nasz klimat, ale odżywiała ją magia i niska temperatura nie miała znaczenia w cyklu wegetacyjnym roślin. Białe tralki mostu wyglądały w tym świetle jak koronka… To jedna z rzeczy, które zawdzięczam Jakubowi: nauczył mnie dostrzegać takie elementy krajobrazu. Przez lata patrzyłam tak, jak nauczyła mnie matka, i zachowując to spojrzenie, przede wszystkim zaczęłabym się czuć nieswojo z tym, że stoję na widoku, na otwartej przestrzeni, a dookoła znajdują się co najmniej trzy dogodne stanowiska snajperskie. Nie czas podziwiać wschód słońca, gdy są ludzie do zabicia.

Usłyszałam trzask migawki i spojrzałam na Fotografa. Osłonił obiektyw i jeszcze chwilę patrzył na to, co właśnie uwiecznił. Dopiero wówczas zwrócił się w moją stronę. Podparł ręce na biodrach i, z miną wyrażającą mieszaninę zniecierpliwienia i niechęci dla dłuższych postojów, chrząknął, jak sądzę, zachęcająco.

Wyciągnęłam pojemnik z kliszą.

– Co tu jest? – zapytał i z jego twarzy zniknęły wszystkie negatywne emocje. Jego oczy rozbłysły ciekawością i delikatny uśmiech zamigotał w kąciku jego ust.

– Nowy mieszkaniec Warsa, tak myślę. Nowa dla mnie twarz, pomyślałam, że ciebie też zainteresuje – wyjaśniłam dość oględnie.

– A, czyli to ciebie interesuje w pierwszej kolejności.

– Nie ukrywam, że chciałabym zobaczyć jego fotografię. I dowiedzieć się, czy naprawdę jest tu nową twarzą – dodałam pod wpływem impulsu.

Kiwnął głową i wsunął pojemniczek z kliszą do sakiewki u boku. Podałam mu puszki z konserwami i szklaną butelkę z syropem. Puszki wetknął w kieszenie płaszcza, a butelkę obejrzał pod światło i uśmiechnął się na widok rozjaśnionego słonecznym promieniem rubinowego płynu. Niewiele potrzebował, niewiele miał. Może dlatego potrafił docenić rzeczy błahe.

– Przyślę ci odbitki. Ty przyślij mi pierogów, tych, co ostatnio. Nie przychodź. Nie mam teraz czasu. Wszystko przyspieszyło przez ostatnią czkawkę. Muszę to zatrzymać.

– Trzymam kciuki – powiedziałam.

– Przecież nie małe palce. – Mrugnął do mnie, uśmiechając się złośliwie, i odszedł, pogwizdując pod nosem.

Cóż, pierogi dostanie, ale będzie się musiał obejść bez boczku i cebulki.

Zawróciłam do domu. Wciąż miałam szansę tam dotrzeć, nim Robin się obudzi. Musiałam też skontaktować się z Karmą.

Ludzie wciąż spali lub postanowili jeszcze nie wychodzić w obawie przed wstrząsami wtórnymi, ulice były więc puste i to uśpiło moją czujność. Zauważyłam ich dopiero wtedy, gdy jeden z nich rzucił się na mnie z pazurami…

Rozdział 11

Uchyliłam się i pazury przeorały tylko powietrze, wciąż lekko ogrzane moim ciałem, które sekundę wcześniej znajdowało się w tym miejscu. Przykucnęłam i gdy jeden z napastników rzucił się w moją stronę, przyłożyłam mu z impetem, aż stracił kontakt z podłożem. Miałam nadzieję, że grawitacja i siła pędu wgniotą go w asfalt. Nie zdołałam się przekonać, czy tak się stało, bo na karku poczułam oddech drugiego napastnika, który wyłonił się bezszelestnie z ciemnego przesmyku między dwiema kamienicami. Przyłożyłam mu łokciem w brzuch, co kosztowało mnie sporo energii. Ryknął tak blisko mojego ucha, że przez chwilę zupełnie nic nie słyszałam. Ostry pazur przejechał niebezpiecznie blisko mojej krtani, więc raz jeszcze uderzyłam, tym razem tyłem głowy. Trzask i miękkie mlaśnięcie tryskającej krwi nagrodziły mój wysiłek.

Kiedy walczysz z wilkołakiem, poważnym utrudnieniem jest to, że nie są to wilki ani zmiennokształtni, w których zwierzęcym ciele wciąż żyje i myśli człowiek. To nie przypadek, kiedy dwie osobowości dzielą jedno ciało z możliwością przemiany, a główne stery trzyma jednak istota ludzka. Te wilkołaki nie były już ludźmi. Przemiana była nieodwracalna. I w tym wypadku musiała nastąpić w ciągu ostatnich kilku godzin, bo w zniekształconych twarzach wciąż widziałam ślady chłopięcych rysów.

Czkawka wybebeszyła im mózgi i uczyniła ich całkiem obojętnymi na ból. Nie tyle go nie odczuwali, co się nim nie przejmowali. Krzyczeli, warczeli, cierpieli, kiedy karambit trafiał ich w trzewia i siał spustoszenie swoją zakrzywioną i ząbkowaną z jednej strony, piekielnie ostrą klingą, tyle że nie robiło to na nich wrażenia. Dlatego jeśli chcesz zabić wilkołaka, musisz być cholernie zmotywowany. Dla mnie opcja „oni albo ja” zawsze jest doskonałą stymulacją, by wycisnąć z siebie, co się da. Znałam ograniczenia. Kule z ołowiu nie działają, co jest dość kłopotliwe, skoro srebro wbrew podaniom okazuje się za miękkie, by odlać z niego kule. Niektórzy posrebrzali więc kule z ołowiu. Ja wolałam te miedziane, grzybkujące, z czubkiem rozrywającym się w kontakcie z ciałem w małą

rozgwiazdę i uwalniającym srebrny wkład naboju. Ale miałam je w zapasowym magazynku przypiętym do pasa z tyłu, a na dostanie się do Inkwizycji czy Zębuszki i przeładowanie magazynków potrzebowałam czasu, którego wilkołaki dać mi nie zamierzały. Były w trybie „szarp, morduj, gwałć truchło” i nie wierzyli w moje prawo do uczciwej samoobrony.

Napędzani adrenaliną stali się równie niebezpieczni jak w realnym świecie bandyci na metamfetaminie, tylko że ich nieludzka forma, wykrzywione wściekłością pyski i wyszczerzone zęby zapowiadały ból, jakiego nie zada zwykły bandzior, jako że oprych nie planuje wgryźć się w twoje nadal ciepłe bebechy. Jedyna przewaga, jaką miałam, wynikała z tego, że mój mózg działał sprawnie, refleks nie został spowolniony tym, że moje ciało nagle radykalnie zmieniło kształt, rozmiary i proporcje, a stawy miały całkiem nowy i obcy wciąż zakres ruchu. Pamiętam, jak po mojej pierwszej przemianie potknęłam się o własne stopy. Oni byli świeżo po zmianie. To ta czkawka ich tak urządziła, nie poprzednie. Nie nauczyli się jeszcze, jak działają wilkołacze ciała. Nie wiedzieli też, jak są silni, i nie próbowali rzeczy, które teraz mogli robić. Potrafili wyrwać ofierze kończyny czy wyszarpać jej twarz z czaszki. Widziałam takie rzeczy u tych, którzy mieli pecha stanąć naprzeciw starszego wilkołaka.

Próbowałam utrzymać obu na dystans. Kopałam, uderzałam nożami, odskakiwałam, nim orientowali się, że byłam w zasięgu ich ramion. Trafiałam na tyle często, że ręce miałam całkiem śliskie od karminowej posoki. Zaparłam się, kiedy próbowali wciągnąć mnie w wąski przesmyk między budynkami, co odebrałoby mi pole manewru. Jeden złapał mnie wpół i usiłował przerzucić sobie przez ramię. Moje kolano osadziłam mocno w jego podbrzuszu, a kciuk wolnej od noża dłoni wbiłam mu w oczodół, naciskając tak mocno, aż gałka oczna ustąpiła z miękkim mlaśnięciem, a krew zalała mu twarz. Opadł na kolano, wypuszczając mnie z łap. Jego kumpel zawrócił zaskoczony – do tego stopnia był pewien, że za chwilę będą ucztować na świeżym mięsie w ustronnej norze, że z pyska wyrwało mu się pełne zawodu jęknięcie.

Dekapitacja, oddzielenie rdzenia kręgowego, rozszarpanie serca, spopielenie – wilkołaka można zabić na wiele sposobów, ale większość z nich jest cholernie czasochłonna albo trudna do zrealizowania, jeśli się walczy z dwiema kreaturami jednocześnie.

Odbiłam się od ziemi i wspierając lekko na klęczącym wciąż napastniku, wymierzyłam solidnego kopniaka drugiemu, celując w głowę. Trafiłam go w skroń. Mogłam sobie wyobrazić gwałtowny ruch, w jaki wprawiłam jego mózg, który obijał się o puszkę czaszki, zalewając się krwią. Odwinęłam się jeszcze raz i poprawiłam kopniakiem w szczękę. Mózg wilkołaka raptownie zmienił kierunek i uderzył najpierw w tylne sklepiennie czaszki, a potem wrócił, by odbić się od czoła.

Wizualizacja tego, co twoje ruchy robią z ciałem przeciwnika, znakomicie wpływa na koncentrację i trening efektywności. Wymyśliłam to jako mała dziewczynka. Zapewne nie doszłoby do tego, gdybym miała normalne życie i nie musiała w wieku ośmiu lat walczyć z matką na noże „do pierwszej krwi” albo robić dwudziestu pompek przed pójściem do toalety.

Takich kopniaków uczyła mnie mistrzyni vovinam, przez krótki czas moja trenerka. „Jeśli przyjdzie ci wykopać drzwi do piekła, lepiej, byś wiedziała, jak tego dokonać”, mawiała. Cios taki jak mój ostatni oddałaby zresztą znacznie ładniej niż ja. Byłaby boso, a jej nogi wykonałyby w powietrzu pełne gracji nożyce. Nie zdążyła mnie tego nauczyć. Irena uznała, że dość już czasu tkwiłyśmy w jednym miejscu, i po prostu spakowała manatki. Długo tęskniłam za tą żylastą kobietą w niebieskim kimonie opasanym czerwonym pasem z pięcioma białymi kreskami na jednym końcu. Była wystarczająco stara, by być moją babką. Na swój jedyny w swoim rodzaju sposób – była nią. Dobrze mnie traktowała. Kopała mnie jak koń, rzucała mną po macie jak szmacianą lalką, co nie było trudne, skoro miałam może czternaście lat, ale była dla mnie dobra. Mówiła mi, że mam w sobie dość siły, by zmierzyć się z całym światem, a jeśli świat zasłuży, mam go po prostu kopnąć. I mocno podkulić palce, by to świat zabolało bardziej niż mnie. Nawet teraz, mając na stopach motocyklowe, podkute buciory podkuliłam palce w środku i kopnęłam raz jeszcze z bezwzględnie czystą intencją. Jeśli mózg odpowiednio mocno się rozhuśta, rdzeń kręgowy lub podstawa czaszki tego nie wytrzymają. Włożyłam w to tyle energii, że musiało boleć tak, jakby kopnął go w głowę podrośnięty źrebak z temperamentem. Jego głowa obróciła się troszkę za bardzo, a siła odrzutu łupnęła jego czaszką o ceglastą ścianę. Światło w jego oczach zgasło. Trwało to kilka sekund, a moje szanse na przeżycie skoczyły o pięćdziesiąt procent – ładnie.

Wilkołak, z którego zrobiłam cyklopa, otrząsnął się już z bólu i dźwignął na nogi. Ryknął i z rozłożonymi szeroko rękoma rzucił się na mnie. Nie zauważył karambitu albo miał go gdzieś i nabił się na niego jak szaszłyk. Wcisnęłam go głębiej w jego wnętrzność, rozpruwając go jak owieczkę do faszerowania siarką dla brzydko bawiącego się smoka, ale to wciąż było za mało… Sięgnęłam głębiej, szukając czubkiem noża jego serca, i miałam nadzieję znaleźć je szybciej, niż on zdoła mnie zadusić – jego wielkie dłonie zaciskały się bowiem właśnie na moim gardle, ostre pazury drasnęły skórę w kilku miejscach, a smród z najeżonej zębami paszczy podpadał pod broń biologiczną, gdy wilkołak dyszał mi w twarz z najczystszym pragnieniem mordu w oczach, jakie kiedykolwiek widziałam. Podcięłam mu nogi i popchnęłam. Upadł na plecy, pociągając mnie za sobą, ale przynajmniej byłam na górze, a impet upadku pchnął mój nóż jeszcze dalej pod żebra. Usłyszałam za sobą jakiś hałas, ale nie mogłam się obrócić. Ręce wilkołaka zaciśnięte na mojej tchawicy blokowały mi pole manewru. Fala gorącej, pulsującej krwi zalała mi ręce i wiedziałam już, że trafiłam. Uchyliłam się na czas przed strumieniem tętniczym, więc tylko włosy zmoczył mi lepką posoką. Chwalmy małe szczęścia. Napastnik nie żył, musiał nie żyć, ale magia ożywiająca go jakby jeszcze o tym nie wiedziała i siłą musiałam odgiąć palce zaciśnięte na moim gardle. Coś jak w tej bajce o lisie i karpiu – lis złapał karpia, ale ten go wciągnął pod wodę i choć lis nawet na chwilę nie wypuścił karpia z łap, to jednak tego dnia nie zjadł go na kolację.

Za moimi plecami znów rozległ się hałas i odwróciłam się, walcząc z lekkimi zawrotami głowy, będącymi skutkiem niedotlenienia. Nie byłam sama. A wilkołaki były trzy. Ostatni się spóźnił, ale jego mózg działał chyba nieco sprawniej, bo w przeciwieństwie do kumpli nie stawiał na pazury, a na spluwę. Mogę się uchylić przed krwią czy ciosem, ale nie przed kulami.

Gwałtowny świst przeszył powietrze i gniewny krzyk wilkołaka nagle ucichł. Z jego szyi sterczał gruby bełt, a bezwładne ciało z głuchym łoskotem osunęło się na ziemię. Wciąż ściskał w dłoni pistolet. Co one mają tym pośmiertnym ściskaniem zabawek?

Uniosłam głowę, próbując dostrzec strzelca, którego strzała najpewniej uratowała mi życie. Jakaś część mnie wiedziała, gdzie patrzeć. Okno na

piętrze w moim mieszkaniu było otwarte, przez kraty wyraźnie widziałam sylwetkę przycupniętego na parapecie Robina. Wciąż z kuszą w dłoniach.

Podeszłam do wilkołaka, którego zastrzelił. Bełt wszedł gładko na wysokości podstawy czaszki, przerwał rdzeń kręgowy i dosłownie rozsadził kręg, przenikając szyję na wylot. Czarny grot przebił skórę tuż nad jabłkiem Adama. Albo to był najbardziej fartowny strzał w historii świata, albo Robin był w tym naprawdę dobry. Zdarzało mi się strzelać z kuszy, doceniałam jej siłę i dyskrecję, ale nie strzelałam nawet w jednej piątej tak dobrze, by z takiej odległości trafić w szyję faceta w ruchu. W moim przypadku skuteczniejszy byłby chyba rzut kuszą w nadziei, że rozwalę mu łeb.

Przewróciłam wszystkie ciała na plecy i w zmienionych, powykrzywianych magią twarzach próbowałam rozpoznać rysy któregoś z moich sąsiadów. Jeśli zmieniła ich ta czkawka i ledwie po burzy znaleźli się właśnie tutaj, musieli mieszkać nieopodal. Mieli przerośnięte, niedopasowane szczęki najeżone setkami ostrych, nierównych, nakładających się na siebie kłów – nie mogąc zamknąć ust, ślinili się jak buldożki francuskie, tylko nie byli tak słodcy, skoro chcieli mnie pożreć. Nosy zredukowane do ciemnych jam nozdrzy, policzki i czoła pomarszczone i obrośnięte rzadkim futrem przypominającym świńską szczecinę, sterczące uszy i wydłużone ręce, guzłowate stawy dłoni… Nie wyglądali nawet w przybliżeniu tak atrakcyjnie jak zmiennokształtni. Raczej jak coś, co utknęło w czasie przemiany.

Ludzie nazwali ich wilkołakami dlatego, że przypominali potwory z hollywoodzkich produkcji – nieforemne, oszalałe żądzą mordu i spragnione krwi bestie. W innych miastach nie widziałam takich stworów – najwidoczniej stanowiły unikalny produkt mułu na dnie naszych magicznych linii.

Rozpoznałam tatuaż na szyi jednego z nich. Cholera jasna. Pablo, który mieszkał na końcu ulicy i był doskonałym piekarzem, będzie wyprawiał pogrzeb swoim synom… O ile żył. Wilkołaki instynktownie wracają do domów, do gniazd, tylko po to, by zabić krewnych i pożreć ich zwłoki. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale to sprawia, że moja kieszeń nigdy nie będzie pusta. Choć zabicie wilkołaka przez członków rodziny jest uważane za zdrowy akt samoobrony, większość ludzi nie potrafi tego zrobić samodzielnie. Łatwiej im zapłacić mnie czy innemu łowcy albo Cieniowi,

niż ryzykować, że syn czy żona powrócą, a będą chcieli wyłącznie krwi i flaków. Zawlekłam ciała w przesmyk między domami, w który próbowali mnie wciągnąć.

Kiedy Robin przekroczył krąg ochronny, poczułam szarpnięcie mojej magii. Nie przerwał kręgu, bo ten miał za zadanie trzymać wrogie rzeczy po drugiej stronie, do wypuszczania ich ze środka podchodził znacznie bardziej elastycznie.

– Jesteś cała? – zapytał Robin, podchodząc bliżej.

– Taaa. – Podążyłam za jego spojrzeniem i zauważyłam, że jestem cała ubabrana krwią. Do diabła, znów musiałam się przebrać, a doczyszczanie skórzanych spodni z zasychającej krwi to naprawdę upierdliwe zajęcie. – To nie moja – wyjaśniłam.

– Nie mówiłaś, że wybierasz się gdzieś o świcie – zauważył, w jego głosie pobrzmiewała lekka pretensja.

– Musiałam sprawdzić, czy moi znajomi przetrwali czkawkę.

– I co, przetrwali?

– Niektórzy – odparłam i znów spojrzałam na wilkołaka z tatuażem.

Sergio miał może osiemnaście lat. Był raczej dobrym chłopcem, pomagał ojcu w piekarni i strzelał oczami do każdej dziewczyny między piętnastym a czterdziestym rokiem życia, trenując urok młodego Adonisa o śródziemnomorskich korzeniach. Magia potrzebowała kilku godzin, by zmienić go w potwora. *Memento mori* – sentencja, o której Wars nie da ci zapomnieć.

*

Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, czy zabrać Robina do Karmy. W głębi duszy musiałam przyznać, że w jakiś porąbany sposób mu ufałam. Dostrzegłam coś w jego oczach, gdy pochylił się nad zabitym przez siebie wilkołakiem, by wyciągnąć czarny bełt z włókna węglowego, i gdybym miała określić, co to było, powiedziałabym, że niezłomność zmieszana z jakimś żalem. Nie nad wilkołakiem, ale nad tym, kim kiedyś był. Jeśli facet nie chciał, by każdy Cień odkrył jego słabość, powinien poćwiczyć ukrywanie emocji. Wytarł bełt o strzępy ubrania truchła, schował go do sakwy przypasanej do biodra i spojrzał na mnie z tym charakterystycznym

dla siebie filozoficznym spokojem. I znów uderzyło mnie rozpoznanie tego, co właśnie mi komunikował bez słów. Chronił moje plecy. Cholera.

Racjonalizowałam sobie moją decyzję tym, że i tak wiedział, gdzie mieszkała Karma, poznał już Ilię i jeśli spróbowałby się dostać nieproszony do Zamku, czekałaby go niejedna niemiła niespodzianka. Karma potrafiła o siebie zadbać, Ilia potrafił zadbać o nich oboje. A ja pilnie potrzebowałam informacji – straciłam wystarczająco wiele czasu na walkę z przemianą i spotkanie z Fotografem.

Nie była zachwycona, widząc nas oboje, ale nic nie powiedziała. W swojej gotycko-punkowej sukience z gorsetem i tiulową spódniczką w kolorze krwi, która zasychała na moich dłoniach, rozsiadła się na profilowanym krześle jak na tronie i wysłuchała strzępów informacji, jakie miałam jej do przekazania o Korfantym.

– Znajdę go. A ty nie waż się siadać na mojej kanapie, dopóki się nie umyjesz.

– Plamy pasowałyby ci kolorystycznie do wystroju – rzuciłam żartem, którego nie doceniła.

– Wiesz, jakie rzeczy mogą żyć w rozkładającej się krwi? – zapytała, a gdy wzruszyłam ramionami, dodała: – Ja wiem! Marsz do łazienki!

Robin, schludny niczym chłopiec przystępujący do pierwszej komunii, rozsiadł się na kanapie, a ja posłusznie poszłam się umyć. To nie tak, że z umiłowania dla dramatyzmu lubię chodzić skąpana w cudzej krwi. Wzięłam szybki prysznic, po czym papierowymi ręcznikami i mydłem w płynie z grubsza wyczyściłam skórzane spodnie. Wilgotna, ale czysta koszulka z mikrofibry ciasno przylegała mi do piersi. Mokre włosy odgarnęłam rękoma za uszy i wróciłam do centrum dowodzenia, jak Karma nazywała swój pokój komputerowy. Na kilku ekranach, zajmujących większą część ściany, widziałam już całkiem zaawansowane wyniki poszukiwań: zdjęcie Korfantego, mapę Twierdzy z zaznaczoną posesją przy ulicy Tralek, szereg tabelek z jego danymi bankowymi i otwarte pliki z jego historią biznesową. Na największym ekranie znajdowały się architektoniczne plany jego rezydencji z setkami czerwonych, żółtych i czarnych punkcików. Karma cmoknęła z podziwem.

– Profesjonaliści – mruknęła. – Jeśli chcesz gościa przygwoździć, radziłabym ci się trzymać z daleka od jego chaty. Ma lepsze zabezpieczenia niż większość banków w realnym mieście. Mogę to złamać, ale potrzebuję

kilku godzin. Są też strażnicy. Korfanty zatrudnia firmę ochroniarską zmiennokształtnych. Płaci im tyle, że muszą być najlepsi.

– Włamałaś mu się do komputerów? – zapytałam.

– Jasne, w dwie minuty, bo koleś dość bystry, by zamontować system alarmowy od Trauba, nie wpadł na to, by zahasłować komputer – prychnęła. – Daj mi trochę czasu, złamię firewalla systemu alarmowego, dostanę się do routera, a stamtąd do jego kompa i po kłopocie. Czego szukasz?

– Kalendarza. Nie mam czasu, by zbierać armię na szturm jego chaty, potrzebuję złapać go poza domem.

– Nawet ja mam swoje ograniczenia. Niewielkie, ale mam. Wieczorem będę wiedziała wszystko, ale teraz mogę tylko poradzić, byś była kreatywna.

Odwróciła się na obrotowym krześle i zaczęła stukać w klawiaturę. Audiencja skończona.

Zelda nie miała tyle czasu. Jedną noc poza Dzielnicą Cudów mogła przetrwać, może przeżyłaby i dwie, ale jej czas się kończył. A pewna mała dziewczynka czekała na mamę.

*

Wzięłam sobie do serca radę o kreatywności. Od Karmy poszłam prosto do Dzielnicy Cudów i zwołałam zebranie wszystkich dziewczyn pracujących dla panny Stefanii i panny Poli. Pojawiły się w salonie zaspane, w piżamach, szlafrokach, kapciach z futrzanymi pomponikami i w papilotach. Prowadziły nocne życie, spotkanie o dziewiątej rano oznaczało, że większość z nich skróciła swoją drzemkę dla urody do trzech godzin. A jednak żadna nie marudziła. Wiedziały, że chodzi o Zeldę.

Streściłam im, czego dowiedziałam się od dorożkarza i Karmy. Korfanty opuścił Pozytywkę z dziewczyną, nam brakowało dziewczyny. Nie trzeba wysilać mózgownicy, by dodać dwa do dwóch.

– Podejrzewam, że to typ kolesia, który lubi wpadać do Dzielnicy Cudów dla rozrywki. Jest zepsuty i bogaty, a tu może się czuć bogiem. Potrzebuję się dowiedzieć, gdzie bywa, czy ma jakieś spotkania lub plany na najbliższy czas. Zaczęłabym od męskich rozrywek. Mamy mało czasu i sama nie zdążę wszędzie zajrzeć. I nie wszędzie powiedzą mi prawdę.

– Nam powiedzą wszystko, co chcemy wiedzieć. – Zosia uśmiechnęła się figlarnie. – Dobrze, dziewczyny, jest robota do zrobienia!

I tak po prostu miałam armię, prawie setkę kobiet, znających Dzielnicę od podszewki, które gotowe były ruszyć na przeszpiegi, choćby w papilotach i bamboszkach.

Za takie rzeczy też można pokochać Dzielnicę Cudów.

Rozdział 12

Madame Butterfly była równie egzaltowana jak przydomek, którym kazała się nazywać. Tę kobietę w jedwabnych fatałaszkach cechowała jednak wola dość silna, by zdołała zbudować sprawnie działające imperium i od trzydziestu lat utrzymywać je na chodzie, oliwiąc trybiki solidnymi dochodami i ekskluzywnymi znajomościami.

Przyjęła mnie w pokoiku, który był dziwną fuzją wschodniej i zachodniej myśli architektonicznej. Przesuwane panele z papieru ryżowego, ozdobione pastelowymi wizerunkami motyli i smoków, bambusowe maty pod stopami i japońskie rzeźby erotyczne wyeksponowane w szklanych gablotkach nie pasowały szczególnie do kolonialnego stolika kawowego i dwóch niskich rzeźbionych krzeseł z atłasowymi poduszkami z frędzlami ułożonymi na siedziskach. A jednak w jakiś przedziwny sposób pasowały do niej. Fałdy jedwabnego kimona spływały do jej drobnych, bosych stóp, gdy nalewała herbaty do małych czarek, a ja streszczałam jej moją prośbę. Zadała kilka pytań, a potem przez dłuższą chwilę popijała herbatę z czarki z wyrazem religijnego uniesienia. Przyglądała się naczyniu, podziwiając ścianki z białej porcelany tak cieniutkie, że przeświecało przez nie światło.

Jej niewysokie, lekko zaokrąglone ciało ginęło w przepastnym kimonie, a wyhaftowane na jedwabiu ważki połyskiwały metalicznie. Pokrywający jej twarz zbyt jasny puder i makijaż oczu miały stworzyć wrażenie azjatyckich korzeni, których, byłam pewna, nie miała. Czarne włosy upięła w kunsztowny kok przeszyty dwiema ozdobionymi perełkami szpilkami, które moim zdaniem były całkiem funkcjonalną bronią. Dołożyła wysiłków, by wyglądać trochę absurdalnie i nieszkodliwie – ot, kobieta sfiksowana na punkcie filmów o samurajach. Jeśli czegoś się nauczyłam w Warsie, to tego, że gdy ktoś próbuje wyglądać niewinnie i nieszkodliwie, moja dłoń powinna stale spoczywać na kaburze. Słabe istoty pozorują się na silniejsze. Tylko te silne mogą sobie pozwolić na udawanie słabości.

– Jeśli dobrze cię zrozumiałam, chcesz, bym dla twojego widzimisię naraziła na szwank reputację Chińskiego Smoka, moją i moich dziewcząt

i zraziła do siebie jednego z naszych najlepszych klientów? – zapytała wreszcie.

– Klient nie ma przed sobą długiej historii wypłacalności, więc to najmniejsza strata – odparłam.

– To cię będzie kosztować – oświadczyła i wzruszyła ramionami, aż zafalowały obszerne rękawy kimona, a ważki zamigotały frenetycznie.

Byłam na to przygotowana.

– Podaj kwotę.

Zaśmiała się cicho.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy. Chcę mieć takie same przywileje jak panna Funia. Chcę cię mieć na swoje wezwanie.

– Nie ma takiej możliwości – oświadczyłam. – Zbyt realny jest konflikt interesów. Jak teraz, kiedy próbuję odnaleźć jedną z jej dziewczyn, a ty mącisz wodę w płytkim stawie.

Skrzywiła się i jej rysy stwardniały. Wstała z krzesła z szumem jedwabiu.

– Przypominam ci, że to ty masz do mnie interes – powiedziała, unosząc podbródek.

– Interes dojdzie do skutku, jeśli racjonalnie podejdziesz do kwestii mojego wynagrodzenia. Mogę go dopaść całkiem gdzie indziej: w dorożce albo w którymś z nocnych klubów. U ciebie jest najwcześniej, ale dwie godziny mnie nie zbawią. Twoja pozycja do targów nie jest tak doskonała, jak myślisz.

Uniosłam czarkę i upiłam łyk cierpkiej zielonej herbaty. Za długo parzona, nie najlepszego gatunku, za gorąca woda. Mogłabym jej dostarczyć produkt nieporównywalnie lepszy, ale rytuał herbaciany zapewne świadczył bardziej o umiłowaniu roli niż herbaty. Pozwoliłam jej przetrawić moje słowa i w ciszy popijałam niesmaczny napar.

– Dwie przysługi – rzuciła w końcu cenę, którą mogłam zaakceptować. Z małymi zastrzeżeniami.

– Nie mogą kolidować z moimi stałymi zobowiązaniami i lojalnością.

Cień irytacji, który przemknął przez jej twarz, dawał mi niezłe wyobrażenie o tym, co kotłowało się w jej małej główce. Moje źródła wspominały o rozbuchanej ambicji Madame Butterfly. Rzeczywistość to potwierdzała.

*

Przez wizjerek, zamontowany przezornie przez Madame Butterfly w ścianie każdego pokoju, obserwowałam Korfantego, od kiedy wszedł do przytulnego gabinetu. Zaczął ściągać ubrania z podejrzanym entuzjazmem. Przez chwilę świecił gołym, mocno owłosionym tyłkiem, a potem owinął się w talii białym ręcznikiem i położył się na stole do masażu. Podciągnął się, by ulokować twarz w otworze wyścielanym ręcznikiem. Westchnął niecierpliwie i bynajmniej nie było to westchnienie cierpiącego człowieka, który czeka na ulżenie w bólu.

Dziewczęta i mężczyźni pracujący u Madame Butterfly byli wykwalifikowanymi masażystami i oficjalnie w ofercie znajdowały się właśnie masaże – rehabilitacyjne, relaksujące, newage'owe w stylu odblokowywania czakr czy otwierania trzeciego oka, masaże kamieniami czy te nieco bardziej perwersyjne, podczas których pacjent leży na podłodze, a zwinna masażystka, przytrzymując się jedwabnych sznurów spływających od sufitu, depcze po jego plecach, dociskając paluszkami i piętami wszystkie właściwe punkty. Nieoficjalnie w bogatej ofercie był jeszcze jeden typ masażu, w którym gustował Korfanty, i pewnie także wielu innych klientów – masaż z happy endem.

Do gabinetu wkroczyła Matylda, masażystka, o którą specjalnie prosił. Zostawiła za sobą uchylone drzwi, tak jak się umówiłyśmy.

Była niedużą dziewczyną o zapadającej w pamięć urodzie. Należała do kobiet, które nawet po czterdziestce będą wyglądały młodo i świeżo. Długi, czarny warkocz oplatał jej głowę dwa razy. Jej różowe kimono delikatnie prześwitywało, jeśli stała naprzeciwko podświetlonego szklanego panelu umieszczonego na jednej ze ścian.

– Jak pana kręgosłup, panie Korfanty? – zapytała.

– Boli. – Jego głos był niewyraźny, zniekształcony ręcznikiem.

– Zaraz coś na to poradzimy, rozluźnimy te mięśnie – mówiąc to, Matylda spojrzała prosto w wizjer i mrugnęła do mnie.

Na sygnał bezszelestnie wsunęłam się przez uchylone drzwi i byłam gotowa, by zastąpić Matyldę. Uciskała jego plecy dłońmi o długich, silnych palcach, zmierzając od barku w stronę lędźwi, a gdy przerwała, by okrążyć łóżko, zajęłam jej miejsce. Jeszcze przez chwilę mówiła do niego jakieś uspokajające głupotki, a potem cichutko opuściła gabinet.

Położyłam dłonie po obu stronach jego kręgosłupa na odcinku szyjnym i nacisnęłam mocno, uciskając skupiska nerwów. Syknął, a gdy nacisk nie

ustąpił, krzyknął z bólu.

– To zaskakujące… – Nacisnęłam mocniej, kiedy próbował się obrócić, usłyszawszy mój głos zamiast niskiego szeptu Matyldy. Znów krzyknął z bólu, ale nie puściłam. – Są ludzie, którzy mają ręce cudotwórców. Potrafią dotykiem koić, leczyć, przynosić ulgę w bólu czy napięciu. Są też tacy, którym taki sam zestaw palców pozwala sprowadzać tylko ból. Mnóstwo bólu. Masz pecha, bo ja zdecydowanie należę do tej drugiej kategorii.

Oddychał chrapliwie, a jego przedramiona i dłonie drgały. Mrowienie musiało być uciążliwe, ale wciąż nie czułam jakiejś specjalnej zmiany nastawienia. Przesunęłam dłonie tylko po to, by znaleźć kolejne ognisko bólu.

– Ciekawostka, jest taki punkcik, o tu. – Wcisnęłam kciuki z całej siły i wrzask Korfantego upewnił mnie, że trafiłam. – O widzisz! Dokładnie tak, naciskam tu, a boli cię całkiem gdzie indziej. Magia, prawda? I takich punkcików jest nieskończenie wiele. Nie mam pojęcia, jak ci pomóc na ból korzonków, który cię tu sprowadził… ale mogę sprawić ci taki ból, że zapomnisz, że masz korzonki. Ciekawe, nieprawdaż?

– Masz chore wyobrażenie o tym, co jest ciekawe – wydyszał wściekle. – Czego chcesz?

– Kilku informacji. Nic, co byłoby warte tego, byś się na tym łóżku posrał z bólu. Nigdy więcej by cię tutaj nie wpuścili i tęskniłbyś za magicznymi rączkami Matyldy, prawda?

Wzmacniałam swoją perswazję twardym naciskiem kolejnego punktu.

– Puść i pytaj – pisnął.

– Zapytam, a jeśli spodoba mi się odpowiedź, puszczę. Co ty na to?

– Dziwka!

– Takich usług Madame nie zapewnia i byłaby urażona tą sugestią. Interesuje mnie Zelda.

– O to ci chodzi? O tę małą dziwkę? – Próbował się podnieść, ale wbicie kciuków pod łopatki wcisnęło go z powrotem w łóżko. – Nigdy jej nie znajdziesz beze mnie! – Jego śmiech przerodził się w charczenie, kiedy naparłam mocniej na jego plecy.

– Czy Zelda żyje? – zapytałam spokojnym tonem. Raczej nie domyślił się, że od tej odpowiedzi zależy to, czy skręcę mu kark, czy jednak nie.

– Żyje. Ale kto wie, jak będzie. – Zarechotał.

Wyraźnie natura poskąpiła mu instynktu samozachowawczego.

– Dlaczego ją porwałeś?

– To miało odwrócić uwagę jakiejś suki… Potrzebował, by była zajęta – powiedział wysokim głosem.

– Jaka suka? – zapytałam z niepokojem.

– Nikita czy jakoś tak… Cień.

Moje dłonie zesztywniały, wzmacniając nacisk na wiązki nerwów, a Korfanty zapłakał jak dziecko. Nie znał mnie, nie rozpoznał, nie obawiał się, że po niego przyjdę, bo nie zawracał sobie mną głowy. Ale ktoś i owszem. Na tyle, by zapłacić mu za porwanie dziewczyny, akurat tej, której będę zobowiązana szukać. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby mnie poznać i znaleźć mój słaby punkt. Przed oczami stanęło mi pudło z modliszkami przyszpilonymi do okaleczonych łodyg.

O co tu, do pramatki Piastów, chodzi?

– Kto ci to zlecił? – Znów panowałam nad głosem.

– Jeśli płaci mi się odpowiednie pieniądze, nie zadaję pytań. A te były odpowiednie.

– Widziałeś zleceniodawcę?

– Możliwe. Puść mnie, to ci powiem.

– Nie jesteś w położeniu negocjacyjnym, dupku. Wystarczy precyzyjny nacisk na odcinku lędźwiowym kręgosłupa i już nigdy nie będzie happy endu, rozumiesz?

Dla wzmocnienia groźby przesunęłam ręce niżej, naciskając wystarczająco, by poczuł mrowienie w kończynach dolnych i wszystkim w tej okolicy.

– Potrafię osiągnąć bardzo trwały efekt, wiesz? – powiedziałam spokojnie, choć wcale nie czułam spokoju.

– Nie znam typa. Wypłacalny, dobrze ubrany, konkretny.

– Rudy przystojniak?

– Rudy. Nie w moim typie.

Docisnęłam raz jeszcze, mocniej i tym razem celowo. Zamłócił stopami w powietrzu i kwiknął jak świnia.

– Gdzie ona jest?

Milczał z uporem godnym lepszej sprawy.

– Gdzie ona jest!? – warknęłam i przeniosłam ciężar ciała tak, by wzmocnić ucisk na jego kręgosłup.

– U mnie! – wrzasnął. – Ale beze mnie jej nie dostaniesz!

– Ty jesteś już całkiem zbędny – powiedziałam i ucisnęłam inny punkt. Ciało na stole zwiotczało.

Wydarzenia ostatnich dni składały się na jakąś dziwaczną układankę. Wciąż nie wiedziałam, co przedstawiała… Gdyby to były puzzle, brakowałoby mi krawędzi i środkowego elementu. Ale to, co już się wyłoniło, było podwójnie denerwujące. Ktoś miał na mnie chrapkę, ale nie szedł jak po sznurku. Zataczał kółka. Skądś miałam pewność, że to zaledwie przygrywka do mocniejszego akordu.

Nad małym zlewem zamontowanym w kącie gabinetu dokładnie umyłam ręce i zdezynfekowałam je żelem aseptycznym. Było w tym facecie coś śliskiego i wciąż miałam wrażenie, że na skórze dłoni wyczuwałam ten śluz kanalii najpodlejszego sortu. Smród strachu stłumił dominujący tu jeszcze kilka minut temu zapach testosteronu i oczekiwania. Tak czasem wpływam na mężczyzn. Nie spędza mi to snu z powiek.

– Zajmijcie się nim przez kilka godzin – poprosiłam Matyldę, która czekała pod drzwiami. – Pełna izolacja, żadnych gości, telefonów czy pilnych spraw, które wymagają jego obecności, zgoda?

Wsunęłam jej w dłoń kilka monet – więcej niż zarabiała przez tydzień ciężko wykrzesywanych happy endów. Spojrzała na mnie z miną sumiennej uczennicy, choć w jej jasnych, zielonkawych oczach dostrzegłam figlarny błysk. Miałam szczęście. Trafiła mi się myszka, która widziała w tym przygodę. Nie mogło być lepiej.

*

Karma na hakowanie systemu alarmowego potrzebowała tylko pięciu godzin. W wolnej chwili włamała się do systemu operacyjnego firmy ochroniarskiej i pogrzebała w przydziałach i zmianach. Gdy o osiemnastej ekipa dzienna zejdzie z posterunku, będziemy mieli trzygodzinne okienko. Powinno wystarczyć. Właśnie dlatego usługi Karmy były warte pieniędzy, które jej płaciłam – bez jej pomocy potrzebowałabym kilkunastu ludzi, a bezpośrednie starcie ze zmiennokształtnymi potrwałoby dłuższą chwilę.

Czekaliśmy w dorożce zaparkowanej dwa podjazdy dalej, też na Tralkach. Za kwadrans osiemnasta dzienna zmiana robiła obchód. Docierały do nas trzaski krótkofalówek i urywane słowa meldunków.

Podskoczyłam, kiedy rozdzwoniła się moja komórka. W wielu miastach magicznych sieci komórkowe nie działały. Wars zawsze nieźle współgrał z elektroniką i postępem, a poza Dzielnicą Cudów i Straconymi Dzielnicami zasięg bywał dość stabilny. Chyba że szalała czkawka.

Cokolwiek to było, musiało poczekać, pomyślałam, widząc na wyświetlaczu numer przypisany do Zakonu. Odrzuciłam połączenie i dwa kolejne, które nastąpiły po nim. Wyciszyłam komórkę i schowałam ją do kieszeni.

Na udzie poczułam wibracje odebranych esemesów. Nic nie mogło mnie odciągnąć od tego, co robiłam w tej chwili, więc nawet nie odczytałam wiadomości. Poradzą sobie beze mnie, są dużymi chłopcami.

Solidny humvee z przyciemnianymi szybami wytoczył się z bramy. Wedle grafiku w środku został tylko stróż. Wetknęłam w ucho słuchawkę i jej niewielki pałąk okręciłam wokół małżowiny, by urządzenie nie wypadło. Zrobiłam próbę głośności, a Karma na moją prośbę, by dała głos zaczęła szczekać. Obstawiałabym bardzo zapchlonego, mocno sfrustrowanego terierka.

Robin zrelaksowanym krokiem przemierzył odległość, jaka dzieliła nas od posiadłości Korfantego. Wsadził ręce w kieszenie i pogwizdywał niefrasobliwie. Zatrzymał się przed bramą. Oko kamery natychmiast przesunęło się na niego. Domofon zaskrzeczał i strażnik z budki przy bramie zapytał, nie siląc się na uprzejmości:

– Czego?

– Mam umówione spotkanie z Korfantym za dziesięć minut – oświadczył mój partner. Nosił te same ciemne dżinsy i sweter, a coś w jego postawie się zmieniło: wyglądał na faceta, który ma władzę i krótki lont.

– Nic o tym nie wiem. – Głos strażnika wyraźnie stracił na pewności.

– Nie z tobą się umawiałem, a i Korfanty nie musi dzielić się z tobą swoim kalendarzem.

Nie mówił nic więcej, po prostu stał z dłońmi w kieszeniach i niecierpliwością odmalowaną na twarzy.

– Pana Korfantego nie ma.

– Będzie zachwycony, kiedy pojawi się tu za dziesięć minut i mu powiesz, że znudziło mi się czekanie na podjeździe.

Spojrzał w górę na ciemne, burzowe chmury. Każde dziecko by zgadło, że lada moment będzie padało. Rozsądni ludzie już zamykali okiennice

i wzmacniali kręgi wokół mieszkań i domów, bo burza, na którą się zanosiło, mogła przynieść kolejną czkawkę czy wstrząsy wtórne.

Stróż zmiękł i wychylił się z budki, jakby chciał się upewnić, że Robin na żywo wygląda równie władczo jak na ekranie jego monitora.

Wątpiłam, kiedy Robin przedstawił mi ten plan. Strażnicy byli wyszkoleni, dobrze opłaceni i raczej nie byli idiotami. Ja bym się na to nie nabrała, powiedziałam. Teraz patrzyłam z uznaniem na Robina, bo jego mowa ciała wydawała się tak przekonująca, że sama nie wiem… może jednak bym uwierzyła?

– Poczekaj na tarasie. Nie mogę cię wpuścić do środka, kiedy pan Korfanty jest poza domem.

Robin wzruszył ramionami, jakby nie stanowiło to dla niego problemu. Brama skrzypnęła i drogę do domu miał wolną. Ledwie minął bramę, zatrzasnęła się za nim. Po dwóch minutach znów się rozsunęła i Robin pomachał mi ze stróżówki. Przyjdzie mi odszczekać słowa zwątpienia, pomyślałam i dogoniłam mojego partnera. Przyzwyczajałam się do nazywania go tak. Dziwny dzień pełen cudów. Może jednak ta czkawka nie minęła mi tak całkiem bez skutków ubocznych.

– Jesteśmy w środku, potrzebuję kodu do alarmu i do drzwi wejściowych – powiedziałam do Karmy.

Podała mi kod alarmowy, który musiałam wklepać na panel w stróżówce, by rozbroić pierwszy obieg systemu alarmowego. Posesja miała ich kilka. Najbardziej zewnętrzny zabezpieczał granice działki – po każdym otwarciu bramy czy sygnale z czujników zamontowanych na ogrodzeniu strażnik musiał wklepać kod po tym, jak inny strażnik sprawdzał, czy teren został zabezpieczony. Drugi obieg systemu dotyczył domu. Wszystkie wejścia, drzwi, okna, kanały wentylacyjne były oklejone czujnikami. Unieszkodliwił je drugi kod, który mi podała Karma. W środku znajdowały się jeszcze co najmniej trzy obiegi – zabezpieczające, jak się domyślałam, największe tajemnice Korfantego.

W ciągu godziny przetrząsnęłam większą część rezydencji i wciąż miałam mniej niż nic. Ani śladu Zeldy. Wołałam ją, ale odpowiedziała mi tylko cisza. Zaglądaliśmy do wszystkich pomieszczeń. Nie licząc dwóch czy trzech pokoi, nie odkryłam widocznych śladów, by ktoś tu mieszkał. Spora część willi wyglądała jak muzeum. Luksusowe meble, dzieła sztuki,

wszystkie te drogie głupotki, którymi otaczają się majętni ludzie, jakby potrzebowali na każdym kroku widzieć świadectwa własnego bogactwa.

Nie rozumiałam tego, ale w mojej rodzinie nie gromadziło się przedmiotów, bo przy kolejnej przeprowadzce i ucieczce i tak trzeba by je było zostawić. Irena kolekcjonowała broń, ale to kolekcja czysto użytkowa. Mieszkałam w Warsie już ósmy rok, powoli zaczynałam myśleć o moim domu jako o czymś stałym. Łapałam się na tym, że raz po raz przynosiłam jakieś drobiazgi, które nie pełniły żadnej realnej funkcji, ale wciąż mogłabym je zostawić bez mrugnięcia okiem. Poza tym zwykle kosztowały grosze. Były to po prostu przedmioty, które chciałam mieć na jakimś etapie życia, ale nie mogłam: książki, plakat, kolorowa narzuta na łóżko.

Zajrzałam do szafy wypełnionej kilkudziesięcioma garniturami w kolorach od czerni po stalowoszary i setką koszul – białych, szarych, błękitnych. Jaki ma sens zakup trzydziestu par właściwie identycznych skórzanych butów, pomyślałam. Ustawione pod ścianą, wyglancowane, ze sznurowadłami wijącymi się jak dżdżownice wyglądały, jakby zostawił je za sobą szwadron menedżerów idących na ścięcie.

W szafie w sypialni odkryłam bogatą kolekcję erotycznych zabawek spod znaku pejcza i ostróg. Korfanty najwyraźniej lubił klimaty stajni i Dzikiego Zachodu. Po tym, co zrobił, nieprędko sobie pobiega po padoku.

Robin przetrząsał piwnicę, a ja przedzierałam się przez lepki od pajęczyn strych… Przeklęłam, słysząc przetaczający się nieopodal grzmot, a potem odbijające się o blaszany dach krople deszczu, który wygrywał nerwową melodię jak mały dobosz na sterydach. Zeszłam po koślawej drabinie i zastałam Robina stojącego na korytarzu przy otwartej szafie. Stosiki wykrochmalonej i wymaglowanej pościeli nudziły monotonną bielą absurdalnie drogiej egipskiej bawełny i ręcznie haftowanych lnianych powłoczek.

– Tu coś jest – powiedział.

Coś – hmm, ciekawe. Podeszłam bliżej i poślinionym palcem narysowałam na ścianie nad futryną znak widzenia. Pokazały się zawiasy i elektroniczny panel.

– Karma – przywołałam ją przez słuchawkę – co masz na wykresach na drugim piętrze, naprzeciwko głównej sypialni, tuż przy włazie na strych?

– Spory pokój, bez okien. Ma osobny obwód alarmowy.

– Masz kod?

– Czy świnie mają kręcone ogonki? – spytała retorycznie.

Usłyszałam stłumiony frenetyczny stukot klawiszy i po chwili podała mi dwunastocyfrowy ciąg. Nieźle, wejściowy do domu miał tylko sześć cyfr. Wklepałam go na ekranie dotykowym. Kliknięcie zwolnionych zamków rozległo się jak wystrzał. Pchnęłam ścianę z zamontowanymi półkami wypełnionymi pościelą i ręcznikami. Spodziewałam się czegoś w rodzaju celi po drugiej stronie, modliłam się w duchu do bóstw, które nie wiedziały o moim istnieniu, by gdzieś tam, w kącie na materacu siedziała Zelda.

Nic z tego. Trafiliśmy na sejf połączony z panic roomem. Pełnowymiarowe łóżko, kredens wypełniony zapasami jedzenia i picia sąsiadowały z regałami i skrzyniami pełnymi skarbów. Widać nic tak nie uspokajało Korfantego jak zbiory sztuki, złote precjoza, schludne segregatory z danymi księgowymi i małe czarne notesy z nazwiskami ludzi, których trzeba znać. A gdyby uspokoił się za bardzo, miał do dyspozycji torebeczki z koką ułożone w stosik w misie z pęcherzykami powietrza uwięzionymi w zielonkawym szkle.

Skończyły mi się przekleństwa.

– Karmo, czy jest tu więcej takich pomieszczeń? Widzisz coś na wykresach? – zapytałam głosem płaskim od zmartwienia.

– Nic takiego nie widzę. Ale jest jeszcze garaż zaraz za domem, duży, na trzy auta, ze sporą przybudówką opisaną jako POM.GOSP. Wedle architekta tam umieszczono przyłącze do pompy ciepła, a na dachu ma wieżę ciśnień z zapasem wody pitnej. Gdyby nastąpiła apokalipsa zombie, zajmujemy jego chatę i obserwujemy, jak ludzie zagryzają się na ulicach.

Nawet nie kryła ekscytacji na myśl o tym, że po Warsie hasałyby zombie.

Nagle zaswędziały mnie zmysły. Coś w wypowiedzi Karmy wzbudziło dzwonki alarmowe mojej podświadomości, próbowałam to złapać, ale było zbyt daleko. Uznałam, że to znak, że garaż to miejsce, które zasłużyło na odrobinę mojej uwagi.

Zbiegłam po schodach i przez kuchnię przedostałam się za dom. Wciąż padało, choć słabiej. Ciemne niebo zapowiadało jednak, że jeszcze trochę musimy poczekać na rozpogodzenie. Podwórze zostało całkiem nieźle odizolowane – z podjazdu i ulicy było widać tylko garaż otoczony wysokimi na trzy metry tujami. Za garażem znajdował się szeroki, dobrze utrzymany trawnik i basen z wodą zmętniałą od deszczu.

Spojrzałam na piętrzący się na dachu garażu zbiornik na wodę. Pękata beczka obłażąca farbą mogła pomieścić pewnie kilkaset litrów, choć musiałabym być bardzo zdesperowana, by pić w Warsie deszczówkę. Nie przypadkiem czkawkę tak często poprzedzały burze i deszcz. Zwykle płynąca woda rozpraszała czary, lecz nie tutaj – tu zbierała z dna muł i osad przeklętej magii.

Na ścianie przybudówki zamontowana była stalowa drabina biegnąca na dach. Odruchowo policzyłam stopnie. Dwadzieścia. Odwróciłam się gwałtownie, słysząc dziwny hałas, jakby pobrzękiwanie i klekot. Zamarłam. Na barierce otaczającej wieżę ciśnień wisiała instalacja – dzwonki wietrzne z podłużnych kawałków barwionego szkła zawieszonych na sznurkach. Wiatr wzmagał się, a szkło uderzało o siebie z brzękiem. Było krwiście czerwone. Wdrapałam się po śliskich stopniach na górę. Deszcz znów zaczął mocno zacinać, uderzając wściekle o blaszany dach pod moimi stopami i metalową konstrukcję wieży ciśnień. Hałas stał się ogłuszający niczym przemarsz dwustu doboszy startujących w konkursie na najgłośniejszy bęben w orkiestrze. Przez chwilę myślałam, że się pomyliłam, ale nie. Tu coś było.

Poślizgnęłam się, biegnąc po mokrym dachu, i na kolanach dopadłam stalowego pudła niewiele większego od trumny. Potężna kłódka dzieliła mnie od uchylenia wieka. Mogłam spróbować ją przestrzelić, ale się bałam. Nie rykoszetu, lecz tego, że jeśli miałam rację i Zelda była w środku, mogła się śmiertelnie wystraszyć, słysząc huk.

– Zeldo, słyszysz mnie? – Zastukałam w wieko. Bez odpowiedzi.

– Jest tam? – zapytał Robin, który wdrapał się za mną na dach.

– Nie wiem – szepnęłam.

Strach dławił mnie w gardle. Tam było tak mało miejsca… Czy powietrze dopływało do środka?

Odpięłam od pasa pałkę teleskopową i przełożyłam ją przez pałąk kłódki. Naparłam na nią, nie szczędząc sił. Sapnęłam z wysiłku, ale kłódka wciąż była cała. Po przełomie wyrwałabym ją gołymi rękoma, w kobiecym ciele miałam nieco więcej ograniczeń, a ta cholerna kłódka została magicznie wzmocniona.

– Daj mi spróbować – powiedział Robin, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Warknęłam, ale coś w jego twarzy – może brak samczej pychy czy lekceważenia – sprawiło, że odsunęłam się, robiąc mu miejsce. Zawiązał

wokół kłódki czerwony sznurek i wypowiedział zaklęcie. Pojawił się krótki rozbłysk i kłódka opadła na dach z głuchym stuknięciem. Spojrzałam na kawałek nadal tkwiący w oczku. Gdybym miała powiedzieć, co go przecięło, postawiłabym na palnik, wciąż bowiem widać było żarzące się krawędzie.

– Śliczna sztuczka, chcę ją znać – powiedziałam.

– Da się coś z tym zrobić.

Pomógł mi podnieść wieko. Ważyło pewnie z pięćdziesiąt kilogramów. Gruba na pięć centymetrów stal. Na dnie skrzyni, w pozycji płodowej leżało nagie ciało kobiety. Ciemne włosy zasłaniały twarz, ale nie miałam wątpliwości – to była Zelda. Nie ruszała się. Przez kilka morderczych sekund szukałam pulsu na jej szyi. Wreszcie znalazłam: był słabiutki jak uderzenia skrzydeł motyla, ale wyczuwalny. Musiała jak najszybciej wrócić do Dzielnicy Cudów.

– Poczekaj – powiedział Robin i pobiegł do drabiny.

Przez chwilę po prostu klęczałam przy skrzyni, szczęśliwa, że znalazłam Zeldę, a ona wciąż żyła. Odgarnęłam włosy z jej twarzy i poczułam wzbierającą we mnie wściekłość, gdy zobaczyłam ciemny siniak rozlewający się po całym policzku i wokół spuchniętego oka. Wyciągnęłam ją ze skrzyni, po cichu robiąc spis jej obrażeń – otarć dłoni, kolan, siniaków na udach i ramionach. Typowe rany defensywne. Stoczyła niezłą bitwę, ale nie miała szans. Ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, miała może metr sześćdziesiąt wzrostu i żadnego przygotowania taktycznego czy bojowego. Nawet jeśli Korfanty nie wyręczył się którymś z mięśniaków, był większy i silniejszy. Zapłaci za to. Ciało Zeldy przelewało mi się przez ręce, wiotkie, blade, zimne. Poprawiłam chwyt pod kolanami. Jej głowa opadła na moje ramię. Jej oddech był taki płytki…

Robin wyłonił się zza krawędzi dachu. Na plecach dźwigał wór zrobiony z poszewki na kołdrę. Wyciągnął z niego długie futro, bez wątpienia naturalne, chyba z norek, ale nie znałam się na futrach, nigdy żadnego nie miałam.

– Musi być wymarznięta – wyjaśnił i troskliwie wsunął wiotkie ramiona Zeldy w rękawy. Owinął ją dokładnie i zapiął haftki, tak że z puchatego futra wychylały się tylko dłonie, stopy i głowa, choć wysoki kołnierz sięgał do połowy policzków.

– Dziękuję – szepnęłam, bo naprawdę się o nią troszczył. Nawet jej nie znał, nic o niej nie wiedział. Pomógł mi ją znaleźć, a do tego jeszcze opatulał ją jak delikatny artefakt…

Nie zdołalibyśmy znieść jej po drabinie – było zbyt stromo, zbyt ślisko – ale i o tym pomyślał. Powiązał poszewki i w ciągu kilku minut uzyskał coś na kształt kołyski i długiego sznura.

– Zejdź na dół, będziesz ją asekurowała, ja ją spuszczę z góry.

Tak zrobiliśmy. Chwilę później Robin niósł Zeldę, owiniętą futrem i białym prześcieradłem, do dorożki. Ciężar, deszcz czy przenikliwy wiatr nie wydawały się robić na nim wrażenia. Wybiegliśmy, zostawiając za sobą otwartą bramę do rezydencji Korfantego. Miałam szczerą nadzieję, że ktoś splądruje tę jego chatę, zresztą i tak po tym, jak go urządzę, to będzie jego najmniejszy problem. Karma już grzebała w jego finansach.

Postukałam w budę dorożki i pojazd ruszył z cichym świstem bata i rzężeniem rzemiennych amortyzatorów. Za mniej niż godzinę powinniśmy być na miejscu. Co chwilę sprawdzałam puls na szyi Zeldy, bojąc się, że odpłynie za daleko i nie zdołam jej sprowadzić. Wciąż nie odzyskała przytomności. Modliłam się szeptem, a Robin ścisnął moje kolano w niemym wyrazie wsparcia.

Widoku jej nagiego i pobitego ciała skulonego w skrzyni długo nie zapomnę. Byłam przekonana, że Korfanty zostawił ją tam zaraz po porwaniu. Spędziła tam prawie dwa dni. Nic dziwnego, że była na granicy hipotermii i ledwie żyła. Jeśli nie straciła przytomności wcześniej, musiała umierać ze strachu wczoraj, podczas burzy. Ścisnęło mi się serce na myśl o tym, że była sama, bezbronna i niechroniona w czasie czkawki. Niewiele brakowało…

Gdy dorożka zajechała pod Tierra del Fuego, Franciszek czekał na progu. Za nim tłoczyły się dziewczęta. Robin znów wziął Zeldę na ręce i zabrał do środka. Wnosząc ją po wysokich schodach na drugie piętro, nawet nie sapnął.

– Co z nią? – zapytała mnie panna Stefania.

– Potrzebuje lekarza, ciepła i opieki. Może z tego wyjdzie – powiedziałam, bo przecież dla Zeldy niebezpieczeństwo wciąż się nie skończyło. Jeśli z wychłodzenia dostanie zapalenia płuc, bez antybiotyków umrze. Była osłabiona odłączeniem od magii Dzielnicy Cudów. Prognozy nie wyglądały obiecująco.

– Co z tym, który jej to zrobił? – zapytała jeszcze, z dłonią na słuchawce bakelitowego telefonu.

– Czeka na sprawiedliwość u Madame Butterfly.

– Dostanie każdą jej uncję, jaką zdoła przeżyć, i jeszcze więcej – powiedziała i zrozumiałam, że z mojej zemsty na Korfantym nic nie wyjdzie, bo trudno się mścić na trupie. A zimne spojrzenie panny Stefanii jednoznacznie wskazywało, że nie żartowała.

Karma wyczyściła wszystkie konta Korfantego, przelewając środki na okoliczne organizacje charytatywne, i to musiało mi wystarczyć. Wdowy i sieroty z Dzielnicy Cudów ucieszą się z datków. Miałam na głowie za wiele, by dłużej przejmować się tym draniem. Zostawiałam go pannie Stefanii, wiedząc, że cokolwiek mu zrobi, będzie to coś, co przejdzie do legendy, by przekaz był odpowiednio jasny – NIKT nie krzywdzi dziewcząt panien Borman bezkarnie. Amen.

W pokoju Zeldy Robin ułożył ją na łóżku i odsunął się, pozwalając dziewczętom ubrać ją w sięgającą kostek flanelową koszulę nocną i owinąć pierzyną.

Zosia strzepnęła wilgoć z futra i powiesiła je na wieszaku.

– Czyje to cudeńko? – zapytała, pieszczotliwie głaszcząc szarosrebrne okrycie.

– Zeldy – powiedział Robin spokojnie.

Stefania zadzwoniła po lekarza, więc dziewczęta przycupnęły przy łóżku. Wiedziałam, że będą przy niej czuwały, dopóki się nie obudzi. Tej nocy klienci Pozytywki i Tierra del Fuego będą mieli ograniczony program rozrywkowy.

Alicja pojawiła się w progu cichutko jak duch. Podeszła do łóżka matki i dotknęła jej bladego policzka.

– Mamusia śpi – szepnęła. – Jutro będzie głodna – dodała.

Wdrapała się na łóżko i zwinęła w kłębek przy boku Zeldy.

Westchnęłam z ulgą. Przepowiednie tej małej sprawdziły się już tego dnia – czerwone szkło, deszcz, dwadzieścia stopni…

Musiałam iść do domu, zjeść coś, odpocząć. A rano zastanowić się, kto i dlaczego wynajął Korfantego. Ktoś jeszcze ponosił winę za stan Zeldy. Ktoś, kto trzymał mnie na celowniku. Rudy przystojniak, kimkolwiek był, miał we mnie wroga. I dowiem się, kto to.

Zawsze się dowiaduję.

Rozdział 13

Nie przyzwyczajaj się do tego – mruknęłam, wpuszczając Robina do swojego domu.

Co się stało z tymi wszystkimi latami ładowania mi do głowy, że odruchy samarytańskie to najprostsza droga na dno i że wyciągając do kogoś rękę, ryzykuję jej utratę? Irena, gdyby nas teraz widziała, postukałaby się w głowę i kazałaby mi zrobić badanie moczu – bo może Robin coś dosypywał mi do picia.

Nie mogłam go po prostu zostawić na bruku w chwili, kiedy nad miastem przechodziła kolejna nawałnica, ulicami płynęły wartkie strumienie deszczówki, a linie pomrukiwały nadchodzącymi wstrząsami wtórnymi. Nawet nie zapytał, czy może u mnie zostać. Ten idiota był gotów, całkiem przemoczony, drałować przez godzinę do siedziby Zakonu. Bo przecież wczoraj powiedziałam, że może zostać jedną noc, więc jakżeby mógł nadwyrężać moją gościnność. Poważnie.

Nie wiem, skąd się urwał, ale to musiało być miłe miejsce, jeśli był przeciętnym przedstawicielem żyjącej tam populacji. I dlatego sama zaproponowałam, żeby spędził u mnie jeszcze jedną noc. Pozbawiona ufności część mnie podejrzewała, że tak to właśnie uknuł, ale nieoczekiwanie odrodzona ufna strona mówiła mi, że to facet, który pomógł mi uratować Zeldę i naprawdę się o nią zatroszczył. Byłam mu coś winna – przynajmniej ciepłe łóżko i kolację. Na honorarium nie miał co liczyć, skoro moje usługi dla panien Borman należały do rubryczki *pro publico bono*.

Przygarnęłam przybłędę i pracowałam za darmo. Duch mojej matki popełnia właśnie *seppuku* ze wstydu, że wychowała taką naiwniaczkę.

Robin zszedł do piwnicy, by ogarnąć się w sypialni dla gości. Ja zmieniłam ubrania na suche i zabrałam się do przygotowania kolacji. Nie jadłam cały dzień – niezbyt zdrowo i zdecydowanie nierozsądnie. Pakując brytfankę z zamrożoną pieczenią wieprzową do piekarnika, nie mogłam

przestać myśleć nad tym, co dla mnie oznaczała ta zgoda na obecność Robina w tym domu.

Nigdy nie mieszkałam z nikim poza moją matką. Jedyny rzeczywisty związek, jaki zdarzyło mi się mieć, skończył się lata temu. Właśnie minęły moje osiemnaste urodziny i mieszkałyśmy w internacie. Potem porwał mnie ojciec, wypłynęła na wierzch szalona strona mojego dziedzictwa i nie odważyłam się kontynuować związku z Dorą. Z nikim innym już nie byłam tak blisko. Przelotne, czysto fizyczne romanse przytrafiały mi się jeszcze chwilę, ale z czasem granice, jakie budowałam między sobą a światem, nie pozwalały na nic więcej niż szybki seks, zwykle płatny, bo to czyniło całą sytuację jasną, bezkolizyjną i pozbawioną ryzyka zaangażowania czy odsłonięcia. Nie żałowałam. Taki był koszt utrzymania tajemnicy bez okłamywania osób, na których mogłoby mi zależeć. Nie mówię, że to zdrowy układ, ale tysiące mężczyzn żyje w ten sposób i nikt nie ocenia ich szczególnie surowo.

Świadomość, że ktoś jest w moim domu, je ze mną posiłek, śpi czy kąpie się pod moim dachem, była niepokojąco komfortowa. Gdyby to był Aleks… Właściwie na tym kończyła się lista, bo nie wyobrażałam sobie, by Karma opuściła swój Zamek, a z Ilią moje relacje nie były na tyle poprawne, bym pozwoliła mu przekroczyć próg. Dora… nie wiem. Może. Choć kiedy prawie trzy lata temu niefortunnie na siebie wpadłyśmy – czy raczej ja niefortunnie przyjęłam zlecenie na jej przyjaciela – nie tylko nie wpuściła mnie do swojego mieszkania, ale też nie chciała, bym znała jej adres.

To był dla mnie moment przełomowy. Zatrzymałam się zaskoczona tym, co się ze mną stało. Stałam się zbyt podobna do Ireny. Wiedziałam, że anioł, którego miałam zabić na polecenie archanioła Rafaela, był przyjacielem Dory, ale chyba w tamtym czasie nie rozumiałam już, co oznacza to słowo. Nawet Aleksa trzymałam na dystans. Zamieniałam się w jeden z automatów mojej matki. Brałam zlecenie. Kończyłam zlecenie. Szłam na dziwki. Brałam zlecenie. Reżim, który miał trzymać demony z daleka.

Przed porwaniem nigdy nie myślałam o tym, by zostać Cieniem. Członkostwo w Zakonie zostało podyktowane założeniem praktycznym: dla Ernsta jestem łatwiejszym łupem, gdy łażę po świecie w pojedynkę. Zakon był potęgą. Okopem zarządzanym przez moją matkę. Mimo wszystko

wolałam ją od ojca. Potrzebowałam broni, do której w Zakonie miałam dostęp. Potrzebowałam pieniędzy, których w Zakonie mogłam zarobić pod dostatkiem. Potrzebowałam złudzenia bezpieczeństwa, a tego, o słodkie paradoksy ludzkiej psychiki, dostarczała mi praca, w której moje szanse na dożycie trzydziestki były niewielkie.

Ale po drodze coś się we mnie złamało, zapadło w sen. Stałam się za bardzo Cieniem, a za mało zostało we mnie Nikity, dziewczyny, która znała inne życie w Trójprzymierzu. Nikita miała przyjaciół, brata, uczucia i nigdy nie wzięłaby zlecenia, które mogłoby skrzywdzić Dorę. Cień nie rozumiał, że zabicie jednej osoby może zranić inną. Przecież nie poczułam prawie nic, kiedy Dora zabiła mojego partnera. Jedynie żal, bo był świetny w tym, co robił, dobrze nam się pracowało i nie zadawał zbyt wielu pytań.

Wróciłam wtedy do Warsa i przez tydzień nie wychodziłam z domu, szukając w sobie tej zagubionej dziewczyny. Udało mi się odnaleźć jakieś jej strzępy. Zaczęłam nawiązywać relacje z ludźmi i coraz częściej wpadałam do Dzielnicy Cudów, gdzie jakoś łatwiej znalazłam osoby, z którymi się dogadywałam. Wciąż byłam samotnikiem, ale mój świat nie był już tak jałowy. Pojawiło się w nim coś więcej niż zlecenia, zabójstwa, przygodny seks i samotność. Aleks wziął mnie na rozmowę kilka miesięcy temu, by podzielić się ze mną radością, że wreszcie przełamałam w sobie traumę po tym, co mnie spotkało. Może miał rację.

Ale teraz trzęsły mi się ręce, kiedy ustawiałam na piekarniku temperaturę odpowiednią dla pieczeni, bo poczułam, że tamta Nikita, miła dziewczyna, która nigdy nie spotkała swojego ojca i do rana ogląda z przyjaciółką głupie filmy, popija tanie wino i myśli o swojej przyszłości z ekscytacją, zbliżyła się do powierzchni bardziej niż kiedykolwiek.

Byłam wtedy taka szczęśliwa, beztroska, tak bardzo pozostawałam pod wpływem mojej dziewczyny i najlepszej przyjaciółki, osoby mającej tę niewinność człowieka, którego nigdy nie spotkało nic złego. Zaprzyjaźniała się błyskawicznie, wrastała w nowe środowisko w ułamku sekundy, miała miękkie serce otwarte na wszystkich, którzy jej potrzebowali. Gdy ją poznałam, przez pierwszą godzinę chciałam ją znienawidzić – za tę swobodę, za iskrę w oku i wybuchy nieskrępowanego śmiechu. Potem mnie podbiła. Tak po prostu. Zazdrość przekształciła się w fascynację i miłość. Widziała we mnie więcej niż ktokolwiek. Chciałam być tą dziewczyną, za

jaką mnie miała. Poczułam, że mam prawo mieć swoje życie, a nie racje wydzielane mi przez Irenę.

Rozkleiłam się, gdy o tym myślałam. Nie powinnam. Nie wtedy, kiedy Robin w każdej chwili mógł pojawić się w kuchni. A jednak miałam ochotę tańczyć z radości, bo tamta Nikita odruchowo przygarnęłaby tego przybłędę. I nawet jeśli wyrzucałam sobie naiwniactwo, patrzyłam na niego z podejrzliwością, zamierzałam dokładnie zamknąć swoją sypialnię i trzymać Zębuszkę pod poduszką, to przecież go wpuściłam. To przełom. Być może głupi, ale przełom. Kolejny krok oddalający mnie od tej Nikity, której dawna przyjaciółka nie chciała wpuścić do mieszkania.

Bogowie, gdyby Irena usłyszała moje myśli, strzeliłaby mi w brzuch, bym nie przynosiła jej więcej wstydu.

– Dobrze pachnie. – Usłyszałam za plecami głos Robina.

– Gdy znajdziemy ci już mieszkanie, możemy też znaleźć ci twoją wersję pani Marianny, która przyrządza mi te cuda. – Uśmiechnęłam się.

Ucieszył się i uświadomiłam sobie, ile razy w jednym zdaniu użyłam liczby mnogiej. O rany. Odwróciłam się do Robina plecami, by nie zobaczył mojej spłoszonej miny, i zaczęłam kroić chleb na równe pajdy. To mi przypomniało, że wciąż nie sprawdziłam, czy Pablo żyje, czy jego syn dotarł do niego, zanim wpadł na mnie. Skrzywiłam się. Prowadził jedyną pobliską piekarnię z porządnym pieczywem. I oczywiście szkoda byłoby Pabla.

*

W pierwszym momencie nie wiedziałam, co mnie obudziło. Leżałam z szeroko otwartymi oczami i nasłuchiwałam. Deszcz osłabł, szalone bębnienie o parapet przeszło w cichy szum kropel odbijających się o szybę. Nie czułam żadnych skoków napięcia, więc nie obudziła mnie czkawka… Światełko w panelu kontrolnym systemu alarmowego, zamontowanego przy drzwiach wejściowych, migało czerwienią. Robin musiał opuścić swój pokój i uaktywnił któryś z czujników ruchu. Tyle, jeśli chodzi o zaufanie.

Usłyszałam ciche zgrzytnięcie stopnia schodów, a potem odgłos kroków na korytarzu za drzwiami sypialni. Zacisnęłam palce na Zębuszce, którą wyjęłam spod poduszki. Nie ruszałam się, nie chcąc, by trzeszczenie

sprężyn go zaalarmowało. Jeśli myślał, że łatwiej będzie mu mnie zdjąć, kiedy śpię, proszę bardzo, gorzko pożałuje błędu.

Spodziewałam się strzałów, może odgłosu naciąganej cięciwy, jeśli mówił prawdę o swoim stosunku do broni palnej, kroków, jeśli uznałby, że prościej będzie mnie udusić, gazu, jeśli nie lubił ryzyka… wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego, że zapuka i usłyszę jego ciche:

– Nikito, śpisz?

– Nie śpię, co jest? – zapytałam po chwili wahania.

Najciszej, jak mogłam, zsunęłam się z łóżka na podłogę, by, jeśli zacznie strzelać, mieć jakąś osłonę, a przede wszystkim – by moja głowa nie była w tym miejscu, w którym mógł się jej spodziewać.

– Ktoś albo coś jest przed domem, okrąg go nie zatrzymał, myślę, że próbuje wejść – powiedział.

Zerknęłam na panel przy drzwiach. Zamki zewnętrzne i okna były nienaruszone. Okrąg też wyczułabym, gdyby coś go naruszyło. Albo Robin mówił prawdę, albo to podstęp.

– Sprawdziłbym to sam, ale mówiłaś, że mam nie otwierać do rana drzwi na zewnątrz, bo alarm zacznie wyć… Gdyby obudził cię alarm, zaczęłabyś strzelać, zanim zdołałbym wyjąkać słowo.

Spojrzałam na Zębuszkę w mojej dłoni. No cóż.

– Sprawdzę to. Możesz iść do łóżka.

– Jasne – prychnął.

Nie ubierałam się, nie było czasu. W spodniach od piżamy i topie na ramiączkach, rozczochrana i boso, ale z glockiem w dłoni, wyszłam na korytarz.

Robin stał z uniesionymi, pustymi rękoma. Za szybko przejrzał moją słodką osobowość, pomyślałam, obrzucając go spojrzeniem – wciągnął dżinsy, ale nie zawracał sobie głowy włożeniem czegoś na tors.

Ominęłam trzeszczący schodek i zeszłam na parter.

– Słyszałem coś przy drzwiach do garażu i za oknem mojej sypialni – szepnął.

Okno w kuchni wychodziło na tę stronę budynku co drzwi garażowe. Podeszłam do niego ostrożnie i wyjrzałam. Przeklęłam cicho.

– Iść po kuszę? – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, przywołałam go gestem głowy. Podszedł, by spojrzeć za okno.

Jego przekleństwa były nawet bardziej obrazowe niż moje. Ale ja już kiedyś to widziałam.

Podjazd pod moim domem i spory kawałek ulicy pokrywało kłębowisko szarego i brązowego futra. Wysokie piski słyszałam nawet przez szybę. Poruszały się nieustannie, właziły jeden na drugiego, wyciągały łebki z lśniącymi guziczkami oczu, bicze ich łysych ogonów przecinały powietrze.

– Co, u diabła? – Robin był w szoku i nie zamierzał tego kryć.

Cofnął się pół kroku, jakby wolał zwiększyć dystans mimo szyby między nim a szczurami. Słowo daję, że wzdrygnął się z obrzydzeniem. Najwyraźniej on i gryzonie mieli jakąś wspólną historię.

– Wygląda na to, że Bestiar chce się ze mną zobaczyć – powiedziałam niechętnie.

Nie mogłam sobie pozwolić na urażenie jego uczuć. Był dość chimeryczny i urazę trzymał długo, a wkrótce mogłam go potrzebować. To zaś oznaczało, że musiałam zareagować na jego niecodzienne zaproszenie do szczurzej wieży. Wolałabym generalne porządki w domu albo pracę w kamieniołomach, ale to nie zostało uwzględnione w planie na ten poranek.

– Pójdę z tobą – powiedział Robin.

Prawdziwie bohaterska deklaracja, widziałam wyraz obrzydzenia nieopuszczający jego twarzy.

– Nie musisz. To nie jest przyjemne.

– A co w życiu jest? – zapytał cicho.

Taki miły chłopak, a taki cyniczny, pomyślałam, uśmiechając się złośliwie. Ale nie skomentowałam – nie w sytuacji, kiedy czekała nas wizyta u Bestiaria.

*

Słońce dopiero wschodziło. Szczury cierpliwie czekały, kiedy ubieraliśmy się i uzbrajaliśmy. Wolałabym, by uznały, że czas wracać do domu i przekazać, że wiadomość dotarła do adresatki, ale widać sądziły, że nie mogą mi zaufać w kwestii spełnienia życzenia ich szefa.

Właśnie dlatego realizowaliśmy poronioną wersję *Szczurołapa z Hameln* – dwoje ludzi prowadzonych ulicami przez setki szczurów

kłębiących się wokół nas. Dzięki bogom żaden nie próbował na mnie włazić. Robin szedł obok mnie, sztywny i milczący, i gdyby którykolwiek zwierzak próbował wdrapać się po jego nogawce, pewnie zacząłby krzyczeć. Zrozumiał jednak, kiedy go ostrzegłam, że cokolwiek powie, powtórzą to Bestiarowi, i niczym wcielenie spokoju powstrzymał się od przekleństw i złorzeczenia.

Ulice były wyludnione, choć nawet gdyby znajdował się na nich tłum ludzi, miałam wrażenie, że nie musielibyśmy się przeciskać – przejście zrobiłoby się samo. Wysoki pisk, jaki wydawały z siebie zwierzęta, wwiercał mi się w uszy, a gwałtowne ruchy futrzanego kobierca wokół moich stóp przyprawiały mnie o skurcz żołądka. Stawiałam stopy ostrożnie, bo gdybym nadepnęła ogon któregoś z nich, Bestiar by się o tym dowiedział i nie byłby zachwycony. To niewłaściwy moment, by przypominać sobie wszystkie choroby i epidemie przenoszone przez szczury, a jednak moja głowa wypełniła się takimi szczegółami. Usłużna pamięć podsunęła mi też historię o trupach w kilka dni oczyszczonych do szkieletu przez gryzonie. Kiedy byłam dzieckiem, widziałam horror klasy D o szczurach. Właziły do rur kanalizacyjnych i tym sposobem dostawały się do mieszkania: przez sedes. Ugryzły w pupę jakieś dziecko, które w nocy chciało skorzystać z toalety. Do dziś zapalam lampkę nad umywalką, jeśli muszę w nocy się wysikać. Zwłaszcza po tym, jak już jako całkiem dorosła kobieta obejrzałam program popularnonaukowy o szczurach. One rzeczywiście potrafią to zrobić – to z rurami. Właściwie potrafiły wszystko to, co pokazano w tym horrorze. Były inteligentne, złośliwe i mściwe. I naprawdę nie powinnam o tym myśleć, kiedy ich setki biegały wokół mnie, ale mój mózg czasem tak właśnie działał. Zawieszał się na niewłaściwym pliku i wyświetlał najbardziej nieodpowiednie w danym momencie obrazy.

Znałam kiedyś chłopaka, który miał domowego szczurka. Zwierzak był albinosem z czerwonymi oczami. Siadywał na ramieniu właściciela podczas spacerów i owijał łysy ogonek wokół jego szyi. W tych ogonkach jest coś niepokojącego. W jakimś stopniu są namacalnym dowodem obcości szczurów jako gatunku. Nie mogłam się skupić na rozmowie z jego właścicielem, bo wciąż patrzyłam w te czerwone ślepka. Wyobrażałam sobie, co się dzieje w tym małym, ale wyrafinowanym w złośliwości mózgu. Wzdrygnęłam się na to wspomnienie, a Robin przysunął się nieco

bliżej – wełna jego rękawa ocierała się o moje ramię i w jakimś stopniu było mi z tym dobrze. Zamiast snuć wspomnienia o horrorze klasy D, wyobraziłam sobie scenę z filmu akcji klasy D – ja i Robin, oparci o siebie plecami, strzelamy do hordy szczurów. W tle leci pompatyczna muzyka, coś w stylu Johna Williamsa czy Vangelisa. Moje kule, jego bełty nieustannie przecinają powietrze. Kolejna rzecz, o której nie powinnam myśleć, idąc do Bestiara. Z tego, co wiem, nie potrafił czytać w myślach, ale nie miałam pewności, czy mogłam powiedzieć to samo o tych małych bestiach. Teraz też zadzierały główki i gniewnie popiskiwały, jakby wiedziały, że fantazjuję o szczurzym armagedonie.

Widok szczurzej wieży przywitałam z westchnieniem ulgi, bo nasz upiorny marsz dobiegał końca. Konstrukcja z czerwonej cegły pięła się na kilka pięter na planie niemal idealnego koła. Najdziwniejsze było w niej to, że wystawała samotnie spośród ruin budynków, które stały kiedyś wokół, ale po jakimś wstrząsie zostały z nich tylko pogruchotane fundamenty wyrastające z ziemi jak spróchniałe zęby. Tymczasem wieża trwała niewzruszona, niczym środkowy palec wystawiony niszczycielskiej magii.

Szczury wlewały się do środka przez uchylone drzwi. Było im spieszno i łaziły innym członkom stada po grzbietach i łbach, byle jak najszybciej dostać się do ukochanego szefa. Te gorliwe popiskiwania znów popchnęły moją wyobraźnię w złym kierunku i pomyślałam, że pewnie ta Bestiarowa czereda zachowywałaby się podobnie, gdyby rzucała się na nas na jego rozkaz. Nawet nie musiałby im tego rozkazywać. Poprosiłby i pomachał im M&M-sem przed nosami. W Warsie krążyły opowieści o ludziach dość głupich, by zrobić sobie w Bestiarze wroga. Po kilku dniach odnajdywano ich czyste szkielety, na żebrach których wciąż było widać wyraźne ślady drobnych, ale bardzo twardych ząbków.

Zatrzymaliśmy się krok przed progiem. Spojrzałam Robinowi w oczy i powiedziałam:

– Będzie ciężko. Oddychaj. Nie obrażaj go i za skarby świata nie zrób nic żadnemu zwierzakowi, choćby sam się prosił – szepnęłam.

Skinął głową. Otoczona brodą twarz była bledsza niż zwykle, a na skroni perliły mu się krople potu. Może powinnam mu powiedzieć, by został na zewnątrz, ale jeśli mieliśmy ze sobą pracować, to nie ostatni raz, kiedy musiał znieść Bestiara i jego świtę.

Otworzyłam szerzej drzwi do wieży i wkroczyłam w krainę szaleństwa. Szczurów było jeszcze więcej niż ostatnio. Tysiące piszczących, wspinających się po rurach, biegających po półkach, stole i podłodze.

Bestiar siedział na krześle z wysokim oparciem jak na tronie. W swoim starym, brudnym i zbyt dużym płaszczu, z nastroszonymi wokół czoła siwymi włosami wyglądał jak król kloszard, ale zamiast berła trzymał w dłoni szczura tak czarnego, że przypominał kreta ze zbyt długim ogonkiem. Oczywiście był bardzo zadowolony z wrażenia, które robiły na nas jego zwierzaczki. Ciemne oczy otoczone zmarszczkami błyszczały tłumioną wesołością. Głaskał siedzące na jego kolanach pieszczochy, a spomiędzy siwej brody spoglądały na nas czujnie paciorkowate oczka kolejnych ulubieńców. Gdybym zdobyła się na to, by uczciwie nim potrząsnąć, nie mniej niż dwadzieścia szczurów wypadłoby z jego kieszeni, rękawów, nogawek, brody… Nie, nie mogłam teraz myśleć, gdzie jeszcze mogły siedzieć, kiedy my tu sobie rozmawiamy.

– Witaj, Cieniu kryjący się w cieniu. – Przeniósł spojrzenie na Robina, który zatrzymał się w progu, by mieć możliwość szybkiego odwrotu. – I ty, drżąca cięciwo – dodał.

– Witaj, Bestiarze. Spóźniłeś się z informacjami – powiedziałam. – Zelda jest już bezpieczna, pod dachem panny Funi. Nie zapłacę za informacje, które sama zdobyłam.

Machnął ręką.

– Oczywiście, przecież znalezienie jej na tym dachu nie było trudne, szkoda na to mojego czasu. Ale mam coś, co cię może zainteresować, i za co chętnie zapłacisz.

Uśmiechnął się szeroko, obnażając pożółkłe siekacze. Zwykle miał rację i jego informacje były warte zapłaty, więc kiwnęłam głową.

– Dużo się o tobie mówi w ostatnim czasie. Kilku mężczyzn wypytywało o ciebie, szukało informacji o tym, gdzie mieszkasz, z kim się widujesz, gdzie bywasz. Ciekawe, nie uważasz? Dlaczego ktoś chciałby wiedzieć, jakie są twoje słabe punkty?

– Ciekawe – przyznałam. – Możesz mi powiedzieć więcej na temat ludzi, którzy o mnie wypytywali?

Zatarł ręce z radością.

– Tu się właśnie robi najciekawiej. Co najmniej trzech mężczyzn, wojskowe ubrania, wojskowe przeszkolenie, dużo pachnącej smarem broni, sporo śmierdzącej gotówki rozrzucanej podejrzanie hojnie… Moje szczurki podążyły za nimi do czegoś, co może uchodzić za ich siedzibę. Ile dla ciebie warta jest ta informacja?

Wyjęłam z kieszeni banknoty i spokojnie odliczyłam kilka setek, tak by on i jego zwierzaki mogły się przyjrzeć nominałom.

– A więc dobrze – uśmiechnął się.

Szczur u moich stóp zapiszczał, stając na tylnych łapkach. Westchnęłam i schyliłam się, podając mu banknot. Kolejny szczur ustawił się w kolejce po następny, i tak do końca opłaty. W łapkach szczurów jest coś upiornego, wyglądają jak bardzo małe i bardzo sprawne niemal ludzkie dłonie z wyraźnymi paluszkami i ostrymi pazurkami. Zwijały w nich banknoty w małe ruloniki i chwytały je zębami, a potem biegły, wdrapywały się po nogawkach Bestiara i zostawiały mu ruloniki na kolanach. On je rozwijał, prostował i spokojnie składał w zgrabny plik. Z jakichś powodów naciskał, by właśnie tak przebiegało uiszczanie honorarium. Myślę, że zwyczajnie go to bawiło.

Podał mi adres. Zimny dreszcz przebiegł mi w poprzek pleców.

Rozdział 14

Czym się właściwie różni Sawa od Warsa? – zapytał Robin w drodze na przeklęty most.

– Nie byłeś tam jeszcze?

– Dochodzę do wniosku, że przez te trzy miesiące, jakie tutaj spędziłem, nie byłem nigdzie. Ale pewnie znam takie zakątki w siedzibie Zakonu, których ty nie znasz.

– Możesz na to postawić tygodniówkę. Nie bywam tam, jeśli nie muszę.

Spojrzałam na przeciwległy brzeg, kipiący zielenią roślin, które wyglądały tak, jakby rosły tu przez ostatnie pięć stuleci, choć jeszcze siedemdziesiąt lat temu nie było nawet sadzonek dzisiejszych drzew. Dostrzegałam w tym coś fascynującego, choć byłam mieszczuchem do tego stopnia, by czuć się z tą świadomością nieco niepewnie.

– Sawa jest… dziwna, niepokojąca i prawdopodobnie na zawsze pozostanie straconą dzielnicą, przynajmniej dla ludzi – powiedziałam.

Nie jest łatwo wyjaśnić, co to za miejsce, bez przywoływania podań i legend, ale uznałam, że muszę spróbować. W Sawie niewiedza może cię kosztować więcej niż gdzie indziej.

– Kiedy magia wezbrała, to właśnie mieszkańcy Sawy oberwali najmocniej. Wcześniej było tu naprawdę miło: wiedźmy ziemi zakładały parki, ogrody, a granice miasta, które strukturą przypominało raczej przedmieścia, z domkami jednorodzinnymi, dużymi podwórkami i obowiązkowym zestawem dzieci, psów i kotów, wyznaczał gęsty las, który był starszy od miasta, starszy od obu miast. Tylko centrum ze świątyniami, budynkami użyteczności publicznej, rzemieślniczymi warsztatami czy sklepami było bardziej zurbanizowane, ale nawet tu pilnowano, by technika nie szkodziła naturze – opowiadałam. – Nieliczne fabryki uważnie kontrolowano, by nie miały negatywnego wpływu na środowisko. Wiedźmy ziemi nie żartują sobie z ekologii, a to była ich święta ziemia. Istniało tam mnóstwo magii, ale znów: pilnowano, by używano wyłącznie białej magii. Nigdzie w Polsce nie ustanowiono tak

surowych kar za sięganie po ciemne zaklęcia jak w Sawie. Wszystko po to, by magiczne linie pozostały nieskalane. Gdy myślę o dawnej Sawie, widzę trochę utopijny, ale działający całkiem nieźle świat rządzony przez hipisów.

– Brzmi nieźle. Co się z nimi stało?

– Część uciekła, gdy zrozumieli, że nie zdołają zawrócić rzeki kijem ani nawet magiczną różdżką. Kto się ociągał z ucieczką, ginął. Rzecz jasna poza tymi, których magia zagarnęła i zmutowała na swój pokręcony obraz i podobieństwo.

Skrzywiłam się na wspomnienie kilku stworzeń, które spotkałam po tej stronie Wisły. Wielu z nich nie było w żadnym leksykonie. Magia była kreatywna i przeprowadzała eksperymenty na ludziach. Tym, co wydawało się ją szczególnie interesować, było bestialstwo, jakby szukała granicy i sprawdzała, jak daleko może się posunąć z ożywianiem koszmarów.

Pierwszy raz poszłam tam z ciekawości. Stojąc na opuszczonym bulwarze na Powiślu, widziałam ścianę zieleni wyrastającą po drugiej stronie i zastanawiałam się, jak tam jest. Nie bardzo kupowałam te wszystkie opowieści, którymi karmiono mnie na ulicach Warsa – o piekielnych Straconych Dzielnicach i przeklętym moście. Nie mogło być tak źle, prawda? Przecież dla wielu magicznych w Polsce Wars nie nadawał się do życia, a jednak żyło mi się tu nie najgorzej. Nie tak dobrze jak w Trójprzymierzu, ale lepiej niż w Silesii. Niewiele myśląc, poszłam tam, prosto w gardło bestii. Wróciłam ciężko ranna, osłabiona przełomem, bo jak się okazało, utrzymanie kontroli po drugiej stronie Wisły jest znacznie trudniejsze, zwłaszcza kiedy musisz walczyć o życie z bestiami, dla których twoje ludzkie ciało to żaden rywal w walce i ze starcia z którymi tylko berserk może wyjść bez szwanku. Cała wola i chemiczne wspomaganie przestawały mieć znaczenie. Moja krew mieszała mi się na rękach i ubraniu z krwią stworzeń, które musiałam pokonać, by wrócić. Żadne nie przypominało człowieka. Cuchnęłam rozkładem i strachem. Ale to wciąż był niezły triumf – uszłam z życiem. I miałam całkiem świeży szacunek dla potęgi Sawy. Niewinnego niegdyś miasta, które teraz miało kły i pazury i pluło jadem.

Myślałam, że nigdy tam nie wrócę. Przyszło pierwsze zlecenie, potem kolejne. Odrzuciłam je. Ani zleceniodawca, ani Matka nie mieli wystarczającej siły przekonywania. Ale Sawa zostawiła coś we mnie. Czasem wracały wypełnione zielenią sny, cuchnące krwią, rozbrzmiewające

wrzaskiem. Coś w Sawie przemawiało do bestii, którą byłam. Sawa lubiła bestię, bestia lubiła Sawę. Budziłam się przerażona tęsknotą, która wydawała się rozsadzać każdą moją komórkę. Skóra swędziała potrzebą zmiany. Czułam, jak poci się wszczep, by zrównoważyć wyrzut adrenaliny i utrzymać berserka w ryzach.

I tak po prostu wzięłam zlecenie w Sawie. Wróciłam tam, by znów przeżyć. Nie robiłam tego często, ale rozeszła się informacja, że jeśli ktoś ma robotę w Sawie, jestem dość szalona, by ją wziąć, jeśli przekona mnie swoją hojnością.

Nie wiedziałam, jak Sawa zadziała na Robina. Zobaczy w nim bestię czy pozwoli mu odejść? Chciałam, by miał szansę na przeżycie, więc wyliczyłam na palcach ostrzeżenia.

– Trzymaj się blisko. Bądź gotowy do walki. Nie schodź ze ścieżki, jeśli nie chcesz przez lata błąkać się w szalonym gaju. Ale zanim tam dotrzemy, musimy przejść przeklęty most. Cokolwiek na nim zobaczysz, postaraj się pamiętać, że to tylko iluzja. Most sięgnie do twojej głowy i sprokuruje halucynacje, które trafią w twój najsłabszy punkt, by zostawić cię łkającym i drżącym. Będzie ci mieszał w głowie, aż nakłoni cię do skoku w odmęty Wisły.

– Magia selkie? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Podrasowana ciemną energią linii magicznych po stronie Sawy. Są dużo bardziej skażone niż te po naszej stronie. Mówią, że ciemność rozwścieczona jasnością spokojnej Sawy zalała jej dzielnice z gwałtownością, jakiej nikt wcześniej nie znał. Prawie co noc występują tam skoki napięcia przypominające naszą czkawkę, ale ze względu na tę regularność nazywamy to pływem. Efekty są bardzo podobne. Nie odważyłam się tam zostać na noc i mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała.

– To miasto wystawia na próbę, co? – zapytał Robin i wyczułam, że nie miał na myśli tylko Sawy.

– I co kilka dni zastanawiam się, co ja tu wciąż robię. – Wzruszyłam ramionami.

– Tu jest twój dom. Nie zawsze można to wybrać, ale trudno to odrzucić, jeśli znasz alternatywę – powiedział, a ja aż przystanęłam. Bystrzak.

*

Przeklęty most jak zawsze opatulała rzadka, żółtawa mgła, a temperatura na nim była o ładne kilka stopni niższa niż ledwie dwa kroki wcześniej. Oddech zmieniał się w parę i osiadał na skórze kryształkami lodu. Strażnik przepuścił nas bez problemu. Będzie za to dokładniej sprawdzał, gdy będziemy wracać – podejrzewając, że nie jesteśmy już tacy sami.

Przedostać się jak najszybciej. Nie dać się zabić. Nie oglądać się za siebie. Nie skoczyć do wody. Taki miałam plan. Wyciągnęłam Inkwizycję i trzymałam palec na spuście, bo nie wszystko, co mogło nas tu zaatakować, było wytworem naszych umysłów podtrutych mgłą i magią selkie. Robin, z gotową do zwolnienia cięciwą i bełtem grubości kciuka, rozglądał się uważnie.

Ręce mi drżały ze strachu, w ustach zaschło, z trudem łapałam rozrzedzone powietrze. Serce uderzało mi w piersi nierówno, zatrzymywało się i przyspieszało w niewłaściwy sposób. Potarłam mostek; kłuło tak, jakbym połknęła garść igieł i wszystkie zatrzymały się właśnie w tym miejscu. To nie jest prawdziwe, pomyślałam, ale ból nie ustąpił. Podparłam się ramieniem o kamienną balustradę, gdy mrowienie zaczęło spełzać z klatki piersiowej w stronę rąk. Stawiałam stopę za stopą, zmęczenie sprawiało, że na czoło wystąpił mi pot. Most mieszał mi w głowie, ale ciało mogło zaszwankować w ramach psychosomatycznej solidarności.

Ukłułam się w opuszkę kciuka czubkiem noża, by wycisnąć sporą kroplę krwi. Wsadziłam palec do ust i possałam. Moja krew niosła starą magię. Nie byłam dzięki niej odporna na wrogie zaklęcia, ale mogłam nieco łatwiej przezwyciężyć urok. Ucisk w piersi minął i złapałam chrapliwie powietrze.

– W porządku? – zapytał Robin, który wyglądał całkiem zwyczajnie.

Może dziś selkie miały ochotę na delikatniejsze mięso, a może ten jego cholerny medalion pomagał mu i w takich sytuacjach. Z podziwem

pokręciłam głową. Moja pierwsza wyprawa przeklętym mostem była na tyle dramatyczna, że jeszcze kilka tygodni później śniły mi się koszmary. Żeby przerwać działanie uroku, musiałam się postrzelić w ramię, inaczej moje serce nie wytrzymałoby halucynacji, w której wilkołaki pożerały mnie żywcem, wyszarpując mi bebechy, parujące w mroźnym powietrzu i śliskie, kiedy próbowałam je chwycić.

– Słyszysz to? – zapytałam Robina.

Agresywny, energiczny rytm bojowy przenikał do mojej krwi, wzywając ten jej składnik, który związany był z przełomem i szałem bojowym. Zacisnęłam palce na poręczy i zgięłam się wpół, kiedy wszystkie mięśnie w moim ciele zaczęły drżeć, przemieszczać się. Kości rosły i nie mieściły się w mojej ludzkiej skórze, więc ta zaczęła pękać. W miejscu wszczepu na przedramieniu ziała dziura wypełniona białymi robakami. Mgła się rozrzedziła i zobaczyłam go na szczycie mostu. Niewiele się zmienił. Wysokie, umięśnione i żylaste ciało lśniło od potu i zakrzepłej posoki. Twarz, okoloną białą brodą i strąkami brudnych, pozlepianych włosów, wykrzywiał nienawistny grymas. Nawet z tej odległości widziałam srebrną bliznę wyglądającą jak rozgałęziona błyskawica i spływającą z jego skroni na kość policzkową, by otoczyć oczodół dziwnym filigranem. Kiedy byłam jego więźniem, pokazał mi ją i powiedział, że to pamiątka po Thorze, który łudził się, że można go zabić. „Lepiej, byś ty się nie łudziła, mała dziewczynko”, powiedział i wybuchnął śmiechem. Nienawiść, którą widział w moich oczach, bawiła go, bo towarzyszyła jej całkowita bezradność.

Pobrzękiwanie licznych medalionów i amuletów wiszących na szyi dopełniało rytm, który wybijał na bębnie bitewnym, zrobionym, jeśli był wierny tradycji, ze skóry któregoś z jego wrogów. Miał na sobie spodnie z niegarbowanej niedźwiedziej skóry, futro pokrywało jego nogi. Gdyby nie wyglądał na wściekłego socjopatę, w tym stroju mógłby przywodzić na myśl satyra. W talii miał zawiązany tkany pas – do biało-czarnych frędzli na końcu krajki przywiązał kostki różnych zwierząt, w które mógł się zmienić. Był stary i miał więcej magii w małym palcu, niż ja uzbierałam przez trzydzieści dwa lata mojego życia.

– Erynio! – zawołał imieniem, które nadano mi w dniu narodzin.

Pętla strachu zaciskała się na moim gardle. Uciekłabym, może nawet zaryzykowała skok do wody, gdybym nie miała nóg wrośniętych

w brukowaną powierzchnię mostu.

Ernst Szalony odrzucił bęben. Dzierżył swój ulubiony typ broni – długi topór, którym jednym ciosem mógł rozpłatać czaszkę.

– Myślałaś, że cię nie odnajdę? Jesteś mojej krwi, nawet jeśli rozcieńczonej i żałośnie słabej! Wstyd mi, że chodzisz po ziemi i psujesz moją sławę, bo jak coś tak słabego mogło wyjść z moich lędźwi?

Szedł w moją stronę, ważąc topór w dłoni, i perorował. Już wszystkie te wyzwiska słyszałam. Byłam w jego niewoli pięć dni, zanim Dora mnie uwolniła. Nie miał już gróźb, wulgaryzmów, obraźliwych słów, których nie wylałby na mnie w czasie porwania.

Dystans między nami zmniejszył się gwałtownie. Uchyliłam się w ostatniej sekundzie przed połyskliwą krawędzią topora. Strzeliłam, ale kule nie mogły go skrzywdzić. Sęk w tym, że wciąż nie wiedziałam, co może. Była to jedna z tych rzeczy, które miałam nadzieję odkryć, zanim dojdzie do drugiej edycji rodzinnego zlotu. Zamachnęłam się rękojeścią Inkwizycji w jego żuchwę, w tym samym czasie uderzyłam lewą pięścią w jabłko Adama. Ernst nawet nie drgnął. Zaciśnięta dłoń z siłą młota trafiła mnie w mostek i splot słoneczny, a ja się zatoczyłam i upadłam. Nie mogłam złapać powietrza, próbowałam się cofnąć, pełzłam na plecach, podpierając się łokciami, a on po prostu szedł z szalonym uśmiechem. Uniósł stopę i zrozumiałam, co zamierzał. Przeturlałam się w bok, nieznacznie, bo barierka mostu zamknęła mi odwrót. Znów był przy mnie. Podeszwa buta zamajaczyła mi nad twarzą i wiedziałam, że za chwilę zgaśnie światło, a ból rozsadzi mój świat na milion pogruchotanych odłamków lustra. Zasłoniłam głowę przedramieniem, choć było to na nic – swoją siłą mógł zgruchotać moje kości i czaszkę jednym kopnięciem.

Łzy wściekłości zalały mi oczy. Obiecywałam sobie, że nigdy więcej na to nie pozwolę – nie będę robakiem u jego stóp, nie będę bezradna, kiedy przyjdzie mnie skrzywdzić. Nic się jednak nie zmieniło. Dłonie lepkie od krwi, moje palce, tak boli… Każda część ciała pulsowała bólem, wszystkie te siniaki i rany zadał mi nie dlatego, by mnie zabić, lecz bym krwawiła, osłabła, cierpiała. Rechot jego ludzi. Słyszałam, jak mówił im, że dostaną mnie, gdy ze mną skończy, przecież nie jestem mu do niczego potrzebna. Kopnięcie w głowę pogrążyło mnie w bezkresie bólu. Tonęłam, kaszlałam krwią, która zalewała mi płuca…

Nagłe uderzenie w policzek i symetryczne w drugi było niczym w porównaniu z bólem, który już odczuwałam, ale to, co nastąpiło później, zaskoczyło mnie. Ktoś mnie przytulał. Czułam zapach lasu, ciepłe mięśnie, do których dociskał moją twarz, i dłonie pocieszająco głaszczące mnie po plecach. Niemożliwe, przecież on nigdy by… on nigdy… Łzy spływały mi po policzkach i znów mogłam oddychać…

– Ojcze… – wydusiłam z siebie.

– Ciii, już dobrze, wszystko dobrze. – Ten szept koił ból. To nie był niski, dudniący głos Ernsta. Nie dźwięczał w nim ten radosny sadyzm…

– Robin – wykształusiłam.

– Jestem, wszystko jest dobrze, niczego tu nie ma – powtarzał i nie wypuszczał mnie z objęć.

– Bogowie… – Wzięłam oddech i jeszcze jeden, powoli wracając do rzeczywistości.

Odepchnęłam się od jego piersi i spróbowałam wstać. Ból mijał. Czułam go każdą komórką swojego ciała, ale przecież nie był prawdziwy. Przeklęty most był dziś w formie, tak nie skopał mnie jeszcze nigdy.

Robin wstał i podciągnął mnie do pionu. Pocierałam mostek, wciąż mając wrażenie, że chwilę temu miażdżył go obcas skórzanych butów Ernsta.

– Co się stało? – spytał mój towarzysz, patrząc na mnie pociemniałymi z niepokoju oczami. – Było tu coś?

– Co widziałeś? – zapytałam niepewna.

– Walczyłaś z powietrzem, upadłaś i zaczęłaś się dusić… To było niepokojące.

– Mówiłam ci. Sawa jest niepokojąca – próbowałam zmienić temat.

– Dlaczego wołałaś swojego ojca?

– Czasami koszmary mają imię – powiedziałam cicho, żałując tego w sekundzie, w której słowa opuściły moje usta.

Nie powinnam mu nic mówić. Nie powinien widzieć tego, co widział. Dlatego właśnie nigdy nie zabierałam nikogo na most. Dotąd było trudno, ale nie aż tak jak teraz. Spojrzałam na Robina i na wartki nurt przepływającej pod mostem Wisły. Selkie zaopiekowałyby się moją tajemnicą.

– Nawet o tym nie myśl! – powiedział i zacisnął palce na moich przedramionach. – Będę musiał za tobą skoczyć, a nie pływam najlepiej –

dodał.

Zaśmiałam się. Ten koleś nie pożyje wśród nas zbyt długo. Ale przekonywałam się do niego coraz bardziej. Selkie będą musiały poczekać.

– Nie powiesz mi, prawda? – zapytał po chwili, gdy już szliśmy dalej.

– Może kiedyś. A co ty widziałeś?

– Nic.

– Selkie nie są tak wspaniałomyślne, by cię oszczędzić. Jak możesz się spodziewać, że opowiem ci mój koszmar, skoro ty nie opowiadasz mi o swoich?

Szarżowałam. Nie byłam w stanie mu opowiedzieć. Po prostu chciałam, by poczuł się na tyle niekomfortowo, żeby przestał pytać.

– Powiedziałem ci. Nic. Pustkę, nicość rozciągniętą w czasie i przestrzeni. Śmierć, tak chyba można to nazwać.

– Nie zrobiło to na tobie wielkiego wrażenia – powiedziałam z lekką zazdrością. Chciałabym tak spokojnie mówić o Ernście.

– To nie pierwszy raz, gdy musiałem się z tym mierzyć – odrzekł tajemniczo. – A potem twój krzyk rozproszył nicość. Masz niezłe płuca.

Złapałam go za ramię i uścisnęłam je. Nie mogłam powiedzieć nic więcej.

Temperatura skoczyła o kilkanaście stopni, gdy tylko zeszliśmy z mostu. Powietrze było wilgotne, gorące, przesycone zapachem lasu i parującej ziemi. W Warsie mogła być zima, tu zawsze panował klimat bliższy temu w tropikalnej dżungli. Tego potrzebowały rośliny wokół nas, a magia sprzyjała im znacznie bardziej niż ludziom. Ubranie zaczęło mi się przyklejać do skóry już po kilku krokach. Ścieżka wiła się między drzewami o pniach tak szerokich, że nie zdołałabym ich objąć. Rozłożyste konary splatały się nad nią w niemal szczelny baldachim, więc szliśmy w półmroku. Robin rozganiał dłonią chmary owadów, które krążyły wokół jego twarzy i szyi. Nie tylko osobowość miał słodką.

Jakiś kształt wyłonił się nagle z gęstych krzaków. Pazury i kły ledwie zamigotały mi w polu widzenia i posłałam w ich kierunku pierwszą kulę, a zaraz dwie następne. Płynny ruch urwał się w połowie, jakby ciemne ciało zderzyło się z niewidzialną ścianą. Pokryte rudawym futrem, podrygiwało na ścieżce, krwawa piana wylała się na koci pysk. Robin ostrożnie pochylił się nad nieruchomym już stworzeniem. Nie wiedziałam, w jakim stopniu było jeszcze człowiekiem, a w jakim czymś bliższym rysiowi. Po tej stronie

mutacje zmiennokształtne były częste, nikt jednak nie badał ich na tyle wnikliwie, by się dowiedzieć, czy – jak w przypadku grasujących na ulicach Warsa wikołaków – była to zmiana nieodwracalna, czy bliżej im do zmiennokształtnych, którzy mogli dowolnie przybierać jedną z form. Zmiana tego osobnika nie była kompletna i stworzenie stało się rysiopodobnym humanoidem, a nie rysiem, który od normalnego zwierzaka różniłby się tylko rozmiarem i błyskiem inteligencji w oku. Zresztą nie zdarzyło mi się w ich oczach widzieć inteligencji – jedynie głód, wściekłość i strach. Robin uniósł łapę zakończoną długimi na piętnaście centymetrów szponami. Rude futro i szare szpony pokrywała zaschnięta skorupa krwi.

Niewiele zostało z dawnych ulic i budynków. Chodniki i asfalt były całkiem zielone, popękane i gęsto poprzetykane chwastami i innymi roślinami, w tym nawet drzewkami. Większość budynków rozsypywała się, z wielu została tylko kupa cegieł i sterczące w niebo kominy niczym kpina z przeszłości. Szliśmy szybko, nie zbaczając z drogi, lawirując między drzewami wyrastającymi nieoczekiwanie na ścieżce, trzymając się z dala od ruin, które zapewniały schronienie najróżniejszym stworzeniom. Nie przyszłam tu wybijać lokalnej fauny. Jeśli jej przedstawiciele mnie nie atakowali, nie wadzili mi zupełnie.

Dwadzieścia lat temu przyszli tu tacy, którzy myśleli, że da się wykarczować las i wybić potwory, by potem założyć tu kolonie. Sądzili, że życie tutaj będzie bezpieczniejsze niż w Straconych Dzielnicach po drugiej stronie. Nikt ich więcej nie widział. Jeśli zdołali cokolwiek spalić, dawno odrosło. Jeśli nawet coś zabili, nie zdołali zabić tego, co zabiło ich. Rodziny członków ekspedycji zatrudniły Zakon w nadziei, że Cienie odnajdą ich żywych, błąkających się po szalonym gaju, albo znajdą dość szczątek, by można im było urządzić pogrzeb. Pochowali puste trumny, a dwa Cienie nie wróciły z misji. Zabił je dowódca oddziału, który nad ranem zobaczył, w co zmieniła je magia Sawy. W raporcie polowym znalazłam wzmianki o ponadprzeciętnej ilości kłów, pazurów, łusek.

Moim zdaniem obie wyprawy były skazane na porażkę, bo ich celem miała być Sawa. Wierzę, że to miejsce, tak jak Dzielnica Cudów, ma jakąś formę świadomości. Może się łudziłam, ale chciałam, by wiedziała, że nie przyszłam jej zmieniać czy niszczyć. Przyszłam po kogoś, kto tu nie należał, a kto z jakichś powodów rozpytywał o mnie i uznał za właściwe

porwanie mojej znajomej. Skoro przeklęty most mógł czytać w moich myślach i wypełniać halucynacje moimi straszakami, może i las potrafił odczytać moje intencje.

Adres, który podał mi Bestiar, znajdował się bliżej Wisły. Przed wojną mieściła się tu cegielnia i magazyn z materiałami budowlanymi. Cegielnia przeobraziła się w czerwoną skorupę. Dwie ściany zewnętrzne wciąż stały, ale resztę skruszyły korzenie i pędy roślin bluszczopodobnych, które przerastały mur, a potem zaciskały się w uścisku, jakiego nie powstydziłaby się anakonda. Stosy cegieł porośnięte bluszczem wyglądały jak kurhany. Ocalałe cudem okna połyskiwały setką małych szybek wciąż osadzonych w drewnianych szprosach. Magazyn trzymał się lepiej: beton był solidniejszy od cegieł, choć spod odłupanych kawałków cementu wystawały pordzewiałe druty zbrojeniowe. Dach zapadał się z jednej strony, młode siejki brzóz wyrastały z rynien, a grube czapy mchu obrastały blachę falistą jak liszaje. Zatrzymałam się i nasłuchiwałam.

Coś mi tu nie pasowało. Intuicja kazała mi zawrócić. Było za cicho. W Sawie zawsze słyszałam ptaki, szelest przebiegających między drzewami saren czy chrapliwy oddech pożywiających się nieopodal drapieżników, ale tym razem nie docierał do mnie żaden dźwięk poza oddechem moim i Robina.

Nagle zza sterty cegieł wyskoczył czarny szczur. Stanął na tylnych łapkach i wydał z siebie przeciągły, gniewny pisk. Cofnęłam się i pociągnęłam Robina za sobą. Spojrzał na mnie zaskoczony, a ja bezgłośnie wypowiedziałam słowo, które tłukło mi się po głowie przez ostatnie minuty:

– Pułapka.

Nie wiedziałam, czy Bestiar wprowadził nas tu celowo, czy jego szczur właśnie próbował nas ostrzec. Mężczyzna był biznesmenem. Ja płaciłam mu dobrze, ale ktoś mógł się okazać bardziej hojny.

Świst przeszył powietrze i poczułam uderzenie w łopatkę. Sięgnęłam do tyłu, próbując wyciągnąć to, co mnie trafiło. Robin też oberwał i opadł na kolana. Byłam jeszcze dość przytomna, by zarejestrować, że ten strzał przyszedł z innego kierunku. Otaczali nas. Kolana ugięły się pode mną i choć próbowałam walczyć ze słabością, powieki mi opadały. Kroki. Chrzęst odłamków szkła pod butami. Słowa, które nie miały dla mnie

sensu. Gdybym się zmieniła, zdołałabym to pokonać, pomyślałam, ale było za późno. Osunęłam się w ciemność.

Rozdział 15

Monotonne kapanie było pierwszym dźwiękiem, który przedarł się przez mgłę otulającą mój mózg. Przez chwilę – dłuższą chwilę, jeśli mam być szczera – nie wiedziałam, gdzie jestem. Powoli przypomniałam sobie wszystko. Sawa, cegielnia i magazyn, świst strzałki, ból pleców i rozlewające się ciepło. Zapamiętałam też, że ktoś mnie podnosił i dokądś niósł, ale nie byłam w stanie już nic zrobić. Cokolwiek wstrzyknięto mi tą strzałką, musiało być zdolne do powalenia konia. Ile czasu minęło? Biorąc pod uwagę mój metabolizm, zapewne niewiele… chyba że dostałam kolejne dawki, kiedy spałam nieprzytomna.

Mój mózg był obolały, zaspany i nie do końca ogarniał rzeczywistość, w której się znalazłam. Zajęło mi równo dziewięćdziesiąt sekund zorientowanie się, że nie mam na oczach opaski, a ciemność jest spowodowana tym, że włosy opadają mi na twarz. Próbowałam je odgarnąć bez użycia rąk, bo te miałam związane. Potrząsnęłam głową i na kilka cennych minut pogrążyłam się w otchłani czarnych plamek i gwiazd. Żołądek mi się buntował i jak rzadko byłam wdzięczna, że od mojego ostatniego posiłku minęło sporo czasu. Musiałam mieć wstrząśnienie mózgu. Raz jeszcze spróbowałam ocenić położenie, w jakim się znalazłam. Ktokolwiek mnie tak załatwił, nie będzie czekał z następnym ruchem, aż poczuję się lepiej. Miałam związane ręce, wyciągnięte nad głową i o coś zahaczone. O hak na końcu łańcucha, pomyślałam, słysząc tarcie metalu o metal, kiedy spróbowałam poruszyć ramionami.

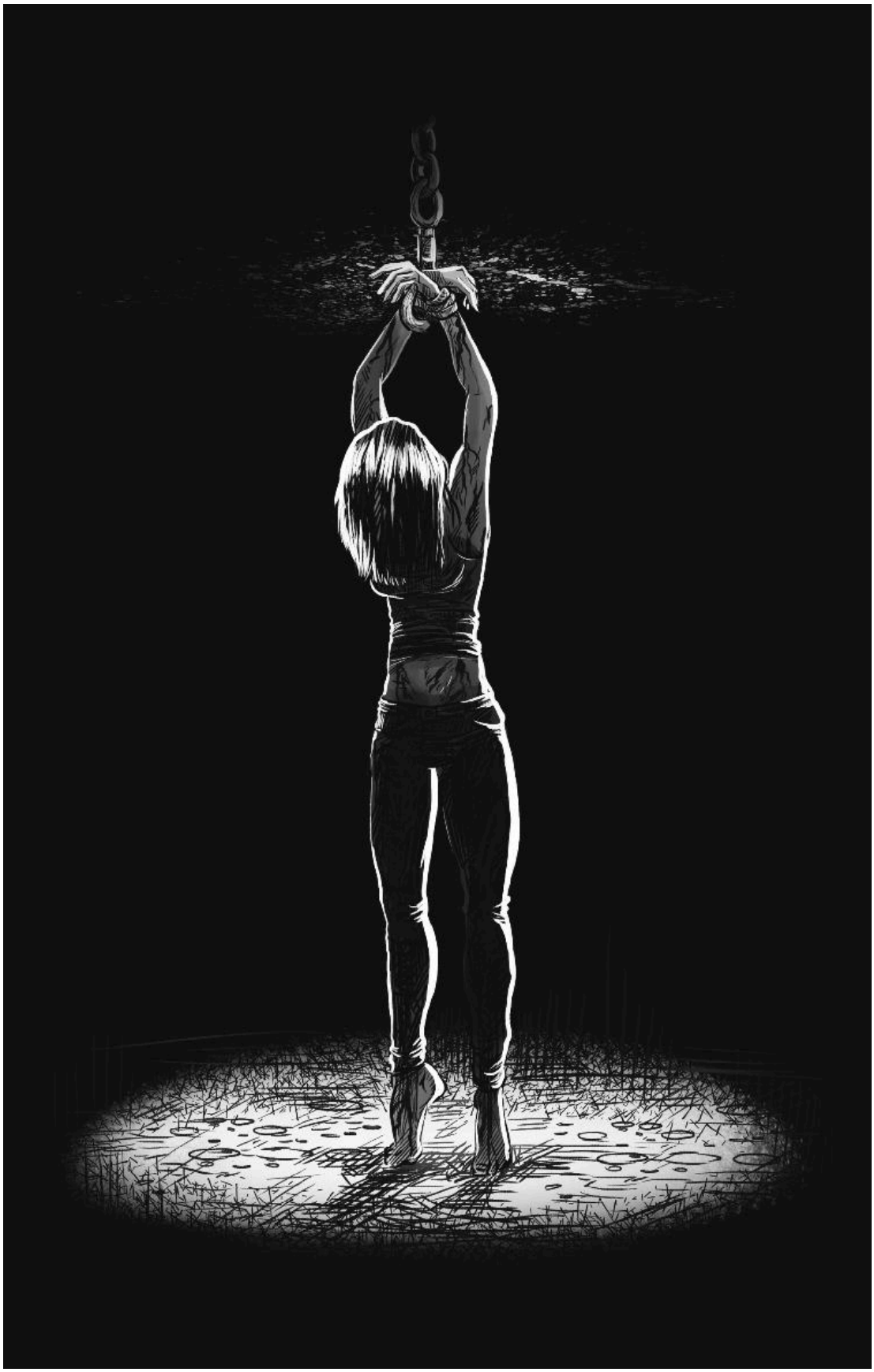

Wisiałam na haku, ale czubkami palców u stóp dotykałam podłogi. Dobrze, pomyślałam, łatwiej uciec, gdy płuca się nie zapadają, a dłuższe przebywanie w takiej pozycji tym właśnie by się skończyło. Raz popełniłam ten błąd, sporo mnie kosztował, bo klient płacił premię za żywego uciekiniera. Nie związali mi nóg – kolejny pozytyw mojej niewesołej sytuacji. Spodziewali się, że na ludzką dziewczynę to wystarczy. Niespodzianka, patałachy.

Wsparłam się mocniej na stopach, by wybadać, jak jest z rękoma. Nylonowa linka wżynała się dość mocno w nadgarstki, utrudniając przepływ krwi, ale to lepsze niż kajdanki. Wciąż nie był to najczarniejszy scenariusz. Powoli uniosłam głowę, próbując ocenić, gdzie trafiłam.

Byłam w jakimś magazynie. Okna zaklejono gazetami, ale te w niektórych miejscach wisiały w strzępach, więc wpadało trochę światła i sporo dało się zobaczyć w półmroku. Na podłodze, pół metra od moich stóp, leżały pordzewiałe rury i deski. To dobrze, skoro nie czułam ciężaru Inkwizycji i Zębuszki.

Nasłuchiwałam. Szmer rozmów stłumiony dzielącą nas ścianą. Policzyłam głosy… Za dużo, co najmniej pięciu. I raczej nie są uzbrojeni w gaz-rurki. Usłyszałam szelest po prawej, w najciemniejszym kącie magazynu. To sporo utrudni, pomyślałam, a potem rozległ się bolesny jęk.

– Nikita? – Szept był słaby, ale rozpoznawalny.

– Jestem. Jak z tobą?

– Bywało lepiej – znów jęknął i usłyszałam szuranie ciała o podłogę i grzechot łańcucha.

– Leżysz na ziemi?

– Tak…

– Dasz radę się uwolnić?

Stęknięcie przeszło w bolesny jęk, gdy zagrzechotał łańcuchem.

– Nie bardzo. Wiesz, kto to? Czego chcą?

Pokręciłam głową i uświadomiłam sobie, że nie mógł tego widzieć, więc powiedziałam:

– Na razie nie. Stan przejściowy.

– Wciąż jesteśmy w Sawie?

Zastanowiłam się, próbując magii w powietrzu.

– Stawiam, że tak – odparłam w końcu, bo powietrze drżało pierwotną energią i pachniało wilgocią. – Może bliżej granicy, skoro rośliny tu jeszcze nie szaleją… albo ktoś powstrzymuje je zaklęciem.

– Więc mamy czas do wieczora, by się wydostać. – Zakaszlał. Było w tym mokrym dźwięku coś bardzo niepokojącego. – A ty? Możesz się wydostać? – zapytał cicho.

Nie odpowiedziałam. Mogłam. Tyle że nie jako ludzka kobieta. Nylonowa linka, łańcuch czy co najmniej pięciu strażników za drzwiami nie powstrzymają berserka. Ale żeby nim być, musiałabym się zmienić. Uwolnić bestię. Mogłam to zrobić. Wszczep działał ostatnio słabiej, był bliski przepalenia, a magia Sawy sprzyjała gwałtownym reakcjom. Poza tym niedawno zapobiegłam przełomowi i byłam wrażliwsza na podszepty krwi – więcej wysiłku wkładałam w to, by się nie zmienić, niż włożyłabym w przemianę. W żyłach wciąż szumiała mi adrenalina po ataku. Obecna sytuacja też nie sprzyjała temu, by jej poziom opadł. Jakaś część mnie, którą czasami nazywam bestią, a czasami po prostu sobą w mniej wyjściowej formie, chciała się uwolnić, mścić, szarpać…

Ale mogłabym to zrobić tylko na oczach Robina. A wówczas musiałabym go zabić. Nikt nie widział mojej przemiany – nawet ci, którzy o niej wiedzieli, czyli Aleks i Kosma. Zależało mi na nich, ufałam im i nie chciałam, by patrzyli na mnie z obrzydzeniem. Nie mogłam od nich wymagać, by kochali coś tak obrzydliwego jak to, czym stawałam się po przełomie. Sama nie chciałam spojrzeć w lustro. Nie wiem, jak wygląda moja twarz berserka. Wiem, jakie mam ręce, nogi, tułów, bo je widziałam – twarzy nie.

Zmienić się przy Cieniu, którego przysłała do mnie Irena? Nie, to nie wchodziło w grę. Chyba że nie przeżyje tej doby. I zrobiło mi się go szkoda, bo zaczynałam go lubić. Naprawdę mogło nam się dobrze pracować. Powinien się trzymać z daleka, kiedy powiedziałam, że mam sprawę do załatwienia. Mówiłam mu, że to jego altruistyczne serduszko go zgubi. Ale zabicie go własnoręcznie zabolałoby moje, nagle zmiękczone serce. Idiota, to wszystko przez niego, pomyślałam, choć wiedziałam, że to nieprawda. To nie jego wina, że byłam potworem. Nie jego wina, że nas porwano.

– Cholera…

Uświadomiłam sobie, że powiedziałam to na głos.

– Nikito… – Zawahał się. – Musimy porozmawiać.

– Zrywasz ze mną? – Wysiliłam się na żart.

– I tak by nam nie wyszło. – Zakaszlał i znów ten mokry odgłos podniósł mi włoski na karku.

– Czego mi nie powiedziałeś?

– Cholernie wielu rzeczy, ale nie mamy aż tyle czasu. Ja go już raczej nie mam. Nie odkładaj uwolnienia się ze względu na mnie. Słyszę, jak w twojej głowie trybiki się obracają, odkąd odzyskałaś przytomność. Wiem, że masz jakąś tajemnicę. Ze mną będzie bezpieczna. Przysięgam. A jeśli to za mało, bo przecież nie masz powodów, by mi ufać, zaufaj nieubłaganej Kostusze. Nie zdążę nikomu powiedzieć. Nie ma sensu, byśmy zginęli tu oboje. Ratuj się i skop im tyłki. Chcę, żebyś to przeżyła, słyszysz?

Z każdym słowem jego głos stawał się słabszy. Na koniec zaniósł się kaszlem.

– Dlaczego miałoby ci na tym zależeć? – zapytałam, domyślając się, że jego odpowiedź zostawi mnie z mokrymi oczami.

– Jesteśmy partnerami. Na tym to polega, prawda?

I miał to na myśli. Wierzył, że tak jest, kiedy podejmował to zobowiązanie. Łzy same napłynęły mi do oczu, bo on naprawdę myślał jak partner. Ostatnią osobą, która tak o mnie dbała, była Dora. Gdyby ona i Robin się spotkali, dogadaliby się. Nagle dotarło do mnie, dlaczego znalazł drogę na skróty do mojego serca – to przez tę prostolinijność, usztywniającą mu kręgosłup w kwestiach, w których elastyczność oznacza złamanie czyjegoś zaufania. Ten facet był takim samym rzadkim okazem jak moja dawna przyjaciółka. Chciałam zasłużyć na to, by myśleli o mnie jak o kimś, komu mogą zaufać. Za bardzo zabolało, kiedy wyszło na jaw, że tak nie jest.

A więc niech się dzieje, pomyślałam. To nie było trudne. Chciałabym, by takie nie było, ale bestia czaiła się tuż pod skórą. Wystarczyło, że puściłam cugle, pomyślałam o tym, w jak chujowej sytuacji jestem, co mi zrobiono, co zrobiono Zeldzie, o tym narastającym uczuciu zagrożenia wynikającym ze świadomości, że ktoś ma mnie na celowniku. A wreszcie sięgnęłam po zawsze skuteczne wspomnienie porwania.

Wtedy, przywiązana do krzesła, zastraszona, pokryta własną krwią, czułam to charakterystyczne drżenie kości, to napięcie, które musiało znaleźć ujście. Nie rozumiałam, co to oznacza. Byłam zbyt słaba i zbyt

wystraszona, by wsłuchać się w szept mojej krwi w uszach, wściekły ryk tego, co wyrosło z nasienia mojego ojca. Ustawiałam wokół siebie niezliczone bariery, bojąc się, że gdy Ernst pokona je wszystkie, skruszy tę pierwotną iskrę we mnie. Dlatego przełom wówczas nie nastąpił. Odczekał do pierwszej nocy, kiedy śniłam koszmary, a moja podświadomość przeniosła mnie znów w czas porwania, lecz tym razem zabrakło tych barier.

Berserk miał bardzo silny instynkt samozachowawczy – tak jak teraz, kiedy drżenie przebiegło przez moje naprężone ciało niemal w tej sekundzie, w której wysłałam sobie mentalny sygnał zwolnienia barykad. Mimo więzów kości zaczęły się przesuwać, mięśnie drżały i puchły. Jeszcze jeden powód, by nosić ubrania z mikrofibry, z dodatkiem elastycznych włókien, lub te sporo za duże. Kto chciałby skończyć jak Hulk w postrzępionych, ale wciąż magicznie trzymających się zadka spodenkach?

Zmieniły się też moje oczy. Nagle doskonale widziałam w ciemności, z najmniejszymi szczegółami. Dostrzegałam nawet różnicę w fakturze swetra Robina w miejscu, gdzie całkowicie przesiąkł krwią. Wszystkie moje zmysły odbierały rzeczywistość bardziej intensywnie. Głosy zza ściany słyszałam na tyle głośno, by rozróżnić słowa. Magia Sawy obmyła mnie wezbraną falą, jakby jej sympatia dla potworów nagle objęła i mnie. Kości twarzy przesuwały się pod skórą z ogłuszającym chrzęstem, usta wypełniały się dodatkowymi zębami i już nie mogłam złączyć warg. O ile wciąż je miałam. Czułam skradający się atak paniki. Im bliżej byłam pełnej przemiany, tym bardziej oddalałam się od powierzchni ja, Nikita. Berserki nie mają podwójnej duszy jak zmiennokształtni, ale po przemianie wypływa na powierzchnię coś nieznośnie pierwotnego – jak neandertalczyk, którego DNA wciąż stanowi jakąś cegiełkę w całej helisie.

Stałam się wyższa o trzydzieści centymetrów, silniejsza, umięśniona niemal groteskowo – moje normalne mięśnie są wyraźnie zaznaczone, ale teraz miałam pod skórą same bulwy i węzły. Bez trudu odczepiłam linkę z haka, który wisiał tuż nad czubkiem mojej głowy. Spróbowałam ją naprężyć, by pękła, ale nylonowe włókna były zbyt solidne i jeszcze mocniej zaczęły się wżynać w rozrośnięte nadgarstki. Chwyciłam ją zębami i wyszarpywałam włókna, aż linka osłabła na tyle, że lekkie szepnięcie wystarczyło, by poszła w diabły.

Nie miałam broni, ale w tej formie właściwie jej nie potrzebowałam. Przez moje ciało przeszło charakterystyczne drżenie – zapowiedź walki. To ona była najbardziej naturalną aktywnością mojego gatunku. Podeszłam do drzwi, omijając wszystkie śmieci i graty, które mogłyby zdradzić porywaczom, że dzieje się tu coś, czego nie przewidzieli. Smród oleju do czyszczenia pistoletów uderzył mnie w nozdrza. Berserk nie lubił broni palnej. Wolał uczciwe rozszarpanie wroga na strzępy. Ale był bystry, uczył się, jak wygląda współczesna walka.

To się nada, pomyślałam, podnosząc z podłogi półtorametrową rurę grubości mojego nadgarstka. Od porywaczy dzieliły mnie drzwi zamknięte na klucz, ale zawiasy były zbyt słabe, by znieść kilka kopniaków. Przetoczyłam się nisko po podłodze, kiedy rozległy się pierwsze wystrzały. Byłam koszmarem, który spadł na nich nieoczekiwanie, ciemnością głodną ich krwi, i byłam zbyt szybka, by zdołali reagować.

Staram się nie pamiętać tego, co robię po przełomie. Nie chcę mieć zbyt wyraźnych wspomnień dzikiego zwierzęcia, którym się staję, napędzanego wściekłością i podnieconego smrodem wybebeszonych podbrzuszy. Nie chcę pamiętać mojego obłąkanego śmiechu, kiedy ofiary krzyczą z przerażenia, patrząc, jak gołymi rękoma zmieniam ludzką twarz w miazgę.

Strażnikom trzęsły się ręce w niekontrolowanym napadzie paniki, więc nie byli w stanie celować precyzyjnie. Kule świszczały wokół, ale nie robiło to na mnie najmniejszego wrażenia. Ból nie istniał w tej formie. Pojawi się później, ale to nie zmartwienie berserka.

Wpadłam między nich jak lis do kurnika, czerwona i śliska od krwi pierwszego ze strażników, który zmarł zbyt szybko, by się zorientować, co właściwie rozbiło mu głowę o betonową posadzkę. Kiedy przypominam sobie to, co zrobiłam w tamtym magazynie, mam ochotę zamknąć oczy i wymazać tę krwawą łaźnię z pamięci. Chciałabym zastąpić ją elegancką wizją egzekucji albo wspomnieniem zwinnej ninja przyczajonej w mroku, której wystarczy jeden cios, by pozbawić cel życia. Nie ma tak dobrze – wciąż prześladował mnie obraz rozszarpanych, zmiażdżonych ofiar z wyraźnymi śladami zębów na gardłach, z roztrzaskanymi twarzami. Podłoga była śliska od krwi, kiedy dźwignęłam się na kolana znad ostatniego ze strażników.

Mało – krzyczała bestia – więcej! Nawet nie zdążyła się rozgrzać! Dosłownie, bo na polu bitwy bereserki, powykręcani pełnym bojowym szałem, którego dopiero przedsmak odczuwałam, kroczyli bez strachu na armię wroga – rozszalali i wrzeszczący – a ich ciała rozpalała niepojęta gorączka walki. Im wyższa temperatura, tym bliżej szału. Im wyższa temperatura, tym mniej barier. Sojuszniczy wojownicy polewali ich wodą, by oddalić ten ostateczny moment zatracenia się w obłędzie, bo wówczas podział na strony konfliktu mógłby berserka zwyczajnie nie interesować i starcie przeniosłoby się na zgoła inny poziom.

To jeszcze nie ten moment, pomyślałam z żalem i zniesmaczył mnie ten żal. Było ich siedmiu, tylko siedmiu… Zapach rozlanej krwi podrażniał bestię: więcej! Nasłuchiwałam w ciemności, czy nie trafi mi się coś więcej do zabawy, i usłyszałam szelest dobiegający z pomieszczenia, z którego przyszłam.

Leżał w kącie zbyt słaby, by walczyć. Pachniał jak coś, co prawie umarło. Nie bał się. Wbijał we mnie swoje ciemne oczy, a źrenice nie zwężały mu się ze strachu.

– Jeśli mnie słyszysz, Nikito – wyszeptał – uciekaj. Może być ich więcej.

Stałam, zaciskając dłonie w pięści, i nie rozumiałam, dlaczego coś w środku zabrania mi urwać mu głowę. Chciałam coś powiedzieć, ale szczęka zniekształcona nadmiarem zębów nie domykała się i wydobyły się z ust tylko pochrząkiwanie i nieartykułowane odgłosy. Podeszłam jeszcze bliżej leżącego na podłodze mężczyzny. Na posadzce wokół niego zebrała się kałuża krzepnącej już krwi.

– To były najlepsze trzy dni partnerstwa, jakie miałem. – Wyszeptał, a gulgot w gardle podpowiadał, że jego płuco nabierało krwi. – Śniłem o tobie, na długo zanim się dowiedziałem o twoim istnieniu. Nie w erotyczny sposób. Po prostu miałem pewność, że pomożesz mi wypełnić luki, odkryć prawdę. – Rozkaszlał się i strużka krwi spłynęła mu po brodzie. – Nie wyszło tak, jak myślałem, ale było warto. Dziękuję.

Mówił do bestii, tak jakby wciąż widział dziewczynę, która była uwięziona w tym zniekształconym i ohydnym ciele. Zaczynałam drżeć i nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Gwałtowny ból wycisnął mi powietrze z płuc i rzucił mnie na kolana. Nigdy dotąd nie czułam powrotnej przemiany. Zmieniałam się, gdy zabrakło mi energii, leżałam gdzieś nieprzytomna. Potem słaba jak kociak wracałam do domu, zbyt świadoma

tego, że w ustach czuję cudzą krew. Ale tym razem nie jechałam na oparach energii. Od przełomu minęło niewiele więcej niż pół godziny. Wciąż mogłam przenosić góry i przebiec maraton. A jednak, jakimś cudem, udało mi się zatrzymać bestię, zanim odejdzie zabijać. Jeśli ceną był rozrywający ból przemiany, godziłam się na to z uśmiechem. No, prawie – na uśmiech w tym momencie nie mogłabym się zdobyć.

Znów miałam znacznie mniej wyostrzone, ludzkie zmysły, a moje ciało wróciło do naturalnych rozmiarów. Czaszkę rozsadzał mi potworny ból. Kilka draśnięć od kul na ramionach piekło żywym ogniem, poocierane i poobijane kłykcie pulsowały, a krew ze skaleczonego łuku brwiowego zalewała mi lewe oko. Ale wierzcie mi, to było najlepsze przebudzenie po przełomie, jakiego w życiu doświadczyłam.

– Nie obraź się, ale wolę tę wersję jako ostatni widok przed śmiercią – powiedział Robin i się uśmiechnął.

Tyle, jeśli chodzi o komentarz na temat czegoś, co zatruwało mi życie od prawie dziesięciu lat.

– Mówiłam ci już, że jesteś dziwakiem? – zapytałam, pochylając się nad nim, by rozplątać supeł na lince, którą miał skrępowane nadgarstki.

– Ja? A to dowcip.

Miał już wolne ręce, ale jego ruchy były tak wolne i słabe, że miałam pewność, że berserk nie pomylił się w ocenie – pachniał jak coś, co umiera. Podciągnęłam jego mokry i ciężki od krwi sweter. Dwie podłużne rany wciąż krwawiły, jedna między drugim a trzecim żebrem z lewej strony, druga, dość szeroka i poszarpana, biegła w poprzek boku – za płytka, by dosięgła nerki, ale wystarczająco głęboka, by stracił dobrze powyżej litra krwi. Jego skóra miała charakterystyczny, blady, lekko sinawy odcień. Zbierały się na niej kropelki potu.

– Czemu ty jesteś ranny, a mnie zostawili całą?

– Bo spałaś jak śpiąca królewna. Ja się obudziłem i próbowałem walczyć.

– Niezbyt mądrze, skoro było ich siedmiu.

– Ośmiu. Jeden został przy samochodzie. Wrzucili nas tutaj, ty dostałaś dodatkową porcję usypiacza… Im chodziło o ciebie. Mieli cię tu przytrzymać dwa dni, a potem ktoś miał się po ciebie zjawić. – Mówił szybko, nerwowo, jakby chciał mieć pewność, że zdąży. – Nazywali go Ture i narzekali, że płaci im za niańczenie jednej osoby, nie dwóch, i że wobec tego powinni mieć podniesioną stawkę…

– Spokojnie, zajmiemy się tym. Możesz wstać?

– Mogę – powiedział, choć nie brzmiał zbyt pewnie.

– Nie wiesz, gdzie nasza broń, komórki i reszta?

– Chyba w samochodzie. Tam nam wszystko zabrali, a nie widziałem, by któryś wnosił to do środka.

– Bardzo dobrze, samochód nam się przyda.

Pomogłam mu wstać. Jego twarz zrobiła się jeszcze bledsza. Spomiędzy brody i potarganych teraz włosów prześwitywała biała, spocona skóra. Przytrzymał się mnie, jakby się bał, że za chwilę upadnie.

Wyprowadziłam go z magazynu, czując, jak wilgoć z jego swetra wsiąka w moją koszulkę. Obejmowałam go w pasie jedną ręką, drugą zaciskając na zdobycznym nożu, zabranym jednemu ze strażników.

Zostawiłam Robina przy drzwiach, pod osłoną futryny i pancernych drzwi, dziwnie niepasujących do w dużej mierze zrujnowanego budynku, a sama zakradłam się do białej furgonetki zaparkowanej spory kawałek dalej, na podjeździe po drugiej stronie bramy. Zrobiłam mały łuk i przeszłam przez poszarpane ogrodzenie z siatki.

Kierowca półleżał na siedzeniu za kierownicą, wyciągając nogi, tak że obuta w wojskowy trep stopa wystawała przez okno po stronie pasażera. Silnik był wyłączony, ale z radia płynęła jakaś latynosko brzmiąca ballada miłosna. Facet nie zauważyłby mnie, nawet gdybym szła przez cały plac przed magazynem i otworzyła zardzewiałą bramę główną. Całkowicie pogrążył się w lekturze wymiętego kryminału w okładce krzyczącej krwistą czerwienią. Żołądek mi się skurczył, bo przypomniałam sobie, w jakim stanie zostawiłam jego kumpli. Zakradłam się cichutko i szarpnęłam za klamkę drzwi po stronie kierowcy, tych samych, o które się opierał. Grawitacja była przeciwko niemu. Zaskoczony nie zdążył nawet rzucić książki i złapać się czegokolwiek – po prostu wypadł, odsłaniając gardło, do którego przyłożyłam nóż.

– Cześć, mistrzu. Będziesz grzeczny czy będziesz martwy? – zapytałam spokojnie.

– Grzeczny, bardzo grzeczny! – wykrztusił, a ja się uśmiechnęłam.

– Kto was wynajął i jak brzmiało zlecenie? – zaczęłam od podstaw.

– Nie znam go, to Kosa z nim rozmawiał. – Domyśliłam się, że Kosa to któryś z martwych już strażników. – Nazywał się Tur, Ture? Jakoś tak. Mieliśmy cię porwać i przytrzymać, aż się po ciebie zjawi.

– Wspominał, dlaczego mu na tym tak zależy? – Wciąż byłam bardzo miła, skoro ten szczeniaczek aż dygotał z pragnienia, by zadowolić mnie swoimi odpowiedziami.

– Tylko tyle, że mamy cię trzymać z daleka od Warsa, bo mogłabyś mu pokrzyżować plany, i że to nie ty jesteś jego głównym celem, a ktoś, kogo jesteś blisko. Nic więcej nie wiem, przysięgam!

Wierzyłam mu. Był tak wystraszony, że powiedziałby wszystko, co wie. W którymś momencie naszej pogawędki dotarło do niego, co oznacza moja obecność na podjeździe.

– Który to Kosa? – zapytałam.

– Ten łysy, ma tatuaż Mrocznego Żniwiarza na plecach…

Mruknęłam z niesmakiem, bo nie miałam pewności, czy ciała były w na tyle dobrym stanie, by dało się znaleźć tatuaż. Poza tym musiałam z bliska obejrzeć, co zrobiłam z tymi ludźmi. Żałowałam, że jak zmiennokształtni nie mogę zrzucić tego na munina, osobne stworzenie, z którym dzielę ciało. To pomogłoby mi się zdystansować – moje sumienie w jakimś stopniu mogłoby pozostać czyste, nawet jeśli ręce miałabym po łokcie we krwi. Jako berserk byłam pozbawiona tego luksusu. Owszem, po przełomie czułam się kimś innym, myślałam inaczej, odczuwałam inaczej, ale to tylko bardziej bezwzględna i nastawiona na zabijanie wersja mnie. Początkowo próbowałam myśleć o tej wersji jako o kimś obcym, mówiłam o niej „on”, „potwór” czy „szaleniec”, przypisując mu nawet inną płeć, ale to nie była prawda. Zmieniałam się w potwora, stawałam się nim, a nie trzymałam go w sobie jak wyizolowany i niezależny ode mnie byt. Wówczas byłoby mi łatwiej – tak sądzę. Choć może noszący w sobie muniny wilków czy tygrysów nie zgodziliby się ze mną. Po prawdzie wyniki są podobne – kończymy z zakrwawionymi rękoma, pozbawieni łaski zapomnienia.

Uderzyłam najemnika w skroń, a kiedy zwiotczał w moich dłoniach, wyciągnęłam go zza kierownicy i zawlekłam na drugą stronę bramy. Samochód bardzo nam się przyda – Robin nie miał siły i czasu na spacery po Sawie. Miałam rację, musieliśmy być blisko granicy, czułam zapach Wisły i zieleni. Za ogrodzeniem wokół magazynu rosły buki, a ich pnie wyglądały na czerwone od posoki. A może były po prostu czerwonawe, a ja widziałam dziś zbyt wiele krwi i nie mogłam się jej pozbyć z mojej wyobraźni.

Przyprowadziłam Robina i pomogłam mu wsiąść na siedzenie pasażera. Z tyłu furgonetki znalazłam moją motocyklową kurtkę, torbę, kabury, noże, Inkwizycję i Zębuszkę. Zapięłam paski kabury i dopiero gdy wsunęłam w nią Inkwizycję, poczułam się lepiej.

– Jak ma na imię? – zapytał.

– Inkwizycja – powiedziałam, choć nikomu nie mówiłam, że nazywam rzeczy.

– Ładnie. Z charakterem. – Uśmiechnął się.

– To z Monty Pythona – odpowiedziałam, a widząc, że niewiele mu to wyjaśniło, użaliłam się nad poziomem kulturalnym w Zakonie. – Skąd wiedziałeś, że nadałam im jakieś imiona?

– Dotykasz ich z czułością.

Pokręciłam głową – jego zmysł obserwacyjny był naprawdę nieznośny – i rzuciłam mu apteczkę, którą nie bez powodu na stałe nosiłam w torbie.

– Połataj, ile zdołasz, muszę na chwilę wrócić do magazynu.

Oparł głowę o zagłówek siedzenia i westchnął.

– Nie waż mi się umierać, bo osobiście zbezczeszczę twoje zwłoki – warknęłam.

– Mogłabyś to zrobić.

– Nie wątp nawet przez chwilę.

Znalazłam Kosę – czy raczej to, co z niego zostało. Obszukałam przesiąknięte płynami ustrojowymi kieszenie, z niesmakiem uświadamiając sobie, że pęcherz Kosy opróżnił się w chwili śmierci. Odszukałam komórkę i sprawdziłam ostatnie połączenia. Trzecie z najnowszych było opisane jako Ture.

Bardzo dobrze, jeśli tajemniczy zleceniodawca nie wyłączył komórki, Karma go namierzy. A nawet jeśli się jej pozbył, moja wspólniczka zdoła wygrzebać z telefonu Kosy jakieś informacje. Opuściłam magazyn, próbując wymazać z pamięci jatkę, którą za sobą zostawiłam.

Wróciłam do samochodu. Robin miał przymknięte oczy, ale oddychał dość równo. Spod podwiniętego swetra wyłaniały się białe opatrunki. W dłoni trzymał fiolkę z niebieskimi granulkami. Jej korek wciąż był zamknięty. Sięgnęłam po nią, bo pomyślałam, że nie dał sobie rady z odkręceniem, ale przytrzymał mi dłoń.

– Co to jest? – zapytał cicho. – Wyczuwam magię, ale nie rozumiem, co robi.

– Wzmocni cię, przyśpieszy regenerację komórkową i produkcję czerwonych krwinek. Przyda ci się w tym stanie.

– Czy to narkotyk?

– Nie znieczuli, jeśli o to pytasz.

– Dobrze – szepnął i odkręcił fiolkę. Potrzebował pomocy, by wsypać jej zawartość do ust. – Gorzkie – jęknął boleśnie.

Odpaliłam samochód i wykręciłam na rozrytym asfalcie. Furgonetka kołysała się na popsutych amortyzatorach, a skrzynia biegów trzeszczała i stawiała opór przy każdej zmianie. Sprawdziłam hamulce i skrzywiłam się, widząc czas reakcji. Etyka pracy wśród najemników najwyraźniej ostatnio spadła. W życiu nie pojechałabym na akcję rzęchem, który może mi się rozwalić, gdy włączę wycieraczki, o pościgu czy ucieczce nie wspominając.

– Nie wiesz, że to tak działa? – zagadnęłam Robina, by odwrócić jego uwagę od bólu, który musiał być nieznośny. – Nawet gdyby można było rzucić zaklęcie na kostki cukru, i tak dodaliby goryczki, bo utrwaliło się przekonanie, że lekarstwo musi być niesmaczne. Zapytałam wiedźmy, która to dla mnie przygotowała, czy nie może rzucić zaklęcia na cukierki, na przykład na miętowe drażetki. Odpowiedziała, że gdyby lekarstwo nie było obrzydliwe, zapomniałabym, jak bardzo nie lubię go brać. Mogłabym się stać nierozważna i niepotrzebnie zbierałabym cięgi, bo przecież po wszystkim wystarczy zjeść kilka cukierków. Pierwsze dawki były okropne, ale gdy po kilku tygodniach wróciłam po więcej, postarała się, by były jeszcze bardziej obrzydliwe. I tak to już trwa. Masz szczęście, że ta partia jest tylko gorzka. Poprzednia smakowała jak wymiociny.

– Miła wiedźma – szepnął.

– Skuteczna, więc jej wybaczam. – Uśmiechnęłam się do niego, próbując go pocieszyć.

Piętnaście minut później, po przejechaniu jakichś dwudziestu kilometrów wertepów na drodze biegnącej przez las tak gęsty, że musiałam włączyć światła, by widzieć cokolwiek w ciemności, zobaczyłam przeklęty most. Przyspieszyłam. Nie miałam pojęcia, jak zadziała na mnie jego magia, kiedy jestem w samochodzie, ale chciałam jak najszybciej mieć to za sobą. Halucynacje w poprzednią stronę były paskudne, a nie mogłam marnować czasu na walkę ze zmorą mojego ojca.

Furgonetka podskoczyła na garbie przy wjeździe na most. Szarożółta mgła oblepiła przednią szybę tłustą powłoką i wlewała się do środka. Poczułam ucisk w piersi i gardle, jakby coś próbowało mnie udusić.

Robin zacisnął palce na medalionie, drugą rękę położył na moim udzie. Poczułam szczypanie obcej magii, kiedy moc amuletu objęła nas ochroną. Mgła przestała mi przeszkadzać.

– Za takie sztuczki pozwolę ci wybierać stację radiową, kiedy będziemy gdzieś razem podróżować – powiedziałam i poklepałam go po zimnej dłoni, która wciąż leżała na moim udzie.

– Lubię muzykę klasyczną – wyszeptał.

– To mam przesrane. Choć w sumie lepsze to niż techno.

Jego śmiech szybko przeszedł w kaszel.

Jechałam przez Powiśle jak wariat drogowy, używając klaksonu częściej niż hamulca. Kiedy wjechaliśmy do Przylepki, uderzyłam w niego triumfalnie. Do ostatniej chwili bałam się, że ta cholerna furgonetka zdechnie po drodze, ale wjechałam już na Kasztanową, przy której stoi mój dom. Robin miał opuszczone powieki. Z trudem utrzymywał przytomność.

Rozdział 16

Moi sąsiedzi zajęci byli przygotowywaniem domu na kolejną burzę i czkawkę. Widząc, że montowali stalowe okiennice, przeklęłam. Gloria była nie tylko wzorową panią domu i matką trzech urwisów (którzy prawie na sto procent zmieniali się w jakieś kotowate stworzenia, bo nikt bez kocich genów nie potrafi skradać się tak cicho i denerwować cię i rozśmieszać jednocześnie), ale też jako potężna wiedźma powietrza wyczuwała zmiany pogody lepiej niż inni. Jeśli zapędziła męża i synów do montowania ochrony przeciwsztormowej, miała powody. Stała z założonymi na piersi rękami i spoglądała ze zmarszczonymi brwiami na chmury nadciągające z północy.

Moi sąsiedzi nauczyli się odwracać głowę, kiedy widzieli coś, z czym mogliby czuć się niekomfortowo. Jeśli nawet ktoś zastanawiał się, czemu właściwie wyciągam z samochodu i wlokę przez podjazd półprzytomnego i zakrwawionego faceta, nikt nie zapytał. Gloria oderwała spojrzenie od chmur tylko na chwilę i zapytała:

– Dasz radę?

Potwierdziłam. Robin próbował współpracować, ciężko stawiał stopę za stopą. Mogłabym go wnieść, wciąż byłam nabuzowana energią przełomu i nie sprawiłoby mi to żadnego wysiłku, ale nie lubiłam ujawniać swoich tajemnic. Wolałam dla postronnego przechodnia wyglądać na wysportowaną i sprawną dziewczynę niż na podejrzanie silne stworzenie, bez trudu dźwigające dziewięćdziesięciokilowego faceta.

– Jak źle będzie? – zapytałam.

– Dziewiątka.

Skala była dwunastostopniowa.

– Czy to ty zabiłaś syna Pabla? – zapytała, gdy już ją minęłam. Zatrzymałam się na chwilę.

– Tak. Czy dotarł do ojca, zanim wpadł na mnie?

– Nie. Zdążyłaś. Chce ci zapłacić. Uratowałaś im życie.

– Koncentrowałam się raczej na własnym – powiedziałam świadoma, że to nie wystarczy. Nie tu.

W Warsie nikt nie lubi długów, zobowiązań czy przysług, po które w każdej chwili ktoś może wrócić. Pablo był tradycjonalistą. A ja miałam kiepską opinię.

– Przekaż mu moje kondolencje. I jeśli będzie łaskaw upiec dla mnie chałkę z bakaliami, nasze rachunki będą uporządkowane.

– Zabijasz za chałkę, Cieniu? – Gloria uniosła brew.

– Są dni, kiedy czekająca w domu chałka cieszy bardziej niż tłuste konto w odległym banku.

Kiwnęła głową i lekki uśmiech przemknął przez jej twarz.

– Gdyby to spotkało któregoś z moich chłopców…

– Wiesz, że tak.

– To dobrze.

Odwróciła się i skontrolowała postępy w montowaniu okiennic.

Wprowadziłam Robina po schodach. Musiałam go szybko połatać i także zabezpieczyć dom.

W łazience przecięłam mu sweter, bo nie dałby rady unieść ramion. Nie był nieprzytomny, ale do stanu pełnej świadomości sporo mu brakowało.

Pomrukiwał coś, mamrotał pojedyncze słowa w gorączce, ale nie walczył i pozwolił mi zdjąć tymczasowe opatrunki, oczyścić ranę i założyć szwy na rozharatany bok. Osłuchałam go i z ulgą przyjęłam to, że przez ostatnią godzinę jego płuco nie zapadło się mimo rany kłutej i wcześniejszego kasłania krwią. Napuściłam do wanny gorącej wody i wsypałam pół słoika preparatu regenerującego. Musiałam wkrótce uzupełnić zapasy. Mieszałam wodę dłonią, aż nabrała jednorodnego, zielonego koloru. Smród bagna, siarki i bogowie wiedzą czego jeszcze, rozszedł się po łazience, gdy roztwór był gotowy.

Robin opierał się potylicą o kafelki, siedząc na muszli klozetowej. Sięgnęłam do guzików jego spodni, bo wchodząc do roztworu, powinien być nagi, ale złapał mnie za rękę.

– Musisz się rozebrać – powiedziałam tonem niecierpliwej matki, która wie lepiej.

– Sam – szepnął i niezbornymi ruchami zaczął rozpinać guziki rozporka.

Pomogłam mu wstać i przytrzymałam, kiedy siłował się ze spodniami. Nadepnęłam materiał, by mógł z nich po prostu wyjść. Było coś dziwnego

w jego reakcjach. Wtedy w Pozytywce, teraz. Zastanawiałam się, czy to tylko pruderia, czy złe doświadczenia. Może wychowanie w Zakonie zostawiło w nim ślad większy, niż zakładałam.

Z trudem wlazł do wanny i z westchnieniem osunął się w zieloną toń. Był słaby i senny, ale bywałam w gorszym stanie, lądując w regeneracyjnej kąpieli, więc wierzyłam, że się wyliże. Był za długi, by zdołał zjechać pod wodę; kolana wystawały mu z roztworu bielą, która nigdy nie widywała słońca. Skoro w tym momencie nie mogłam dla niego zrobić już nic więcej, postanowiłam zająć się kolejnymi punktami na liście.

Póki jeszcze działały komórki, zadzwoniłam do Aleksa. Strażnik powiedział, że Ture poluje na kogoś, kto jest mi bliski. Mieli mnie trzymać z dala od Warsa. To raczej wykluczało Kosmę czy Dorę, o której mimo wszystko myślałam jako o kimś bliskim… Ale nie eliminowało Aleksa i Karmy. Zadzwoniłam do nich po kolei. Zdałam Aleksowi relację z wydarzeń i upewniłam go, że jestem cała i zdrowa. Nie wygadałam się o tym, że jestem też po pełnym przełomie. Denerwowałby się i pewnie chciałby przyjechać, by się mną zająć. Normalnie nie miałabym nic przeciwko kwękaniu, ale zbliżała się burza, a jego dom miał dobre zabezpieczenia i lepiej, by tej nocy go nie opuszczał.

Później zadzwoniłam do Ilii i ostrzegałam go, że ktoś może zagrażać Karmie. Naburczał, że to na pewno moja wina, ale będzie czujny jak ważka. Jego wersja ważki dysponowała bronią maszynową i magicznymi pułapkami, a także strzelała bez ostrzeżenia do każdego, kto zbliżyłby się do Karmy, i czyje intencje byłyby choć minimalnie podejrzane.

Wybrałam numer Karmy. Nie wiedząc, na jakim etapie jest ich domowy dramat, nie prosiłam, by Ilia podał jej słuchawkę. Jeśli wciąż była na niego zła, mogłaby rozbić telefon o ścianę. Jednak nie brzmiała, jakbym przerwała im kłótnię. Nawet się przywitała, co właściwie było jak wysłanie w moim kierunku białych synogarlic z girlandą z różyczek w dziobkach. Poprosiłam ją, by sprawdziła, co internet ma do powiedzenia o człowieku noszącym imię Ture. Było na tyle rzadkie, że to coś powinno pomóc.

– To imię oznacza grzmot, skandynawskie korzenie – oświadczyła. – Zadarłaś ostatnio z kimś z okolic koła podbiegunowego?

Przeklęłam, bo faktycznie miałam kogoś takiego na liście, choć jeśli stał za tym Ernst, musiał mieć pomocnika. Pomijając to, że cały plan miał za wiele finezji jak na mojego biegającego z toporem przodka, dziewczyna

w kwiaciarni zapamiętała go jako rudego przystojniaka w eleganckim garniturze. Nie ma możliwości, by ktoś uznał Ernsta za przystojniaka z kampanii reklamowej garniturów. Mógłby swoją gębą reklamować co najwyżej przedłużone wczasy w ośrodku o zaostrzonym rygorze. Wygląd miał adekwatny do usposobienia.

Podpięłam komórkę Kosy do mojego komputera, by Karma mogła w niej zdalnie pogrzebać.

– Może cię zainteresuje, że pan Han był grzecznym chłopcem i odwiedził wszystkie ważne dla jego biznesu punkty, a nawet w swojej łaskawości podzielił się kilkoma tajemnicami w rozmowie prywatnej. Zadanie z Czerwonej Latarni oficjalnie możemy odhaczyć w kalendarzach. Wysłałam do pośrednika zgrabny plik z danymi, więc kasa powinna spłynąć w ciągu dwunastu godzin – zrelacjonowała, a w tle słyszałam stukot klawiszy klawiatury.

– Dobra nowina. Oby i z tym kolesiem poszło szybko.

– Co przeskrobał? – W jej głosie nie było ciekawości.

Zlecenie to zlecenie, nawet gdyby był przełożonym przyklasztornego chórku pełnego młodych chłopców. Zresztą wtedy mogłaby obniżyć stawkę i zrezygnować z zaliczki.

– Zlecił porwanie Zeldy. A gdy to nie pomogło, jego ludzie porwali mnie.

– I wciąż wozi dupę po naszych ulicach? – Lekkie oburzenie to wszystko, co usłyszałam. Może nie musiała pytać o nic więcej, skoro dzwoniłam i spuszczałam na niego psy… albo troska w naszej relacji była wyłącznie jednostronna.

– Dlatego proszę cię, byś go wywęszyła.

– Zrobi się. Nie wiem, czy jeszcze dziś w nocy, bo burza szykuje się gruba i może pozrywać kable, ale szybko. Imię ma dość oryginalne, choć na przyszłość pytaj o nazwisko.

– Nie zostawił mi wizytówki.

– Gdzie ci mężczyźni, którzy, zanim cię porwali, przysyłali ci bilecik przez lokaja?

Jej śmiech odbijał mi się wciąż w uszach, kiedy bez ostrzeżenia przerwała połączenie. To by było na tyle, nie traćmy czasu na uczucia.

*

Przeszłam się wokół domu i wzmocniłam osłony. Nie miałam okiennic, ale kraty w oknach powinny wystarczyć, gdyby coś próbowało się dostać do środka. Upewniłam się, że wszystkie okna i drzwi są dokładnie zamknięte. W połowie obchodu zamigotały żarówki i zapadła ciemność. Prognozy były kiepskie, więc elektrownia wyłączyła transformatory, by zminimalizować szkody.

Z latarką, lampkami kempingowymi i zapasem świec wróciłam do łazienki. W czasie rozmowy z Aleksem potarłam twarz i przypomniałam sobie, że zdecydowanie widać po mnie, co robiłam przez ostatnie parę godzin. Robin miał zamknięte oczy, więc nie krępując się jego obecnością, ściągnęłam koszulkę sztywną od krwi jego i strażników. Wepchnęłam ją od razu do kosza na śmieci. Mogłabym doprać plamy, ale rozdarła się na rękawach. Na ramionach miałam trzy draśnięcia po kulach i długą na pięć centymetrów szramę od noża na lewym przedramieniu.

Połowę szafki nad zlewem zajmowała apteczka. Wyjęłam to, czego potrzebowałam, i rozstawiłam na umywalce. Woda utleniona, plastry i samoprzylepne szwy – czyli nie było tak źle, skoro zestaw do szycia czy szczypce do wyciągania kul mogły pozostać na miejscu. Oczyściłam rany. Jedno z draśnięć było zaognione, a skóra wokół poparzona – przypomniałam sobie, że strażnik strzelał prawie z przyłożenia i gdybym nie szarpnęła się w bok, kula przeszyłaby pierś. Nakleiłam plastry z motywem pirackim – prezent od Aleksa – i zajęłam się łukiem brwiowym. Gdy umyłam twarz, nie wyglądało to bardzo źle, jednak i tak nakleiłam wąskie plasterki zamiast szwów, by zmniejszyć bliznę, która zostanie po obrażeniach.

Może to próżność, ale jeśli mogłam uniknąć blizny, robiłam to. Niektórzy w moim fachu obnoszą się z nimi jak z orderami. Dla mnie stanowiły kronikę wypadków i porażek. Byłam za wolna, za słaba i pozwoliłam, by ktoś mnie skrzywdził. Nawet fakt, że potem ja skrzywdziłam go bardziej, nie zmniejszał mojego niezadowolenia.

W głębi duszy musiałam przyznać, że niechęć do blizn miała jeszcze jedno wyjaśnienie. Im mniej śladów na moim ciele pozostawi życie, jakie obecnie wiodę, tym większa szansa, że uda mi się wieść nowe z dala od tego, co dawniej wypełniało moją codzienność. Jeśli kiedyś zdołam rozwiązać mój rodzinny problem, mogłabym zamieszkać w jakimś miłym miejscu, niedaleko Kosmy. Nie mam pojęcia, czy zdecydowałabym się na

dzieci – w końcu wiem, jak nie należy ich wychowywać, za to niewiele wiem o tym, jak właściwie należałoby to robić – ale czasami, w te kiepskie dni, lubię sobie pofantazjować o życiu, jakie mogłabym prowadzić. O stałym związku, pracy, w której nikogo nie zabijam, i o tym, że po dniu w robocie wracam jedynie głodna, nie ranna i poobijana, a ktoś na mnie czeka – chociażby pies. Lubiłam psy.

– Dbasz o atmosferę? – Usłyszałam za plecami głos Robina.

Latarki potrzebowałam przy lusterku, więc na krawędzi wanny ustawiłam świece.

– Nic tak nie osłabia oporów mężczyzny jak kilka świec – zażartowałam. – Jak tam?

– Ujdzie. – Skrzywił się.

Podeszłam bliżej, by przez zieloną wodę zerknąć na obrażenia. Goił się znacznie szybciej niż ja – ranę na boku pokrywała już cienka błonka nowej skóry. Dotknęłam delikatnie miejsca, w którym nóż dotarł do płuca. Brzegi rozcięcia zaczynały się zasklepiać, nie było już śladu krwawienia. Wyglądał lepiej. Skóra nie miała już tego bladowoskowego, trupiego odcienia. Gorączka minęła.

Dopiero po chwili zauważyłam, że to skrócenie dystansu między nami i moje palce na jego piersi wytrąciły go z równowagi.

– Wiesz, że nie stanowię zagrożenia dla twojej cnoty? – zapytałam, by oczyścić atmosferę. – To nie moja połowa boiska.

– Nigdy nie grałem w piłkę – powiedział, a ja nie miałam pojęcia, czy nie załapał metafory, czy przeciwnie, załapał i pociągnął ją dalej, mówiąc mi zaskakująco dużo o swoim życiu seksualnym.

– Niektórzy zdają się to lubić – powiedziałam spokojnie.

– Nie czułem tego smrodu od dwustu lat – wymamrotał Robin. – Tego się nie da zapomnieć.

Zamarłam. Czekałam, kiedy zrozumie, co właśnie powiedział. Otworzył oczy i na twarzy odmalował mu się autentyczny szok. Co dziwniejsze, wydawał się bardziej zaskoczony niż ja.

Gdybym wiedziała, że posiadanie partnera gwarantuje pasmo niekończących się niespodzianek, może nie zabiłabym lub nie przepędziła wszystkich dotychczasowych kandydatów. A może nie zmieniłabym nic i do dziś nie miałabym partnera.

Wyszłam z łazienki. Potrzebowałam pomyśleć.

*

Pod prysznicem w łazience przy pokoju gościnnym rozważałam, jakie właściwie konsekwencje miała dla mnie rewelacja Robina. Nic o nim nie wiedziałam. Trudno o bardziej dobitne podważenie danych z teczki, które wręczyła mi Matka. Ale to nie do końca prawda. Owszem, nie wiedziałam, ile ma lat i czym jest, skoro dwieście lat życia nie było dostępne zwykłemu człowiekowi. Nie miałam pojęcia, co robił, zanim się u mnie pojawił z tym niewinnym uśmiechem i irracjonalną radością wynikającą z tego, że będziemy ze sobą pracować. Ale wiedziałam o nim więcej niż dwa dni temu. Wiedziałam, że jest lojalny, troskliwy, że pod pewnymi względami zupełnie nie nadaje się na Cienia i to dokładnie te względy sprawiały, że nie miałam nic przeciwko, by znajdował się w pobliżu. Tego nie mogłam powiedzieć o żadnym innym Cieniu. Widziałam, jak się zachowywał w Dzielnicy Cudów. Uczył się szybko. I był gotów zaryzykować dla mnie życie, choć wiedział o mnie nawet mniej niż ja o nim – chyba że Matka poinformowała go znacznie lepiej niż mnie. W to jednak wątpiłam, bo to byłoby wybitnie nie w jej stylu, a styl był dla Matki wszystkim. Nie po to pracowała nad nim tyle lat, by ot tak rezygnować.

Wszystko sprowadzało się do pytania, komu zaufać. I choć zwykle odpowiadałam w duchu Foxa Muldera z ukochanego w młodości *Z Archiwum X*, czyli „nie ufaj nikomu”, musiałam przyznać, że nawet on zaufał swojej partnerce. Więcej, gdybym miała wybierać, komu zaufać – Matce czy Robinowi, nie wahałabym się ani chwili, choć ją znam dłużej i wiem o niej całkiem sporo. Wolałabym zaufać człowiekowi, który poświęciłby dla mnie życie, niż rodzicielce, która nie kiwnęła palcem, kiedy Ernst mnie dorwał. Na nim mogłam się zawieść. Na niej zawiodłabym się na pewno.

Miałam mnóstwo pytań i tchórzostwem byłoby uciekanie od nich tylko dlatego, że odpowiedź mogła być niewygodna. Wytarłam się dokładnie i założyłam świeżą bieliznę i dres. Byłam gotowa.

Burza rozpętała się na dobre. Niski odgłos grzmotu poprzedził dźwięk deszczu zaciekle dudniącego o dach i szyby. Podjazd, ulica, domy sąsiadów zniknęły za kurtyną ulewy, która płynnie przechodziła w gradobicie, by za chwilę znów stać się deszczem. Pogoda w Warsie zawsze była trudna, ale ten rok odznaczał się wyjątkową kapryśnością. Miałam nadzieję, że

nasilenie burz i towarzyszących im czkawek było stanem przejściowym, bo i bez tego trudno żyło się w tym mieście. Od huku kolejnego grzmotu zadrżały szyby w oknach, a zewnętrzny ochronny okrąg rozjarzył się błękitem, kiedy ziemia na pogróżki nieba odpowiedziała skokiem napięcia. Byliśmy względnie bezpieczni, mimo to z niepokojem patrzyłam na błękitne błyskawice, które wystrzeliły z mojego okręgu. Na szczęście magia nie przepaliła ochrony. Jeszcze nie tym razem. Kręgi świeciły wokół domu jak neonowe światłowody. W ciemności, jaka panowała na ulicy, po tym, jak zgasły latarnie, jarzyły się tylko kręgi wokół domów. Po ich kolorze można było zgadywać, kto i jaką magią władał w okolicy. Byliśmy eklektycznym towarzystwem. Jaki kolor miała magia, którą nosił Robin? Było kilka jej odcieni, których wolałam nie mieć w pobliżu, choć, jeśli miałam być szczera, wątpiłam, by uprawiał czarną magię. Miał na to za czyste oczy. Jednak uświadomiłam sobie, że doskonale krył się ze swoją aurą. On moją widział, berserk nie używa osłon w chwili przełomu. Ja mogłam tylko obstawiać, czym on dysponował. Nie lubiłam trwać w niewiedzy. Informacje były cenne, a przede wszystkim pozwalały zachować życie.

Z powodu braku prądu kolacja ograniczyła się do batonów energetycznych, kabanosów i drinków proteinowych. Z wypchanymi nimi kieszeniami wkroczyłam do łazienki. Robin nie wyszedł z wanny. Opierał głowę o jej krawędź z zamkniętymi oczami i jakąś bezbronnością w twarzy. To oczywiście mogła być zmyłka.

Położyłam dwa batony i butelkę koktajlu proteinowego na krawędzi wanny, w zasięgu jego ręki. Sama usiadłam po turecku na podłodze naprzeciw i zaczęłam jeść. Przeżuwałam w milczeniu kęsy zbitej masy batona o smaku zbliżonym do czekoladowego. Cisza czasami wywiera większy nacisk niż jakiekolwiek pytania.

Gdybym nie była wytrącona z równowagi, uznałabym za całkiem zabawny widok Robina odkręcającego nakrętkę z miną człowieka, który naprawdę potrzebuje się napić i wypija solidny łyk, nie kryjąc zawodu, że gęsty, dość tłusty napój nie zawiera ani pół procentu alkoholu. Ja spokojnie popijałam swój własny, zagryzając kabanosami, i czekałam.

– To nie tak, że tylko ty jesteś zaskoczona – zaczął po kilku minutach. Właściwie trochę mu współczułam, bo widać było, że rozmowa nie przychodzi mu lekko.

– Będę wdzięczna za kilka wyjaśnień. Choćby dlatego, że przyjęłam cię pod swój dach, a wokół szaleje potężna burza i jeśli masz się w coś zmienić, powinnam być na to przygotowana. Poza tym znasz już moją tajemnicę, trzymanie mnie w niewiedzy jest zwyczajnie niegrzeczne – powiedziałam, a mój głos brzmiał chłodno.

– Nie zmieniam się w nic paskudnego, a przynajmniej dotąd mi się to nie zdarzyło – zapewnił.

– Nie goisz się jak człowiek.

– Najwyraźniej. – Skrzywił się. – Nie wiem, kim jestem.

– Nie dostałeś po głowie aż tak mocno, choć możemy to zmienić – odparłam zirytowana.

– Nie chodzi o to, że nie wiem, kim jestem teraz. Ja w ogóle nie wiem.

– Wygodne.

– Jeśli o tym pomyślisz głębiej, to wcale. Pamiętasz, co ci powiedziałem w magazynie? Że śniłem o tobie?

– Pamiętam, uznałam to za nieoczekiwanie objawiony zmysł dramatyczny.

– To nie do końca tak. – Skrzywił się znowu i widziałam, że naprawdę trudno mu mówić. – Moja głowa wypełniona jest strzępami wspomnień, obrazów, wydarzeń, ale nie skleja mi się to w całość. Nie mogę sobie przypomnieć, co robiłem trzy lata temu w święta Wielkanocy albo z kim byłem na pierwszej randce. To jest… męczące. Mój mózg jest jak sito, same dziury i frustrujące ciemne plamy.

– Miałeś jakiś poważny wypadek?

– Nie wiem. Pamiętam dokładnie ostatnie trzy miesiące, wszystko pozostałe jest jak jakiś pieprzony album ze zdjęciami, w którym trzy na cztery karty są całkiem puste, a jedyne zdjęcie wydaje się całkiem bez sensu, bo nie rozumiem, dlaczego miałoby mi w głowie zostać akurat to, a nie coś innego. Pamiętam wszystko, co dotyczy medalionu, ale nie pamiętam, jak miała na imię kobieta, która mnie wychowała. Albo kim jestem.

– Chujowo – przyznałam, bo nawet mając takie wspomnienia, jakie miałam, nie chciałabym się ich pozbyć i zamienić na czarną plamę.

Spojrzał na mnie z klasyczną miną „no co ty powiesz”.

– Co pamiętasz sprzed ostatnich trzech miesięcy? – zapytałam.

– Strzępy, obrazki, jednocześnie znajome i obce, jakby dotyczyły rzeczy, które przydarzyły się komuś innemu… Pamiętam różowego królika z naderwanym uchem, którego wszędzie nosiłem i nazywałem panem Marchewką. Czytałem pod kołdrą *Małego Księcia*, przyświecając sobie latarką. Kiedyś uciekłem mojej opiekunce, bo do miasta przyjechało wesołe miasteczko. Zdążyłem się trzy razy przejechać na karuzeli, zanim mnie znaleźli. Wielki facet ściągnął mnie z najpiękniejszego rumaka i powiedział, że mama nie będzie zadowolona… Bałem się, tak bardzo się bałem kary, ale jakiś wewnętrzny głosik podpowiadał mi, że było warto. Pamiętam, że chorowałem na ospę i swędziało mnie całe ciało… A mama przyszła do mnie i była taka miła… Zrobiła mi naleśniki z dżemem truskawkowym, takie cieniutkie, że prawie przezroczyste. I pamiętam, że w jej czułości i trosce, z jaką kładła rękę na moim rozpalonym czole, było coś, co mnie zaskakiwało. Zacząłem płakać, a ona wyszła obruszona. Wspinałem się na skałkę, bez asekuracji, chciałem pokonać rekord instruktora, pomachać mu z góry, gdy wejdzie za kilka minut na umówione zajęcia. Byłem prawie na samej górze, kiedy odpadłem od ścianki. Palce ześlizgnęły się z uchwytu, zbyt śliskie od potu. Złamałem sobie nogę, kość goleniową… – Mówił cicho, z wysiłkiem, jakby odgrzebanie w pamięci tych obrazków kosztowało go naprawdę wiele.

– Pamiętasz, jak bardzo bolała cię noga, kiedy uderzyłeś o matę? – zapytałam.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Taak – powiedział z wahaniem. – Nie… nie wiem.

Masował sobie skronie, a po twarzy przemknął mu grymas bólu. Nie naciskałam, rozpoznając sygnały. Jeśli ktoś mu mieszał w głowie, a byłam więcej niż pewna, że tak się działo, skupienie się za długo na jednym temacie przepali bezpiecznik i obiekt zemdleje, zaśnie lub, jeśli miałam pecha, a sprawca był sadystą, jego serce nagle zapomni, jaki rytm jest prawidłowy. Widziałam takie rzeczy. Działały skuteczniej niż ampułki z arszenikiem w zębach. Matka robiła to automatom. Na jednej akcji wpadliśmy w pułapkę – ja, mój dawny partner i dwa automaty dane nam jako wsparcie. Nawet nie próbowali kombinować, jak się wydostać z łap wroga. Zawiesili się, a ich system się wyłączył. Po prostu przestali oddychać. Zajebiste wsparcie. Uciekliśmy stamtąd, jednak nie dzięki ich pomocy. Nigdy więcej nie pracowałam z automatami. Za to włamałam się

do archiwum Matki, by dowiedzieć się o nich więcej. Nie sądziłam, by Robin był jednym z nich, nie po tych dwóch dniach – miał zbyt wiele indywidualnych cech. Ale ktoś mógł stosować na nim opracowane dla automatów techniki manipulacji na poziomie psychiki.

– Opowiedz mi o swojej matce – poprosiłam.

– Miała ciemne włosy do ramion i grzywkę… Używała czerwonej szminki i nosiła ubrania w tym kolorze. Nie lubiła komiksów i gdy znalazła moją kolekcję, wyrzuciła wszystkie. Dużo pracowała. Niewiele więcej pamiętam. – Skrzywił się. – A przecież powinienem wiedzieć więcej o mojej mamie… Musiała być dobrą kobietą, przyjęła sierotę pod swój dach i dała mi dom…

– Pamiętasz dom? – dociekałam.

– Nie… jakbym nigdy go nie miał… a przecież musiałem mieć. – Z frustracją uderzył dłonią w powierzchnię zielonej wody.

– Nie wszyscy mają dom – powiedziałam cicho.

– Ty coś wiesz, prawda?

Rozumiałam frustrację w jego głosie. Naprawdę. Mimo koszmarów, które pamiętałam z własnej przeszłości, nie zamieniłabym się z nim. I zastanawiałam się, czy on by się zamienił. Nie zostawiono mu wyboru.

– Opowiedz mi o snach – poprosiłam. – Potem powiem ci, co wiem.

– Powtarzają się, odkąd pamiętam. I z jakichś powodów czuję, że towarzyszyły mi też wcześniej. Są jak talizman, odporne na zapomnienie. Ciemność i pustka. Taka, jaką poczułem na przeklętym moście. A potem ciemność się czymś wypełnia, nawet jeśli tego nie widzę, czuję, że już nie ma pustki. Jest zapach lasu. Widzę drzewa, las tak stary, że pamięta stworzenie człowieka. Biały jeleń znika między drzewami. Powietrze przeszywa strzała, jej lotki płoną i cała drga, kiedy wbija się w drzewo, przy którym chwilę temu stał jeleń. I szept, ale nie rozumiem słów. Płacz, ale to nie ja płaczę. Kobieta w długiej sukni i sięgających jej do kolan rozpuszczonych włosach. Mnóstwo powtykanych w nie gałązek tworzy rodzaj dziwnej korony. I czuję żal i tęsknotę, choć nie wiem, kim jest. Znów zapada ciemność. Zaciskam palce na zawiązanych na sznurku supłach. Idę po omacku, czując, że nie mogę, nie chcę tu zostać ani sekundy dłużej, bo tu już na mnie nic nie czeka. I nagle ciemność ustępuje i widzę ciebie. Wyglądasz jak wtedy, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, z mokrymi włosami, z ręcznikiem w jednej ręce, ze spluwą w drugiej. Stoimy na

jakiejś platformie, moście, nie wiem, dookoła jest mnóstwo przestrzeni, od nadmiaru powietrza kręci mi się w głowie. Rozwijasz ręcznik, na białej tkaninie leży mały ptak, wydaje mi się, że rudzik, nie rusza się i chyba ma coś ze skrzydłem. Chuchasz na niego, a jego piórka wysychają i wyglądają, jak należy. Jest już dużym ptakiem, który rozwija skrzydła i ulatuje z twojej ręki. I słyszę głos, ten sam, który szeptał wcześniej w obcym języku. Mówi mi, że poskładasz złamane i zaprowadzisz do domu.

Patrzył się na mnie z tym intensywnym oczekiwaniem, jakby liczył, że chuchnę, dmuchnę i skrzydełka będą całe. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Gdyby to był jednostkowy sen, uznałabym to za dziwną fantazję, ale jeśli się powtarzał… Magiczni nie śnili w kółko o czymś bez sensu. Sny były magią zsyłaną nam przez bogów, przodków, magicznych wystarczająco silnych lub znających nas na tyle dobrze, by znaleźć ścieżkę do naszej podświadomości. Irena nie potrafiłaby tego zrobić. Nie widziałam też powodu, by tego chciała. Nawet jeśli zrobiła wiele więcej. Może dlatego bogowie zesłali mu ten sen. Bo mogłam naprawić to, co ona zrobiła, co było paskudne i zapewne wbrew boskiej woli. Cała Irena – nie potrafiła trzymać się tego, co ludzkie. Zawsze kusiła ją zabawa w bogów.

Nie wiedziałam, dlaczego zrobiła to Robinowi. Czy szukała sposobu, by wyprodukować lepsze automaty? Czemu nas połączyła? Chciała sprawdzić, czy się zorientuję, czy coś poszło nie tak, jak to zaplanowała, i życzyła sobie, bym swoim zwyczajem strzeliła, zanim padną pytania? Czy ostatecznie chciała ze mnie zadrwić i pokazać, jak niewiele jestem warta jako córka, jako słaby człowiek, i jak bardzo ją zawiodłam?

– Powiedz mi – naciskał.

Ból w jego oczach nie mógł być udawany. Nie wątpiłam, że powiedział mi prawdę. Znałam go krótko, ale może właśnie dlatego, że matkę znałam dłużej, to jemu zaufałam.

Podwinęłam nogawkę dresów i pokazałam mu łydkę. Wciąż widać było blizny po śrubach, którymi poskręcali mi w szpitalu połamaną kość. Miesiąc na wyciągu, dwie operacje.

– Czy to… – Zawahał się, jakby miał opory, by powiedzieć to głośno.

– Spadłam ze ścianki. Wspinałam się bez asekuracji.

– Nie rozumiem… – powiedział, ale cień bólu w jego oczach podpowiadał mi, że rozumiał, po prostu musiał przyswoić tę wiedzę.

– Te wspomnienia, obrazy… Królik, karuzela czy *Mały Książę* są moje. To było moje dzieciństwo.

– Też nie pamiętasz nic więcej? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Pamiętam wszystko. Ty dostałeś tylko kilka obrazków. Ja mam w głowie pełen album i pewnie chętnie pozbyłabym się z niego kilku fotografii.

– Jak? Dlaczego?

Rozumiałam jego szok i ból. Jeszcze chwilę temu myślał, że ma niewiele, ale lepsze to niż nic. Teraz nie miał nic.

– Dowiem się, przysięgam. I winni zapłacą.

– Czy nic nie jest prawdą?

– Nie wiem, Robinie. Ale dokopiemy się do prawdy. Wiem, gdzie jej szukać.

Wstał, ociekając wodą, nagle obojętny na to, że stoi przede mną nago.

– Chcę pamiętać – wyszeptał i na jego twarzy odmalował się wysiłek.

Nagle zobaczyłam białka jego oczu, a chwilę potem ciężko zwalił się do wody. Skoczyłam i go wyciągnęłam, zanim nabrał jej w płuca. Owinęłam mu kark zrolowanym ręcznikiem i ułożyłam jego głowę na krawędzi wanny.

Gdybym potrzebowała podpisu Ireny pod tym wszystkim, właśnie bym go zdobyła. Ktoś mieszał mu w głowie i pozakładał blokady chroniące dostępu do informacji. Bezpiecznik właśnie się przepalił. Z pozytywów – blokady nie byłyby potrzebne, gdyby zdołała wyczyścić mu pamięć do zera.

Siedziałam po turecku na podłodze łazienki, pochłaniając batony energetyczne, i pilnowałam obcego faceta, by się nie utopił. Za oknem szalała burza, a ja kombinowałam, jak wydobyć tajemnice od Ireny. Właściwie zawsze wiedziałam, że do tego dojdzie. Choć myślałam, że sekrety będą dotyczyły mnie.

*

Ocknął się dwie godziny później. Wychodził z wanny zmarznięty, a jego skóra była pomarszczona, lecz rany ładnie się zagoiły. Blizny stały się jasnoróżowe i nieco napięte, pewnie bolały jeszcze przy gwałtowniejszym

ruchu, jednak i tak mu zazdrościłam tempa regeneracji. Potrzebowałabym dwa razy więcej czasu w śmierdzącej miksturze, by osiągnąć taki efekt. Może to kwestia jego wieku, a może mikstura współgrała lepiej z jego magią niż z moją.

Podałam mu szlafrok Aleksa i zostawiłam samego w łazience. Za chwilę przypomni sobie, że jest skromnisiem, i znów spali cegłę, uświadamiając sobie, że widzę wszystko.

Kilkanaście minut wcześniej ostatni grzmot przetoczył się nad moim dachem. Wciąż padało, ale fale czkawki zdawały się coraz słabsze, a gdy elektrownia uruchomiła transformatory, wiedziałam, że najgorsze mamy za sobą. Zatrudnione w elektrowni wiedźmy powietrza znały się na rzeczy.

Rozmroziłam porcję gulaszu, bo oboje potrzebowaliśmy w cholerę protein i kalorii. Ja – bo byłam sobą, on – bo po regeneracji musiał umierać z głodu. Tak działała magia preparatu. Zdarzyło mi się kiedyś korzystać z niego dwa razy w krótkim czasie. Rany zniknęły, podobnie jak cztery kilogramy wagi. Nauczyłam się, że jeśli nie uzupełni się kalorii, organizm po prostu pożera siebie.

Robin wszedł cicho do kuchni i usiadł przy stole. Nałożyłam dwie porcje do dużych misek i rozkroiłam chleb. Uświadomiłam sobie, że to kolejny raz, kiedy szykuję mu posiłek. A niech mnie, jeśli wejdzie mi to w krew. Czekał go rewanż, tego byłam pewna. W ciszy zabraliśmy się do jedzenia. Może tak jak ja Robin zastanawiał się, jak właściwie zaczyna się rozmowę po takich rewelacjach.

– Doszłaś już do tego, od czego chcieli odwrócić twoją uwagę? – zapytał po dłuższej chwili.

– Nie, ostrzegłam Karmę i Ilię, Aleksa… Nie wiem, kto jeszcze mógłby być na celowniku.

– I tak sporo. W mojej komórce mam pięć numerów telefonów: cztery mają związek z Zakonem, piąty jest numerem do pizzerii położonej najbliżej siedziby. Operator przysłał mi esemesa z pytaniem, który z tych numerów oznaczyć jako ICE, na wypadek, gdyby coś mi się stało, i ratownicy potrzebowali skontaktować się z kimś bliskim. Poważnie zastanawiałem się, czy nie wpisać numeru pizzerii – mamy stały kontakt i daję dobre napiwki.

– Wpisz mnie – powiedziałam i utrzymałam jego spojrzenie.

– Jesteś pewna?

– Jesteśmy partnerami. Nie gwarantuję, że się nie wścieknę, że dałeś się zranić, ale gdybyś wylądował w szpitalu, będę tam, choćby po to, by poflirtować z pielęgniarkami.

– Rozgrzewasz moje serduszko szybciej niż ten gulasz.

– Widać masz źle ustawione priorytety. To pierwszorzędny gulasz – odparłam i uśmiechnęłam się wbrew sobie.

Dopiero godzinę później, kiedy kończyliśmy każdy swój litrowy pojemnik lodów, spłynęło na mnie oświecenie. Był jeszcze ktoś. I seria nieodebranych połączeń. Odszukałam je w pamięci telefonu. Owszem, numer przypisany był do Zakonu, ale dopiero teraz zauważyłam, że końcówka wskazywała na prywatną linię Ireny. Dzwoniła osiem razy, kiedy przeszukiwałam dom Korfantego. Wyciszyłam dzwonek, więc nie wiedziałam, że była aż tak uparta. Całkiem zapomniałam o tych telefonach, rozproszona stanem Zeldy, porwaniem i Robinem wykrwawiającym mi się w wannie. Każdy by to zrozumiał, ale nie Irena. Nagrała mi wiadomość na skrzynce. Nigdy tego nie robiła. Nienawidziła rozmawiać z maszyną, która na nią piszczy (jej słowa). Połączyłam się ze swoją pocztą głosową i odsłuchałam krótką wiadomość:

– Uruchamiam protokół ósmy. Tryb Valkiria. Nie zawiedź mnie.

Jej głos nie był tak opanowany jak słowa. Protokół ósmy oznaczał bezpośrednie zagrożenie życia, ekstrakcję i możliwość uruchomienia planu ewakuacji. Rzuciłam wiązanką przekleństw i wybrałam jej numer. Miałam zasięg, na szczęście, co po potężnej czkawce nie było regułą. Z każdym sygnałem nieodebranego połączenia miałam gorsze przeczucia. Irena nie odbierała, co zupełnie nie pasowało do jej nowego stylu. Telefon miała przyrośnięty do ręki, jak kiedyś pistolet. Zadzwoniłam do jej sekretarki tylko po to, by się dowiedzieć, że szefowa wyszła przed burzą do domu. Zadzwoniłam do Mateo, szefa jej ochrony. I gdy nie odpowiedział, miałam pewność, że jest źle.

– Dopadł ją – mruknęłam, zastanawiając się nad kolejnymi krokami.

Robin, który musiał wytężać szare komórki podczas moich prób skomunikowania się z Matką, powiedział:

– Myślisz, że to ona była celem? Dlatego odciągali twoją uwagę?

Przytaknęłam.

– Nie wiedziałem, że jesteś z szefową tak blisko.

– Bliżej, niż bym chciała – mruknęłam. – Nie tylko ciebie wychowała Matka Przełożona – dodałam, zastanawiając się, czy w jego przypadku to była prawda, czy kolejna wklejka z mojego dzieciństwa.

W teczce, którą Irena dla niego sprokurowała, jego akcje też bazowały na moich. Nie rozumiałam, dlaczego to zrobiła, przecież musiała wiedzieć, że się zorientuję, że nie było go tam, gdzie wedle papierów przebywał. Ale byłam jedną z niewielu osób, które by się zorientowały. Nie miałam dobrej reputacji, nie zwierzałam się, moje raporty były enigmatyczne i zwykle korzystałam z zewnętrznych kontraktorów i współpracowników, skoro nikt w Zakonie nie śpieszył się do współpracy ze mną, odkąd wróciłam z akcji bez partnera i ekipy. Robin mógł uchodzić za jednego z tych niezależnych, którego wciągnęłam do formacji. Irena chciała, by jego historyjka wydawała się wiarygodna. I wciąż nie pojmowałam, czemu w takim wypadku wepchnęła go na partnera jedynej osobie, która mogła przejrzeć przykrywkę. Chyba że to nie on miał zginąć w wyniku naszego spotkania. Miałaby sprawnego Cienia z historyjką, którą cała reszta kupi. Czy moja matka próbowała mnie zabić? Do tego doszło? Uznała mnie za zbędny balast? Tylko dlaczego chwilę później postanowiła mnie wezwać, używając kodów, które wbijała mi do głowy, odkąd skończyłam piętnaście lat, i które sprowadzały się do tego, że mam ją uratować, choćbym sama miała przy tym zginąć?

Nie rozumiałam jej. Może będzie okazja, by o to zapytać. Jeśli jeszcze żyła.

Rozdział 17

Bramka przy drzwiach wejściowych do administracyjnego skrzydła Zakonu zabrzęczała wściekle, kiedy przeszłam, nie zawracając sobie głowy odkładaniem broni. Strażnik skoczył w moim kierunku z paralizatorem w jednej dłoni i pałką teleskopową w drugiej. Według zarządzenia Matki, z powodu ryzyka rykoszetu, w tym zbudowanym jak skarbiec skrzydle broń palna miała być ostatecznością. On się do tego stosował, ja miałam to gdzieś.

– Kod czerwony – warknęłam. – Matka jest zagrożona.

Strażnik zamrugał i zatrzymał się na ułamek chwili. Dość długo, bym go zabiła, gdyby była taka potrzeba. Ale to nie zmieniłoby mojej sytuacji.

– Czy Matka lub Mateo są na terenie budynku? – zapytałam autorytarnym tonem.

– Nie wydaje mi się – skrzywił się – ale mam zmianę od godziny.

– Ogłoś cichy alarm, stan gotowości, blokada gabinetu i archiwum wedle protokołu ósmego. Cisza na wszelkich kanałach zewnętrznych.

– Ale… – Zawahał się.

Rozumiałam go. Byłam dla niego nikim. Nie wiedział przecież, że jestem córką Ireny.

– Czy Marianna jest wciąż w gabinecie Matki Przełożonej? – zapytałam po chwili zastanowienia.

Przytaknął zadowolony, że decyzje oddalają się z jego podwórka na inne. Ruszyłam więc do gabinetu Matki. Sama. Robin poszedł do swojej kwatery po broń i kilka rzeczy, które, jak stwierdził, „mogły się przydać”. Gdyby to był którykolwiek z Cieni, podejrzewałabym, że już go nie zobaczę, tymczasem Robin wydawał się w tym całym zamęcie dziwnie opanowany.

Marianna siedziała przy szerokim biurku z idealnie czystym blatem z oszronionego szkła. Jej wypielęgnowane dłonie, z nieskazitelnym lakierem na idealnych paznokciach, stukały z szaleńczą prędkością w klawiaturę. Kiedyś takimi seriami strzelała z broni automatycznej, ale strzaskana w czasie wybuchu bomby noga nie zrosła się dobrze. Mogli ją

amputować i wstawić protezę. Może wciąż byłaby agentem terenowym, żywym wcieleniem niepokonanej bohaterki kina akcji, bo jestem pewna, że znalazłaby sposób, by jej proteza stała się – całkiem dosłownie – zabójcza. Wybrała rozsądniej. Zmieniła sportowe ciuchy na elegancką garsonkę od projektanta, z krótką spódniczką odsłaniającą powód zmiany kariery. Noga została na miejscu, ze sztywnym kolanem, bliznami od poparzeń i śladami po śrubach. Marianna nie mogła biegać, wspinać się czy czołgać, czego wymagała robota w terenie. Jednocześnie zmiana oznaczała dla niej regularne godziny pracy, stałą pensję i spokój. A także możliwość założenia rodziny, z której to możliwości skorzystała.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, poniosła na mnie swoje jasnoniebieskie oczy. Wyglądała jak godna następczyni niemieckiej arystokracji, z urodą chłodnej blondynki, ostrymi rysami twarzy i ustami o wąskiej, surowej linii. W kostiumie w kolorze fuksji i z idealnie ułożoną fryzurą przypominała żonę ambasadora, lecz zdradzał ją zimny błysk w oku. Byłam przekonana, że niczego nie zapomniała i w tym momencie rozmyślała, na który z pięćdziesięciu znanych jej sposobów mnie zabić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nikito, co za nieoczekiwana wizyta. – Jej słowa były odpowiednio chłodne, by zniechęcały mnie do jej przedłużania, ale nie wydały się nieuprzejme. Była doskonałą strażniczką. I zapewne pamiętała, że ledwie kilka dni temu wyszłam stąd, trzaskając drzwiami, po karczemnej awanturze z Matką.

– Nieoczekiwane okoliczności. Kiedy Matka opuściła budynek? – zapytałam.

– Ponad godzinę temu.

– Czy był z nią Mateo?

– Jak zawsze – odparła powściągliwie. Nie ufała mi.

– Czy możesz się z nią skontaktować?

Skrzywiła się.

– Czy kontaktował się z nią mężczyzna o imieniu Ture?

Przybrała zacięty wyraz twarzy. Więcej odpowiedzi nie uzyskam, jeśli nie powiem czegoś, co ją przekona.

Zbliżyłam się do jej biurka. Wpatrując się w nią, próbowałam odczytać sygnały…

Czy wiedziała o mnie? Czy wiedziała coś o Matce? Czy tkwiła w tym wszystkim? Czy Ture miał coś i na nią?

– Czy Matka wspominała ci o protokole ósmym? – zapytałam.

Cała uprzejmość odpłynęła jej z twarzy.

– Oczywiście. Co się stało?

– Wciąż to składam. Ale znam Irenę. Jeśli uratowałabym jej życie, ale nie dopilnowała zabezpieczenia jej interesów, zabiłaby mnie.

– Tak – powiedziała spokojnie. – Jaki kod?

– Valkiria – podałam hasło.

Skinęła zaskoczona i zaczęła błyskawicznie wpisywać kody, które blokowały dostęp do komputerów w centrum i zatrzaskiwały stalowe kurtyny chroniące wejścia do archiwów. Stalowe okiennice zjeżdżały w dół okien z cichym szumem. Zamigotała czerwona lampka nad drzwiami do gabinetu Matki.

– Czy Ture tu był albo się z nią kontaktował? – zapytałam raz jeszcze, licząc, że hasło skłoni ją do współpracy. – Wysoki, rudy, wedle świadka wyglądał jak model z reklam garniturów.

– Nie było nikogo takiego. Zapamiętałabym. – Uśmiechnęła się lekko, ale natychmiast spoważniała.

– A starszy facet z długimi włosami, brodą i blizną na skroni i policzku? Prymityw? – opisałam powściągliwie mojego ojca. Wciąż obawiałam się, że nas odnalazł.

– Ernst? Nie, nie było go tu. – Zmrużyła oczy i spojrzała na mnie podejrzliwie. – Skąd wiesz o Ernście?

– Zapytasz Irenę, jak wróci. Czy masz podgląd jej systemu alarmowego w domu? Czy jest uzbrojony?

Palce znów zaśmigały po klawiaturze.

Moja matka ufała jej. Nie z zasady – po prostu dokładnie ją sprawdziła i przetestowała na kilka możliwych sposobów. Wciąż jednak nie miałam pojęcia, ile dokładnie wiedziała.

Uniosła spojrzenie znad ekranu. Zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się i już wiedziałam: system alarmowy w domu Matki był naruszony. Sięgnęłam po komórkę i wyszłam z gabinetu.

– Jurij, jesteś w okolicy? – zapytałam, darując sobie powitanie.

– U siebie – odpowiedział spokojnie, z lekko wyczuwalnym kresowym zaśpiewem.

„U siebie” oznaczało jego małą twierdzę z żelbetowymi ścianami i oknami ze zbrojonego szkła. Kupił i zaadaptował na swoją siedzibę budynek należący do krasnoluda. Niegdyś mieścił się tam sklep jubilerski – do czasu, kiedy ówczesny właściciel utknął na ulicy podczas czkawki. Nikt nie chciał kupić nieruchomości, choć rodzina opuszczała cenę – paranoiczny krasnolud pozostawiał wszędzie pułapki, materiały wybuchowe i zaklęcia, które miały powstrzymać włamywacza. Jurij kupił dom za bezcen, a rozbrajanie kolejnych niespodzianek traktował jak weekendowe hobby. Niektórzy idą na ryby, on rozbrajał ładunki, które mogły wysadzić w powietrze pół kwartału. Co ważniejsze w tej sytuacji, jego lokum znajdowało się w Warsie, w Twierdzy, tej samej dzielnicy co siedziba Zakonu i dom Matki, nawet bliżej tego drugiego. A to była bardzo dobra wiadomość.

Ustaliłam stawkę. Wysoką, ale szafowałam pieniędzmi Ireny. Zanim tam dotrzemy, zrobi wstępny rekonesans. Nasza trójka powinna sobie poradzić niemal z wszystkim – taką miałam nadzieję. Walczyłam już u boku Jurija. To było coś, co chętnie powtarzałam, nawet jeśli wezwanie go oznaczało, że jestem w dupie.

Jurij był kiedyś członkiem Zakonu, bardzo dobrym fachowcem. Ale Zakon popełnił błąd: wysłał jego i jego zespół do ochrony kolesia, który zadarł z aniołami, ba, zadarł z Abaddonem. Znałam szczegóły, bo zamieszana była w to Dora Wilk, a od mojej własnej wpadki z Zakonem i zleceniem na pierzastego trzymałam rękę na pulsie. Pod pewnymi względami historie moje i Jurija były podobne. Straciliśmy naszych ludzi, partnerów, a przede wszystkim – wiarę w nieomylność Zakonu. Ja ograniczyłam się do dokładnego sprawdzania każdego zlecenia i odrzucania tych, których zdecydowanie nie chciałam wykonać. Jurij zrezygnował dzień po wpadce, uznając, że ma większe szanse na przeżycie w pojedynkę niż jako członek Zakonu. Oficjalnie odszedł na emeryturę. Nieoficjalnie robił to, w czym był dobry, ale zarabiał lepiej i sam wybierał sobie klientów. Bywałam jego klientką, jeśli potrzebowałam wsparcia, dodatkowej siły ognia i dyskrecji. Wedle protokołu ósmego mogłam liczyć na pełne wsparcie Zakonu. Mogłam wezwać któregokolwiek z aktywnych Cieni, ale nie ufałam im. Nie wiedziałam, czy cała sytuacja nie zaczęła się fermentem wewnątrz organizacji i czy ktoś z Zakonu nie maczał w tym wszystkim palców.

Gdybym miała wybierać: weekend w basenie z rekinami albo godzina z wysoko postawionymi członkami Zakonu, bez słowa wcisnęłabym się w moją piankę do nurkowania. Rekiny też są drapieżnikami, ale nie bawią się dodatkowo w politykę.

Robin, czekający przy bramce i swobodnie opierający się o ścianę, wyglądał jak bóstwo wojny. Strażnik spoglądał na niego z niemym przerażeniem. Rzucił mi spanikowane spojrzenie, bo w jego oczach nagle wyglądałam jak miła dziewczyna z sąsiedztwa i zupełnie mu nie przeszkadzało, że bramka zawyła, gdy tylko znalazłam się w jej zasięgu. Mogłam to zrozumieć. Robin poszedł na całość. Zniknęły dresy Aleksa, które mu pożyczyłam. Wyglądał jak człowiek lasu, ale z poprzedniej epoki. Spodnie miał skórzane, lecz nie w stylu członka motocyklowego gangu czy rockmana, tylko trapera – z ręcznie wyprawianej skóry. Kiedyś pewnie były jasne i zamszowe, jednak z upływem czasu włoski zamszu wytarły się, a kolor przeszedł w brązowy. Jeśli naprawdę żył ponad dwieście lat, te spodnie musiał nosić na tyłku przez większość tego czasu, bo leżały na nim, jakby się w nich urodził. Na ciemnobrązowej koszuli miał coś w rodzaju pancerza z grubej skóry, nabijanej małymi mosiężnymi kółeczkami. Włosy związał, ale nastroszona broda nadawała mu odpowiednio barbarzyński wygląd. Zniknęła gdzieś miła buźka i przyjazne spojrzenie, facet był w nastroju do zabijania. I nagle wszystkie elementy wydawały się znaleźć na swoim miejscu. Cała ta nieporadność czy niekompatybilność, która rzucała mi się w oczy, odkąd go poznałam, zniknęła. Jakby odzyskał część siebie. Nie wiedziałam, czy stało się to jeszcze w wannie, a ja to przegapiłam, czy pomogły mu te ciuchy, w każdym razie działało.

Medalion kołysał się na rzemyku na jego piersi i pasował mu teraz bezbłędnie. Mogli mu zabrać wszystkie wspomnienia, ale jak nie zdołali mu odebrać magii i medalionu, tak nie zdołali pozbawić go trzonu jego osobowości. Ten miły i uczynny chłopiec był wojownikiem i wiedział, jak odebrać życie bez drgnięcia powieki. Momentalnie poczułam, że ufam mu jeszcze bardziej, bo wiem, że na jakimś poziomie mówimy dokładnie tym samym językiem.

Może i nosił ciuchy retro, ale broń preferował współczesną. Zza ramienia wystawał mu sportowy łuk z włókna szklanego i kołczan najeżony dziesiątkami strzał. Przy pasie miał pochwę z mieczem, z drugiej strony przyczepiona była solidna kusza i kolejny kołczan na krótkie, czarne bełty.

Z pasa biegnącego w poprzek piersi wystawały rękojeści kilkunastu noży do rzucania. I już wiedziałam, jak przeżył w Zakonie.

– Masz wszystko? – zapytałam.

Skinął i dźwignął czarny marynarski worek, który leżał u jego stóp. Z Inkwizycją i Zębuszką w podwójnej kaburze oraz dodatkowymi magazynkami w pasie wydawałam się niedozbrojona w porównaniu z nim, ale to przede wszystkim on i Jurij mieli walczyć. Dla siebie zaplanowałam coś innego.

*

Matka miała skłonności do lekkiej paranoi i lubiła być przygotowana na każdą okoliczność. Dlatego kupiła nie tylko rozłożystą, białą rezydencję ze stalowymi okiennicami w prestiżowej okolicy, ale też dużo mniejszy dom przy sąsiedniej ulicy, który miał tę zaletę, że tyły jego podwórka stykały się z rezydencją. W domku nikt nie mieszkał na stałe. Czasami lokowała tam gości, których lubiła na tyle, by nie zostawiać ich na pryczy w Zakonie, ale nie ufała wystarczająco, by zabrać ich do swojego domu. Tam wstęp miała tylko ona i jej ochrona. Byłam w nim kilka razy, ale nigdy na dłużej, bo ochrona nie robiła wyjątków dla… Właściwie czemu miałaby robić, skoro nie wiedziała o pokrewieństwie moim i Matki?

Goście nie mieli pojęcia, że domek i rezydencja połączone są tunelem wykopanym przez krasnoluda, którego nikt później nie zdołał zatrudnić i po którym ślad zaginął. Zaparkowałam dyskretnie dwa numery dalej i przemknęłam do furtki w płocie otaczającym dom, który wyglądał jak spełniona fantazja nauczycielki z podstawówki o miejscu, gdzie mogłaby wychowywać dzieci i hodować labradory. Dwie wierzby zwieszały witki nad wejściem, tworząc baldachim nad ścieżką. Odkręciłam śrubę, która przytrzymywała panel domofonu – pod spodem mieścił się dyskretny panel systemu alarmowego. Wpisałam swój indywidualny kod i zielona lampka zamigotała zapraszająco. To dobrze, bo gdybym bez tego zielonego światełka próbowała zejść do tunelu, skończyłabym z płucami wypełnionymi trującymi oparami czy zasypana w pułapce. Przeszłam przez podwórko tak wąskie, że z trudem zaparkowałabym tam SUV-em, i weszłam do domu. Zejście do tunelu mieściło się w szopie na narzędzia za budynkiem, ale posesja, bardzo wąska z przodu, miała kształt

rozciągniętego trapezu. Ogrodzenie skonstruowano w taki sposób, że nie można było po prostu wyminąć domu i przejść na podwórko za nim. Wysoki ceglany mur przylegał gładko do bocznych ścian domu i na tyły dało się dostać, tylko przechodząc przez dom. Po wpisaniu kolejnego kodu weszłam do środka. W nozdrza uderzył mnie zapach różanego potpourri i poczułam, jak ściska mi się żołądek. Było w tym zapachu coś, co przywoływało wspomnienia, które wolałam wyprzeć. Otrząsnęłam się i zamknęłam za sobą drzwi. Nie uzbroiłam ponownie alarmu.

Dom był jak z katalogu – nierealnie schludny i nienoszący śladów ludzkiej obecności. Irena go urządziła, ale meble, podłogi czy blaty nie wyglądały na używane. Po dywanie z wysokich, kremowych frędzli nikt nie chodził. Ja też go ominęłam, wybierając stąpanie po drewnianych panelach. Na taras za domem wychodziło się przez przeszklone drzwi w kuchni. Trawnik był skoszony niedawno. Albo ktoś podlewał go regularnie, albo pogoda ostatnich dni służyła trawnikom znacznie bardziej niż ludziom. Obmacałam ostrożnie drzwi do szopy i odczepiłam żyłkę pułapki. Przesunęłam kosiarkę i taczkę z narzędziami, by odsłonić klapę. Zapaliłam latarkę i zeszłam w dół po stromej drabinie – po pokonaniu sześciu stopni moje stopy trafiły na solidne dno tunelu.

Dwanaście minut zabrało mi pokonanie wąskiego i niskiego tunelu. Krasnolud mógł wykopać szerszy, ale Matka uznała, że to niezła motywacja do utrzymania diety. Strategicznie też było lepiej, by potencjalny pościg napotkał trudności przy próbie przeciśnięcia się przez przejście wąskie jak kanał rodny, podczas gdy Matka, szczuplejsza ode mnie i niższa, przemknęłaby z wdziękiem oblubienicy śpieszącej na noc poślubną.

Wyjście z tunelu znajdowało się na poziomie garażu, w niewielkim pomieszczeniu, które normalnej rodzinie służyłoby pewnie za składzik na narzędzia czy miejsce do składowania rowerów. Matka trzymała tu szafy pancerne z bronią palną. Uchyliłam klapę tylko na centymetr, by się upewnić, że droga wolna. Absolutna cisza mogła oznaczać, że wciąż miałam czas, albo coś dokładnie przeciwnego. Kliknęłam w słuchawkę w uchu i połączyłam się z Robinem. Szybko i zwięźle zdał mi relację z tego, co widział ze swojego snajperskiego gniazda po przeciwnej stronie ulicy, na dachu wysokiego na cztery piętra budynku. Wyglądało na to, że jednak nie mieliśmy czasu. Spuściłam psy. On i Jurij mieli odwrócić uwagę

tych, którzy pilnowali budynku od frontu. Jeśli się spiszą, wyciągną też kilku ze środka. Z resztą musiałam poradzić sobie sama.

Uniosłam klapę bezszelestnie. Matka dbała, by wszystkie zawiasy były regularnie oliwione. Wspięłam się po drabince i przykucnęłam na podłodze składu broni. Nasłuchiwałam. Wyłapałam stłumioną regularność kroków strażnika: sześć w jedną, sześć w drugą stronę. W szafach znajdował się cały arsenał, ale matka wszędzie miała zamki cyfrowe. Nie znałam kodu, a alarm ściągnąłby tu każdego. Ostrożnie i bardzo cicho przemknęłam przez lśniącą powierzchnię glazury na podłodze garażu. Automatyczna brama była zamknięta szczelnie, ale nie widziałam samochodu matki. Dziwne, nie miała w zwyczaju wysiadać na zewnątrz, dopiero w środku – po uzbrojeniu alarmu czuła się spokojniej.

Schody na piętro były betonowe, również wyłożone glazurą, więc nic nie skrzypnęło, kiedy po nich stąpałam. Kroki strażnika były coraz wyraźniejsze, ciężkie i regularne jak bicie serca. Przystanęłam. Mnie i jego dzieliły już tylko cienkie drzwi z płyty pilśniowej. Nasłuchiwałam, usiłując z dochodzących mnie dźwięków odmalować obraz tego, co zastanę. Nie sięgałam po broń palną. Cisza była moim sojusznikiem. Przynajmniej jeszcze przez chwilkę, zanim psy zaczną gryźć.

Nagle rozległ się odgłos maszynowej broni i pojedynczych strzałów zlewających się w kanonadę i wszystko wybuchło w chaosie. Teraz! Pchnęłam drzwi i owinęłam szyję strażnika stalową linką, zanim zdążył pisnąć. Nawet gdyby mu się udało, nikt by go nie usłyszał. Reszta była zbyt zajęta walką o własne życie, by przejmować się ratowaniem jakiegoś pechowca. Zrozumiał, że jest zdany na siebie, i nie zamierzał się łatwo poddawać. Próbował zaczepić palcami o cienką linkę, która wgryzała mu się w skórę i miażdżyła grdykę, ale zostawił tylko ślady zadrapań na skórze, a paznokcie zaczerwieniły mu się od własnej krwi. Niełatwo udusić kogoś w ten sposób – trzeba mieć sporo krzepy i jeszcze więcej bezwzględności, by nie puszczać przez te dwie, trzy minuty. To dość czasu, by się rozmyślić. Zaciskając linkę coraz mocniej, słuchałam jego rzężenia. Każdym mięśniem czułam jego ciężar, szamotał się w moim uścisku jak świeżo złowiona ryba. I nagle stał się już tylko ciężki. Pozwoliłam jego ciału osunąć się na podłogę i zaciągnęłam je w kąt, by nie było widoczne ze schodów na piętro czy od strony drzwi wejściowych.

Od przodu budynku dobiegały odgłosy sporej kampanii wojennej. Karabiny natarczywie terkotały, rozbrzmiewał huk wybuchów. Tupot wojskowych butów z każdą sekundą był bardziej frenetyczny i chaotyczny. Widziałam to tyle razy, że zamykając oczy, mogłam opisać, co się tam działo, tylko na podstawie odgłosów. Z każdym ciałem zaścielającym podjazd przed domem wrogowie staną się bardziej wściekli i spanikowani. Będą ryzykować więcej. I zginą. Tak właśnie będzie. Jurij i Robin robili, co do nich należało. Ufałam w ich możliwości i nasz plan, więc nie martwiłam się o nich czy o powodzenie akcji. Czas odwalić mój kawałek zadania. Mniej wybuchów, ale nie mniej emocji, pomyślałam. Chętnie bym się zamieniła z chłopakami. Musiałam się dostać na pierwsze piętro, gdzie wedle Marianny migał cichy alarm, umieszczony w sypialni Matki. Przywarłam plecami do ściany w ciemnym kącie pod schodami, słysząc, że wojskowi zbiegają po stopniach, zapewne idąc z odsieczą tym, których krzyki rozlegały się na dole. Bardzo dobrze, im ich mniej tam, na górze, tym lepiej. Skradając się po szerokich, kamiennych schodach, nie spotkałam nikogo.

Przyczaiłam się pod drzwiami sypialni. Nie słyszałam Matki, ale nie wyciągałam z tego zbyt daleko idących wniosków. Należała do osób małomównych, a jeśli była wściekła, wyduszanie z niej słów przypominało wyciskanie soku z kamieni. Towarzyszący jej mężczyzna był z kolei więcej niż rozmowny. Jego nabuzowany złością głos przecinał powietrze jak bat.

– I tak po prostu zapomniałaś o moim istnieniu, matko? Nigdy, nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałaś o tym, na co mnie skazałaś? O tym, co mnie czekało?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Wkrótce o ścianę z hukiem uderzyło coś ciężkiego i bez wątpienia szklanego. Jeśli łudził się, że rozbijanie wazonów czy szklanek uczyni Irenę bardziej rozmowną, mogłam się tylko roześmiać. Próbowałam tego, mając czternaście lat.

– Szukałem cię dziesięć lat. I przysięgałem sobie, że zapłacisz mi za każdy dzień w piekle, za każdy dzień, którym odwlekałaś moją zemstę…

– Nie masz tego w sobie – usłyszałam Irenę. – Nie pomyliłam się wtedy, nie mylę się teraz – dodała tym swoim zimnym, ociekającym pogardą tonem.

– Mylisz się. I on też się mylił! – Zaśmiał się i było w tym śmiechu coś rozpaczliwego. Jakby coś w nim umarło.

Usłyszałam kliknięcie odciąganego kurka i z Inkwizycją w dłoni wpadłam do pokoju. Musiał być tam sam – ta rozmowa była zbyt osobista, by pozwolił sobie na obecność świadków. To pachniało rodzinnym dramatem, a ja nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Reagowałam jednak na zagrożenie, a facet trzymający na muszce moją matkę zdecydowanie podpadał pod tę kategorię.

– Odłóż broń! – krzyknęłam.

Był wysoki, bardzo szczupły i faktycznie wyglądał jak model z kampanii reklamowej garniturów, z ostrymi rysami twarzy i długimi, opadającymi na pierś idealnie gładkimi włosami w kolorze miodu. W jego oczach i twarzy było coś znajomego, ale nie potrafiłam tego zinterpretować, rozproszona widokiem lufy, którą trzymał przy skroni przywiązanej do krzesła Matki.

– Zabij go – powiedziała twardo Irena.

– To nie twoja sprawa, siostro! To ciebie nie dotyczy – rzekł mężczyzna. – Zostaw nas, wciąż jest mi coś winna… – poprosił, a rysy jego twarzy złagodniały, kiedy na mnie spojrzał.

– Odsuń się i odłóż broń – powtórzyłam i naprawdę chciałam, by mnie posłuchał.

– Zabij go, do cholery! Choć raz zrób coś dobrze, do diabła! – krzyknęła Matka.

Wszystko zwolniło. Każde drgnienie mięśni widziałam wyraźnie, jak w zbliżeniu, powiększeniu. Gdyby tylko zwolniło jeszcze bardziej, zastygło na chwilę…

Wiedziałam, że strzeli. I że muszę być szybsza. I już wiedziałam, jak to się skończy.

Osunął się na podłogę z bezgranicznym zaskoczeniem. Jakby nie wierzył, że mogę do niego strzelić. Jakby wiedział o mnie coś, czego ja nie wiedziałam. Zamiast rozwiązać matkę, kucnęłam przy mężczyźnie, na którego piersi rozkwitała krwawa mandala. Coś mnie do niego przyciągało. Może jego zaskoczone, utkwione we mnie spojrzenie. Kształt oczu tak podobny do tych, które widziałam co rano w lustrze.

– Wybaczam ci, siostrzyczko – szepnął.

Poczułam się, jakby uderzył mnie pięścią w brzuch.

– Kim jesteś? – zapytałam szeptem.

– Ona ma odpowiedzi – wycharczał.

Z ust wypłynęła mu krwawa piana, a oczy mu zmatowiały. Już nie żył.

– Kim on był? – zapytałam Irenę.

Musiałam się tego dowiedzieć. I podskórnie czułam, że zrobiłam coś bardzo, bardzo złego, choć wydawać by się mogło, że wszystko, co się tu wydarzyło, było uzasadnione.

– To twój brat – warknęła. – Rozwiąż mnie.

Tak bardzo kusiło mnie, by tego nie zrobić. By po prostu wyjść z tego pokoju i nigdy nie wrócić. Gdzieś się osiedlić, mieć jakieś życie. Zająć się czymś, co choć częściowo pomoże mi odkupić wszystko to, co zrobiłam do tej pory. Ale nie mogłam uciec przed jej spojrzeniem, przed oczekiwaniem, że choć raz zrobię to, czego ode mnie chciała, wystarczająco dobrze, by ją usatysfakcjonować. Dłonie, wilgotne od krwi człowieka, który najwyraźniej był moim bratem, a o którego istnieniu nie miałam pojęcia, wytarłam o kapę na łóżku i rozcięłam więzy na kostkach i nadgarstkach Matki. Może kiedyś zapytam, jak ją przechytrzył i doprowadził do takiej sytuacji. Poczułam podziw dla człowieka, którego zupełnie nie znałam. Spełnił sporą część fantazji, jaką karmiłam się, odkąd skończyłam dziesięć lat. Czasami w snach widziałam tę scenę, tyle że w mojej wersji to ja trzymałam broń przy jej skroni i melodramatycznie groziłam jej, że ją zastrzelę, jeśli nie powie, że mnie kocha. A ona mówiła ze złością, bym wreszcie pociągnęła za spust i przestała zawracać jej głowę.

A potem po prostu stamtąd wyszłam. Otępiała schodziłam po szerokich, marmurowych schodach. Strzeliłam do uzbrojonego faceta, który wyłonił się z kuchni, i do drugiego, który strzelał z broni automatycznej przez uchylone drzwi wejściowe, zza nich dobiegały coraz rzadsze wystrzały.

Jurij był niezawodny, więc zakładałam, że po prostu nie bardzo miał już do kogo strzelić. Podeszłam do drzwi i wykrzyczałam umówione hasło. Terkot broni ucichł.

Ciała leżały pokotem. Z wielu sterczały bełty i strzały. Inne wykrwawiały się od kul, szkarłatem znacząc jasny podjazd przed domem Ireny. Jurij wychylił się zza słupa przy bramie wejściowej. Wapienny kamień był posiekany i poobłupywany rykoszetującymi kulami.

– Już po wszystkim? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Matka Przełożona zapłaci ci za twoje usługi. Powiedz jej, na ile się umówiliśmy i że byłeś moją jedyną opcją.

Musiałam mieć coś w spojrzeniu, może minie, ale nie pytał. Wyminął mnie i wszedł do białej rezydencji. Schowałam Inkwizycję, którą wciąż kurczowo ściskałam w dłoni.

Omijałam ciała, starając się ich nie nadepnąć. Gruz po wybuchu granatów chrzęścił mi pod stopami. To wydawało się w jakimś stopniu nierealne, odległe. Ilu ich tu było? Dwudziestu?

Doprawdy, nasze rodzinne spotkania mają coraz bardziej burzliwy przebieg.

Robin dogonił mnie kilkadziesiąt metrów dalej. Kołczany miał prawie puste, łuk znów przytroczony do pleców.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Nic nie było w porządku. Nigdy nie było. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie. Nie naciskał. Odłączył się przy siedzibie Zakonu i dał mi spokój, którego potrzebowałam. I dobrze – nie mogłam już dłużej powstrzymywać łez.

Rozdział 18

Nie wróciłam do domu. Podświadomie nie chciałam wnosić między ściany, które miały być moim bezpiecznym azylem, całego tego emocjonalnego bagażu.

Chodziłam po ulicach Warsa, szukając w sobie odpowiedzi, jakiegokolwiek wspomnienia, obrazu, który cokolwiek by tłumaczył. Z pamięci nie wypływało nic poza oczami Ture, szeroko otwartymi, ciemnymi jak moje. Malowało się w nich uczucie. Inne, niż spodziewałam się zobaczyć w oczach swojej ofiary. Najdziwniejsze było w tym to, że wydało mi się szczere.

Nieustannie analizowałam jego słowa i wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie dni. Byłam w stanie mu uwierzyć, gdy mówił, że nie miało mi się nic stać. Cała ta intryga była podła, manipulatorska, ale nie moja krzywda stanowiła cel, a zajęcie mnie na czas wystarczająco długi, by zrealizował to, co sobie zamierzył. Gdybym nie znalazła Zeldy na czas, stałaby się wpisaną w ryzyko strat osobą, która nic dla niego nie znaczyła. Po prostu była narzędziem do utrzymania mnie z dala od Zakonu, od Matki. Po co wysyłał mi kwiaty i modliszki? Nie wiedziałam. Może liczył, że się zwinę, zaszyję gdzieś na jakiś czas… A może po prostu był psychopatą. Miał geny mojej matki i najpewniej mojego ojca, więc szanse na to, że był całkiem popierdolony, mogłam uznać za spore.

Ale czemu o nim nie wiedziałam? Matka wiele razy opowiadała mi o ojcu, o jego reakcji na moje narodziny, o ucieczce przed jego wściekłością, gdy wymówiła mu posłuszeństwo. Twierdziła, że zrobiła to dla mnie, bo nie mogłaby spokojnie patrzeć, jak zabija jej dziecko. Ani słowem nie wspomniała o innym dziecku, które także było na tym rodzinnym zdjęciu. Ale to drugie dziecko zostawiła z Ernstem. Czemu nie zabrała obu? Czemu wybrała mnie? I jeśli Ernst chciał śmierci swojego potomstwa, jakim cudem Ture dożył okolic trzydziestki? Przez lata nauczyłam się nie zadawać zbyt wielu pytań, uznając, że to, co wiem, musi mi wystarczyć. Dziś wszystko prześlizgiwało mi się między palcami i nie

wiedziałam już prawie nic. Mit założycielski, na którym Irena zbudowała nasze życie – ucieczki, treningi, wyrzeczenia i wybory – zaczął drżeć w posadach.

Mijałam kolejne ulice, zupełnie nieobecna duchem. Zanim się zorientowałam, znalazłam się na Powiślu. Szeroki pas na wpół wybrukowanych, na wpół zarośniętych bulwarów wyznaczał granicę, za którą zapuszczali się tylko lekkomyślni i ci z życzeniem śmierci. Ale selkie nie wynurzyły się po mnie. Widać nie wyglądałam na apetyczną przekąskę.

Przysiadłam na betonowym schodku, wdychając słodkawy zapach gnijących wodorostów i szlamu zalegającego na dnie Wisły. Woda miała kolor brudnego prania z żółtawą pianą osiadającą na kamieniach przy brzegu. Zielona dżungla z drugiej strony wydawała się kipieć życiem jeszcze bardziej niż wczoraj. Kolejny raz udało mi się przetrwać wizytę w Sawie. Czasami czułam się jak karaluch, zastanawiałam się, czy przetrzymam wszystko, co zaserwuje mi los, moja rodzina, moje nie zawsze słuszne wybory.

Czemu strzeliłam do obcego mi człowieka? Trzymał na muszce moją matkę, ale przecież wszystko, co o niej wiedziałam, pozwalało mi wierzyć, że zapewne zasłużyła na każdą kulę, którą miał dla niej w magazynku. Czy po tym wszystkim, co przez nią przeszłam, wciąż byłam wytresowaną zabójczynią, która na rozkaz: „Skacz!” skacze z mostu, a na hasło: „Strzelaj!” strzela i nie zastanawia się nawet chwili? Wahałam się. Jakaś część mnie się wahała. Ale to nie wystarczyło. Nie mogłam pozostać obojętna na jej oczekiwanie. Przez trzydzieści lat nauczyła mnie bać się tego, co mnie spotka, jeśli ją rozczaruję. Byłam głupia, sądząc, że zdołam przerwać tresurę i wciąż pozostać w okolicy. Znała wszystkie słowa klucze. Moje wychowanie opierało się na warunkowaniu. Chciała mieć pitbulla gotowego gryźć, gdy spuści go ze smyczy. Czy choć przez chwilę pomyślała, co mnie pchnęło do tego, by iść do jej domu i ochronić ją przed niebezpieczeństwem?

Dla niej to było oczywiste – służyłam jej. Zawiodłam, skoro w ogóle doszło do takiej sytuacji. Powinnam go dopaść, zanim do niej dotarł.

Tyle że ja nie szłam tam dla Matki Przełożonej. Szłam tam dla mojej matki, dla kogoś, kto jest mi bliski. Nie była pierwsza na liście, to oczywiste. Ale jednak na niej była. Urodziła mnie. Należała do mojej rodziny. Alternatywę dla niej stanowił Ernst.

Znów myślałam o tym krótkim okresie, kiedy nie miałam przy sobie żadnego z nich. Ernst jeszcze mnie nie odnalazł i choć był potworem z szafy, przed którym uciekałam latami, jego obecność w moim życiu do tego się właśnie sprowadzała – był straszakiem. Irena podczas mojego szkolenia w Trójprzymierzu trzymała się na dystans, zwłaszcza kiedy pokazałam jej raport z mojego skanu. Poziom magii przeciętny, potencjalnie uzdolniona w kierunku uzdrawiania, niski poziom aktywności, nic wyjątkowego. Straciła zainteresowanie mną.

Nie mogła wiedzieć, że Kosma sfałszował raport, bo gdy tylko zobaczył wykres, zrozumiał, że mamy wspólną gałąź w naszym drzewie genealogicznym. Nie znał mnie. Nic o mnie nie wiedział. Ale próbował mnie chronić. Nie chciał, bym stała się czyjąś bronią. Zrobił dla mnie coś dobrego, zanim jeszcze zamienił ze mną pierwsze słowo.

Paradoksalnie mój drugi brat, również nieznany mi przez większość mojego życia, też chciał na swój sposób mnie chronić, ale był bardziej od Kosmy popierdolony. Niewykluczone – jeśli dobrze zrozumiałam jego słowa skierowane do matki – że spędził z Ernstem wiele lat. To sporo wyjaśniało.

Wtedy, po otrzymaniu wyników skanu, Irena mnie sobie odpuściła. Zawiodłam ją. Wcześniej miała nadzieję, że jednak obudzi się we mnie magia i utrze nosa mojemu ojcu. Nie pojawiały się u mnie żadne szczególne umiejętności, poza koszmarami. Wysłanie mnie na szkolenie było ryzykowne. Kilka lat później właśnie dzięki temu znalazł mnie Ernst. Trafiałam do systemu, ktoś mógł mnie rozpoznać, ale nie miała pomysłu, jak jeszcze może cokolwiek ze mnie wykrzesać.

Na szczęście nie wpadła na to, by mnie uwięzić, torturować, straszyć, grozić śmiercią, pozwolić, by zgwałciło mnie trzech jej ludzi, pobić, głodzić… Gdyby ktoś jej powiedział, że to obudzi moją magię – jestem pewna, że by to zrobiła. Cóż, najwyraźniej była mniej kreatywna niż Ernst.

Ale kiedy zniknęła z mojego życia na kilka lat, stałam się wolna. Decydowałam o sobie, nawiązywałam znajomości, rozwijałam się w kierunku, w którym chciałam – byłam młodą dziewczyną, która może wszystko, a nie tresowanym pitbullem.

– Czyżby nie odpowiadał ci Niemiec? – Usłyszałam za plecami nabrzmiały wesołością głos.

Westchnęłam, rozpoznawszy go.

– Gdyby chodziło tylko o niechciane małżeństwo, wrzuciłabym absztyfikanta do Wisły, na pożarcie utopcom i topielicom – odpowiedziałam.

– I nie byłoby legendy.

– Byłaby inna. Bardziej współczesna. O dziewczynie, która sama wybiera, z kim idzie do ołtarza.

– Na twoją bajkę jeszcze mało kto jest gotów – odparł i przysiadł na schodku obok mnie.

– Ale starą większość już rzyga. Gdybyś na swojej ścieżce znalazł uosobienie schematów, kogo nam wolno kochać, a kogo nie, nie uwieczniaj go, zgoda?

– Może mi się akurat zaciąć migawka. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Czyli co? Skaczesz? Bo zostały mi jeszcze trzy klatki na kliszy.

– Nie dziś. Wywołałeś zdjęcie, które ci dałam?

– Zaraz to zrobię, dziś już dość zdjęć. Nadchodzi kolejna burza. – Spojrzał na niebo, ciemniejące z minuty na minutę.

– Czkawka.

Skinął głową i wstał. Otrzepał płaszcz i nogawki, jakby miał na sobie ciuchy z ekskluzywnego domu mody, a nie wełniane portki pamiętające jeszcze zawiązanie się umowy trzech kapłanów. Poczekał, aż zgramolę się na nogi i pójdę za nim. Może naprawdę chciał mi pokazać to zdjęcie, a może po prostu liczył, że naciągnie mnie na zrobienie mu żarcia. W brzuchu zaburczało mi na samą myśl o jedzeniu.

– Idź przodem, dogonię cię – powiedziałam.

Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

*

Wciąż było na tyle wcześnie, że jadłodajnie były otwarte. Nie siadając przy stoliku, zamówiłam pięć porcji specjału dnia – pyz z ekstradużą porcją gulaszu, którą panna Wacia zapakowała mi w dwulitrowy słój. Kawałki mięsa napierały na szklane ścianki obietnicą uczty. Moje życie mogło się walić, ale to nie powód, by tracić apetyt czy opuszczać posiłki. Zapach jedzenia, dochodzący z kuchni i talerzy na stołach, był tak obłędny, że ślinka ciekła mi do ust.

Już miałam wychodzić, objuczona posiłkiem dla mnie i dla Fotografa, kiedy przy stoliku wciśniętym w najciemniejszy kąt mignęła mi znajoma sylwetka. Przeszłam przez salę i przysiadłam na wolnym krześle naprzeciwko Ludwika, którego znajomości mogły mi się dziś przydać. Jadł z entuzjazmem, nie rozglądał się i zauważył mnie, dopiero kiedy usiadłam i ze stukiem odłożyłam na blat torbę z pojemnikami. Prawie zachłysnął się krągłą kluską. Odłożył widelec, a jego dłoń powędrowała za pazuchę, gdzie zwykle nosił rewolwer. Uniosłam dłonie.

– Jestem tu prywatnie, nie służbowo – zapewniłam, a jego twarz się rozpogodziła, jakbym mu obiecała szczęśliwe zakończenie macanek pod stołem.

Wyjaśniłam, czego potrzebuję. Rozpromienił się jeszcze bardziej, kiedy się dowiedział, że nie tylko nie straci jaj, ale i zarobi. Niektórych naprawdę łatwo zadowolić.

Ledwie wyszłam na ulicę, wpadł na mnie jeden z tych małych obdartusów kursujących po arteriach Dzielnicy Cudów jak impulsy nerwowe. Wcisnął mi w dłoń kartkę i już go nie było, nie zdążyłam nawet dać mu napiwku. Rozwinęłam świstek i z ulgą przeczytałam wiadomość. Potrafiłam docenić dążenie losu do równowagi. Z Zeldą było już lepiej i chciała się ze mną jak najszybciej zobaczyć.

*

U Fotografa, kiedy przekroczyłam próg jego mieszkania, pachniało już magią i chemikaliami. Zostawił drzwi otwarte, a zaklęcie ochronne na futrynie nie próbowało mnie zatrzymać. W tych rewirach to prawie jak wyznanie miłości. Być może spodziewał się, że wrócę z jedzeniem. Nie sądzę, by tęsknił za moją kaszą ze skwarkami, ale posiłki panny Wacławy warte były deklaracji matrymonialnych. Rozłożyłam wciąż ciepłe pyzy na talerzach i solidnie podlałam gulaszem. Fotograf, jak na sygnał, wszedł do kuchni i zaczął się rozpływać nad zapachem. Przez kilka minut jedliśmy bez słowa. Cisza z nim nigdy nie bolała. Miał to coś, co sprawiało, że rozmowy często wydawały się nie na miejscu, jakby stanowiły niepotrzebny balast w procesie komunikacji. Mój gospodarz zgarniał kluchami kawałki mięsa na talerzu i delektował się każdym kęsem. Gdy skończył, przymknął oczy i westchnął z zadowoleniem.

– Jak tam moje zdjęcie? – zapytałam, przeżuwając.

– Interesujące. – Pokiwał głową.

– Czy w ostatnim czasie pojawił ci się na zdjęciach ktoś nowy? Wysoki, szczupły, długie rudawe włosy, wypieszczony garniturek i zbyt ładna buźka?

Zamyślił się, pocierając kciukiem policzek.

– Nie wydaje mi się. Ale opis brzmi, jakby dotyczył kogoś, kto mógłby tu być tylko na chwilę, więc i tak nie zrobiłbym zdjęcia – powiedział i, do jasnej cholery, wiedział więcej, niż mi kiedykolwiek powie. Nigdy do końca nie zrozumiałam jego magii, ale czasami, jak teraz, zastanawiałam się, gdzie są jej granice. – Chodź, pokażę ci twoje zdjęcie – rzekł, wstając od stołu.

Fotografia, choć zrobiłam ją prawie po ciemku, była idealnie ostra. Nie moja w tym zasługa – ot, wynik magii Fotografa. Robin nie spał na niej w pokoju gościnnym, ale stał z potarganą brodą i w skórzanym pancerzu na tle gęstej ściany lasu. Na jego przedramieniu przysiadł drapieżny ptak, wydawało mi się, że jastrząb. Robin spoglądał prosto w obiektyw z tym spokojem i łagodnością, które go wyróżniały, ale było w nim jeszcze więcej smutku. Bruzdy na jego twarzy wydawały się głębsze niż w rzeczywistości. Zza jego pleców wyrastał cień, niewyraźna męska sylwetka z rozłożystymi rogami, które otaczały Robina prawie jak skrzydła. Dalej, w tle, już niemal na krawędzi lasu, znajdował się jeszcze jeden cień. Intuicja mówiła mi, że to kobieta. Z fotografii emanowały emocje, głównie smutek.

– Muszę ją zatrzymać – powiedziałam. Wskazał mi kopię, wciąż wiszącą na sznurku.

*

W Tierra del Fuego panował spokój typowy dla wczesnych wieczorów w te dni, kiedy spodziewano się czkawki. Ostatnie jej ataki były na tyle dotkliwe, że ruch między dzielnicami ograniczał się do potrzeb ważniejszych niż chęć obejrzenia kobietek fikających nóżkami.

Wieczory takie jak ten dziewczęta zwykle spędzały w salonie. Urządzały sobie przyjęcie z muzyką z gramofonu, ciastem i ponczem na herbacie z miodem. Większość z nich rezygnowała z mocnego makijażu. Nie zatrzymując się, weszłam po schodach na piętro mieszkalne.

Apolonia wstała z krzesełka przy łóżku Zeldy i po cichu, z uśmieszkiem pełzającym jej po pięknie wykrojonych ustach, opuściła pokój. Być może nigdy się nie dowiem, jaki ona miała interes w całej tej historii. Podejrzewałam, że chciała się pozbyć Korfantego vel Świętego Mikołaja, i to nie dlatego, że narzucał się dziewczętom – zdmuchnęła jego świeczkę ze znacznie poważniejszych powodów. Nawet gdyby nie dał się wynająć Ture do porwania Zeldy, zrobił coś, co zagrażało pozycji panien Borman, a one nigdy nie wybaczają. Sam fakt, że się na to zdecydował, pozwalał snuć domysły, że był zbyt pewny siebie. Skąd wynikało to poczucie bezpieczeństwa? Porwał jedną z dziewcząt, zadzierając z kobietami, które nie przypadkiem były Filarami, a jednak uważał, że wyjdzie z tego cało. Nie zrobił tego dla pieniędzy, tych mu nie brakowało. Raczej chciał zaznaczyć swoją pozycję, pokazać się jako istotny gracz, z którym warto się liczyć. Może roiła mu się rola Filara. Może uwierzył w to, że za sprawą przekupstwa ma szansę uzyskać przywilej, który nie był w gestii żadnego człowieka na świecie, bo przecież Dzielnica sama wybierała swoje Filary.

Nie zapytałam o to Apolonii, podobnie jak Stefanii, którą spotkałam na parterze. Nie odpowiedziałyby. Poza tym nie spędzało mi to snu z powiek. Nie pierwszy raz ktoś mnie wykorzystał dla własnych rozgrywek. W Dzielnicy Cudów przynajmniej zwykle chodziło o coś większego i ważniejszego niż zasobność sakiewki czy seks.

Westchnęłam i opadłam na krzesło. Przez chwilę patrzyłam na śpiącą Zeldę. Wyglądała jak laleczka z wciąż zbyt bladą twarzą i gęstymi ciemnymi lokami rozrzuconymi na poduszce. Dziewczęta ubrały ją w koszulę nocną wykończoną falbankami i wstążeczkami – z bufiastych rękawów wyłaniały się drobne dłonie o delikatnych, krótkich jak u dziecka paznokciach. Prawie krzyknęłam, kiedy nagle poczułam czyjąś dłoń zaciskającą się na mojej kostce. Odsunęłam się z krzesłem i zajrzałam pod łóżko. Alicja zrobiła sobie tu legowisko z koca i grubego, wełnianego swetra. Potargana, we flanelowej piżamie i z bosymi stopami wyglądała krucho i trochę dziko. Dziwna mieszanka, ale dla niej typowa. Wypełzła spod łóżka i stanęła przede mną. Wyciągnęła dłoń i położyła ją na moim mostku.

– Boli… Ala smutna, że boli – powiedziała cicho. – Masz. – Wcisnęła mi w dłoń zawiniątko. – Jest całe, a teraz twoje – dodała.

Rozpakowałam kolorowy gałganek o nieregularnym kształcie. W środku znajdowało się serduszko z masy solnej, pomalowane na czerwono farbką. Z niewielkiej dziurki na górze zwisała czerwona wstążeczka. Ścisnęło mnie w piersi. Odchrząknęłam.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Ja dziękuję, za mamę.

Uśmiechnęła się słodko, szybciutko wpełzła pod łóżko i zakopała się w fałdach koca, tak że wystawał tylko czubek kudłatej główki.

– Jesteś… – Głos Zeldy był wciąż słaby, ochrypły, przypominał bardziej szept. – Jesteśmy kwita, Cieniu.

– Jeśli tak uważasz.

– Tak właśnie uważam. Dziękuję.

– Wtedy nie pozwoliłaś mi dziękować. Powiedziałaś, że każdy zrobiłby na twoim miejscu to samo.

– Kłamałam.

– Wiedziałam.

Uśmiechnęła się blado i wyciągnęła dłoń w moją stronę. Uścisnęłam ją, zimną i wilgotną.

Wracając do domu, przypomniałam sobie tamten dzień… Akcja poszła bardzo źle. Moje wsparcie wzięło kasę na boku i wypięło się na mnie dokumentnie. Trzy kule trafiły mnie w brzuch. Normalnie może zdołałabym dojść do domu, ale były zatrute zaklęciem. Zemdlałam w jakimś ciemnym zaułku. Nie dawałam sobie szans i nawet nie miałam siły czy motywacji, by walczyć. Nie wiedziałam, że trafiłam prawie na próg panny Stefanii – drzwi, o które się opierałam, prowadziły do pralni i sutereny jej kamienicy. Znalazła mnie Ala. Miała tylko cztery lata. Przyprowadziła matkę i jakoś ją przekonała, że muszą mi pomóc. Wiem, że musiała ją przekonywać, bo dziś znam już nieco Zeldę. Jest praktyczna i w żadnym razie nieskłonna do porywów heroizmu czy miłosierdzia. A jednak przyprowadziła z szopy dwukołowy wózek, władowała mnie nań, choć jestem pewnie trzydzieści kilo cięższa od niej, a potem wywiozła mnie z Dzielnicy Cudów, zabrała do znachorki, która mieszkała w Przylepce. Zostawiła mnie tam i wróciła do domu przed nocą. Uratowała mi życie.

Przeżyłabym pewnie nawet bez pomocy znachorki, niełatwo mnie zabić, nie po aktywacji genów mojego ojca, ale byłam nieprzytomna – pełne dwie noce. Gdybym spędziła je w zaułku Dzielnicy Cudów, nigdy nie

zdołałabym jej opuścić. Panna Borman wściekła się na Zeldę. Nieświadomie pokrzyżowała jej plany. Anielska Apolonia widziała mnie jako rezydentkę i Mackę Dzielnicy, może, za jakiś czas, Filar. Wizja szeptała jej o mojej magii potężniejszej niż widać to na pierwszy rzut oka.

Tak się zaczęła współpraca moja i Apolonii. Zaoferowałam jej swoje usługi. W zamian obiecała nie wyrzucać Zeldy i Alicji na bruk za to, że mi pomogły. Potem dowiedziałam się, że Zelda to wyjątkowa śpiewaczka. Nie było mowy, by Apolonia się jej pozbyła, ale wtedy nie miałam o tym pojęcia. Bywa. Mogło być gorzej.

Dziś ja i Zelda byłyśmy kwita. I kto wie, czy ten równy rachunek nie zmieni wiele. Czas pokaże. Przyspieszyłam, bo tej nocy wciąż miałam do załatwienia kilka spraw. Czułam nadchodzącą czkawkę, ale nie mogłam czekać do jutra, do czasu, aż Irena wzmocni ochronę, zainstaluje nowy system i pozmienia wszystkie hasła.

Rozdział 19

Dziedziniec został wysprzątany, nie było na nim gruzu, krwi czy ciał. Mimo to czujne oko mogło zauważyć ślady ataku. Brama, wysadzona z zawiasów ładunkami wybuchowymi Jurija, wisiała tylko na słowo honoru. Kamery umieszczone na ogrodzeniu i rogach budynku wciąż były ślepe. Karma sprawdziła system firmy montującej Matce mechanizm alarmowy – ekipa pojawi się tu o szóstej rano, wymieni cały sprzęt i podrasuje zabezpieczenia domu i posesji.

Po śmierci Mateo i przed znalezieniem dla niego godnego następcy Matka była skazana na tymczasowych ochroniarzy. Miała ich kilku, ale byli słabsi. Nie ufała Cieniom bardziej niż ja, więc nie wezwała posiłków z Zakonu. Siedząc na tym samym dachu, z którego strzelał Robin, obserwowałam ruchy ochroniarzy. Irena musiała być wytrącona z równowagi bardziej, niż chciała przyznać, skoro pozwoliła im na takie partactwo – stwierdziłam, zauważając wielkie jak słonie luki w ochronie. Nie zamierzałam narzekać. Nie dziś.

Przedostanie się na teren sąsiadującej posesji wydało mi się proste. Właściciel nie był paranoikiem, ale też jako szef firmy transportowo-spedycyjnej, pilnującej, by na rynku Warsa nie zabrakło produktów z realnego świata, należał do tej części miejscowej elity, która cieszyła się sympatią obywateli i pewnie nie czuł się specjalnie zagrożony. Może nie wiedział, z kim dzielił wschodni mur i żywopłot. Miał psy, ale to były pieszczochy wpuszczane na noc do domu, a nie stróże z prawdziwego zdarzenia.

Przywarłam do szczytu ogrodzenia, przestraszona nagłym rozbłyskiem światła, ale to tylko błyskawica przecięła niebo, rozpoczynając burzowy spektakl. Za chwilę miało zacząć padać. Zsunęłam się z muru i przemknęłam w ciemności. Karma wyłączyła zdalnie czujniki ruchu od tej strony, więc lampy nie rozbłysły.

Dwóch strażników właśnie okrążało dom z drugiej strony, kiedy przykleiłam pasy bezbarwnej taśmy na szybie okienka do piwnicy.

Wcześniej tego dnia osobiście zostawiłam klamkę w pozycji otwartej. Pchnęłam szybkę i zaczepiłam żyłkę o boczne zabezpieczenie, po czym je zdjęłam, by dało się okno rozchylić dalej, aż w końcu zamiast piętnastu centymetrów zyskałam dobre trzydzieści. Gdyby alarm był w pełni sprawny, Irena wiedziałaby o tym, że okienko nie jest zamknięte, ale i o to Karma zadbała. Bardzo ją bawiło grzebanie w najdroższych zabezpieczeniach zamontowanych przez firmę, która miała się za najlepszego na rynku eksperta. To dobrze robiło jej hakerskiemu ego.

Całe szczęście, że ilości jedzenia, które pochłaniam, nie zostawiają mi pamiątki w postaci wałeczków na biodrach, bo było naprawdę ciasno. Prześlizgnęłam się – najpierw ręce, głowa, dość płaski biust, potem tyłek i nogi. Stojąc na rękach na podłodze składu z bronią, stopą przytrzymywałam okno, by nie huknęło o futrynę.

Cisza aż dzwoniła mi w uszach. Wyminęłam właz do tunelu, zabezpieczony teraz stalową belką i kłódką, i przeszłam do spiżarni – pomieszczenia, które od samego początku budziło moją ciekawość, ale przy krótkich wizytach w tym domu, z Mateo na karku, nie mogłam mu się przyjrzeć. A spodziewałam się znaleźć tu sporo ciekawych rzeczy. Kto zna Irenę, wie, że nie jest osobą rozmiłowaną w robieniu przetworów, a jednak miała pomieszczenie z regałami z drewna, obstawionymi słoikami z ogórkami i dżemami. Podejrzewam, że liczba słoików nie uległa zmianie, odkąd je tu postawiono. Matka traktowała je podobnie, jak ludzie traktują fałszywe książki ustawione na półkach dla efektu.

W rękawiczkach ostrożnie macałam krawędzie regału, aż znalazłam zapadnię. Odbezpieczyłam ją i przesunęłam regał na dobrze ukrytych kółeczkach. Zaleta paranoi Ireny – nie ufała ludziom instalującym alarm wystarczająco, by wpuścić ich tutaj i wskazać miejsce, gdzie przechowywała swoje skarby. Ufała tylko sobie, a ja znałam jej sztuczki. Cienka jak włos żyłka, zaklęcie szpiegowskie i dwa inne, mogące uśmiercić ciekawskiego. Nic, z czym bym sobie nie poradziła. Zawsze zapominała, że nawet jeśli traktowała mnie jak pitbulla do wynajęcia, byłyśmy wystarczająco blisko spokrewnione, bym zdołała przekonać jej zaklęcia, że nie są wymierzone we mnie. Działało, gdy byłam nastolatką, a ona zamykała mnie w mieszkaniu, wychodząc do pracy, zadziałało i dziś.

Oficjalnie archiwa Matki znajdowały się w siedzibie Zakonu. Dziś kazałam je zabezpieczyć Mariannie. Tyle że znam Irenę – nie zostawiłaby

najważniejszych dokumentów w miejscu, do którego dostęp miała nie tylko ona. Jej rywale w wewnętrznej polityce Zakonu mogliby zaglądać jej przez ramię i dowiedzieć się zbyt wiele. Widziałam moją teczkę w Zakonie, była równie prawdziwa jak cycki gwiazd porno i ani słowem nie wspominała o naszym pokrewieństwie. Miałam pewność, że matka dubluje dokumenty, które zawierają zbyt wiele wrażliwych informacji, a po takie właśnie tu przyszłam.

Sejf chroniony był sześciocyfrową kombinacją. Trafiłam już za drugim razem – data nominacji na Matkę Przełożoną. Przecież nie narodzin córki. Wyszukałam teczki, które mnie interesowały, i z powrotem zamknęłam sejf. Nie chciałam dziś radzić sobie z pozostałymi tajemnicami Ireny. Wiedziałam, że były tam teczki, które doprowadziły ją na stanowisko, i takie, które ją na nim utrzymały, ale to nie moje gierki.

Wsunęłam dokumenty pod koszulkę na plecach, pod elastyczny pasek, który przytrzymywał je na miejscu. Po założeniu kurtki nie odznaczały się zupełnie. Założyłam zabezpieczenia i przesunęłam regał. Zamarłam, słysząc odgłos kroków i otwieranych drzwi. Nie zdążyłabym uciec, więc zagrałam pewniaka. Poszłam prosto na schody prowadzące na piętro.

Stała na szczycie schodów, zza uchylonych za jej plecami drzwi sączyło się światło. Miała na sobie długi do kostek szlafrok, prawa kieszeń była wypchana glockiem. Ciemne włosy związała w niewielką kitkę. Twarz nie nosiła śladu makijażu.

– Co tu robisz? – zapytała oschle. Niespodzianka.

– Sprawdzam, czy twoi nowi ludzie są lepsi od tych, którzy pozwolili cię wziąć na zakładnika – odpowiedziałam spokojnie.

– I jaki wynik?

– Jestem w środku, oni nie.

– Może powinnaś tu być na stałe.

– To nie byłoby dobre rozwiązanie dla żadnej z nas.

Przytaknęła.

– Zabezpieczyłaś właz, ale nie okna – wytknęłam jej błąd.

– No tak. – Skrzywiła się, bo przecież sama mnie uczyła, że każde niedbalstwo może mnie kosztować życie. – Zostaniesz do rana? – Wydawała się zaskoczona nie mniej ode mnie tym, że to powiedziała.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu, które narastało między nami jak gęsty budyń.

– Chcę zdążyć do domu przed czkawką.

– Mogłabyś zostać w Zakonie, jest bliżej.

– Ale wtedy nie czkawka byłaby powodem do niepokoju.

– Jeśli nie możesz sobie z nimi poradzić…

– Daj spokój, jeśli ich pozabijam, znów dasz mi pogadankę o współpracy i kontrolowaniu gniewu. Pójdę już.

– To była dobra robota, dziś – powiedziała nieoczekiwanie.

– Dzięki. Chyba. Co zrobiłaś z jego ciałem? – zapytałam wbrew sobie.

– Skąd zainteresowanie?

– Jeśli dzielimy choć część genów, nie chciałabym, by wpadło w niepowołane ręce – wyjaśniłam.

Przez chwilę zastanawiała się, czy kupić moje wyjaśnienie. Ale miało sens. Były wiedźmy, które mając kilka kropli mojej krwi, mogłyby przyrządzić wywar skierowany przeciw Irenie. Powtarzała mi to wielokrotnie, pilnując, bym niszczyła swoje bandaże, tampony czy pokrwawione ciuchy. I zachowując pełnię dyskrecji na temat naszego pokrewieństwa, tak na wszelki wypadek.

– To już nie będzie problemem – powiedziała, a ja już wiedziałam, że sentymenty w rodzaju odwiedzin na grobie mojego brata zostały mi oszczędzone.

– On też był Ernsta? – zapytałam tylko.

Skinęła głową z tą zaciętą miną, która zawsze znaczyła, że jej cierpliwość już się skończyła. Cofnęła się o krok, w światło korytarza. Poszłam za nią i bez zbędnych pożegnań skierowałam się do wyjścia. Ochroniarze pojawili się przy ganku, gdy tylko zaskrzypiała klamka. Patrzyli zaskoczeni, gdy z domu wyszedł ktoś obcy. Rozluźnili się, dopiero kiedy zobaczyli idącą za mną Matkę. Nawet w szlafroku z egipskiej bawełny wyglądała odpowiednio władczo, by stanęli na baczność. Wyminęłam ich, trochę współczując im pogadanki, którą za chwilę usłyszą.

*

Byłam w połowie drogi do domu, kiedy zadzwoniła Karma.

– Namierzyłam tego kolesia – powiedziała na powitanie.

– Którego? – Nie wiedziałam, o kim mówiła.

– Ture. Namierzyłam jego telefon. Kwadrans temu jego komórka pobrała aktualizacje systemu.

Ścisnęło mnie w gardle.

– Gdzie jest?

Podała mi adres Camelotu, dość przyzwoitego hotelu położonego w nieco tańszej, ale wciąż dość prestiżowej części Twierdzy, jakieś trzy kilometry od miejsca, w którym się znajdowałam. Powinnam się domyślić: nie było żadnego hotelu usytuowanego bliżej siedziby Zakonu czy domu Ireny. Zerknęłam na kłębiące się nad moją głową czarne, burzowe chmury. Przez podeszwy butów czułam narastające wstrząsy czkawki.

Była naprawdę blisko. Rozsądniej byłoby przebiec ten kilometr, jaki dzielił mnie od domu, a do hotelu dotrzeć rano… ale wiedziałam, że nie zasnę, jeśli nie dostanę swoich odpowiedzi czy choćby ich namiastki.

W samą porę, pomyślałam, zatrzaskując drzwi i opuszczając stalową sztabę, która domykała ochronny krąg hotelu. Deszcz gwałtownie zacinał w przeszkloną ścianę budynku, a rozwścieczony wiatr uderzał w niego jak wilk próbujący zdmuchnąć domek trzech świnek. Ochronne kręgi wokół hotelu zaczęły parować zielonkawą poświatą, żyrandol w holu podzwaniał milionem kryształków.

Portier powitał mnie grzecznościową formułką i profesjonalnym uśmiechem, po którym jednak nie było śladu, kiedy szyby zadrżały po bliskim grzmocie. Nie przedstawiałam się. Nie chciałam wynajmować pokoju czy się meldować – potrzebowałam wiedzieć, który pokój zajmował mój brat.

– W którym pokoju zatrzymał się Ture? – zapytałam wprost.

– Nie możemy…

Wyciągnęłam plik banknotów z kieszeni, zwinęłam je w rulonik grubszy od mojego kciuka i postukałam nim o blat.

– Pokój dwieście trzynaście, drugie piętro – powiedział portier i rulonik trafił szybko do jego kieszeni.

Właśnie dlatego nigdy nie zatrzymuję się w takich hotelach – wszystkie pozory dyskrecji pryskają, kiedy na stół wjeżdża kilku polskich królów.

Nie ryzykowałam jazdy windą – wspięłam się po wąskich schodach ewakuacyjnych, a następnie odnalazłam właściwy pokój. Jego lokator miał

łatwy dostęp do schodów, było wystarczająco wysoko, by nie dało się wejść przez okno, lecz dość nisko, by w razie pożaru szybko się stąd wydostać. Nie był głupi ten mój brat. Na futrynie wokół drzwi wyczułam zaklęcie – silne, zbudowane na jego krwi, której smugę znalazłam dokładnie pośrodku górnej belki. Chwila prawdy, pomyślałam i ostrożnie nacięłam opuszkę palca wskazującego lewej ręki. Zmieszałam kroplę mojej ciepłej krwi ze śladem jego, zaschniętej. Glify ochrony rozjarzyły się i drzwi stanęły przede mną otworem. Matka nie kłamała. On też nie. Byliśmy rodzeństwem.

Weszłam do sporego pokoju. Jasne ściany, jasne dywany, podwójne łóżko, brak osobistych akcentów. Obeszłam szybko pomieszczenie, szukając śladów elektroniki. Komórkę zostawił na stoliku pod oknem, na którym wciąż leżała taca z pozostałościami po śniadaniu – resztkami croissanta i rozmazaną konfiturą. Malutko. Metabolizm musieliśmy mieć całkiem różny. Wyjęłam z komórki kartę SIM i obydwa przedmioty wsunęłam w plastikową torebkę i do kieszeni.

Na przykrytym satynową kapą łóżku leżała otwarta walizka. Podeszłam powoli. Bałam się – tego, co znajdę, a jeszcze bardziej tego, czego nie znajdę. Papiery zajmowały więcej miejsca niż ubrania. Może te trzymał w szafie. Wyciągnęłam gruby skoroszyt i przeglądałam stronę po stronie. Śledził mnie od wiosny. Musiał być dobry albo miał dobrych ludzi. Niczego nie zauważyłam. Na wydrukowanych raportach doklejał kolorowe karteczki ze swoimi uwagami. Czytałam je i próbowałam zrozumieć, jakim był człowiekiem ktoś, kto poświęcił mnóstwo czasu, by się o mnie czegokolwiek dowiedzieć. Miał zdjęcia mojego domu, warsztatu Aleksa, Pozytywki. Na jednym znalazłam Zeldę, zakreśloną kolorowym flamastrem i oznaczoną wykrzyknikiem. Mimo to nie dowiedział się o mnie wiele. W raportach znajdowało się sporo niewłaściwych domysłów. Źle interpretował moją relację z Aleksem. Zdecydowanie nie doceniał moich dochodów. Nie wiedział o niczym, co miało miejsce dalej niż dwa lat temu. Ręczna notatka datowana dwa lata wstecz wyglądała jak kartka z dziennika. Najwidoczniej dopiero wtedy odkrył, co zrobił mi Ernst. A zatem musiał opuścić naszego ojca wcześniej, zanim ten mnie dopadł. Czy wiedział o mnie? Czy wiedział, że ma siostrę? Czy szukał tylko Ireny? Nie miałam na to odpowiedzi.

Czkawka uderzyła z pełną mocą. Prawie się przewróciłam, kiedy zatrzęsła się podłoga. W ułamku sekundy rozjarzyło się koło wyrysowane wokół łóżka, zamykając mnie w obrębie pola ochrony. Magia Ture rozpoznawała nasze pokrewieństwo. Glify na drzwiach wejściowych rozbłysły nową energią. Nie był stąd, ale wiedział, jak się zabezpieczyć, i nie polegał na ochronie hotelu. Prawie całkiem ucichły odgłosy zamętu za oknem. Nie słyszałam już grzmotów, deszczu, skoków napięcia. Był naprawdę niezły.

Odłożyłam teczkę z danymi na mój temat i przejrzałam te, które zgromadził na temat Matki. Pouczająca lektura. Nie wiedziałam, że Irena rozważała wysłanie mnie do Zakonu w Londynie. Z jakichś powodów moja obecność w Warsie stała się dla niej niewygodna. W tym świetle wysłanie do mnie Robina wydało mi się jeszcze dziwniejsze. Oba skoroszyty wcisnęłam do swojej torby, razem z papierami, które zabrałam z piwnicy Matki.

Na dnie walizki znalazłam skórzany portfel odkształcony w sposób charakterystyczny dla męskich portfeli noszonych w tylnej kieszeni spodni. Kilka banknotów, karty kredytowe z realnego świata i czeki podróżne z wampirzego banku – popularna forma płatnicza dla przemieszczających się po świecie alternatywnym. Paszport… Ture miał obywatelstwo norweskie. I nie był tylko moim bratem. Jak ogłuszona patrzyłam na jego datę urodzenia. Była identyczna jak moja. Co do dnia. Był moim bliźniakiem.

Jak można zapomnieć o bliźniaku? Czy przez większość życia nie powinnam czuć jakiejś nieznośnej tęsknoty? Nie powinnam mieć poczucia, że jestem połową całości, którą byłam przez dziewięć miesięcy życia płodowego? Czytałam, że tak to właśnie najczęściej wygląda. Nagle poczułam intensywny zapach różanego potpourri i aż mnie zemdliło. Pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam. Co, do cholery? Nie wymiotowałam nawet po wstrząśnieniu mózgu! Umyłam twarz i przez chwilę zastanawiałam się, czy użyć jego szczoteczki do zębów, ale tylko wypłukałam usta płynem o zapachu mięty i mocnym smaku żrącego alkoholu.

Ręce mi się trzęsły, a skóra zaczęła swędzieć bliskością przemiany. Patrzyłam w lustro na swoją twarz, na rysy, które wydawały się mniej wyraźne, rozmazane… Przyłożyłam do twarzy paszport Ture i próbowałam

ocenić nasze podobieństwo. Mieliśmy podobne oczy o migdałowym kształcie, linię brwi i tak samo absurdalnie długie rzęsy, choć moje tęczówki były ciemne, a jego zielonoszare. Pomacałam dołeczek w podbródku. Miał taki sam. Tylko tyle. Miał jaśniejszą karnację i rude włosy, ostrzejsze rysy twarzy, wyglądał bardzo skandynawsko, podczas gdy ja miałam urodę typową dla wschodniej Europy z azjatyckimi naleciałościami. Nie spojrzałabym na niego na ulicy i nie krzyknęła: „Czy ty aby nie jesteś moim bratem?”. Nawet Kosma, z ciemnymi włosami i karnacją, był do mnie bardziej podobny.

Poczułam nagły atak głodu i zajrzałam do minilodówki, umieszczonej w kącie. Słabo panowałam nad sobą. Stres spalał kalorie, a szalejąca czkawka nie pomagała. Małe buteleczki z alkoholem pobrzękiwały na przeszklonej półeczce, ale poza nimi nie było tam wiele. Wyciągnęłam orzeszki, precelki i czekoladowe cukierki. Ture nie mógł być berserkiem – gdyby będąc nim, tak się odżywiał, słyszałabym o bestii szalejącej po ulicach miasta.

Leżałam na łóżku, w którym spał, podgryzałam orzeszki i próbowałam zrobić porządek ze swoimi uczuciami. Nie znałam go. To oczywiste. Nie tęskniłam, nie szukałam go, nie wiedziałam, że istnieje. Nie powinnam mieć do niego absolutnie żadnego stosunku emocjonalnego, prawda? Mógł być – i prawie na pewno był – świrem, jak oni wszyscy. Wciąż nie wierzyłam, że Ernst potrafiłby się zajmować dzieckiem… Może oddał go komuś na wychowanie? Przecież nie wziął kilkuletniego chłopaka na wojnę o Valhallę. Z drugiej strony Irena zabierała mnie na roboty bardzo wcześnie. Kiedy byłam za mała, by zapewnić jej wsparcie czy zlikwidować cel, robiłam za przynętę, małą zagubioną dziewczynkę z różowym, pluszowym królikiem pod pachą. Przytulanka regularnie lądowała w pralce, bo jej futerko było poplamione czyjąś krwią. Po którymś kolejnym razie już do mnie nie wrócił. Założenie, że Ernst byłby tym bardziej odpowiedzialnym rodzicem, wydawało się naciągane. I ja, i Ture nie mieliśmy szans, by stać się normalnymi ludźmi. Gdyby Irena i Ernst po prostu porzucili nas w sierocińcu, być może potrzebowalibyśmy terapii, ale łatwiej chyba uporać się ze wspomnieniem molestującego cię mnicha niż całym tym zabijaniem… Nigdy jednak nie próbowałam terapii – po skończonej sesji musiałabym zabić mojego terapeutę, a to na pewno nie zrobiłoby dobrze mojej psychice.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam płakać. Nie rozumiałam tych łez, szlochu, który wstrząsał moim ciałem i wyrywał się na zewnątrz. Chyba nie płakałam nad sobą czy nad Ture, ale nad tym utraconym potencjałem. Utraconymi odpowiedziami. Szansą. Nie mogłam przestać. To wszystko było tak bardzo popieprzone – nie tylko dzisiejszy dzień czy ostatni tydzień, ale całość, trzydzieści lat dziwacznej telenoweli rozkręconej przez dwójkę psychopatów, którzy nigdy nie powinni się spotkać i spłodzić dwójki dzieci.

Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam. Nie wiem jak. Nie powinnam, to nie w moim stylu, ale sen po prostu przypłynął. Pachniał magią Ture. Może zostawił go tu dla mnie, wiedząc, że znajdę ten pokój i jego rzeczy. Staliśmy na fiordzie. Płaska, czarna skała wisiała wysoko nad wzburzonym morzem. Huk fal rozbrzmiewał mi w uszach, wiatr szarpał włosy. Mój brat stał tam taki spokojny, prawie uśmiechnięty, choć jego oczy były pociemniałe od niewypowiedzianych emocji. Wskazał palcem na skałę między nami i na twardej, bazaltowej powierzchni pojawiło się pęknięcie, które rozdzielało skałę niemal na połowy.

– Erwin – powiedział, dotykając dłonią piersi. – Erynia – dodał, wskazując na mnie.

– Nie – zaprzeczyłam – Nikita. – Położyłam dłoń na piersi. – Nie chcę śladu Ernsta w moim imieniu.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Ture – rzekł, dotykając swojego serca.

– Przepraszam, że strzeliłam – powiedziałam, choć wcale nie chciałam.

Jego oczy pociemniały jeszcze bardziej i zrobił krok w moją stronę. Za chwilę miał przekroczyć szczelinę, która nas rozdzielała.

Musiałam się obudzić. Uderzyłam się otwartą dłonią w policzek, i jeszcze raz. Powietrze coraz mocniej pachniało jego magią. Wystraszyłam się. Nie wiedziałam o nim nic. Założenie, że nie chce zrobić mi krzywdy, mogło mnie kosztować życie. To nie pieprzony Jedi, przychodzący z posłannictwem pokoju. Był synem Ernsta i Ireny. Nasze DNA było dość podobne, by mógł mnie zabić magią we śnie. Jeśli zrzuci mnie ze skały… Spanikowałam i jeszcze raz uderzyłam się w twarz.

Usiadłam gwałtownie w skotłowanej pościeli. Serce galopowało mi w piersi, policzek palił od uderzeń. W ustach czułam posmak krwi,

musiałam się ugryźć we śnie. Może to mnie obudziło, wyrwało z objęć magii Ture.

Dość. Za dużo. Nie potrzebowałam kolejnego ducha przeszłości. Kolejnego cienia… I nagle to do mnie dotarło: on był cieniem. Nie, nie członkiem Zakonu. Był jednym z cieni uwiecznionych na zdjęciu, jakie zrobił mi Fotograf lata temu. Nie mogłam wiedzieć, nie mogłam nadać mu imienia, był czymś, co miało się dopiero wydarzyć, choć zaczęło się w dniu naszych narodzin. Wtedy rozpoznałam Ernsta, Irenę, Dorę. Teraz kolejny cień zyskał swoje imię. Nie zagrażał mi – już nie – ale wciąż potrafił ranić.

Zeskoczyłam z łóżka i przekroczyłam ochronny krąg, który zadrżał z cichym brzęczeniem i rozprysł się z trzaskiem. Poczułam, jak osiadają na mnie drobinki magii Ture, a moja aura je wchłania. Chwyciłam torbę, papiery i portfel z dokumentami brata i uciekłam z pokoju. Zbiegałam po schodach, jakby gonił mnie piekielny ogar. Pchnęłam drzwi w holu i wypadłam na zewnątrz, nawet się nie zastanawiając, czy czkawka już minęła.

Miałam szczęście – nie tyle minęła, co łapała drugi oddech. Powietrze było naelektryzowane magią, a ziemia mruczała pod stopami jak kot. To zdecydowanie nie koniec. Zaczęłam biec, by zdążyć do domu, nim chaos rozpęta się na dobre.

*

Zdążyłam dotrzeć do domu przed drugim uderzeniem czkawki, ale nie przed ulewą. Jak automat wysyłałam impulsy energii do kręgów ochronnych, kiedy je mijałam, przyciskając do piersi torbę wypełnioną dokumentami. Pchnęłam drzwi i zamarłam, widząc na podłodze mojego przedpokoju białą kopertę. Ktoś musiał ją wsunąć pod drzwiami. Ktoś zdołał przejść przez kręgi i nie powaliło go zabezpieczenie domu. Jeszcze kilka dni temu nie wierzyłabym, że coś takiego może się zdarzyć, ale potem pojawił się Robin z tym swoim talizmanem. Jeszcze kilka dni temu nie wiedziałam, że chodził po tej ziemi ktoś, kto miał tych samych rodziców co ja i potencjalnie DNA na tyle podobne, że posiadał wytrych do mojej magii w każdej kropelce krwi, która płynęła w jego żyłach. Ture, chciałam tego czy nie, był mi genetycznie bliższy niż Irena, po której miałam tylko

połowę zestawu. On i ja byliśmy bliżsi. A jednak zabiłam go, bo zagrażał mojej matce. Bo nie potrafiłam nie pociągnąć za spust.

Trzysta razy na godzinę analizowałam tę sytuację i znalazłam dwadzieścia różnych kombinacji i reakcji, które nie skończyłyby się jego śmiercią, a ja miałabym swoje odpowiedzi. Ale wtedy nie widziałam innego wyjścia. Byłam wściekła na siebie, bo zabicie Ture stanowiło dowód na to, że nie zdołałam zachować zimnej krwi. I choć na kopercie nic nie napisano, czułam przez skórę, że to właśnie Ture ją zostawił. Może wtedy, kiedy ja szukałam Matki w siedzibie Zakonu, grupowałam wsparcie. Dokładnie zamknęłam drzwi i położyłam kopertę i teczki na kuchennym stole.

Przebrana w suche ciuchy, z ręcznikiem zwiniętym w turban, usiadłam przy stole i wzięłam do ręki białą kopertę. Dwie pokusy walczyły ze sobą: nie otwierać tego i pozwolić, by sprawy zostały takimi, jakimi były jeszcze wczoraj, kiedy nie wiedziałam o jego istnieniu, i ta druga, szepcząca: „przecież chcesz wiedzieć, choćby to bolało”.

Nie wiem, czego się spodziewałam, otwierając tę kopertę, ale chyba nie tego… Na kartce A4 było jedno zdanie i kilka dodatkowych linijek, wydrukowanych standardowym fontem. „Tu są odpowiedzi, których nam nie dali” i adres w wiosce w Norwegii. Na odwrocie widniała napisana ręcznie wiadomość:

> *Skoro to dostałaś, znaczy, że nic nie poszło dobrze. Przykro mi. Nienawidzę jej, ale nie ciebie. Nie miałem nic wspólnego z tym, co ci zrobił. Nie pozwól im się zniszczyć. Nie żyj ich kłamstwami. Znajdź prawdę i zrób z nią, co tylko chcesz. Żałuję, że nie mogliśmy stworzyć wspólnego frontu przeciwko nim.*
>
> *Twój brat, Ture*

Ręce mi się trzęsły. Dopiero po sekundzie paniki zrozumiałam, że ten ucisk w piersi to nie zawał, ale płacz, który próbuje się wydostać. Jednak nie uniknę opłakiwania mojego brata, nawet jeśli nie postawiono mu nagrobka.

Rozdział 20

Niebo miało kolor dojrzałych brzoskwiń o kudłatej, zarumienionej jak policzki dziewicy skórce. Po burzy Wars zawsze był piękniejszy, wspanialszy… pomijając tych, których dopadła czkawka, ale ci nie mogli nas tu dorwać, nie tak wysoko. Z tej perspektywy Przylepka była całkiem śliczna – rząd dachów krytych czerwoną dachówką i szarym, obrastającym mchem łupkiem, gdzieniegdzie małe koszmarki architektoniczne, jak moje lokum, kryte blachą, wyraźnie bardziej toporne niż reszta zabudowań i niepasujące do starej dzielnicy. Powietrze było czyste, chłodne i rześkie. Niebo jasne, bez śladu chmury. Może wreszcie skończył się sezon burz. A może mieliśmy po prostu jeden dzień przerwy… W Warsie nigdy nie możesz być pewien następnego dnia, a brawura to droga na skróty do sosnowej skrzyni i karawanu wiozącego cię prosto w zielone objęcia Sawy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zakopałby trupa w Warsie – nie po tym, jak w 1953 roku te, które leżały na miejscowym cmentarzu, po szczególnie ciężkiej czkawce uznały za stosowne wstać. Nie były zombie, nic z tych rzeczy – na szczęście, skoro magia była surowa i nieprzetworzona przez nekromantę – ale szwendały się po ulicach w stanie permanentnego zdumienia, że wróciły. Trzeba je było na nowo położyć do grobów. Dość brutalnie, bo dopiero trwałe uszkodzenie ciała działało, tak więc rodziny musiały rozszarpywać zwłoki dawno pożegnanych wujków, dziadków i matek. Zakon miał wówczas szczególnie dużo zleceń. To właśnie wtedy zarobił w tym mieście pierwszy milion, dzięki któremu postawił swoją siedzibę w Twierdzy. Zwykli ludzie wolą zapłacić niż brudzić sobie ręce. Ja wolałabym mieć pewność, że moja matka czy ojciec nie zdołają wrócić, ale moje doświadczenia rodzinne są dość niestandardowe.

Drzwi skrzypnęły za moimi plecami, czekałam z zapartym tchem na jego reakcję. Dopięłam wszystkie szczegóły z Ludwikiem z samego rana, zanim zapomniał, jak wielką ulgę poczuł, gdy się dowiedział, że nie chcę go zabić i jego łaskawa oferta wciąż jest aktualna. Taki czynsz za taką miejscówkę

był okazją, jaka mogła się nie trafić Robinowi przez kolejny rok poszukiwań.

Budynek miał sześć pięter, a więc jak na Wars był wieżowcem. Nie mieliśmy problemów z przeludnieniem, dookoła wciąż stało sporo pustostanów, więc bezdomność też nikomu nie groziła. Nie było powodów, by ciągnąć budynki w górę. A jednak Ludwik, do którego należała ta posiadłość, miał upodobanie do wind. Cholernie trudno uzasadnić potrzebę montowania windy w jednopiętrowym czy parterowym budynku. Dlatego powstał „wieżowiec” – Babel, jak nazywano go w okolicy.

Dla Robina załatwiłam mieszkanie na ostatnim, szóstym piętrze, bo miało wyjście na dach, który był bardziej jak wielki taras, z najlepszym widokiem na Wars i majaczącą w oddali, za srebrzystą wstęgą Wisły zielenią Sawy. Poza tym takie miejsce przyda mu się na imprezy przy grillu, w których, miałam niejasne wrażenie, zagustuje, gdy je pozna. Dach był też świetną drogą ewakuacji, ze stalową drabiną na jednej ścianie i schodami przeciwpożarowymi na drugiej. Przy takiej częstotliwości burz i czkawek nikt nie zaufa tylko piorunochronom. Gdyby Ludwik nie zapewnił co najmniej dwóch tras ewakuacji na wypadek pożaru, nikt nie wynająłby jego mieszkań. Dla Cienia były więc praktyczne z kilku powodów więcej niż tylko ochrona przed czkawką.

– I jak ci się podoba? – zapytałam, nie wstając z leżaka, z którego miałam widok na miasto.

Milcząc, podszedł do krawędzi dachu obudowanej murkiem sięgającym prawie do pasa. Gdyby napuścić tu wody, mogliby mieć wielki basen, ale woda przyciąga pioruny. Oparł się dłońmi o chłodne wykończenie z ocynkowanej blachy i wbił spojrzenie w panoramę.

Uznałam, że jeśli jest za głupi, by docenić tę miejscówkę, sama ją wezmę, na norę – zawsze milej mieć w norze ogrzewanie, ciepłą wodę, elektryczność, która częściej działa, niż nie działa… I sypialnię z prawdziwego zdarzenia. I wannę. Po co ja mu je pokazałam? Jest stworzone dla mnie. Wprawdzie mieści się ledwie dwie przecznice od mojego domu, ale hej, kto powiedział, że nora musi być naprawdę daleko od głównego mieszkania?

– Biorę je – odparł cicho – jeśli mnie stać. Jeśli nie, znajdź mi kogoś, kogo będę mógł zabić, by mnie było stać – dodał.

Parsknęłam śmiechem. Zaczynałam go naprawdę lubić.

– Stać cię. Ale będziesz mi winien.

Odwrócił się i spojrzał na mnie zimno.

– Co dokładnie?

– Niedługo mam urodziny, a to jest dobre miejsce na imprezę przy grillu. Co ty na to?

Napięcie opuściło jego twarz.

– Ale ty przynosisz alkohol. Jeśli pijesz, tak jak jesz, nie stać mnie na upijanie cię na mój rachunek.

Usiadł na drugim leżaku, przeciągnąwszy go wpierw kawałek, tak by móc oprzeć wyciągnięte nogi o drewnianą skrzynkę pełniącą funkcję stolika.

– Mówiłaś, że masz coś, o czym chcesz pogadać – przypomniał.

To prawda. Długo nad tym myślałam, ale jak bym na tę sprawę nie patrzyła, wychodziło mi, że powinien wiedzieć. Przekonał mnie do siebie, chciałam z nim pracować, może z czasem się zaprzyjaźnić, znacznie wcześniej zawierzyć mu życie podczas jednej czy drugiej akcji. Takie relacje trudno budować na kłamstwie czy niedopowiedzeniu. Wiem, co mówię – okłamuję prawie wszystkich wokół. Z jakiegoś powodu nie mogłam się pozbyć z głowy słów Ture – „nie żyj ich kłamstwami”. Prawda była czymś unikalnym w moim życiu i może stąd potrzeba, by właśnie tu i teraz pojawiło się jej więcej niż przez ostatnie dziesięć lat.

Wyciągnęłam z torby teczki i kopertę z fotografią. Zaczęłam od niej.

– To nam nie powie, kim jesteś, ale da ci jakieś wyobrażenie o twojej istocie – powiedziałam.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – zapytał, nie rozumiejąc. Wyjaśniłam, jak działa magia Fotografa.

– Co widać na twoim zdjęciu? – zapytał nieoczekiwanie.

– Mam wszystkie palce – uniosłam okaleczone dłonie – i też mam swój cień, ale mój nie ma rogów. Nie wiem, czy twój cień znaczy choć w przybliżeniu to samo co mój, ale dojdziemy do tego, jeśli chcesz.

Skinął głową. Miał nieobecne spojrzenie, wciąż wpatrywał się w zdjęcie i opuszkami muskał odbitkę tam, gdzie znajdowała się sylwetka kobieca, na krawędzi lasu. Oczy mu się zaszkliły i odwrócił się, bym tego nie widziała.

– Przypomina ci coś?

– Tylko smutek, nic poza tym.

– To może wyjaśnić nieco więcej – powiedziałam, podając mu jego teczkę z prywatnego archiwum Matki.

– Czytałaś to?

– Wystarczająco wiele, by się zorientować, na czym stoimy. Ale wciąż nie wiem, czemu uznała za świetny pomysł sparowanie nas.

– Może przypadek?

– Ona nie kieruje się przypadkiem. Ale mam swoje podejrzenie. Zajrzyj na stronę osiemnastą, tę zaznaczoną.

Przebiegł wzrokiem po tekście. Z każdą sekundą bladł.

– Więc nicość nie jest wymysłem? – zapytał.

– Nie jest. W ciągu ostatnich pięciu lat umierałeś co najmniej dziesięć razy. Najczęściej na skutek samobójstwa. A potem się odradzałeś.

– By znów ciążyć ku nicości.

Skinęłam głową.

– Irena miała swój plan, jak wytrącić cię z tego kręgu powtórzeń.

– Dlatego nas sparowała? Miałaś we mnie tchnąć wolę życia?

Prychnęłam.

– Dlatego wpakowała ci w pamięć moje wspomnienia z dzieciństwa. Doszła do wniosku, że tym, co cię wpędza w depresję, jest brak przeszłości, zakorzenienia. Każda nicość odbierała ci pamięć, zostawiając tylko pamięć ruchową i podstawowe informacje behawioralne – nie musiałeś się uczyć jeść, mówić czy chodzić, ale miałeś pustkę w głowie. Dostałeś więc moje wspomnienia. Przyznaję, po trosze musiała mieć rację, chyba że twoje zagrywki były tak naprawdę próbami samobójczymi i prowokowałeś mnie do zabicia cię.

– Nie bardzo chce mi się umierać w tej chwili.

– Sam widzisz. Ona nie jest głupia.

– Więc dlaczego sparowała mnie z jedyną osobą, która mogła wykazać, że to nie moje wspomnienia?

– Nie wiem. W kółko o tym myślę i mam milion hipotez, ale żadnych dowodów. Może dlatego, że chciała mnie chronić? Może gdybyś poznał jakieś tajemnice, zaraz kopnąłbyś w kalendarz i nie byłoby problemu ze wspomnieniami? Może musiała mi dać jakiegoś partnera, bo naciski były zbyt duże, więc czemu nie miałby to być koleś, który co czwartek kasuje sobie twardy dysk? A może uznała, że jednak nie wyszło, i chciała, bym cię zabiła, licząc, że już nie wstaniesz? Wygląda na to, że Włosi podrzucili jej

ciebie jako kukułcze jajo. Umierałeś im tam tyle razy, że nie mieli cierpliwości do twoich respawnów. Straszne emo z ciebie najwyraźniej.

– Ale mi mija, kiedy mam wspomnienie o połamanej nodze i karuzeli? Dziwaczna teoria.

– Ale skuteczna. Jeśli jednak postanowisz się zabić, szóste piętro i dostęp do dachu mogą być jak znalazł.

– Jesteś dla mnie taka dobra – żachnął się.

– Najlepsza. Pilnuj teczki, Irena wcześniej czy później wpadnie na to, kto ją ma.

– Gdybym miał kolejny reset, obiecaj mi, że odnajdziesz mnie i powiesz mi to, co właśnie odkryliśmy. Nie pozwolisz mi znów nurzać się w ciemności i pustce.

– Zauważ, że nie wiedzieli wszystkiego. W aktach nie ma ani słowa o twoich snach.

Jego palce znów podświadomie gładziły sylwetkę na zdjęciu.

– Chcę znaleźć odpowiedzi. Pomożesz mi?

– Tak. I liczę, że odwdzięczysz mi się tym samym. Potrzebuję wsparcia w tym, co planuję zrobić.

– Masz je.

Podobało mi się to, że nie naciskał. Może właśnie dlatego byłam gotowa powiedzieć mu… trochę. Nie wszystko. Ale więcej niż komukolwiek poza Aleksem.

– Ten koleś, który stał za całą tą aferą z Matką Przełożoną… był moim bratem. Nie wiedziałam, że istnieje. Ona oczywiście wiedziała, skoro wyszedł z jej lędźwi.

– To znaczy, że jesteś…

Przytaknęłam. Zaklął paskudnie, czym mnie rozśmieszył. Bo to była cholernie adekwatna reakcja.

– Miał na imię Ture. Nie naprawdę, bo w kulturze, z której się wywodzimy, dzieci dostają imię po ojcu, na tę samą literę albo sylabę co jego imię. Naprawdę miał na imię Erwin. Po naszym ojcu, Ernście.

– To znaczy, że ty też masz imię na E?

– Mam na imię Erynia. Nikt nigdy mnie tak nie nazywał i nie chcę, by tak było, skoro to imię ma mi przypominać, kim jest mój ojciec.

Skinął głową.

– Chcesz zamienić kiepskiego ojca na takiego, o którego istnieniu nie masz pojęcia? – zapytał.

– Kuszące, ale chyba lepszy diabeł znany.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał.

– Wkrótce. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

– Dobrze, masz mój łuk. – Wyszczerzył się w uśmiechu.

– Noce w Zakonie były naprawdę długie, nie? – Zaśmiałam się.

Wstałam z leżaka i zapakowałam do torby ukradzione matce papiery.

– A teraz chodźmy, odhaczymy dziś choć jeden punkt – oświadczyłam.

– Czego?

– Zobaczysz. Jeszcze jedna tajemnica cię nie zabije.

– Straszna z ciebie zołza – mruknął, ale poszedł za mną.

Epilog

Zapach waty cukrowej i popcornu sprawił, że błyskawicznie zgłodniałam. Z chmurą różowego cukru na kijku gramoliłam się na białego jednorożca. Robin wybrał czarnego rumaka z rozwianą grzywą. Muzyka zaskrzeczała z głośników, a karuzela ruszyła z lekkim szarpnięciem. Obracała się wolno, niemal majestatycznie, a konie pędziły przed siebie, w górę i w dół, w mechanicznym galopie.

Odchyliłam głowę i wiatr potargał mi włosy, przynosząc zapach piachu i smaru, którym naoliwiono mechanizm pod podestem karuzeli. Było prawie tak jak wtedy. Zapach gnijących wodorostów napływający od Wisły czynił lunapark na Powiślu absolutnie wyjątkowym. Nocą nikt się tu nie zapuszczał – był nawiedzony, poza tym bliskość Wisły sprawiała, że można tu było spotkać selkie i utopce, ale w ciągu dnia było tu po prostu wspaniale. Głównie dla sześciolatków, ale czyż w każdym z nas nie tkwi taki sześciolatek? Od nas zależy, czy jest zakneblowanym zakładnikiem, czy drugim pilotem.

Wgryzłam się w słodką watę, zastanawiając się, ile jej mogę zjeść przy moim metabolizmie, zanim mnie zemdli. Robin przez chwilę był sztywny, niepewny, zaciskał palce na drążku rumaka, jakby spodziewał się, że ten ożyje i nagle cwałem ruszy w odmęty rzeki. Przy drugim obrocie karuzeli wyraźnie się jednak rozluźnił. Odchylił się lekko do tyłu i zapytał:

– Przypomnij mi, co my tu właściwie robimy?

– To proste. Zbieramy twoje własne wspomnienia. – Podałam mu kijek z watą i wgryzłam się z kolei w obwarzanek ze sznura oplatającego mój nadgarstek.

Przez ułamek chwili wahał się, a potem zjadł watę z ostrożnością, z jaką większość ludzi je nieznane sobie owoce morza.

– Co dalej?

– Diabelski młyn. – Zatarłam ręce.

– A potem?

– Zobaczymy, gdy będziemy za zakrętem. Niektórych rzeczy nie da się przyspieszyć, więc po co o nich myśleć zawczasu? Próbowałeś kiedyś żelkowych robaków?

– Jest tu coś, czego nie jadłaś?

– Na pewno, zamierzam to znaleźć, pochłaniając wszystko inne po drodze.

Jego śmiech wtopił się w radosny gwar lunaparku. Poczułam się cholernie dobrze.

Dziewczyna z Dzielnicy Cudów

Copyright © Aneta Jadowska 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Marta Pustuła

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Rysunki wewnątrz książki – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Inicjały i numery stron – Marcin Karaś

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek

inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,

ani odczytywana w środkach publicznego przekazu

bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2016

ISBN EPUB: 978-83-7924-622-9

ISBN MOBI: 978-83-7924-621-2

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Epilog
Strona redakcyjna

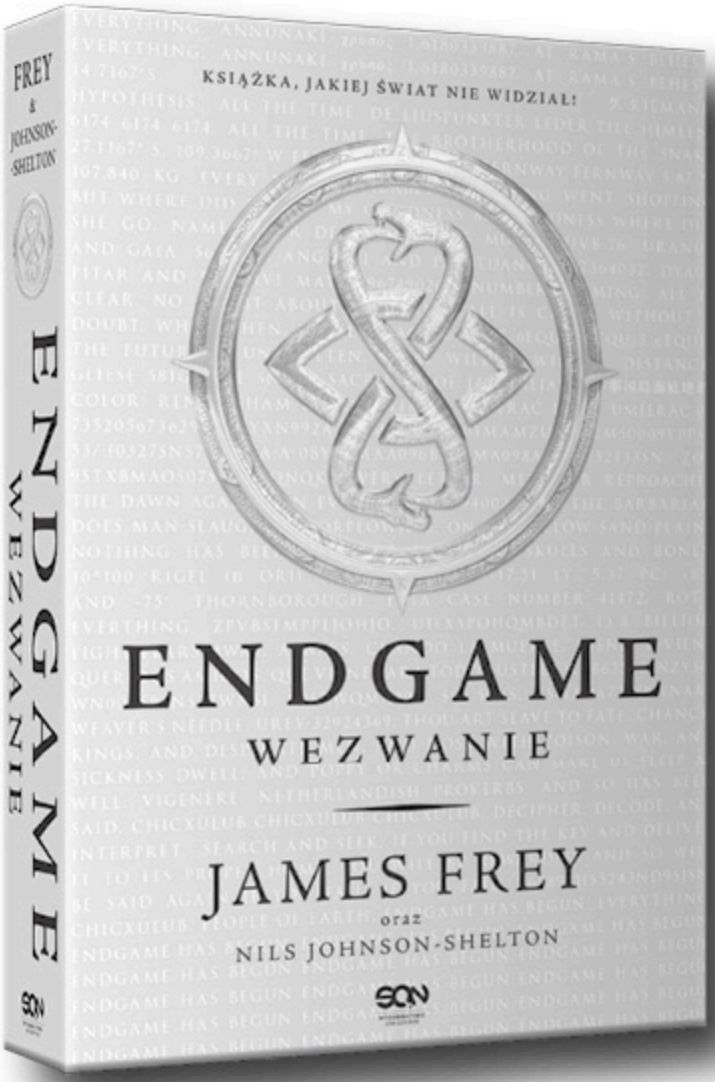
FREY & JOHNSON-SHELTON
ENDGAME
WEZWANIE
KSIĄŻKA, JAKIEJ ŚWIAT NIE WIDZIAŁ!
ENDGAME
WEZWANIE
JAMES FREY
oraz
NILS JOHNSON-SHELTON

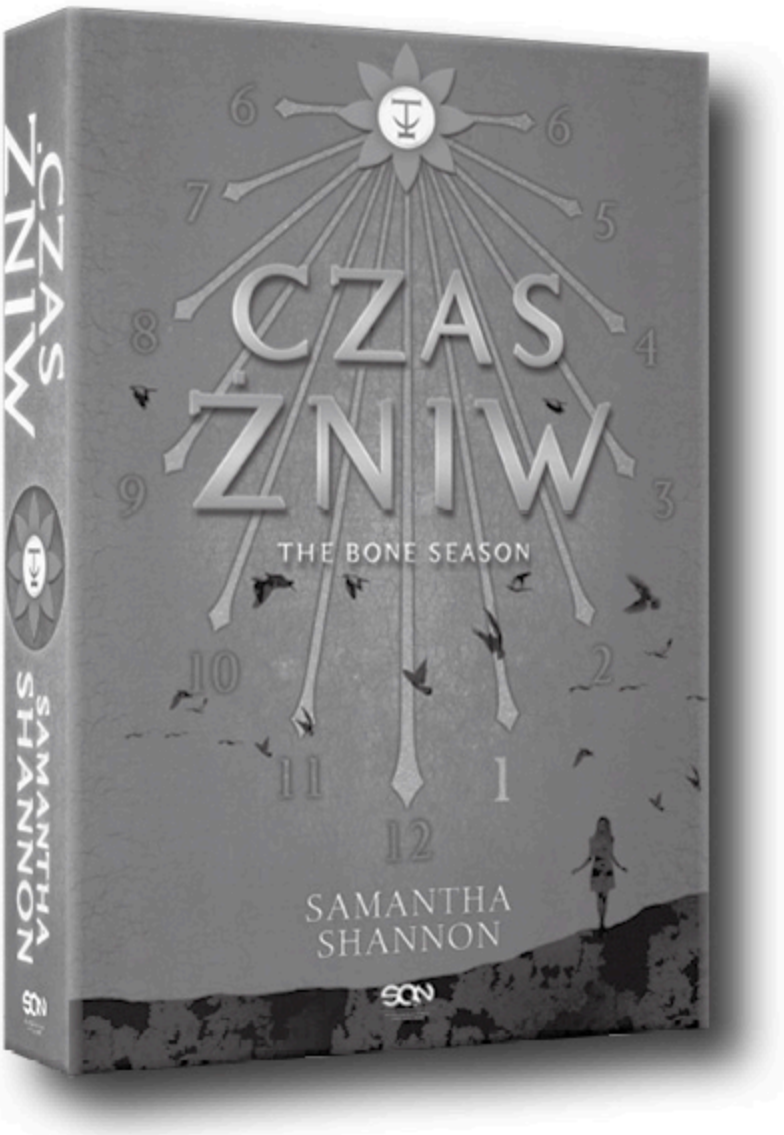
CZAS ŻNIW
SAMANTHA SHANNON
CZAS ŻNIW
THE BONE SEASON
SAMANTHA SHANNON

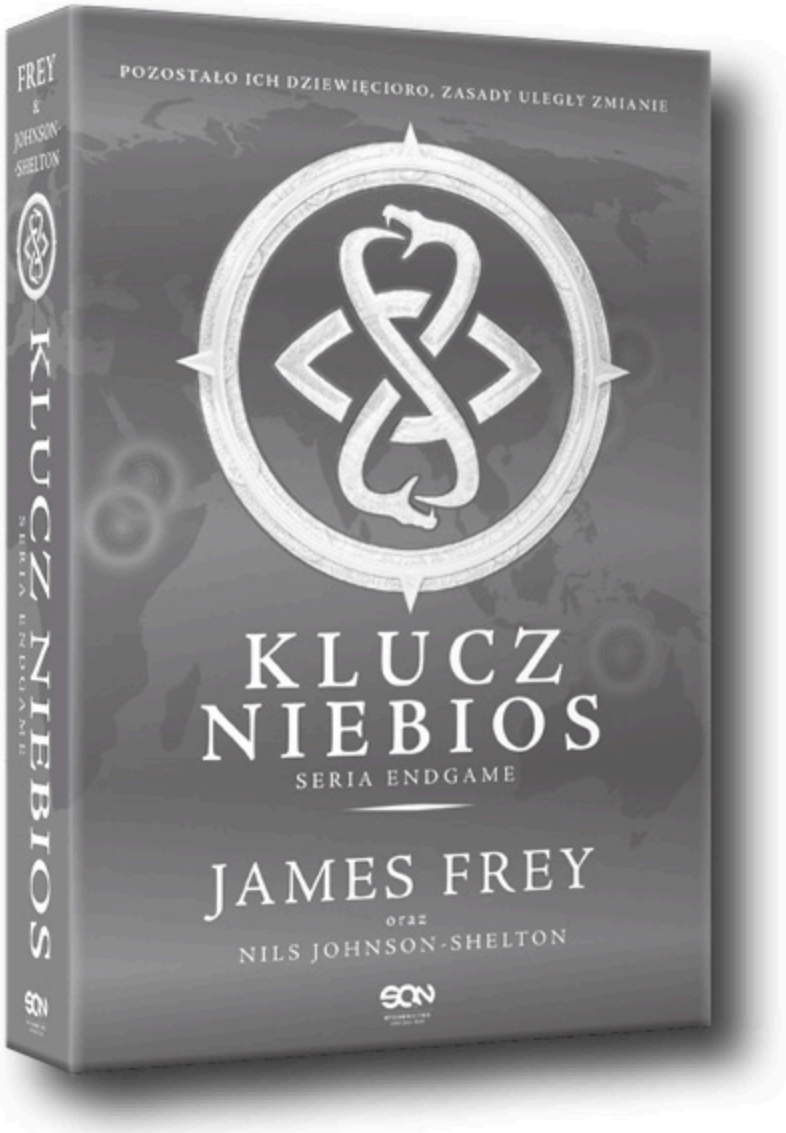
FREY & JOHNSON-SHELTON
KLUCZ NIEBIOS
SERIA ENDGAME
POZOSTAŁO ICH DZIEWIĘCIORO, ZASADY ULEGŁY ZMIANIE
KLUCZ NIEBIOS
SERIA ENDGAME
JAMES FREY
oraz
NILS JOHNSON-SHELTON

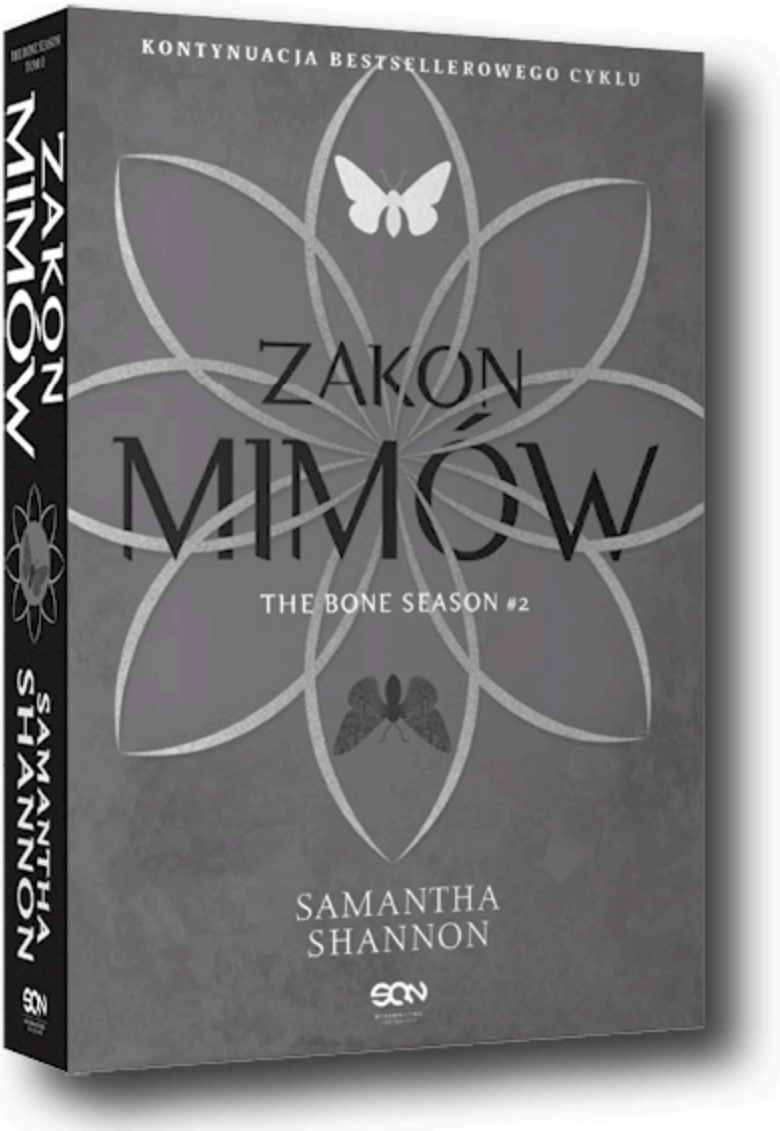
KONTYNUACJA BESTSELLEROWEGO CYKLU
ZAKON MIMÓW
THE BONE SEASON #2
SAMANTHA SHANNON
ZAKON MIMÓW
SAMANTHA SHANNON

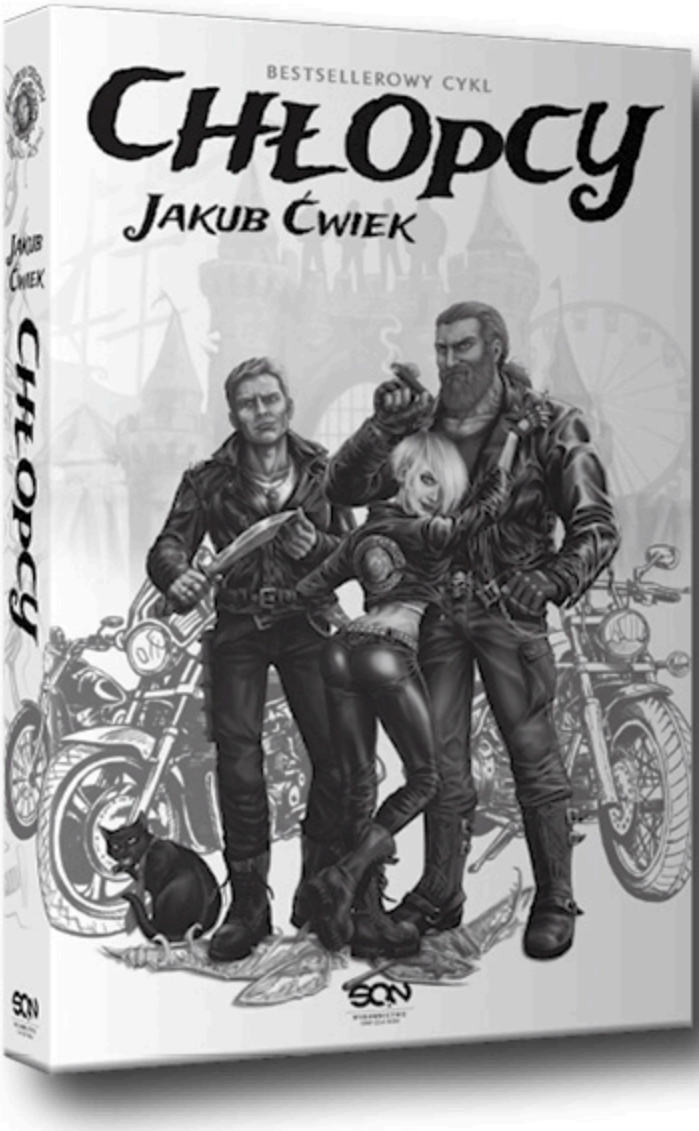
BESTSELLEROWY CYKL
CHŁOPCY
JAKUB ĆWIEK
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY

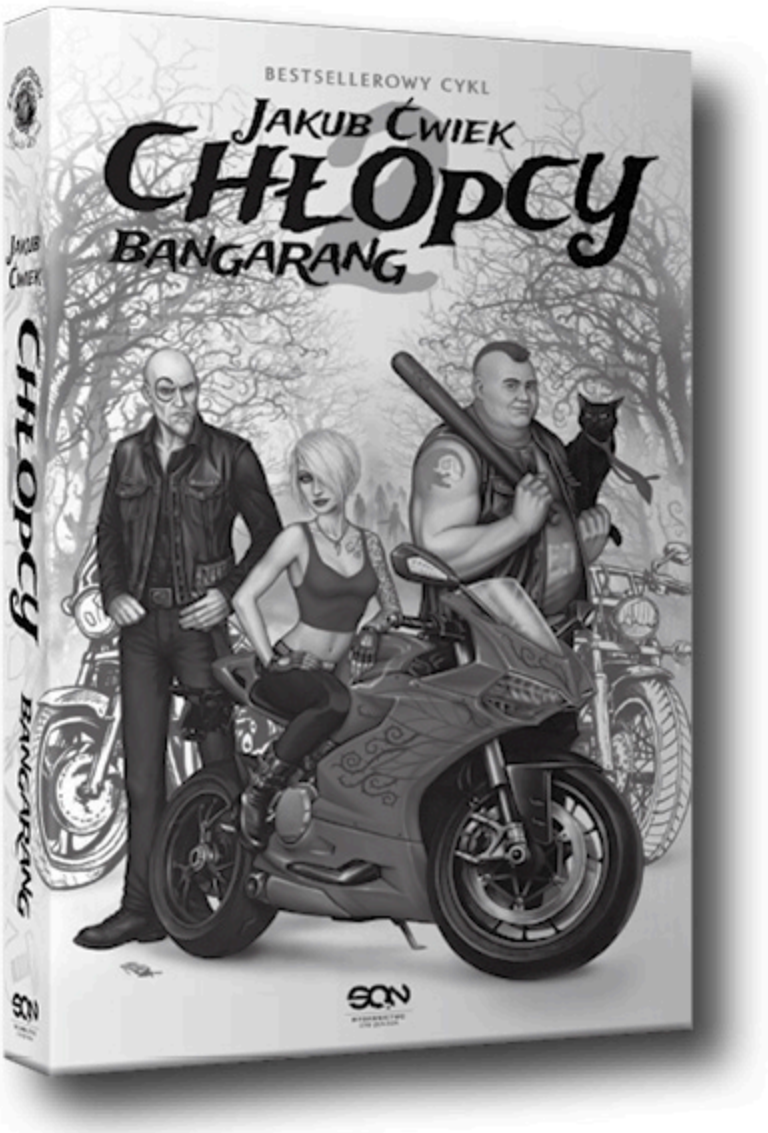
BESTSELLEROWY CYKL
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
BANGARANG
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
BANGARANG

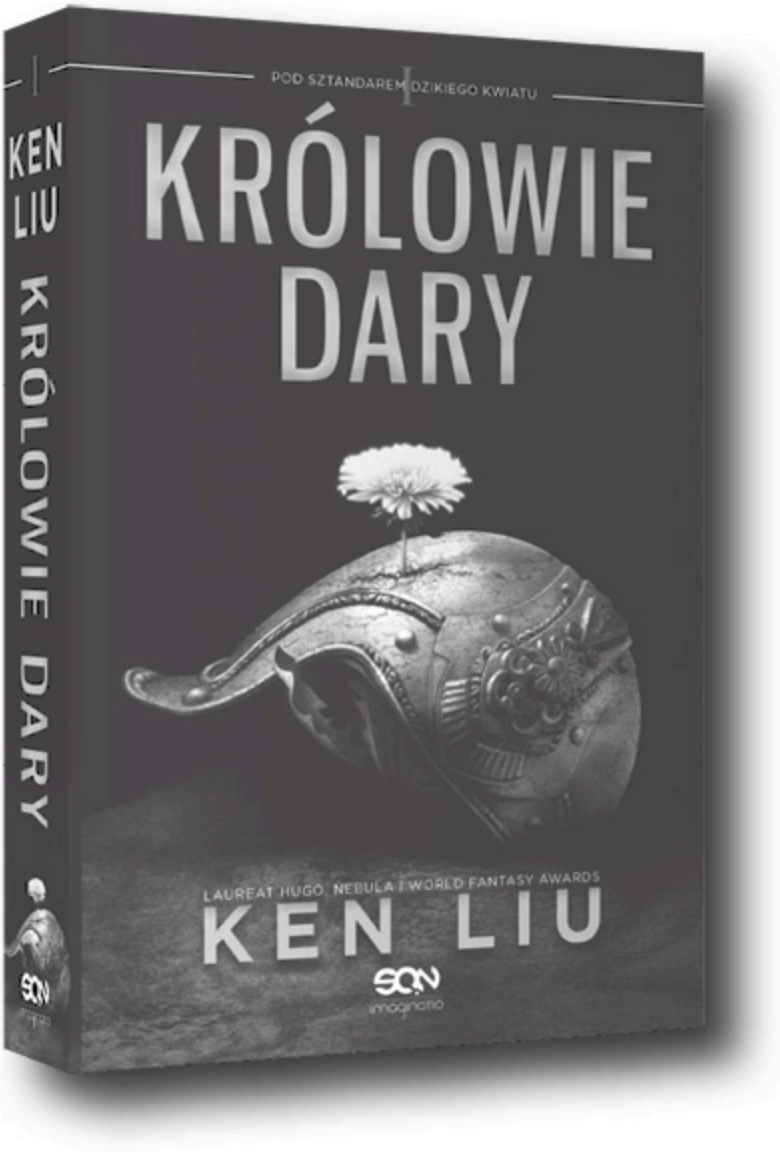
POD SZTANDAREM DZIKIEGO KWIATU
KRÓLOWIE DARY
LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS
KEN LIU
KEN LIU
KRÓLOWIE DARY

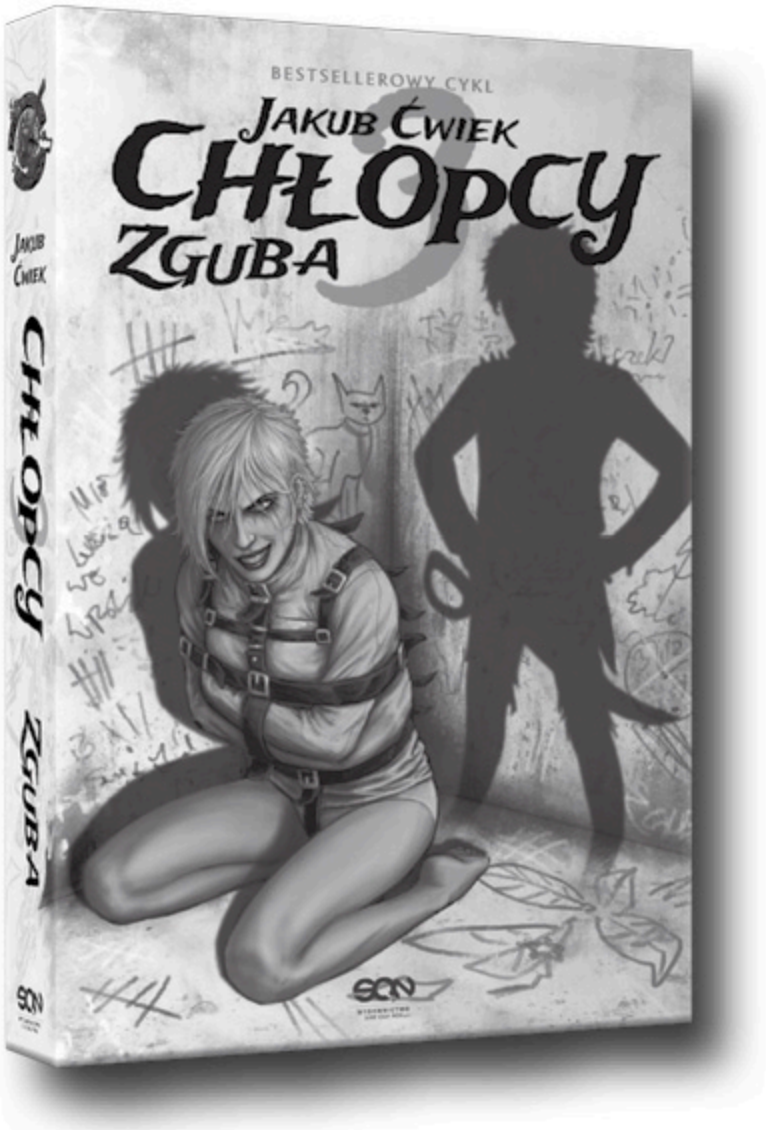
BESTSELLEROWY CYKL
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
ZGUBA
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
ZGUBA

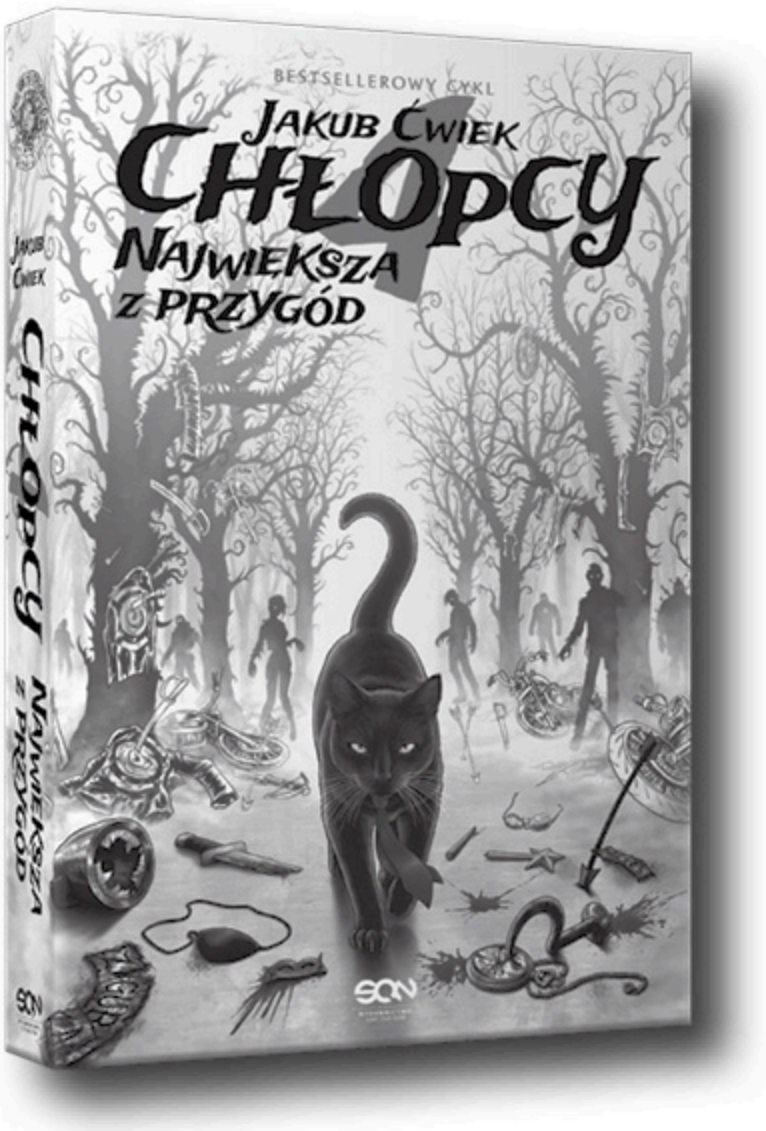
BESTSELLEROWY CYKL
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
NAJWIĘKSZA
Z PRZYGÓD
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
NAJWIĘKSZA Z PRZYGÓD
SQN

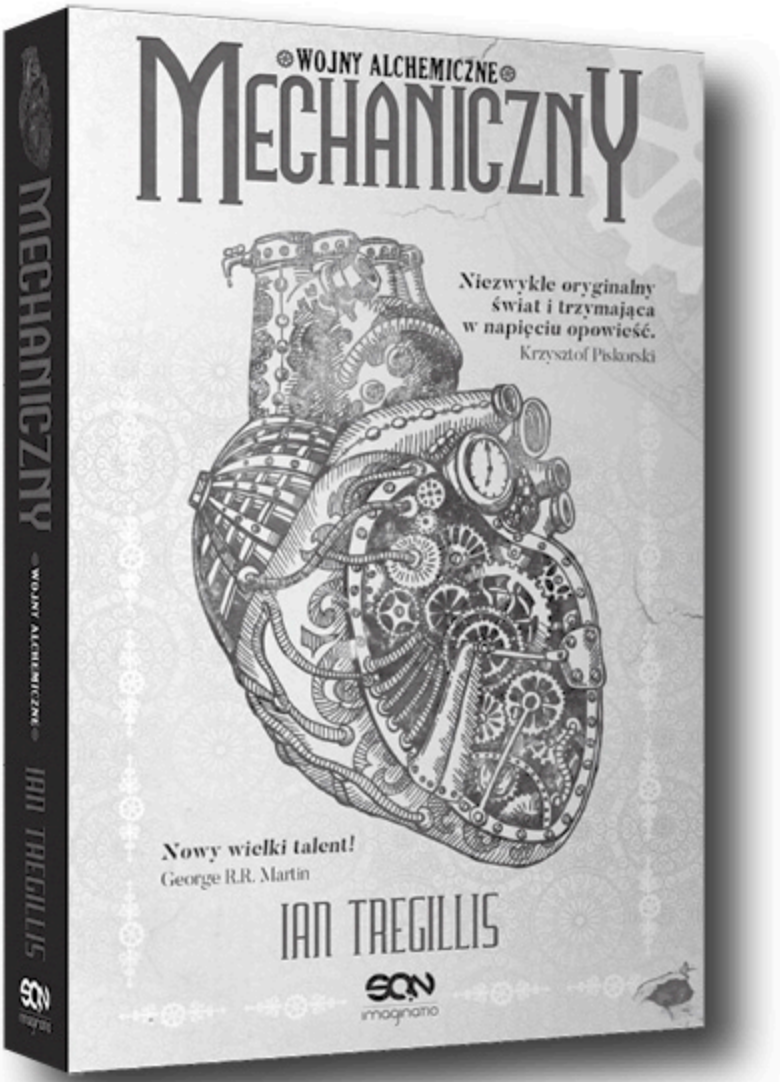
WOJNY ALCHEMICZNE
MECHANICZNY
Niezwykle oryginalny świat i trzymająca w napięciu opowieść.
Krzysztof Piskorski
Nowy wielki talent!
George R.R. Martin
IAN TREGILLIS
MECHANICZNY
WOJNY ALCHEMICZNE
IAN TREGILLIS

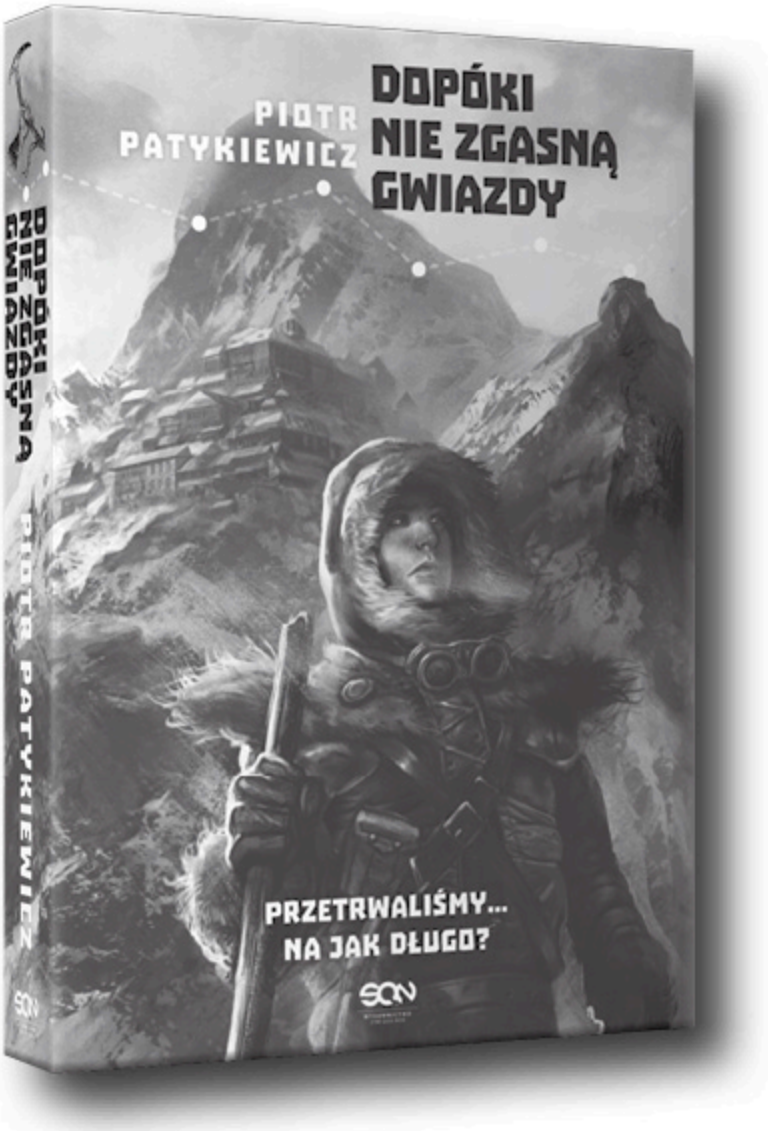
PIOTR PATYKIEWICZ
DOPÓKI NIE ZGASNĄ GWIAZDY
PRZETRWALIŚMY...
NA JAK DŁUGO?
SQN

WIGILIJNE PSY
I INNE OPOWIEŚCI
KSIĄŻKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015
ŁUKASZ ORBITOWSKI

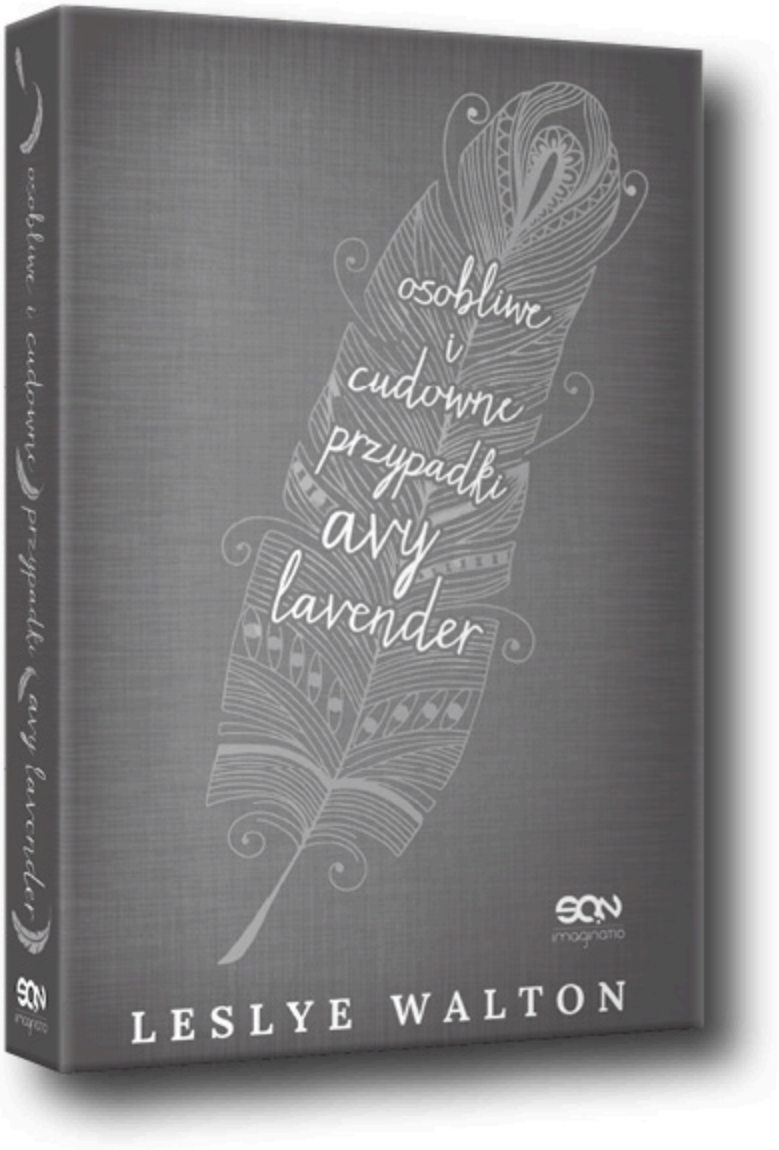
osobliwe i cudowne przypadki avy lavender
LESLYE WALTON
SQN
imaginatio

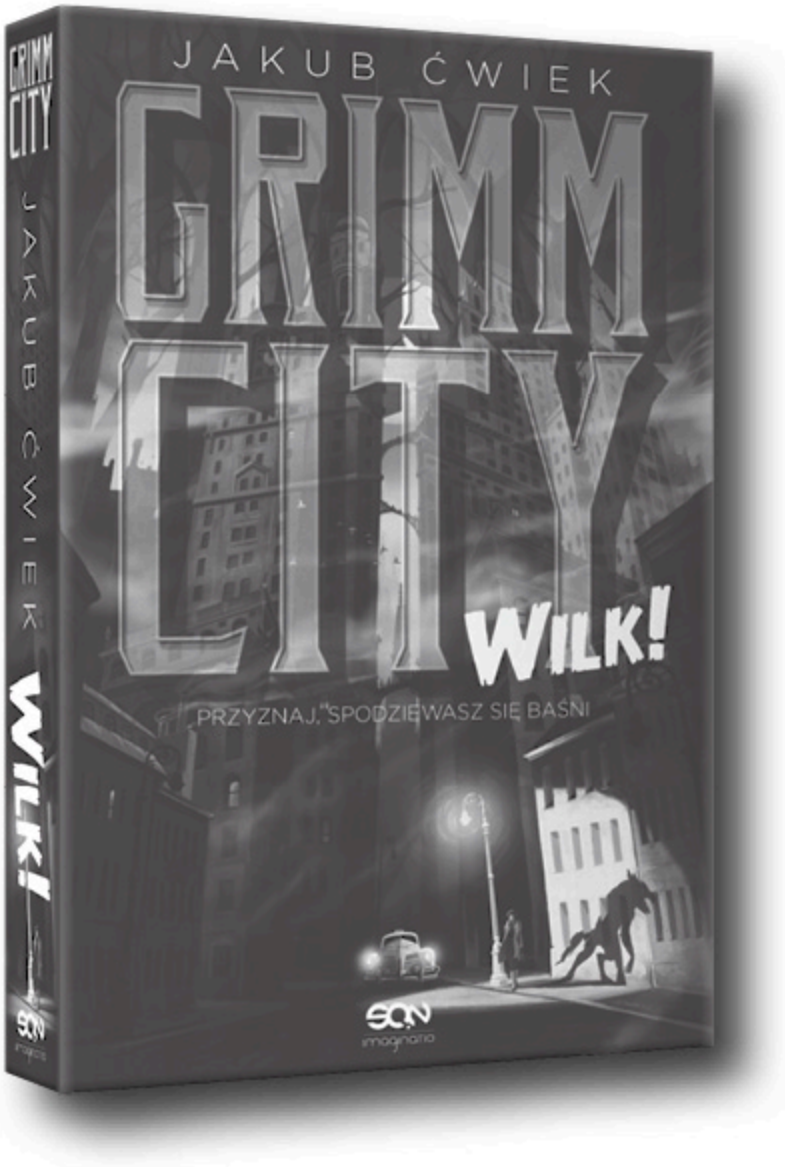
JAKUB ĆWIEK
GRIMM CITY
WILK!
PRZYZNAJ, SPODZIEWASZ SIĘ BAŚNI
SQN
imaginatio

JACEK ŁUKAWSKI
KREW I STAL
KRAINA MARTWEJ ZIEMI
I
KREW I STAL

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
WydawnictwoSQN
SQNPublishing
wydawnictwosqn
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

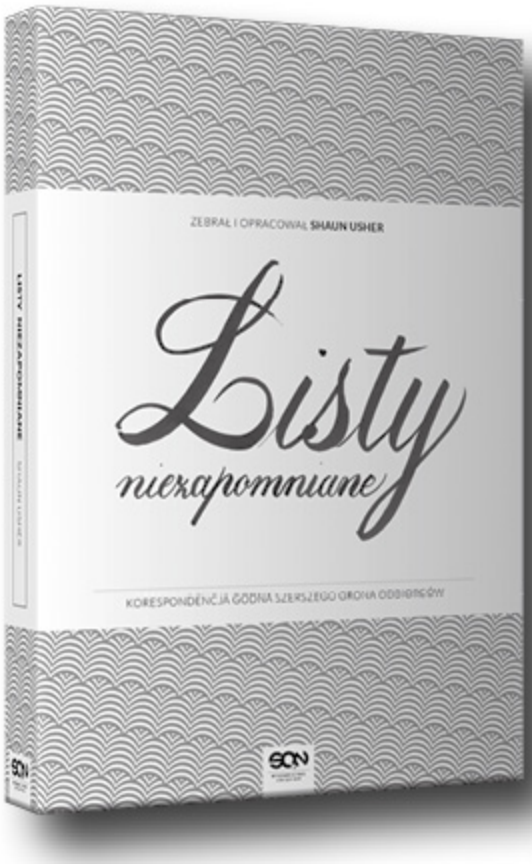
ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ SHAUN USHER
Listy
niezapomniane
KORESPONDENCJA GODNA SZERSZEGO GRONA ODBIORCÓW

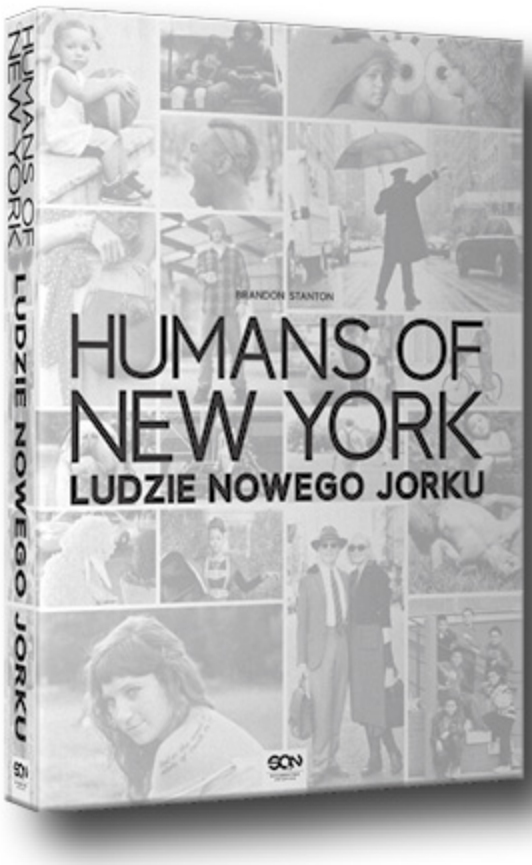
BRANDON STANTON
HUMANS OF NEW YORK
LUDZIE NOWEGO JORKU

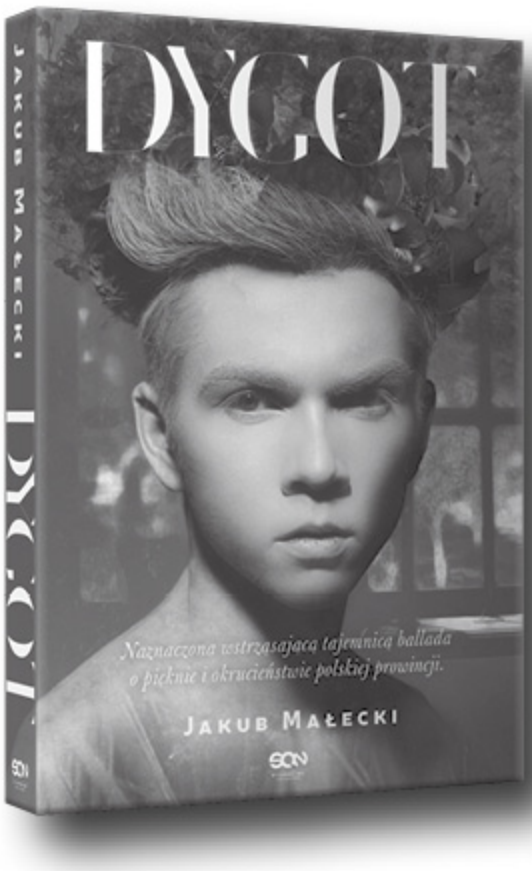
DYGOT
JAKUB MAŁECKI
Naznaczona wstrząsającą tajemnicą ballada
o pięknie i okrucieństwie polskiej prowincji.
JAKUB MAŁECKI

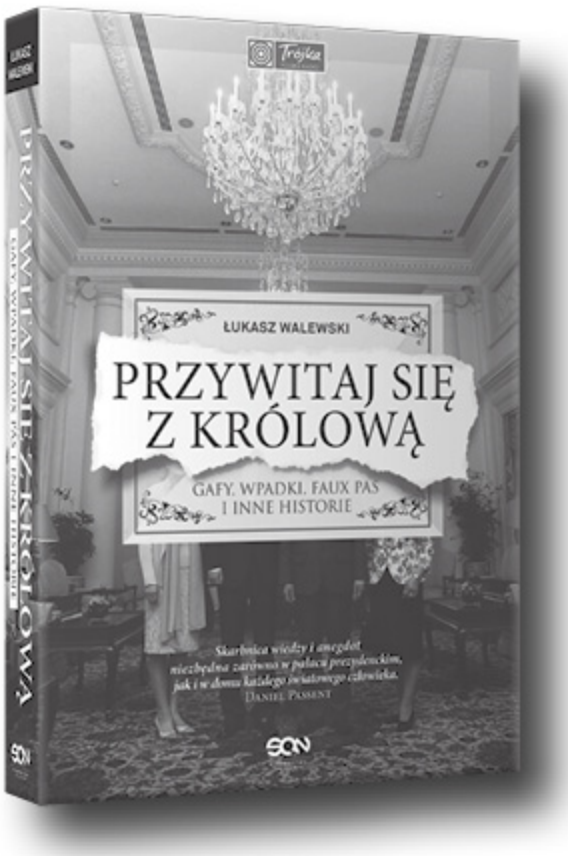
Trylogia
ŁUKASZ WALEWSKI
PRZYWITAJ SIĘ Z KRÓLOWĄ
GAFY, WPADKI, FAUX PAS I INNE HISTORIE
Skarbnica wiedzy i anegdot niezbędna zarówno w pałacu prezydenckim, jak i w domu każdego światowego człowieka.
DANIEL PASENT
SQN

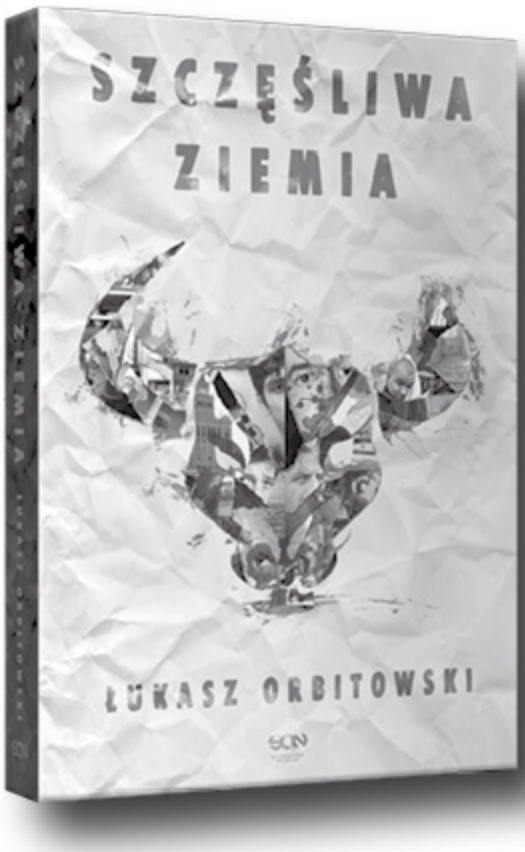
SZCZĘŚLIWA ZIEMIA
ŁUKASZ ORBITOWSKI

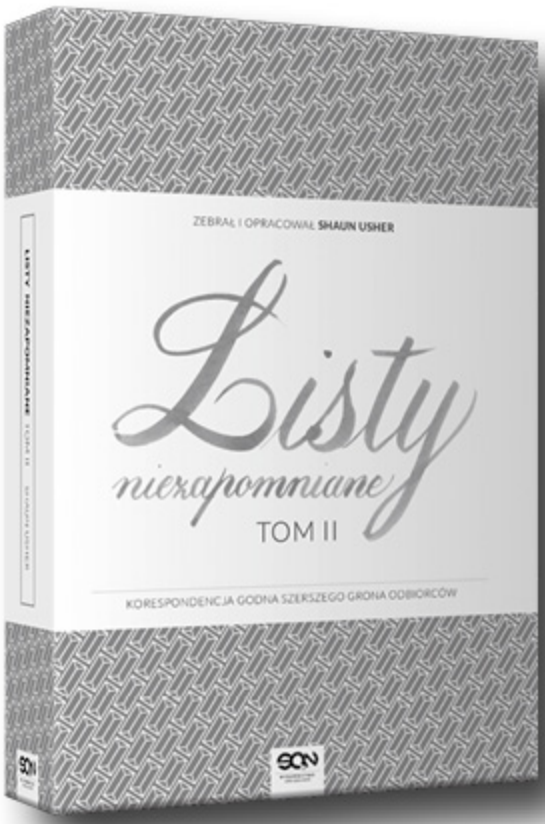
ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ SHAUN USHER
Listy
niezapomniane
TOM II
KORESPONDENCJA GODNA SZERSZEGO GRONA ODBIORCÓW
LISTY NIEZAPOMNIANE